



LAUREN OLIVER

7 razy dziś

PROLOG

Podobno tuż przed śmiercią całe życie staje człowiekowi przed oczami.

W moim przypadku było inaczej.

Szczerze mówiąc, wyobrażenie, że w swojej ostatniej chwili zobaczę całe życie, wydawało mi się zawsze trochę przerażające. Niektóre sprawy lepiej traktować jak niebyłe, jak powiedziałaaby moja mama. Na przykład z ochotą zapomniałabym, co się działo, kiedy byłam w piątej klasie (nosiłam okulary i różowy aparat ortodontyczny). Czy ktokolwiek chciałby jeszcze raz przeżyć swój pierwszy dzień w liceum? Podobnie lepiej puścić w niepamięć wszystkie nudne wczasy z rodziną, bezsensowne lekcje algebry, bóle menstruacyjne i słabe pocałunki, które ledwo przeżyłam...

Sklamałabym jednak, mówiąc, że nie chcę przeżyć ponownie kilku wydarzeń z mojej listy absolutnych przebojów: jak po raz pierwszy całowałam się z Robem Cokranem na samym środku parkietu w czasie balu absolwentów i wszyscy wiedzieli, że jesteśmy razem; jak pewnego razu w maju upiłam się z Lindsay, Elody i Ally, a potem próbowałyśmy na trawniku przed domem Ally zostawić odciski naszych ciał podobne do orłów, które robi się w śniegu; jak w moje szesnaste urodziny zapaliliśmy setkę świeczek i tańczyliśmy na stole w ogrodzie przy domu; jak w czasie Halloween razem z Lindsay splatałyśmy figla Clarze Seuse i potem ścigała nas policja, a my prawie porzygałyśmy się ze śmiechu. Te momenty chciałabym zapamiętać. Chciałabym, żeby dzięki tym momentom pamiętano o mnie.

Ale tuż przed śmiercią nie myślałam o Robie ani o żadnym innym facecie. Nie pomyślałam o żadnej z niesamowitych przygód, jakie przeżyłam z przyjaciółmi. Nie pomyślałam nawet o mojej rodzinie ani o tym, jak poranne światło barwi ściany sypialni na kremowo, ani o zapachu kwitnących w lipcu azalii, wydzielających woń miodu i cynamonu.

Pomyślałam natomiast o Vicky Hollinan.

A konkretnie o tym dniu w czwartej klasie, kiedy na wuefie mieliśmy grać w dwa ognie, a Lindsay oznajmiła wszem i wobec, że nie zamierza przyjąć Vicky do naszej drużyny.

- Jest taka gruba, że można ją trafić z zamkniętymi oczami - wypaliła.

Jeszcze wtedy nie przyjaźniłam się z Lindsay, ale już zauważyłam, że każda jej wypowiedź zamienia się w nieodparcie śmieszny żart. Śmiałam się razem z wszystkimi, a twarz Vicky zrobiła się fioletowa jak spodnia strona burzowej chmury.

W ostatnim rozbłysku świadomości przed śmiercią, kiedy powinno się doznać objawienia i przeniknąć na wskroś sens całej przeszłości, ja przypomniałam sobie zapach lakieru i pisk trampek na wypolerowanej podłodze, ciasne elastyczne szorty i śmiech niosący się echem po wielkiej, pustej przestrzeni, jakby w sali gimnastycznej było znacznie więcej niż dwadzieścia pięć osób.

I twarz Vicky.

Co dziwne, nie myślałam już od dawna o tej sytuacji. Na pewno do was też wracają czasem wspomnienia, które wydawały się zupełnie zapomniane. Nie, bynajmniej nie była to dla Vicky wielka trauma.

Przecież dzieciaki często robią sobie na złość. Nic wielkiego. Zawsze ktoś się z kogoś śmieje, każdego dnia, w każdej szkole, w każdym mieście w Ameryce i - jak się domyślam - na całym świecie. Dorastanie polega właśnie na tym, żeby się nauczyć, jak zawsze stać po stronie tych, którzy się śmieją.

Zacznijmy od tego, że Vicky wcale nie jest gruba - owszem, miała zaokrągloną twarz i brzuszek, ale w liceum zgubiła zbędne kilogramy i urosła o sześć centymetrów. I nawet zaprzyjaźniła się z Lindsay. Razem grały w hokeja na trawie i zawsze witały się w korytarzu. Kiedy byłyśmy już w pierwszej klasie, Vicky przypomniała tę historię na jakiejś imprezie - wszyscy już mieliśmy trochę w czubie - i śmialiśmy się jak wariaci, a Vicky najgłośniej, aż jej twarz zrobiła się prawie tak fioletowa jak wtedy, kilka lat wcześniej.

To dziwne zjawisko numer jeden.

Ale co jeszcze dziwniejsze, rozmawiałyśmy wtedy właśnie o tym, co się dzieje tuż przed śmiercią. Nie pamiętam, jak zeszyliśmy na ten temat. Przypominam sobie tylko, jak Elody zarzucała mi, że zawsze wpycham się na miejsce obok kierowcy. Nie chciała zapiąć pasów i cały czas przechylała się do przodu, żeby poszukać jakiejś piosenki na iPodzie Lindsay, choć to mnie przysługiwały przywileje DJ-a. Próbowalam objaśnić wszystkim moją teorię „listy przebojów” na okoliczność śmierci i każda z nas wymieniała swoje hity. Lindsay wybrała oczywiście ten moment, kiedy zdała sobie sprawę, że zabujała się w Duke’u, a Ally - która jak zawsze narzekała na zimno, twierdząc, że za moment zejdzie z tego świata na zapalenie płuc - brała udział w dyskusji na tyle długo, by powiedzieć, że mogłaby w nieskończoność przeżywać pierwszy pocałunek z Mattem Wilde’em, co zresztą żadnej z nas nie zdziwiło. Lindsay i Elody paliły papierosy, a przez uchylone szyby do wnętrza wdzierały się lodowate krople deszczu. Wąska droga wiła się zakolami, a po obu stronach brunatne nagie gałęzie falowały, jakby wiatr porwał je do tańca.

Elody miała już chyba dość marudzenia Ally, bo włączyła piosenkę With or Without You. To była piosenka Matta i Ally, porzuconej we wrześniu. Ally nazwała Elody suką, odpięła pas, przechyliła się i próbowała dosięgnąć iPod’a. Lindsay jęknęła, bo ktoś szturchnął ją łokciem w kark. Papieros wypadł jej z ust i wylądował między udami. Lindsay zaczęła przeklinać, próbując strzepnąć żarzący się popiół z tapicerki, Elody i Ally klóciły się zapamiętale, a ja próbowałam je przekrzyczeć, przypominając historię o tym, jak chciałyśmy robić śniegowe orły w maju. Samochód ślizgał się raz po raz na mokrej jezdni, pełen dymu papierosowego, którego niewielkie obłoki unosiły się w powietrzu jak duchy.

Nagle przed nami rozbłysło jasne, białe światło. Lindsay krzyknęła, ale nie zrozumiałam jej - coś jakby szajs albo stój, albo zjazd - i wtedy samochód zjechał z drogi wprost w czarne usta lasu. Usłyszałam straszliwy zgrzyt - metal pocierał o metal, tłukło się szkło, samochód zgiął się wpół - i poczułam, że coś się pali. Przez sekundę zastanawiałam się nawet, czy Lindsay zgasiła papierosa.

A potem z przeszłości wyłoniła się twarz Vicky Hallinan. Usłyszałam, jak wokół mnie rozbrzmiewa echem śmiech, który przeradza się w krzyk.

A potem pustka.

Problem polega na tym, że takie wydarzenia następują bez zapowiedzi. Nie budzisz się z dziwnym bólem brzucha, który zwiastuje katastrofę. Nie widzisz żadnych cieni tam, gdzie ich nie powinno być. Nie

pamiętasz o tym, żeby powiedzieć rodzicom, że ich kochasz, czy - jak było w moim wypadku - w ogóle się z nimi pożegnać.

Jeśli jesteś kimś podobnym do mnie, to budzisz się siedem minut i czterdzieści siedem sekund przed tym, jak twoja najlepsza przyjaciółka ma po ciebie przyjechać. Myślisz tylko o tym, ile róż dostaniesz na Dzień Kupidyna, więc ledwo jesteś w stanie coś na siebie włożyć, umyć zęby i modlić się do dobrego Boga, żeby okazało się, że na dnie torby zostawiłaś kosmetyczkę i będziesz mogła zrobić makijaż w samochodzie.

Jeśli jesteś kimś podobnym do mnie, ostatni dzień twojego życia wygląda zapewne tak:

TLR

ROZDZIAŁ 1

- Biiip, biiip! - krzyczy Lindsay.

Kilka tygodni wcześniej moja mama zrobiła jej awanturę o to, że codziennie za pięć siódma rano swoim trąbieniem budzi całą okolicę. Więc Lindsay tak rozwiązała problem.

- Już idę! - odkrzykuję, choć przecież Lindsay widzi, jak wybiegam przez frontowe drzwi, próbując jednocześnie włożyć kurtkę i wcisnąć segregator do torby.

W ostatniej chwili moja ośmioletnia siostra Izzy ciągnie mnie za rękę.

- Co? - Obracam się szybko.

Młodsza siostrzyczka zawsze przypomina mi o swoim istnieniu, kiedy jestem zajęta, spóźniona albo kiedy rozmawiam przez telefon z moim chłopakiem. Właśnie wtedy zazwyczaj zaczyna wchodzić mi na głowę.

- Zapomniałaś o rękawiczkach - mówi, choć w jej wydaniu brzmi to jak „zapomniałaś o rękawiczkach”. Upiera się, że nie pójdzie do logopedy, choć sepleni tak, że wszystkie dzieci w szkole się z niej nabijają. Twierdzi, że lubi tak mówić.

Biorę od niej rękawiczki. Są z kaszmiru, a ona pewnie usmarowała je masłem orzechowym. Bezustannie coś podjada.

- Ile razy mam ci powtarzać, Izzy - mówię, stukając ją w sam środek czoła - żebyś nie dotykała moich rzeczy.

Chichocze jak idiotka i muszę zagonić ją do domu, żeby zamknąć drzwi. Gdyby to od niej zależało, snułyby się za mną przez cały dzień jak wierny pies.

Kiedy wychodzę wreszcie z domu, Lindsay wychyla się z okna swojego Czołgu, jak nazywamy jej samochód: olbrzymiego, srebrnego range rovera. Kiedy tylko nim jeździmy, ktoś zawsze musi powiedzieć:

- To nie samochód, tylko ciężarówka.

A Lindsay twierdzi, że nawet ze zderzenia z osiemnastokołowym tirem wyszłaby bez najmniejszego draśnięcia. Z nas wszystkich tylko ona i Ally mają własne samochody. Ally ma małego, czarnego volkswagena jettę, którego ochrzciłyśmy imieniem Mikrus. Ja czasami pożyczam od mamy hondę accord. Biedna Elody musi sobie radzić z należącym do jej ojca przedpotopowym jasnobrazowym fordem taurusem, który ledwo co jeździ.

Powietrze jest lodowate, choć nie wieje wiatr. Niebo ma kolor idealnie bladego błękitu. Słońce, słabe i wodniste, leży jeszcze na horyzoncie, jakby nie miało siły, żeby się pozbierać do kupy. Zapowiadali, że później może nadejść burza, ale tego nigdy nie wiadomo.

Siadam na miejscu obok kierowcy. Lindsay już pali i końcem papierosa wskazuje na kawę z Dunkin' Donuts, którą mi kupiła.

- Bajgle? - pytam.

- Na tylnym siedzeniu.

- Z sezamem?

- No jasne. - Omiata mnie wzrokiem, kiedy zjeżdżamy z podjazdu przed moim domem. - Fajna spódnica.

- Twoja też.

Lindsay salutuje na znak, że przyjęła komplement. Właściwie mamy na sobie takie same spódnice. Tylko dwa razy w roku Lindsay, Ally, Elody i ja ubieramy się celowo w takie same ciuchy: w Dzień Piżamy w czasie dni otwartych szkoły, bo w zeszłym roku na Boże Narodzenie wszystkie kupiłyśmy sobie śliczne, dwuczęściowe piżamy Victorias Secret, i w Dzień Kupidyna. Klóciłyśmy się przez trzy godziny w centrum handlowym o to, czy wybrać coś różowego czy coś czerwonego. Lindsay nienawidzi różowego, a Ally zawsze ma na sobie coś w tym kolorze. Wreszcie zdecydowałyśmy się na czarne mini i obszyte czerwonym futerkiem podkoszulki na ramiączkach, które znalazłyśmy w koszu z towarami z przeceny w jednym ze sklepów odzieżowych.

Jak już wspominałam, tylko w te dwa dni celowo ubieramy się jednakowo. Ale w mojej szkole - Liceum imienia Thomasa Jeffersona - właściwie wszyscy wyglądamy tak samo. W naszej szkole nie ma obowiązku noszenia mundurków, ale dziewięć na dziesięć osób nosi strój składający się z dżinsów Seven, szarych adidasów New Balance, białego T-shirtu i kolorowej bluzy z polaru The North Face. Z wyglądu chłopcy i dziewczyny niczym się nie różnią - może tylko tym, że my nosimy węższe dżinsy i musimy co rano suszyć włosy. To Connecticut: tu chodzi o to, żeby wyglądać jak wszyscy wokół.

Nie oznacza to, że w naszej szkole brakuje świrów - bo nie brakuje - ale nawet oni świrują na jedno kopyto. Ekoświry jeżdżą do szkoły na rowerach, ubierają się w jutowe worki i nie myją włosów, jakby posiadanie dredów pomagało zmniejszyć emisję gazów powodujących efekt cieplarniany. Rozhisteryzowane Gwiazdy nie rozstają się z wielkimi termosami herbaty z cytryną, nawet w środku lata chodzą w szalikach i niewiele mówią w czasie zajęć, bo „oszczędzają głos”. Członkowie Ligi Matematyków mają zawsze dziesięć razy tyle książek co wszyscy inni, nadal korzystają z szatni i mają na twarzy wypisane wieczne zderzenie, jakby spodziewali się, że za moment ktoś wyskoczy zza rogu i ich przestraszy.

Mnie to nie przeszkadza. Czasem z Lindsay snujemy plany, że zaraz po maturze uciekniemy do Nowego Jorku i zamieszkamy na jakimś poddaszu razem z kumplem jej przyrodniego brata, tatuażystą. Ale w głębi duszy naprawdę lubię Ridgeview. Daje mi poczucie spokoju, jeśli wiecie, co mam na myśli.

- Niech no tylko Patrick spróbuje nie dać mi róży - mówi Lindsay, kiedy z prędkością światła mija pierwszy znak stopu, a potem niemal łamie mi kark, kiedy z piskiem opon hamuje przed następnym. Patrick to chłopak, z którym Lindsay cyklicznie schodzi się i rozstaje. Od początku roku szkolnego zerwali ze sobą trzynaście razy, ustanawiając rekord nie do pobicia.

- Musiałam siedzieć obok Roba, kiedy wypełniał formularz zgłoszeniowy - powiedziałam, przewracając oczami. - Czułam się jak na przymusowych robotach.

Chodzę z Robem Cokranem od października, ale kochałam się w nim już od szóstej klasy, kiedy on był zbyt *cool*, żeby ze mną w ogóle rozmawiać. Rob to pierwszy chłopak, w którym się zabujałam, to zna-

czy po raz pierwszy naprawdę. Raz całowałam się z Kentem McFullerem w trzeciej klasie, ale to się oczywiście nie liczy, bo tylko wymieniliśmy pierścionki zrobione z kwiatków i udawaliśmy męża i żonę.

- W zeszłym roku dostałam dwadzieścia dwie róże - powiedziała Lindsay, wyrzucając przez okno niedopałek papierosa i nachylając się po łyk kawy. - W tym roku chcę dwadzieścia pięć.

Każdego roku przed Dniem Kupidyna samorząd uczniowski rozstawia przed salą gimnastyczną stoisko. Za dwa dolary można kupić dla przyjaciół Valogramy - róże z przyklejonymi do nich karteczkami - które przez cały dzień do adresatów dostarczają Kupidyni (zazwyczaj pierwszorocznicy, którzy próbują nawiązać dobre kontakty ze starszymi uczniami).

- Mnie by wystarczyło piętnaście - powiedziałam.

Liczba róż ma ogromne znaczenie. Po tym można poznać, kto jest popularny, a kto nie. Jeśli dostaniesz mniej niż dziesięć - jest źle. Mniej niż pięć to już prawdziwe upokorzenie. Oznacza to po prostu, że jesteś brzydka jak noc albo nikt cię nie zna. A najpewniej jedno i drugie. Niektórzy zbierają róże, które ktoś przypadkowo upuścił, i dodają do swoich bukietów, ale to i tak widać.

- No i? - zapytała Lindsay, patrząc na mnie z ukosa. - Cieszysz się? Wielki dzień. Musisz się na niego otworzyć. - Zaśmiała się. - Niezamierzony żart.

Wzruszyłam ramionami i odwróciłam się w stronę okna, obserwując, jak mój oddech zamarza na szybie.

- To nic wielkiego.

W weekend rodzice Roba wyjeżdżają. Parę tygodni temu Rob zapytał mnie, czy chciałabym spędzić u niego noc. Wiedziałam, że tak naprawdę pyta, czy chcę z nim uprawiać seks. Kilka razy byliśmy już naprawdę blisko, ale działo się to na tylnym siedzeniu bmw jego taty albo w czyjejś piwnicy, albo u mnie w piwniczce z kominkiem, kiedy rodzice spali na górze. Ale nigdy nie czułam, że to jest to. Kiedy więc zapytał, czy zostanę na noc, bez namysłu się zgodziłam.

Lindsay piszczy i uderza dłońmi w kierownicę.

- Nic wielkiego? Żartujesz? Moja dziecinka dojrzeła.

- Daj spokój.

Czuję ciepło na karku i wiem, że na twarzy wykwitają mi czerwone plamy. Zawsze tak jest, kiedy się wstydę. Nie pomogą na to wszyscy dermatolodzy, wszystkie kremy i pudry w Connecticut. Kiedy byłam młodsza, dzieci śpiewały mi: „Czerwona jak cegła, rozgrzana jak piec”.

Potrząsnęłam lekko głową i wytarłam zaparowaną szybę. Świat za oknem lśnił, jakby ktoś pokrył go warstwą lakieru.

- Kiedy wy to zrobiliście z Patrickiem? Trzy miesiące temu?

- Tak, ale później nadrabialiśmy stracony czas. Lindsay zaczęła kołysać się dziko w przód i w tył.

- Ohyda.

- Nie martw się, dziecinko, wszystko będzie dobrze.

- Nie mów do mnie „dziecinko”.

Właśnie dlatego zgodziłam się na seks z Robem dziś wieczorem - żeby Lindsay i Elody przestały się wreszcie ze mnie nabijać. Dzięki Bogu Ally jest jeszcze dziewicą, więc nie będę ostatnia. Czasem czuję się tak, jakbym z całej naszej czwórki wlokła się zawsze na szarym końcu, na doczepkę.

- Powiedziałam, że to nic wielkiego - powtórzyłam.

- Skoro tak mówisz.

Lindsay wytrąciła mnie z równowagi, więc liczę wszystkie skrzynki pocztowe, które mijamy. Zastanawiam się, czy jutro będę na wszystko patrzyła inaczej i czy inni będą inaczej patrzeć na mnie. Mam nadzieję.

Podjeżdżamy pod dom Elody. Lindsay chce zatrzeć, ale drzwi otwierają się i Elody zaczyna ostrożnie kroczyć po oblodzonym chodniku - z trudem utrzymuje równowagę, bo ma buty na dziesięciocentymetrowych obcasach. Wygląda tak, jakby nie mogła rozstać się z domem.

- Sutki ci nie zeszywniały na tym zimnie? - pyta Lindsay, kiedy Elody wsiada do auta. Jak zawsze ma na sobie tylko cienką skórzaną kurtkę, choć zapowiadano, że temperatura nie będzie wyższa niż minus siedem stopni.

- Po co mam wyglądać *sexy*, skoro nie mogę tego pokazać? - Elody trzęsie biustem, a my zaczynamy się śmiać. Kiedy ona jest w pobliżu, nie sposób się stresować. Przechodzi mi skurcz żołądka.

Elody gestem daje mi znać, żebym podała jej kawę. Wszystkie pijemy taką samą: dużą, o smaku orzechowym, bez cukru, z dodatkową śmietanką.

- Patrz, gdzie siadasz. Zmiażdżysz bajgle. - Lindsay rzuca jej w lusterku wstecznym lodowate spojrzenie.

- Wiem, że właśnie tego chcesz. - Elody klepie ją w tyłek i znowu wszystkie się śmiejemy.

- Zostaw coś dla Muffina, ty napalona suko.

Steve Dough to ostatnia ofiara Elody. Nazwała go Muffin, bo jego nazwisko oznacza po angielsku „ciasto”, no i dlatego, że niezłe z niego ciacho (ona tak twierdzi; jak dla mnie wygląda trochę podejrzanie i pachnie marihuaną). Poznali się kilka tygodni temu.

Elody ma najwięcej doświadczenia z nas wszystkich. Straciła dziewictwo w drugiej klasie i uprawiała seks już z dwoma facetami. To ona powiedziała mi, że czuła ból po kilku pierwszych stosunkach, przez co zaczęłam się bać dziesięć razy bardziej. Może to głupie, ale nigdy nie myślałam o tym jako o doznaniu fizycznym, o czymś, co może wywoływać ból, jak piłka nożna lub jazda konna. Przeraziłam się, że nie będę wiedziała, co zrobić, jak wtedy, kiedy graliśmy na wuefie w koszykówkę i wciąż zapominałam, kogo powinnam kryć i kiedy mam podać piłkę, a kiedy kozłować.

- Mmm, Muffin - Elody klepie się po brzuchu. - Umieram z głodu.

- Masz tu bajgla - mówię.

- Z sezamem? - pyta Elody.

- No jasne - mówimy jednocześnie z Lindsay, która puszcza do mnie oko.

Podjeżdżając pod szkołę, opuszczamy szyby i na cały regulator włączamy piosenkę *No More Drama* Mary J. Blige. Zamykam oczy i powracam w pamięci do balu absolwentów i pierwszego pocałunku z Robem, kiedy przyciągnął mnie do siebie na parkiecie i nagle zetknęły się nasze usta, a jego język wśliznął się pod mój i poczułam, jak ciepło wszystkich kolorowych światełek otula mnie niczym silna dłoń, jak muzyka rozbrzmiewa mi w klatce piersiowej, a serce trzepoce i bije w rytm muzyki. Zimne powietrze wdzierające się przez okno powoduje, że zaczyna mnie boleć gardło, a uderzenia basu czuję w stopach, tak jak tamtego dnia, kiedy zdawało mi się, że nigdy nie będę szczęśliwsza; dźwięk podchodzi mi do głowy i oszalałam, jakby za chwilę miał rozerwać samochód na strzępy.

Popularność - analiza

Popularność to dziwna rzecz. Tak naprawdę nie da się jej zdefiniować i nie wypada o niej rozmawiać, ale kiedy już się ją zauważy, to nie sposób jej z niczym innym pomylić. Jak zeza albo porno.

Lindsay jest prześliczna, ale Elody, Ally i ja nie różnimy się niczym od przeciętnego człowieka. Oto moje atuty: duże brązowe oczy, proste i białe zęby, wysokie kości policzkowe i długie nogi. Oto moje wady: za długi nos, skóra, na której pojawiają się plamy, kiedy się zdenerwuję, i płaski tyłek.

Becky DiFiore jest tak śliczna jak Lindsay, ale nie sądzę, by przed balem maturalnym udało jej się zaliczyć choć jedną randkę. Ally ma duże cycki, a moje ledwo co widać (jak Lindsay ma zły humor, to mówi na mnie Samuel, a nie Sam czy Samantha). Bynajmniej daleko nam do doskonałości, a nasze oddechy nie zawsze pachną jak bzy. Kiedyś Lindsay wzięła udział w konkursie bekania z Jonahem Sasnoffem w stołówce i wszyscy nagrodzili ją gromkimi oklaskami. Czasami Elody chodzi do szkoły w żółtych, puchatych klapkach. Kiedyś na wiedzy o społeczeństwie tak się śmiałam, że zaplułam waniliową *caffé latte* całą ławkę Jake'a Somersa. Miesiąc później w domu Lily Angler całowałam się z Jake'em w komórcie na narzędzia (posiadał zerowe umiejętności).

Chodzi o to, że nam wolno coś takiego zrobić. Dlaczego? Bo jesteśmy popularne. A jesteśmy popularne, bo wszystko uchodzi nam na sucho. Koło się zamyka.

Chcę powiedzieć tylko tyle, że nie ma sensu tego analizować. Jak narysujesz koło, to zawsze coś będzie w środku, a coś na zewnątrz. I tylko kompletny kretyn nie wie, która strona jest która. Tak po prostu jest i kropka.

Nie mam zamiaru kłamać. Fajnie, że wszystko przychodzi nam z taką łatwością. Dobrze wiedzieć, że możesz zrobić, co tylko zechcesz, i nie spotkają cię za to żadne przykre konsekwencje. Kiedy już skończymy liceum i popatrzymy wstecz, to przynajmniej będziemy mieć pewność, że nie popełniłyśmy żadnego błędu, całując się z najprzystojniejszymi chłopakami, chodząc na najlepsze imprezy, robiąc sobie tyle kłopotów, ile trzeba, słuchając za głośno muzyki, za dużo paląc i pijąc, za dużo się śmiejąc, za mało słuchając innych, jeśli w ogóle kogokolwiek słuchałyśmy.

Gdyby liceum porównać do gry w pokera, to Lindsay, Ally, Elody i ja miałybyśmy w ręku najmocniejsze karty.

Wierzcie mi, wiem, jak to jest po drugiej stronie. Byłam tam przez pierwszą połowę mojego życia. Na samym dnie, tak głęboko, jak tylko się da. Wiem, co to znaczy zjadać resztki ze stołu.

A teraz to mnie pierwszej podają główne danie. I co z tego? Tak to właśnie jest.

Kto powiedział, że życie ma być sprawiedliwe.

Wjeżdżamy na parking dokładnie dziesięć minut przed pierwszym dzwonkiem. Lindsay kieruje się w stronę miejsc dla nauczycieli, przy okazji rozpraszając grupkę dziewczyn z drugiej klasy. Spod płaszczy wystają im białe i czerwone koronkowe sukienki, a jedna z nich ma na głowie diadem. To na pewno Kupidynki.

- No dalej, dalej, dalej - mówi pod nosem Lindsay, kiedy podjeżdżamy na tyły sali gimnastycznej. To jedyny szereg w tej części parkingu nie przeznaczony dla nauczycieli. Nazywamy go Aleją Seniorów, chociaż Lindsay parkowała tu od pierwszej klasy. W naszym liceum to parking dla VIP-ów, a kto nie zajmie sobie tu w porę miejsca, musi jechać na parking dla uczniów, oddalony o całe 354 metry od głównego wejścia. Kiedyś to zmierzyłyśmy i kiedy tylko o tym rozmawiamy, zawsze któraś z nas musi przypomnieć, ile dokładnie wynosi odległość.

- Naprawdę chcesz iść 354 metry w tym deszczu?

Lindsay piszczy na widok wolnego miejsca, gwałtownie skręcając w lewo. W tym momencie Sarah Grundel nadjeżdża z przeciwnej strony swoim brązowym chevroletem i próbuje je zająć.

- No, na pewno. Nie ma mowy. - Lindsay naciska gwałtownie klakson i pedał gazu, choć oczywiście to Sarah była pierwsza. Elody krzyczy, kiedy gorąca kawa wylewa się jej na bluzkę. Słychać pisk opon, a Sarah Grundel gwałtownie hamuje w ostatniej chwili, dzięki czemu range rover Lindsay nie urywa jej zderzaka.

- O, jak miło. - Lindsay wjeżdża na miejsce i parkuje. Potem otwiera drzwi i wychyla się z samochodu. - Wybacz, kochanie - woła do Sarah. - Nie zauważyłam cię. - Oczywiście kłamie.

- Fantastycznie - mówi Elody, próbując zwiniętą serwetką z Dunkin' Donuts zetrzeć plamy z kawy. - Teraz cały dzień będę paradować z cyckami pachnącymi jak orzechy.

- Faceci lubią zapach jedzenia - mówię. - Czytałam artykuł w „Glamour”.

- Wsadź sobie do majtek ciastko, a Muffin się na ciebie rzuci, jeszcze zanim wejdiesz do klasy. - Lindsay ustawia lusterko wsteczne tak, żeby mogła się w nim przejrzeć.

- Może powinnaś tego spróbować z Robem, Sammy. - Elody rzuca we mnie serwetką moką od kawy, a ja chwytam ją w locie i odrzucam. - Co? - Śmieje się. - Nie sądziłaś chyba, że zapomnę o twojej wielkiej nocy? - Grzebie w torebce i rzuca we mnie zmiętym opakowaniem z kondomem, do którego przyklepiły się drobiny tytoniu. Lindsay wyje ze śmiechu.

- Wariatki - mówię i biorę kondom w dwa palce. Wrzucam go do skrytki w samochodzie. Już samo dotykanie go powoduje, że się denerwuję i czuję, jak mój żołądek się skręca. Nigdy nie rozumiałam, dla-

czego kondomy pakuje się w te plastikowe opakowania. Wyglądają jak lekarstwa, jak coś, co lekarz przepisuje na alergię albo niezbyt jelit.

- Nie ma oprawy, nie ma zabawy - mówi Elody, nachyla się i całuje mnie w policzek. Zostawia na nim wielki, różowy odcisk błyszczyka.

- Chodźmy. - Wsiadam szybko z auta, zanim zobaczą, że się czerwienię.

Kiedy wysiadamy, pan Shaw, nauczyciel wuefu, stoi przed salą gimnastyczną i najprawdopodobniej ogląda nasze tyłki. Elody uważa, że uparł się, żeby mieć gabinet zaraz obok szatni dla dziewczyn, bo zainstalował w łazience kamerę, podłączoną do swojego komputera. Bo niby po co innego mu komputer? To wuefista. Od tego czasu wpadam w paranoję, kiedy idę się wysikać.

- Tempo, moje panie - krzyczy do nas. Pan Shaw opiekuje się też drużyną piłkarską, co zakrawa na ironię, biorąc pod uwagę, że pewnie nie dałby rady przebiec tam i z powrotem do automatu z batonami. Wygląda jak sum. Ma nawet wąsy. - Inaczej będę wam musiał wpisać uwagę za spóźnienie.

- Inaczej będę musiał dać wam w tyłek - naśladuję jego dziwnie wysoki głos. To dlatego Elody myśli, że jest pedofilem. Razem z Lindsay zaczynają się śmiać.

- Dzwonek za dwie minuty - mówi Shaw jeszcze ostrzej. Pewnie mnie usłyszał. Mam to gdzieś.

- Wspaniały piątek - mamrocze Lindsay i obejmuje mnie ramieniem.

Elody wyciąga telefon komórkowy i ogląda sobie zęby w odbiciu na powierzchni ekranu. Różowym paznokciem wydłubuje ziarna sezamu pomiędzy zębów.

- Ale kaszana - mówi, nie podnosząc nawet wzroku.

- Kompletna - potwierdzam. Piątek to najcięższy dzień, bo wolność już czeka za zakrętem. - Zabijcie mnie.

- Nie ma mowy - Lindsay ściska mnie za ramię. - Nie pozwolę, by moja najlepsza przyjaciółka umarła jako dziewczica.

Widzicie, niczego się nie spodziewaliśmy.

Na dwóch pierwszych przerwach - po plastyce i historii (kurs rozszerzony, zawsze najbardziej lubiłam historię) - dostaję łącznie tylko pięć róż. Nie mam o to do nikogo pretensji, ale nieco wkurza mnie, że Eileen Cho dostała cztery od swojego chłopaka, Iana Dowela. Nawet nie przyszło mi do głowy, żeby poprosić o to samo Roba. A swoją drogą uważam, że to nie *fair*. Potem ludzie myślą, że masz więcej przyjaciół, niż faktycznie masz.

Na samym początku lekcji chemii pan Tierney ogłasza niezapowiedzianą kartkówkę. To dla mnie spory problem, ponieważ (a) od czterech tygodni nie zrozumiałam ani słowa z zadań domowych (no dobra, przyznaję, przestałam próbować już po pierwszym tygodniu) i (b) pan Tierney wciąż grozi, że będzie powiadamiał komisje egzaminacyjne na uczelniach, na które chcemy się dostać, o naszych negatywnych ocenach. Nie wiem, czy mówi serio czy tylko próbuje jakoś zapanować nad starszymi klasami, ale nie ma bata - nie pozwolę, żeby jakiś nauczyciel faszysta zrujnował moje szanse na dostanie się na uniwersytet.

Co gorsza, siedzę w ławce z Lauren Lornet, najprawdopodobniej jedyną osobą w klasie, która wie na ten temat jeszcze mniej niż ja.

Prawdę mówiąc, moje oceny z chemii w tym roku nie są aż takie złe, ale to bynajmniej nie dlatego, że dzięki nagłej epifanii objawił mi się sens interakcji protonów z elektronami. Moją średnią pięć zero tłumacza dwa słowa: Jeremy Ball. Jest chudszy ode mnie i jego oddech pachnie płatkami kukurydzianymi, ale pozwala mi odpisywać zadania domowe, a w czasie sprawdzianów przesuwa swoją ławkę w stronę mojej, żebym mogła dyskretnie zrzuć od niego odpowiedzi. Niestety, przed zajęciami Tierneya poszłam do ubikacji, żeby pogadać z Ally - zawsze spotykamy się w łazience przed czwartą lekcją, bo kiedy ja mam chemię, ona idzie na biologię - dlatego przyszłam za późno i moje miejsce obok Jeremiego było już zajęte.

Kartkówka składa się z trzech pytań, a ja nie wiem nawet tyle, żeby udawać, że znam odpowiedzi na choć jedno z nich. Obok mnie Lauren, pochylona nad kartką, zagryza język. Zawsze to robi, kiedy myśli. Jej pierwsza odpowiedź wygląda całkiem nieźle. Zawsze pisze odpowiedzi z rozwagą i namaszczeniem, nigdy nie bazgrze na wariata, tak jak zazwyczaj się robi, kiedy nie ma się pojęcia o temacie i liczy się tylko na to, że jeśli nasmaruje się dostatecznie dużo, to nauczyciel nie zauważy. (Tak na przyszłość - to się nigdy nie sprawdza). I nagle przypominam sobie, że pan Tierney w zeszłym tygodniu strzelił Lauren kazanie na temat jej rzekomo zbyt niskich ocen. Może zaczęła przykładać się do nauki.

Zerkam przez ramię Lauren i odpisuję odpowiedzi - robię to naprawdę dyskretnie - kiedy pan Tierney wykrzykuje:

- Trzy minutyyyyy!

Mówi to tak dramatycznie, jakby dubbingował film, aż trzęsie mu się jego tłusty podbródek.

Lauren chyba już skończyła i tylko sprawdza wyniki, ale nachyliła się tak bardzo nad kartką, że nie widzę trzeciej odpowiedzi. Patrzę, jak wskazówka sekundowa nieubłaganie się porusza. Tierney wyje: „Dwie minutyyyyy trzydzieści sekuuuuund!”, a ja nachylam się i szturcham Lauren długopisem. Podnosi wzrok, zdumiona. Przez lata nie zamieniłam z nią nawet słowa i widzę, jak przez jej twarz przemyka cień, którego nie umiem rozszyfrować.

- Długopis - mówię do niej bezgłośnie.

Nie wie, co jest grane i rzuca okiem na Tierneya, który na szczęście pochylił się właśnie nad podręcznikiem.

- Co? - szepcze.

Gestem pokazuję, że wypisał mi się długopis. Gapi się na mnie tępo i przez chwilę mam ochotę strzelić ją, żeby zetrzeć jej ten głupi wyraz twarzy.

- Dwie minutyyyyy!

Na szczęście jej twarz się wypogadza, a ona uśmiecha się, jakby właśnie wynalazła lekarstwo na raka. Może jestem niesprawiedliwa, ale to straszne, kiedy jest się wieśniarą i do tego matolem. Takim matolem, co to nie potrafi zagrać Beethovena ani wygrać okręgowego konkursu ortograficznego, ani dostać się na Harvard.

Kiedy Lauren schyla się i grzebie w torbie, szukając długopisu, odpisuję ostatnią odpowiedź. Już nawet zapominam, że ją prosiłam o coś do pisania, a ona szeptem próbuje zwrócić moją uwagę.

- Trzydzieściii sekuuund!

- Proszę.

Biorę od niej długopis ogryziony na końcu. Ohyda. Uśmiecham się do niej sztywno i odwracam wzrok, ale sekundę później ona znowu szepcze:

- Pisze?

Wbijam w nią wzrok, żeby wiedziała, że teraz to już działa mi na nerwy. Ale ona to chyba odczytuje jako znak, że czegoś nie rozumiem.

- Długopis. Pisze? - szepcze trochę głośniej.

I właśnie wtedy Tierney uderza podręcznikiem o biurko i robi taki hałas, że wszyscy podskakujemy.

- Pani Lornet - grzmi, patrząc dziko na Lauren. - Czy pani rozmawia w czasie kartkówki?

Lauren robi się czerwona jak burak i nerwowo spogląda to na mnie, to na nauczyciela, oblizując wargi. Nie odzywam się.

- Ja tylko... - mówi słabym głosem.

- Wystarczy. - Tierney wstaje, krzyżując ręce na piersi, z tak gniewnym wyrazem twarzy, że jego usta zdają się stapiać z szyją. Wygląda, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć do Lauren, bo wbija w nią morderczy wzrok, ale zamiast tego oznajmia:

- Koniec czasu. Proszę odłożyć długopisy.

Chcę oddać Lauren długopis, ale ona nie chce go przyjąć.

- Weź sobie - mówi.

- Nie, dzięki - odpowiadam. Trzymam go w dwóch palcach i nachylam się, obracając nim nad ławką, ale ona chowa ręce za plecami.

- Serio, weź sobie, przyda ci się do robienia notatek. - Patrzy na mnie tak, jakby obdarowywała mnie właśnie czymś cudownym, a nie obślinionym długopisem BiC. Na widok wyrazu jej twarzy przypomina mi się wycieczka w drugiej klasie. Chodziłam z nią w parze, bo wszyscy inni już się podobierali. Musiałyśmy przez cały dzień trzymać się za ręce w czasie przechodzenia przez ulicę, a ona miała zawsze spoczone dłonie. Ciekawe, czy to pamięta. Mam nadzieję, że nie.

Uśmiecham się drętwo i wrzucam długopis do torby. Lauren szczyrzy zęby od ucha do ucha. Oczywiście, jak tylko skończy się lekcja, od razu wywalę go do kosza. Nigdy nie wiadomo, czym można się zarazić przez ślinę.

To zdarzenie ma też swoją pozytywną stronę. Mama zawsze powtarza, że każdego dnia trzeba zrobić coś dobrego. To chyba oznacza, że wypełniłam normę na dziś.

Po czwartej przerwie mam „szkołę przetrwania”. Tak się mówi na wuef, kiedy ma się już dostatecznie dużo lat, żeby wymuszoną aktywność fizyczną uznawać za rzecz poniżej wszelkiej godności (Elody uważa, że bardziej adekwatna nazwa dla tego przedmiotu to „niewolnictwo w praktyce”). Dziś ćwiczymy reanimację, co oznacza, że musimy się całować z manekinami w obecności pana Shawa. To kolejny dowód na to, że jest zbrodnicem.

Po piątej przerwie mam matkę. Kupidyńki pojawiają się dość wcześnie, zaraz po rozpoczęciu lekcji. Jedna z nich ma na sobie lśniący, czerwony trykot i diable rogi. Druga wygląda jak króliczek Playboya, a może zajęczek wielkanocny na obcasach. Trzecia jest przebrana za aniołka. Właściwie ich kostiumy nie mają nic wspólnego z funkcją sprawowaną w Dniu Kupidyna, ale jak już mówiłam, chodzi im przede wszystkim o to, żeby popisać się przed chłopcami z młodszych i starszych klas. Nie mam im tego za złe. My też tak robiłyśmy. W pierwszej klasie Ally chodziła z Mike'em Harmonem - który wtedy był klasę wyżej - przez dwa miesiące, po tym jak dostarczyła mu Valogram, a on powiedział, że jej tyłek słodko wygląda w legginsach. I proszę, prawdziwa historia miłosna.

Diabeł daje mi trzy róże - jedną od Elody, jedną od Tary Flute, która trochę jakby jest w naszej paczce, ale nie do końca, i jedną od Roba. Z wielkim namaszczeniem otwieram małą karteczkę przyklejoną do łodygi róży i udaję wielkie wzruszenie, kiedy czytam liścik, choć napisał tylko: „Z okazji Dnia Kupidyna - masz moje serce”. A pod spodem małymi literami: „Szczęśliwa?”.

„Masz moje serce” to wprawdzie nie to samo co „Kocham cię” - tego akurat nigdy nie powiedział - ale to już zupełnie blisko. Jestem prawie pewna, że zostawił to sobie na wieczór. W zeszłym tygodniu późnym wieczorem siedzieliśmy u niego na kanapie. Gapił się na mnie jak w święty obrazek i byłam pewna, stuprocentowo pewna, że właśnie to chce powiedzieć, tymczasem on mi wyznał tylko, że pod pewnym kątem wyglądam jak Scarlett Johansson.

Przynajmniej mój liścik jest lepszy od tego, który w zeszłym roku Ally dostała od Matta Wilde'a: „Na górze róże, na dole fiołki, jak pójdziemy do łóżka, będziesz moim aniołkiem”. Oczywiście, to miał być żart. „Fiołki” nawet się nie rymuje z „aniołkiem”.

To chyba wszystkie Valogramy, jakie dostanę, ale nagle podchodzi do mnie aniołek i daje mi jeszcze jeden. Każda róża ma inny kolor, ale ta wygląda niezwykle. Ma kremowo-różowe, falbaniaste płatki, jak czubek lodowego różka.

- Piękna - wzdycha.

Podnoszę wzrok. Anioł stoi nade mną i wpatruje się w różę leżącą na moim biurku. To dość szokujące, że ktoś z niższej klasy w ogóle mówi coś do kogoś z wyższej klasy i w pierwszej chwili nawet jestem oburzona. Ale ona nie wygląda na zwykłego anioła. Ma bardzo jasne, niemal białe włosy, a przez skórę prześwitują jej żyłki. Kogoś mi przypomina, ale nie wiem kogo.

Dziewczyna spostrzega, że na nią patrzę, i uśmiecha się z zażenowaniem. Cieszę się, że jej twarz nabiera koloru, bo teraz przynajmniej wygląda na żywą.

- Marian.

Odwraca się, kiedy diabolicznie przywołuje ją zniecierpliwionym ruchem ręki, w której trzyma pozostałe róże. Anioł - który pewnie ma na imię Marian - szybko dołącza do pozostałych Kupidynów. Cała trójka wychodzi z klasy.

Gładzę palcem płatki róży - są miękkie jak mgła lub oddech - i nagle robi mi się głupio. Otwieram liścik, oczekując czegoś od Ally albo Lindsay (która zawsze pisze mi: „Kocham cię na zabój, stara suko”), ale zamiast tego widzę rysunek przedstawiający grubiućkiego amorka, który przez przypadek zestrzelił ptaszka z drzewa. Ptak podpisany jest „orzeł bielik amerykański” i wygląda tak, jakby zaraz miał spaść na głowy pary siedzącej na ławce. To pewnie do nich mierzył amerek. Jego oczy to dwie spirale, a na twarzy ma głupkowaty uśmieszek.

Pod rysunkiem widnieje podpis: „Nie pij, kiedy kochasz”.

To oczywiście od Kenta McFullera, który przygotowuje rysunki dla „Chaosu”, naszej szkolnej gazetki satyrycznej. Podnoszę wzrok i patrzę w jego stronę. Zawsze siada z tyłu w lewym rogu sali. To jedno z jego dziwactw, ale nie jedyne. No jasne, obserwuje mnie. Uśmiecha się do mnie i macha mi, a potem robi gest, jakby naciągał łuk i strzelał w moją stronę. Robię niezadowoloną minę i celowo biorę jego liścik, szybko składam i wrzucam na samo dno torby. Niespecjalnie go to wzrusza. Czuję, jak jego uśmiech wbija się w moje plecy.

Pan Daimler chodzi wzdłuż ławek, zbierając zadania domowe, i zatrzymuje się przy mnie. Muszę przyznać: to właśnie z jego powodu szaleńczo mi zależy na tym, żeby dostawać Valogramy w czasie matematyki. Pan Daimler ma tylko dwadzieścia pięć lat i jest śliczny. To asystent trenera drużyny piłkarskiej i kiedy stoją obok siebie z panem Shawem, wyglądają komicznie. Pod względem wyglądu stanowią zupełne przeciwieństwa. Pan Daimler ma ponad metr osiemdziesiąt, piękną opaleniznę i ubiera się tak jak my, w dzinsy, bluzy z polaru i adidas New Balance. On też chodził do naszej szkoły. Kiedyś szukaliśmy jego fotografii w starych kronikach szkolnych w bibliotece. Był królem balu maturalnego, a na jednym zdjęciu ma na sobie smoking i uśmiecha się, obejmując dziewczynę, swoją towarzyszkę tamtego wieczoru. Spod kołnierzyka koszuli wygląda mu naszyjnik z konopnego sznurka. Niesamowicie mi się podoba to zdjęcie. Ale wiecie, co jeszcze bardziej mi się podoba? Że nadal nosi ten naszyjnik.

To ironia losu, że najprzystojniejszy facet w całym liceum to członek rady pedagogicznej. Jak zwykle, kiedy się uśmiecha, mój żołądek trochę się ściska. Przesuwa dłonią po swoich nieuczesanych brązowych włosach, a ja wyobrażam sobie, że robię to samo.

- Już dziewięć róż? - unosi brwi i teatralnie spogląda na zegarek. - A dopiero piętnaście po jedenastej. Dobra robota.

- Cóż - mówię tak głębokim i zalotnym głosem, na jaki tylko mnie stać - ludzie mnie kochają.

- Właśnie widzę - mówi i puszcza do mnie oko. Pozwalam mu przejść kawałek dalej między ławkami i wtedy mówię głośno:

- Nie dostałam jeszcze róży od pana, panie Daimler.

Nie odwraca się, ale widzę, jak czerwienią się koniuszki jego uszu. W klasie słychać chichoty i pochrząkiwania. Czuję to podniecenie, które towarzyszy ci zawsze, kiedy robisz coś niedozwolonego, a i tak uchodzi ci to na sucho, kiedy na przykład kradniesz jedzenie ze szkolnej stołówki albo upijasz się w czasie rodzinnych wakacji tak, że nikt tego nie zauważa.

Lindsay mówi, że pan Daimler któregoś dnia pozwie mnie do sądu za molestowanie. Nie sędzę. Myślę, że tak naprawdę mu się to podoba.

Dowód: kiedy się odwraca i staje przodem do klasy, uśmiecha się.

- Po sprawdzeniu testów z zeszłego tygodnia zdałem sobie sprawę, że nadal sporo problemów sprawiają wam asymptoty i granice - zaczyna mówić, opierając się o biurko i krzyżując nogi. Nikt inny nie potrafiłby sprawić, że matematyka stanie się interesująca. Jestem tego pewna.

Do końca lekcji prawie w ogóle na mnie nie patrzy, chyba że podnoszę rękę. Ale przysięgam, że kiedy nasze oczy się spotykają, to cała zamieniam się w jedno wielkie drżenie. I wiem na pewno, że on też to czuje.

Po lekcji podchodzi do mnie Kent.

- No i? - pyta. - Co myślisz?

- O czym? - odpowiadam pytaniem, żeby go zirytować. Wiem, że ma na myśli rysunek i różę. On uśmiecha się tylko i zmienia temat.

- Moi rodzice wyjeżdżają na weekend.

- Ale masz super.

Nie przestaje się uśmiechać.

- Dziś wieczorem robię imprezę. Przyjdziesz?

Patrzę na niego. Nigdy go nie rozumiałam. A może raczej: już od lat go nie rozumiem. Jako małe dzieci byliśmy sobie bardzo bliscy - z technicznego punktu widzenia można by pewnie nazwać nas najlepszymi przyjaciółmi, a potem był pierwszym facetem, z którym się całowałam - ale od kiedy skończył podstawówkę zaczął coraz bardziej dziwaczeć. Od pierwszej klasy liceum chodzi do szkoły w marynarce, choć większość jego ubrań ma poprute szwy i przetarte łokcie. Codziennie wkłada te same zdarte trampki w białą-czarną kratkę i ma tak długie włosy, że wyglądają jak kurtyna i spadają mu na oczy co kilka sekund. Ale tak naprawdę ostatecznym powodem, dla którego nie tknęłabym go nawet kijem, jest to, że nosi melonik. Do szkoły.

Co najgorsze, Kent wcale nie jest brzydki. Ma przyjemną twarz i niezłe ciało. Pod lewym okiem ma mały pieprzyk w kształcie serca, serio. Ale jest tak pokrecony, że nie ma u mnie najmniejszych szans.

- Jeszcze nie mam planów - odpowiadam. - Ale jeśli tam właśnie idą wszyscy... - zawieszam głos, dając mu do zrozumienia, że pojawię się tylko wtedy, gdy nie będę miała niczego lepszego do roboty.

- Będzie super - mówi, nadal z uśmiechem. W Kencie wkurza mnie jeszcze to, że zachowuje się, jakby świat był jednym wielkim prezentem w lśniącym papierze, który co rano trzeba odpakować.

- Zobaczymy - mówię. Widzę, jak po drugiej stronie korytarza Rob zagląda do stołówki, i przyspieszam kroku, w nadziei że Kent to zauważy i się wycofa. Z mojego punktu widzenia sytuacja rysuje się optymistycznie. Kent buja się we mnie od lat. Najprawdopodobniej od naszego pierwszego pocałunku.

Kent zatrzymuje się, bo chyba liczy, że ja zrobię to samo. Ale idę dalej. W pierwszej chwili nadochodzi mi obawa, że za ostro go potraktowałam, ale potem słyszę za plecami jego głos brzmiący tak, że wiem doskonale, iż nadal się uśmiecha.

- Do zobaczenia wieczorem - mówi. Słyszę, jak jego trampki piszczą na linoleum, i wiem, że się odwrócił i poszedł w przeciwnym kierunku. Zaczyna gwizdać. Dźwięk dochodzi do mnie, ale słabnie. Dopiero po chwili rozpoznaję melodię.

„Jutro wyjdzie słońce. Idę o zakład, że jutro zaświeci”. To z *Annie*, tego musicalu. To była moja ulubiona piosenka. Kiedy miałam siedem lat.

Wiem, że na całym korytarzu nikt inny jej nie rozpozna, ale i tak robi mi się głupio i czuję na policzkach falę ciepła. Kent zawsze robi takie rzeczy: zachowuje się, jakby znał mnie lepiej niż ktokolwiek inny, tylko dlatego że sto lat temu bawiliśmy się w jednej piaskownicy; jakby przez ostatnie dziesięć lat nic się nie zmieniło, a przecież wszystko się zmieniło.

Czuję, jak w tylnej kieszeni brzęczy mi telefon. Otwieram go przed wejściem na stołówkę. Lindsay przysłała mi wiadomość: „Impreza u Kenta McŚwirusa. Idziesz?”

Wzdycham głęboko, po czym odpowiadam: „Jasne”.

W Liceum imienia Thomasa Jeffersona da się zjeść w stołówce trzy dania:

1. Bajgla, suchego albo z serkiem.
2. Frytki.
3. Kanapkę z samoobsługowego baru, ale tylko z indykiem, szynką lub piersią z kurczaka; salami i kiełbasa nie wchodzi w grę, a pieczeń budzi pewne podejrzenia - wielka szkoda, bo najbardziej lubię pieczeń.

Rob stoi przy kasie z kilkoma przyjaciółmi. Trzyma tacę z ogromną ilością frytek. Kupuje je każdego dnia. Łapie mój wzrok i kiwa do mnie głową. (Nie należy do facetów, którzy potrafią rozmawiać o uczuciach - ani swoich, ani dziewczyny. Dlatego na kartce, którą mi przysłał, napisał tylko: „Masz moje serce”).

To dziwne. Zanim zaczęliśmy ze sobą chodzić, lubiłam go tak bardzo i tak długo, że kiedy tylko na mnie spojrzał, przeszywał mnie dreszcz i kręciło mi się w głowie. Nie zalewam: czasem tak mi się kręciło, że musiałam usiąść.

Od kiedy zostaliśmy oficjalnie parą, czasem nachodzą mnie jednak przedziwne myśli, gdy na niego patrzę. Na przykład zastanawiam się, czy te tony frytek zatykają jego arterie, czy używa nici dentystycznej

i jak dawno temu prał czapczkę z logo New York Yankees, którą nosi właściwie każdego dnia. Czasem mi się wydaje, że coś ze mną nie w porządku. Kto nie chciałby chodzić z Robem Cokranem?

Nie chodzi o to, że czegoś mi brak do szczęścia - bo niczego mi nie brak - ale czasem muszę w nieskończoność powtarzać w myślach powody, dla których go lubię. Jakbym bez tego miała się pogubić. Dzięki Bogu takich powodów jest milion: ma czarne włosy i trylion piegów, ale wcale nie wygląda głupio; zachowuje się głośno, ale jest przy tym zabawny; wszyscy go znają i lubią, a połowa dziewczyn ze szkoły pewnie się w nim kocha; dobrze wygląda w koszulce do hokeja; kiedy jest bardzo zmęczony, kładzie mi głowę na ramieniu i zasypia. To lubię w nim najbardziej. Lubię leżeć obok niego, kiedy jest już późno, ciemno i tak cicho, że słyszę bicie własnego serca. Czasem w takich chwilach mam pewność, że jestem zakochana.

Nie zwracam uwagi na Roba, kiedy stoję w kolejce, żeby zapłacić za bajgla - ja też potrafię grać trudną do zdobycia - a potem idę prosto do sali dla starszych klas. Cała stołówka ma kształt trójkąta. Dzieciaki z klas specjalnych siedzą najdalej od lady, przy stolikach ustawionych tuż przy wejściu. Obok są miejsca dla pierwszoklasistów, dalej dla drugoklasistów, aż wreszcie dla trzecioklasistów. Sala dla czwartoklasistów jest najważniejszym miejscem stołówki. To ośmiokąt z oknami w każdej ścianie. No dobra, wychodzą na parking, ale to i tak lepsze niż widok półgłówek grzebiących w sosie jabłkowym. Bez obrazy.

Ally już siedzi przy małym okrągłym stoliku tuż przy oknie. Naszym ulubionym.

- Hej. - Stawiam tacę, a obok kładę róże. Bukiet Ally też leży na stoliku. Szybko liczę jej kwiaty.

- Dziewięć róż - wskazuję na jej bukiet i potrząsam moim. - Tyle, co ja.

Ally robi kwaśną minę.

- Jedna z moich się nie liczy. Przysłał mi ją Ethan Shlosky. Dasz wiarę? Prześladuje mnie.

- No cóż, ja dostałam jedną od Kenta McFullera, więc u mnie też jedna się nie liczy.

- On cię kooocha - mówi Ally, przeciągając samogłoskę „o”. - Dostałaś esemesa od Lindsay?

Wrywam pulchne ciasto z mojego bajgla i wkładam do ust.

- Naprawdę wybieramy się na tę imprezę?

- A co, boisz się, że cię zgwałci? - parska śmiechem Ally.

- Ale śmieszne.

- Będzie piwo z beczki - mówi Ally. Bierze malutki kęs kanapki z indykiem. - U mnie po szkole, okej?

Nawet nie musi pytać. To nasza piątkowa tradycja. Zamawiamy jedzenie, przetrząsamy jej szafę, puszczone muzykę na cały regulator i tańczymy, wymieniając się cieniami do powiek i błyszczkami.

- Tak, jasne.

Kątem oka widziałam, jak zbliża się Rob, który teraz siada na krześle obok i nachyla się do mnie, póki jego usta nie dotkną mojego ucha. Pachnie wodą kolońską Total. Jak zawsze.

Przypomina mi to zapach herbaty, którą piła moja babcia - cytrynowy nektar - ale jeszcze mu o tym nie powiedziałam.

- Cześć, Samosia - zawsze wymyśla dla mnie przezwiska: Samosia, Samica, Samarancz.

- Dostałaś mój Valogram?

- A ty mój?

Zdejmuje plecak z ramion i otwiera go. Na dnie leży pół tuzina pomiętych róż - podejrzewam, że jedna jest ode mnie - a oprócz tego puste pudełko po papierosach, paczka gum Trident, jego telefon komórkowy i koszula na zmianę. Nauka raczej go nie kręci.

- Od kogo dostałeś jeszcze róże? - pytam, żeby mu zagrać na nerwach.

- Od twojej konkurencji - rzuca mi spojrzenie spod uniesionych brwi.

- Ty to masz klasę - mówi Ally. - Idziesz na imprezę do Kenta?

- Pewnie tak - Rob wzrusza ramionami i nagle wygląda na znudzonego.

Zdradzę wam pewien sekret: pewnego razu, kiedy się całowaliśmy, otworzyłam oczy i zobaczyłam, że on też ma otwarte. Nawet nie patrzył na mnie. Patrzył ponad moim ramieniem, oglądał pokój.

- Będzie piwo z beczki - powtórzyła Ally.

Wszyscy żartują, że chodzenie do naszej szkoły przygotowuje cię świetnie do studiów: uczysz się pracować i uczysz się pić. Dwa lata temu „New York Times” umieścił nas na liście dziesięciu najbardziej zapijaczonych publicznych szkół w Connecticut.

Bo tak naprawdę mamy tu niewiele rozrywek. Można iść na zakupy do centrum handlowego albo na imprezę do znajomych. I tyle. Nie oszukujmy się, tak jest prawie wszędzie w tym kraju. Tata zawsze powtarza, że powinni zburzyć Statuę Wolności i w jej miejsce postawić centrum handlowe albo złote logo McDonald sa. Twierdzi, że wtedy wszyscy wiedzieliby, czego się spodziewać.

- Ekhm, przepraszam.

Lindsay stoi za Robem, pochrząkując. Ma ręce złożone na piersi i postukuje obcasem.

- Zająłeś moje miejsce, Cokran - mówi. Tylko udaje ostrą laskę. Rob i Lindsay od zawsze się przyjaźnią. To znaczy od zawsze są w tej samej paczce i z konieczności zostali przyjaciółmi.

- Wybacz, Edgecombe. - Rob wstaje i kiedy Lindsay siada, robi zamaszysty gest, jakby ukłon.

- Do zobaczenia wieczorem, Rob - mówi Ally. - Przyjdź z kolegami.

- Na razie.

Rob nachyla się, zatapia twarz w moich włosach i mówi głębokim, cichym głosem. Kiedyś ten głos sprawiał, że wszystkie nerwy w moim ciele wybuchały jak sztuczne ognie. A teraz czasem wydaje mi się, że to taniocha.

- Pamiętaj, że dzisiejszy wieczór należy tylko do nas.

- Pamiętajam - odpowiadam i mam nadzieję, że mój głos brzmi seksownie i nie słychać w nim strachu. Poca mi się dłonie i modłę się, żeby przypadkiem nie wziął mnie za rękę.

Na szczęście tego nie robi. Zamiast tego nachyla się i przyciska usta do moich ust. Przez chwilę się całujemy i Lindsay piszczy:

- Nie w czasie jedzenia - i rzuca w moją stronę frytką, która uderza mnie w ramię.
 - Żegnam miłe panie - mówi Rob i odchodzi powolnym krokiem, przekrzywiając czapeczkę.
- Kiedy nikt nie patrzy, wycieram usta serwetką, bo Rob obślinił mi dolną połowę twarzy.
- Teraz kolejny sekret na temat Roba: nienawidzę się z nim całować.

Elody twierdzi, że stresuję się, bo brak mi poczucia bezpieczeństwa, bo jeszcze nie przypieczętowa-
liśmy z Robem naszej relacji. Ale kiedy to się wreszcie stanie, to poczuję się lepiej. Tak twierdzi i jestem
pewna, że ma rację. W końcu to ekspertka.

Ona ostatnia przyłącza się do nas. Kładzie na stoliku tacę z frytkami, a my jak na sygnał po nie się-
gamy. Półzartem próbuje nas odgonić, klepiąc nas po rękach. Rzuca na stół swój bukiet róż. Ma dwanaście
i przez sekundę czuję ukłucie zazdrości. Ally chyba też, bo mówi:

- Co zrobiłaś, żeby tyle dostać?

- Z kim to zrobiłaś, żeby tyle dostać? - poprawia ją Lindsay. Elody pokazuje nam język, wyraźnie
zadowolona, że zauważyłyśmy.

Ally patrzy na coś ponad moim ramieniem i zaczyna chichotać, podśpiewując refren starego prze-
boju Talking Heads: „Psychol-morderca, *qu'est-ce que c'est*”.

Wszystkie się odwracamy. Juliet Sykes, znana także jako Psychol, właśnie wpłynęła do sali. Tak
właśnie chodzi, jakby płynęła w powietrzu, popychana przez siły poza jej kontrolą. W długich, białych
palcach niesie papierową torbę. Jej twarz zakrywa zasłona jasnoblonde włosów, a głowę chowa w ramio-
nach. Większość ludzi w stołówce ją lekceważy - Juliet to jedna z tych osób, które natychmiast się zapo-
mina - ale Lindsay, Ally, Elody i ja symulujemy gorączkowe ciosy nożem, udając mordercę z *Psychozy*
Alfreda Hitchcocka, którą oglądałyśmy kilka lat temu w czasie jednego z naszych całonocnych spotkań.
(Potem musiałyśmy spać przy zapalonym świetle).

Nie wiem, czy Juliet nas słyszy. Lindsay zawsze powtarza, że ona nic nie słyszy, bo głosy w jej
głowie są zbyt głośne. Juliet idzie cały czas tym samym krokiem, aż dochodzi do drzwi prowadzących na
parking. Nie wiem, gdzie codziennie je lunch. Rzadko widuję ją w stołówce. Musi kilkakrotnie popchnąć
ramieniem drzwi, zanim się otworzą, jakby brakowało jej sił.

- Dostała nasz Valogram? - pyta Lindsay, zlizując sól z frytki, po czym wsadza frytkę do ust.

Ally przytakuje i chichocze.

- Na biologii. Leżał tuż obok niej.

- Powiedziała coś?

- A czy ona w ogóle coś mówi? - Ally kładzie dłoń na sercu, udając, że jej smutno. - Wyrzuciła różę
zaraz po lekcji. Uwierzycie? Na moich oczach.

W pierwszej klasie Lindsay skądś się dowiedziała, że Juliet nie dostała ani jednego Valogramu. Ani jednego. Więc Lindsay taśmą klejącą przylepiła do szafki Juliet jedną ze swoich róż i liścik: „Może za rok, ale raczej nie sądzę”.

Od tamtej pory co roku posyłamy jej na Dzień Kupidyna różę i ten sam liścik. I to jedyny liścik, jaki kiedykolwiek otrzymała. „Może za rok, ale raczej nie sądzę”.

Zazwyczaj czuję się źle po takich akcjach, ale Juliet w pełni zasługuje na swoje przezwisko. Jest walnięta. Plotka głosi, że kiedyś rodzice znaleźli ją na autostradzie numer 84, gdy o trzeciej nad ranem, zupełnie naga, paradowała samym środkiem drogi. W zeszłym roku Lacey Kennedy widziała ponoć Juliet w łazience obok sali do fizyki, jak głaskała w nieskończoność swoje włosy i gapiła się w lustro. Juliet nigdy nic nie mówi. O ile wiem, od lat.

Lindsay jej nienawidzi. Razem chodziły chyba przez kilka lat do tej samej klasy w podstawówce i - jeśli się nie mylę - już wtedy Lindsay jej nienawidziła. Kiedy tylko Juliet jest w pobliżu, Lindsay zawsze robi znak krzyża, jakby Juliet miała zaraz zmienić się w wampira i rzucić jej do gardła.

To Lindsay odkryła, że Juliet zmoczyła się w swoim śpiworze w czasie biwaku skautów w piątej klasie, i to ona wymyśliła dla niej przezwisko Żółta Pielucha. Wszyscy zawsze tak na nią mówili - przez całą pierwszą klasę, nie żartując - i trzymali się od niej z daleka, bo twierdzili, że śmierdzi sikami.

Wyglądam przez okno i widzę, że włosy Juliet połyskują w słońcu, jakby się paliły. Na horyzoncie robi się ciemno. Pojawia się szara smuga burzowych chmur. Po raz pierwszy zdaję sobie sprawę z tego, że nie mam pojęcia, dlaczego i kiedy Lindsay zaczęła nienawidzić Juliet. Otwieram usta, żeby ją o to zapytać, ale dziewczyny już zaczęły nowy temat.

- ... laski wezmą się za łby - kończy Elody, a Ally chichocze.

- Jestem przerażona - mówi Lindsay sarkastycznie. Jak widać, coś przegapiłam.

- O co chodzi? - pytam.

Elody zwraca się do mnie.

- Sarah Grundel rozpowiada, że Lindsay zrujnowała jej życie. - Muszę poczekać, aż Elody z metodyczną precyzją złamie frytkę na pół i włoży sobie do ust. - Nie popłynię w ćwierćfinale. A przecież wiadomo, że żyje dla tego gówna. Pamiętacie, jak kiedyś zapomniała zdjąć okulary do pływania po porannym treningu i nosiła je do drugiej przerwy?

- Pewnie wszystkie dyplomy za zwycięstwa w zawodach wieszają na ścianie w pokoju - dodała Ally.

- Sam tak robiła. Prawda, Sam? Wszystkie dyplomy za ujeżdżanie koników - Lindsay szturcha mnie łokciem.

- Możemy wrócić do tematu? - macham ręką, częściowo po to, żeby wrócić do historii, a częściowo, żeby odwrócić uwagę od siebie i faktu, że kiedyś byłam dziwolągiem. W piątej klasie spędzałam więcej czasu z końmi niż z przedstawicielami mojego gatunku.

- Nadal nie rozumiem, czemu Sarah wkurzyła się na Lindsay. Elody przewraca oczami, sugerując, że powinnam raczej siedzieć przy stoliku dla klas specjalnych.

- Sarah musi zostać po lekcjach, bo spóźniła się chyba po raz piąty w ciągu dwóch tygodni. - Nadal nie kumam, a ona dodaje z westchnieniem. - Spóźniła się, bo musiała parkować daleko i potem ciągnąć tyłek...

- ... przez 354 metry! - wybuchamy jednogłośnie, a potem zaczynamy chichotać jak wariatki.

- Nie martw się, Lindz - mówię. - Jak dojdzie do walki, wszystkie pieniądze postawię na ciebie.

- Jasne, będziemy z tobą - dodaje Elody.

- Czy to nie dziwne, jak to się toczy? - mówi Ally tym nieśmiałym głosem, jak zawsze, kiedy chce powiedzieć coś serio. - Jak wszystko wynika z czegoś innego? Bo gdyby Lindsay nie zajęła jej miejsca na parkingu...

- Nie zajęłam jej miejsca. Grałam *fair* - protestuje Lindsay i żeby to podkreślić, uderza dłonią w blat stołu. Dietetyczna cola Elody wylewa się z puszki na blat i kilka frytek. Znowu się śmiejemy.

- Mówię poważnie - Ally podnosi głos, żeby nas przekrzyczeć.

- To jak się, wiecie? Wszystko się ze sobą wiąże.

- Znowu włamałaś się do skrytki na dragi swojego ojca, Al? - pyta Elody.

To wystarczy, żebyśmy się nakręciły. Od lat żartowałyśmy w ten sposób z Ally, bo jej tato pracuje w przemyśle muzycznym. Jest prawnikiem, nie producentem czy menedżerem albo muzykiem, i nie rozstaje się z garniturem (nawet latem, siedząc przy basenie), ale Lindsay twierdzi, że tak naprawdę jest hipisem i ćpunem.

Kiedy śmiejemy się tak, że nas skręca, Ally robi się czerwona.

- Nigdy mnie nie słuchacie - skarży się, powstrzymując uśmiech. Bierze frytkę i rzuca w Elody. - Kiedyś czytałam, że kiedy kilka motyli poderwie się do lotu w Tajlandii, może to wywołać burzę w Nowym Jorku.

- Jasne, a jak ostro pierdniesz, to w Portugalii wyłączą prąd - mówi Elody ze śmiechem, odrzucając frytkę.

- Twój oddech po przebudzeniu mógłby wystraszyć zwierzęta w dżungli - Ally nachyla się do niej. - A ja nie pierdę.

Śmiejemy się razem z Lindsay, a Elody i Ally rzucają w siebie frytkami. Lindsay próbuje powiedzieć, że marnują całkiem dobry tłuszcz, ale zanosi się śmiechem i nie może wydobyć słów. Wreszcie bierze oddech i wydusza z siebie:

- A wiecie, co ja słyszałam? Że jak porządnie kichniesz, to możesz wywołać tornado w Iowa.

Teraz nawet Ally odbija. Nagle wszystkie naraz kichamy i od razu parskamy i chichramy się. Wszyscy się na nas gapią, ale my mamy to gdzieś.

Po około milionie kichnięć Lindsay opiera się na krześle, łapie się za brzuch i z trudem łapie oddech.

- Trzydzieści ofiar tornada w Iowa - wyrzuca z siebie. - Zaginęło pięćdziesiąt osób.

Znowu wybuchamy śmiechem.

Razem z Lindsay decydujemy, że nie pójdziemy na siódmą lekcję, tylko na ulubione lody. Lindsay ma na siódmej lekcji francuski, którego nie cierpi, a ja zajęcia z literatury. Razem często opuszczamy zajęcia. To już drugi semestr czwartej klasy, więc oczekuje się od nas, że nie będziemy chodzić na lekcje. A poza tym nienawidzę mojej nauczycielki literatury, pani Harbor. W ogóle nie potrafi trzymać się tematu. Wystarczy, że odpłynę na kilka minut, a tu nagle okazuje się, że mówi o bieliźnie w osiemnastym wieku albo ucisku w Afryce, albo o tym, jak wygląda słońce, kiedy wstaje nad Wielkim Kanionem. Ma dopiero pięćdziesiątkę, a już jej odwala. Tak to się zaczęło u mojej babci. Myśli wirowały i zderzały się ze sobą w jej głowie, przyczyny pojawiały się po skutkach, a punkt A zamieniał się miejscem z punktem B. Kiedy jeszcze moja babcia żyła, odwiedzaliśmy ją i choć miałam wtedy nie więcej niż sześć lat, nadal pamiętam, co wtedy myślałam: Mam nadzieję, że umrę młodo.

Oto definicja ironii w sam raz dla pani, pani Harbor. A może to zły omen?

Oficjalnie potrzeba specjalnej przepustki podpisanej przez rodziców i administrację szkoły, żeby opuścić teren liceum w czasie trwania zajęć. Nie do końca pokrywa się to z rzeczywistością. Dawno temu czwartoklasiści cieszyli się tu między innymi takim przywilejem, że mogli opuszczać kampus, kiedy chcieli, jeśli tylko mieli akurat wolną lekcję. Ale to było dwadzieścia lat temu, zanim nasze liceum dorobiło się złej reputacji jako jedna z tych szkół, gdzie popełnia się najczęściej samobójstw. Kiedyś czytaliśmy w internecie artykuł z gazety „Connecticut Post”, w którym naszą szkołę nazwano Liceum Samobójców.

Ponoć pewnego dnia grupka uczniów uciekła z lekcji i zjechała z mostu wprost do rzeki - uznano to za zbiorowe samobójstwo.

W każdym razie po tym wydarzeniu władze liceum zabroniły komukolwiek opuszczać teren szkoły w ciągu dnia bez specjalnego pozwolenia. To zupełnie bzdurny przepis. To trochę tak, jakby odkryć, że dzieci przynoszą do szkoły wódkę w butelkach po mineralnej i w związku z tym zabronić wszystkim pić wodę.

Na szczęście można wydostać się z kampusu jeszcze inną drogą - przez dziurę w ogrodzeniu za salą gimnastyczną, zaraz obok kortów tenisowych, które nazywamy Salonem Palaczy, bo to tam wszyscy spotykają się na dymka. Nie ma tam jednak nikogo, kiedy Lindsay i ja przechodzimy przez dziurę i wchodzimy do lasu. Krótki spacer i dotrzemy do drogi numer 120. W lesie jest tak spokojnie, wszystko ściał lód. Gałązki i czarne liście chrzęszczą pod butami, a oddechy wznoszą się w postaci gęstych, białych obłoczków.

Nasze liceum jest położone jakieś sześć kilometrów od centrum Ridgeview - czy raczej tego, co tu określa się mianem centrum - ale tylko kilometr od małego pawilonu zatechłych sklepików, który nazwałyśmy Barakiem. Jest tam stacja benzynowa, sklep spożywczy, cukiernia, chińska restauracja, gdzie Elody zatrzała się tak, że nie wstawała z łóżka przez dwa dni, i jakiś odjechany sklep, gdzie można kupić różowe figurki baletnic pokryte brokatem, śnieżne kule i inne pierdoły. To tam idziemy. Wiem, że wyglądamy jak świruski, gdy kroczymy poboczem autostrady w spodnicach i rajstopach, a spod rozpiętych kurtek widać nam obszyte futrem podkoszulki.

Mijamy Kuchnię Hunan. Przez brudne szyby dostrzegamy Aleksa Limenta i Annę Cartullo pochylonych nad miską jakiejś dziwnej potrawy.

- Co za skandal - mówi Lindsay, unosząc brwi, choć to tylko półskandal. Wszyscy wiedzą, że Alex zdradza Bridget McGuire z Anną od trzech miesięcy. Oczywiście wszyscy poza Bridget.

Rodzina Bridget to zagorzali katolicy. Ona jest śliczną i schludną dziewczyną. Zawsze wygląda, jakby dopiero co na błysk wyszorowała buzię. Zdaje się, że zamierza wytrwać w czystości do ślubu.

W każdym razie ona tak twierdzi, choć Elody uważa, że Bridget to kryptolesba. Anna Cartullo chodzi do pierwszej klasy, ale jak głosi plotka, spała już z czterema facetami. Jako jedno z niewielu dzieci w Ridgeview nie pochodzi z zamożnej rodziny. Jej mama pracuje jako fryzjerka i nawet nie wiem, czy Anna w ogóle ma ojca. Mieszka w szeregowym domu niedaleko Baraku. Kiedyś Andrew Singer powiedział, że w jej sypialni pachnie zawsze kurczakiem w sosie słodko-kwaśnym.

- Chodźmy się przywitać - mówi Lindsay, chwytając mnie za rękę.

Zatrzymuję się.

- Muszę szybko zjeść coś słodkiego.

- Weź jeden - Lindsay wyciąga pudełeczko z dropsami zza paska spódnicy. Zawsze ma przy sobie cukierki, w dzień i w nocy, jak narkotyki. Zresztą podejrzewam, że tak właśnie jest.

- Tylko na chwilę, obiecuję.

Pozwalam się wciągnąć do środka. Kiedy wchodzimy, rozbrzmiewa dzwoneczek. Za kontuarem siedzi kobieta i przerzuca strony „Us Weekly”. Patrzy na nas, a potem wraca do czytania, kiedy zdaje sobie sprawę, że nie zamierzamy niczego zamówić.

Lindsay siada tuż obok stolika Aleksa i Anny, opierając się na blacie. W pewnym sensie przyjaźni się z Alekssem. On w pewnym sensie przyjaźni się z wieloma osobami, bo w sypialni ma zawsze marihuanę na sprzedaż. Witamy się skinieniem głowy i to cała nasza interakcja. Alex chodzi ze mną na angielski, ale pojawia się jeszcze rzadziej niż ja. Pewnie cały pozostały czas spędza z Anną. Niekiedy mówi do mnie zdania w rodzaju: „To wypracowanie to niezła kupa, co?”.

Poza tym nie rozmawiamy.

- Hej, hej - mówi Lindsay. - Idziecie dziś na imprezę do Kenta?

Twarz Aleksa robi się natychmiast czerwona. Przynajmniej jest mu głupio, że dał się złapać na gorącym uczynku, na randce z Anną. A może to reakcja na jedzenie. Nie zdziwiłoby mnie to.

- Yyy... nie wiem. Może. Zobaczymy... - urywa nagle.

- Będzie niezła zabawa - Lindsay mówi bardzo zachęcającym głosem. - Przyjdiesz z Bridget? Jest taka słodka.

Tak naprawdę Bridget trochę nas wkurza. Ma zawsze świetny humor i nosi T-shirty z debilnymi sloganami, na przykład „Tylko przywódca stada może zmieniać poglądy” (serio). Ale Lindsay gardzi Anną i kiedyś napisała AC = GK w całej łazience naprzeciwko stołówki, tam gdzie chodzą wszyscy. GK to Głupia Krowa.

Sytuacja robi się bardziej niż niezręczna, więc wypalam:

- To kurczak w sosie sezamowym? - wskazując palcem na mięso w zastygającym szarawym sosie w misce stojącej na stole, obok dwóch ciasteczek z wróżbą i żałośnie wyglądającej pomarańczy.

- Wołowina w pomarańczach - mówi Alex z wyraźną ulgą, że zmieniliśmy temat.

Lindsay patrzy na mnie poirytowana, ale ja nawijam dalej.

- Powinniście uważać na jedzenie tutaj. Elody raz zatrula się kurczakiem. Rzygała przez bite dwa dni. Jeśli to w ogóle był kurczak. Przysięga, że znalazła w środku jakieś kłaki.

Kiedy to mówię, Anna podnosi pałeczki i odgryza olbrzymi kęs mięsa, patrzy na mnie z uśmiechem i żuje, tak żebym widziała jedzenie w jej ustach. Nie wiem, czy robi to specjalnie, by mi obrzydzić, ale tak to wygląda.

- To paskudna historia, Kingston - mówi Alex, ale zarazem się uśmiecha.

Lindsay przewraca oczami, jakby Alex i Anna marnowali jej czas.

- Chodźmy, Sam.

Wkłada do kieszeni ciasteczko z wróżbą, które otwiera po wyjściu z restauracji.

- Szczęście przychodzi wtedy, kiedy się go nie szuka - czyta i robi głupią minę, a ja wybucham śmiechem. Lindsay zwija papierek w kulkę i rzuca na ziemię. - Chłam.

Biorę głęboki oddech.

- Niedobrze mi od tego zapachu.

To prawda. To zapach starego mięsa, taniego oleju i czosnku. Chmury na horyzoncie powoli zasnuwają niebo, wszystko robi się szare i świat traci kontury.

- Mnie o tym mówisz? - Lindsay kładzie rękę na brzuchu. - Wiesz, czego mi trzeba?

- Wielkiego kubka Najlepszych Lodów w Kraju - mówię z uśmiechem. Najlepsze Lody w Kraju to kolejna nazwa, której nigdy nie skracamy.

- Dokładnie, wielkiego kubka Najlepszych Lodów w Kraju - powtarza Lindsay niczym echo.

Choć dosłownie zamarzamy, zamawiamy podwójne czekoladowe lody jogurtowe z posypką i kruszonymi ciasteczkami orzechowymi. Jemy je w drodze do szkoły, chuchając dla rozgrzewki w palce. Kiedy mijamy Kuchnię Hunan, Aleksa i Anny już tam nie ma, ale wpadamy na nich w Salonie Palaczy. Zostało nam siedem minut do dzwonka na ósmą lekcję, więc Lindsay wciąga mnie za korty tenisowe, bo chce zapalić papierosa, nie słuchając kłótni Aleksa i Anny. W każdym razie na to wygląda. Anna ma spuszczoną głowę, a Alex trzyma ręce na jej ramionach i mówi do niej szeptem. Papieros w jego dłoni pali się tak blisko jej matowych brązowych włosów, że jestem prawie pewna, że zaraz się zapalą, i wyobrażam sobie, że cała jej głowa zajmie się jak zapalka.

Lindsay kończy palić i rzuca kubki po lodach prosto na ziemię, na zamrożone czarne liście, podeptane pudełka po papierosach i plastikowe torebki, wypełnione do połowy deszczówką. Niepokoi mnie dzisiejszy wieczór - trochę się go boję, a trochę nie mogę się doczekać. Czuję się jak wtedy, kiedy rozlega się grzmot i już wiadomo, że za moment błyskawica przetnie niebo i rozerwie chmurę na strzępy. Trzeba

było iść na lekcję. Nie miałabym tyle czasu na rozmyślanie. A rozmyślanie jeszcze nikomu nie przyniosło niczego dobrego, niezależnie od tego, co mówią nauczyciele, rodzice i kujony z kółka przyrodniczego.

Obchodzimy kort tenisowy i przechodzimy przez Aleję Seniorów. Alex i Anna wciąż stoją wpół-ukryci za salą gimnastyczną.

Alex pali kolejnego papierosa. To na pewno kłótnia. Czuję drobny błysk satysfakcji - prawie nigdy nie kłócimy się z Robem, przynajmniej nie o ważne rzeczy. A ich sprzeczka to na pewno coś istotnego.

- Kłopoty w raj - mówię.

- Chyba na parkingu dla przyczep kempingowych - mówi Lindsay.

Przechodzimy przez parking dla nauczycieli, kiedy nagle dostrzegamy panią Winters, wicedyrektorę, jak kroczy między autami, próbując wykurzyć stamtąd palaczy, którzy nie mają dość czasu albo chęci, żeby dotrzeć do Salonu, i zamiast tego chowają się między volvami i chevroletami nauczycieli. Pani Winters prowadzi jakąś zajadłą kampanię przeciw palaczom. Podobno jej matka umarła na raka płuc czy rozedmę, czy coś podobnego. Jak pani Winters przyłapie cię na fajczeniu, to przez trzy kolejne piątki zostajesz po lekcjach w szkole, bez dyskusji.

Lindsay szaleńczo szuka w torbie gumy do żucia i wrzuca do ust dwie drażetki.

- Cholera, cholera.

- Nie może cię zgarnąć tylko dlatego, że śmierdzi od ciebie papierosami - mówię, choć Lindsay wie o tym doskonale. Ale przecież tak bardzo lubi dramatyzować. Zabawne, że choć tak dobrze znamy naszych przyjaciół, gramy z nimi wciąż w te same gry.

Lindsay nie zwraca na mnie uwagi.

- Jak mój oddech? - chucha na mnie.

- Wionie od ciebie jak z fabryki mentolu.

Pani Winters jeszcze nas nie wypatrzyła. Idzie wzdłuż szeregu aut, czasem pochyla się i zagląda pod auta, jakby ktoś mógł się pod nie wcisnąć i próbował zapalić tam papierosa. Nie bez powodu nazywają ją za plecami Nikotynową Nazistką.

Z wahaniem patrzę w stronę sali gimnastycznej. Niespecjalnie lubię Aleksa, a już na pewno nie lubię Anny, ale ten, kto spędził choć jeden dzień w liceum, wie dobrze, że trzeba trzymać się razem przeciwko rodzicom, nauczycielom i glinom. Tu przebiega jedna z tych niewidzialnych granic między nami a nimi. Po prostu to się rozumie samo przez się, tak jak wiadomo, gdzie usiąść i z kim rozmawiać, i co zjeść w stołówce, choć nie jest jasne, skąd się to wie. Rozumiecie, co mam na myśli.

- Może powinniśmy ich ostrzec? - pytam Lindsay, a ona się zatrzymuje i patrzy z ukosa w niebo, jakby też się nad tym zastanawiała.

- Walić to - mówi wreszcie. - Poradzą sobie. - Jakby na potwierdzenie jej słów rozbrzmiewa dzwonek na ostatnią lekcję. Lindsay popycha mnie lekko. - Chodź.

Jak zawsze ma rację. Przecież oni nigdy nie zrobili niczego dla mnie.

Przyjaźń - historia

Zaprzyjaźniłyśmy się z Lindsay w siódmej klasie. To ona mnie namierzyła. Wciąż nie wiem dlaczego. Po latach starań udało mi się wznieść z towarzyskiego dna zaledwie na towarzyski poziom średni. Lindsay brylowała już od pierwszej klasy, kiedy tylko się tu przeprowadziła. W klasowym cyrku była głównym konferansjerem. Kiedy rok później z klasą wystawialiśmy *Czarnoksiężnika z krainy Oz*, grała Dorotkę. W trzeciej klasie w inscenizacji *Charliego i fabryki czekolady* zagrała Charliego.

To powinno wam dać ogólne pojęcie. Już sama obecność Lindsay sprawia, że ludzie wokół zachowują się jak na rauszu, przedmioty tracą nagle kontury, a kolory zlewają się ze sobą. Oczywiście nigdy jej tego nie powiedziałam. Wyśmiałyby mnie i zwyzywała od lesbijek.

W lecie między szóstą a siódmą klasą byliśmy całą grupą na przyjęciu wokół basenu u Tary Flute. Beth Schifi popisywała się po głębokiej stronie, skacząc z trampoliny na bombę, choć tak naprawdę chwaliła się tym, że od maja do lipca wyrosły jej cycki rozmiaru C - żadna z nas nie miała większych. Poszłam do domu po wodę mineralną, kiedy nagle Lindsay podeszła do mnie ze lśnącymi oczami. Nigdy wcześniej nie rozmawialiśmy.

- Musisz to zobaczyć - powiedziała, ciągnąc mnie za ramię. Jej oddech pachniał lodami.

Zaciągnęła mnie do pokoju Tary, gdzie wszystkie dziewczyny zrzuciły na kupę swoje torby i ubrania na zmianę. Beth miała różową torbę z inicjałami wyszytymi fioletową nicią na boku. Lindsay oczywiście wcześniej ją przeszukała, bo schyliła się i od razu wyciągnęła przezroczystą, hermetycznie zamkniętą saszetkę, podobną do tych, w jakich nosiło się długopisy w zerówce.

- Patrz! - podniosła saszetkę i potrząsała nią. W środku były dwa tampony.

Nawet nie wiem, jak to się zaczęło, ale nagle razem z Lindsay zaczęłyśmy biegać po domu, przetrząsając szafki i szuflady w łazienkach i zbierając wszystkie tampony i podpaski Tary, jej matki i starszej siostry. Ze szczęścia kręciło mi się w głowie. Rozmawialiśmy - ja z Lindsay Edgcombe. I nie tylko rozmawialiśmy, ale śmiałyśmy się, i nie tylko śmiałyśmy się, ale śmiałyśmy się tak, że musiałyśmy ścisnąć kolana, żeby się nie posikać. Potem wybiegłyśmy na taras i obrzuciłyśmy tamponami gości wokół basenu. Lindsay krzyczała:

- Beth! Coś ci wypadło z torebki!

Kilka tamponów wylądowało w wodzie i wszyscy faceci w ogromnym popłochu zaczęli wychodzić z basenu, jakby mieli się zaraz czymś zarazić. Beth stała na trampolinie, ociekała wodą i trzęsła się, a my umierałyśmy ze śmiechu.

Przypomniało mi się, jak kiedyś w czwartej klasie rodzice zabrali mnie na wycieczkę do Wielkiego Kanionu i kazali ustawić się do zdjęcia na skalnym występie. Nie mogłam opanować trzęsienia nóg, a w stopach czułam mrowienie, jakbym miała zaraz oderwać się od ziemi i skoczyć w dół. Obsesyjnie myślałam o tym, jak łatwo byłoby rzucić się w przepaść i jak wysoko staliśmy. Kiedy marna zrobiła już zdjęcie i mogłam wreszcie zejść z występu, zaczęłam się tak śmiać, że nie umiałam przestać.

Czułam się dokładnie tak samo, stojąc na tarasie z Lindsay.

Od tej chwili zostaliśmy najlepszymi przyjaciółkami. Ally dołączyła później, kiedy razem z Lindsay w wakacje przed ósmą klasą grałyśmy w lidze hokeja na trawie. Elody z kolei przeprowadziła się do Ridgeview w pierwszej klasie liceum. Na jednej z pierwszych imprez poderwała Seana Mortona, w którym Lindsay bujała się od pół roku. Wszyscy myśleli, że Lindsay zabije Elody. Ale w poniedziałek w szkole Elody siedziała przy naszym stoliku w czasie lunchu. Pochylone razem z Lindsay nad talerzem frytek powycinanych w zawijasy, chichrały się i zachowywały tak, jakby znały się od zawsze. Cieszę się. Owszem, czasem Elody potrafi narobić obory, ale w głębi duszy myślę, że jest najfajniejsza z nas wszystkich.

Impreza

Po szkole idziemy do Ally. Dawniej - w pierwszej klasie, a właściwie do połowy drugiej - czasem zostawałyśmy w domu, nakładałyśmy maseczki z glinki i zamawiałyśmy tyle chińskiego jedzenia, ile tylko zdołałyśmy zjeść. Płaciłyśmy za nie dwudziestodolarówkami ukradzionymi ze słoika na ciasteczka stojącego na trzeciej półce obok lodówki, gdzie tato Ally trzymał zawsze tysiąc dolarów na czarną godzinę. Nazywałyśmy te spotkania Czarną godziną z Chińczykiem. Potem wyciągałyśmy się na jej gigantycznej kanapie i oglądałyśmy filmy, póki nie zmorzył nas sen - Ally ma w salonie telewizor wielkości ekranu kinowego - a nasze nogi splatały się ze sobą pod wielkim, wełnianym kocem. Ale od drugiej klasy nie przypominam sobie, żebyśmy w piątek zostały w domu choć raz, poza tym jednym wieczorem, kiedy Matt Wilde zerwał z Ally, a ona tak płakała, że następnego dnia jej spuchnięta twarz przypominała kreci ryjek.

Dzisiaj przetrząsamy szafę Ally. Nie możemy na imprezę do Kenta iść jednakowo ubrane. Elody, Ally i Lindsay zwracają szczególną uwagę na to, w co ja jestem ubrana. Elody maluje mi paznokcie na jasnoczerwony kolor, ale ręce jej się nieco trzęsą, więc maluje też trochę po skórkach. W efekcie wyglądam, jakbym krwawiła, tak się jednak denerwuję, że zaczynam mieć w nosie *manicure*. Mam się spotkać z Robem dopiero u Kenta, a on już przysłał mi esemesa: „Dla ciebie nawet zmieniłem pościel”. Pozwalam, by Ally wybrała mi strój - złoty, metaliczny podkoszulek na ramiączkach, za szeroki w biuście, i parę kompletnie odjechanych butów na dziesięciocentymetrowych obcasach (mówi na nie „buty striptizerki”). Lindsay robi mi makijaż, mrucząc pod nosem, a jej oddech pachnie wódką. Wypiłyśmy już po trzy szoty, a na popitkę sok żurawinowy.

Potem zamykam się w łazience, a ciepło ogarnia mnie od palców po czubek głowy. Próbuję zapamiętać, jak wyglądam w tym właśnie momencie. Ale po chwili moja twarz zdaje mi się zupełnie obca, jakby ją zawieszono na kimś innym.

Kiedy byłam mała, często zamykałam się w łazience i brałam prysznic tak gorący, że lustra zupełnie pokrywała para. Potem stałam przed nimi i patrzyłam, jak wśród rzednącej pary moja twarz powoli nabierała kształtu. Najpierw pojawiał się ogólny zarys, a potem szczegóły. Zawsze mi się wydawało, że kiedy moja twarz powróci, to zobaczę kogoś pięknego, jakbym w czasie prysznica zmieniła się w ładniejszą i lepszą dziewczynę. Ale zawsze wyglądałam tak samo.

Kiedy tak stoję w łazience Ally, uśmiecham się do siebie i myślę: Jutro wreszcie będę kimś innym.

Lindsay ma lekkiego fioła na punkcie muzyki, więc przygotowuje dla nas składankę na podróż do domu Kenta, choć on mieszka tylko kilka kilometrów dalej. Słuchamy Dr. Dre i Tupaca, a potem na cały regulator puszcza *Baby Got Back* i śpiewamy razem („Lubię wielkie tyłki, przyznaję bez bicia!”).

To przedziwne uczucie. Kiedy jedziemy znanymi ulicami - ulicami, które znam od urodzenia tak dobrze, jakbym to ja je budowała - wydaje mi się, że szybuję ponad miastem, zawisam nad wszystkimi domami, nad drogą, podwórkami i drzewami, unosząc się w górę, w górę, w górę, nad bar Rocky, aptekę, stację benzynową, nasze liceum i boisko z metalowymi trybunami, gdzie zawsze siadamy i wydzieramy się w niebogłosy, kiedy wracamy do domu. Wszystko zdaje się małe i nieistotne. Jak wspomnienie.

Elody ryczy na cały regulator. Z nas wszystkich ma najmniejszą tolerancję na alkohol. Ally wzięła do torby resztę wódki, ale nic do popicia. Lindsay prowadzi, bo może pić przez całą noc, a w ogóle tego po niej nie widać.

Deszcz zaczyna padać, kiedy docieramy na miejsce, ale to tylko mżawka, która zdaje się unosić w powietrzu, niczym wielka kurtyna z drobnych, białych kropelek. Nie pamiętam, kiedy byłam ostatnio u Kenta - może na jego dziewiątych urodzinach? - i już zapomniałam, jak głęboko w lesie leży jego dom. Kręta droga dojazdowa zdaje się ciągnąć w nieskończoność. Widać tylko snopy światła z reflektorów na wijącej się, wysypanej żwirem ścieżce, martwe gałęzie drzew nad naszymi głowami oraz kropelki deszczu jak spadające z nieba brylanciki.

- Tak się zaczynają horrory - mówi Ally, poprawiając podkoszulek. Pożyczyłyśmy od niej nowe podkoszulki, ale ona chciała zostawić na sobie ten obsyty futrem, choć na początku jej się nie podobał. - Jesteś pewna, że mieszka pod czterdzieści dwa?

- Jeszcze kawałek - mówię, choć tak naprawdę nic nie pamiętam i zaczynam się zastanawiać, czy aby nie przyjechałyśmy za wcześnie. Czuję, jak zaciska mi się żołądek, ale nie wiem, czy to dobry czy zły znak.

Las gęstnieje, aż wreszcie gałęzie ocierają się o drzwi samochodu. Lindsay zaczyna narzekać, że zedra jej lakier. I kiedy już wydaje się, że wessie nas ciemność, nagle las się kończy i widzimy największy i najpiękniejszy trawnik, jaki można sobie wyobrazić. Pośrodku trawnika stoi biały dom, który wygląda jak zrobiony z lukru. Ma balkony i długą werandę, która biegnie po obu stronach budynku. Białe okiennice pokryte są jakimiś rzeźbionymi zdobieniami, ale trudno je dostrzec w ciemności. Nic z tego nie pamiętam. Może to kwestia alkoholu, ale wydaje mi się, że to najcudowniejszy dom, jaki kiedykolwiek widziałam.

Przez chwilę patrzymy w milczeniu. W domu panuje ciemność, tylko z ostatniego piętra płynie ciepłe światło, nadając murawie srebrzysty połysk.

- Prawie tak duży jak twój dom, Al - rzuca Lindsay. Niepotrzebnie się odzywała, czar prysł.

- Prawie - mówi Ally. Wyjmuje z torby butelkę wódki, bierze porządny haust, odkasłuje, beka i obciera usta.

- Daj mi też strzała - mówi Elody, sięgając po butelkę.

Zanim się orientuję, butelka łąduje w mojej dłoni. Piję mały łyk. Wódka pali gardło i smakuje okropnie, jak farba albo benzyna, ale gdy tylko dociera do żołądka, czuję przyjemny zawrót głowy. Wychodzimy z samochodu, a światło dochodzące z domu robi się coraz jaśniejsze i zdaje się mrugać do mnie.

Wchodzenie na imprezę zawsze powoduje, że czuję lekki skurcz żołądka. Ale to przyjemne uczucie, bo nigdy nie wiadomo, co może się wydarzyć. Oczywiście najczęściej nic się nie dzieje. Najczęściej jedna noc zlewa się z kolejną, tydzień z tygodniem, a miesiąc z miesiącem. I prędzej czy później wszyscy umieramy.

Ale kiedy noc się zaczyna, wszystko jest możliwe.

Drzwi frontowe są zamknięte i musimy obejść dom. Tylne wejście prowadzi do naprawdę wąskiego korytarza wyłożonego boazerią, a dalej na stromą klatkę schodową. Pachnie tu czymś, co pamiętam z dzieciństwa, ale nie mogę sobie przypomnieć czym. Słysząc brzęk tłuczonego szkła i nagle ktoś krzyczy: „Wszyscy na parkiet!”. A potem z głośników dochodzi wycie: „Wszyscy DJ-e w mieście wpadli do tego domu! Masz coś do powiedzenia!? Powiedz do mikrofonu!”. Schody są tak wąskie, że musimy iść gęsiego, bo ludzie schodzą w przeciwnym kierunku z pustymi szklankami po piwie. Większość musi się odwrócić plecami do ściany. Witamy się z niektórymi, a resztę ignorujemy. Jak zawsze czuję, że wszyscy na nas patrzą. To kolejny przywilej zarezerwowany dla popularnych dziewczyn: nie musisz zwracać najmniejszej uwagi na ludzi, którzy gapią się na ciebie.

U szczytu schodów ciemny korytarz obwieszony jest wielokolorowymi lampkami choinkowymi. Wiele przechodnich pokoi wypełniają draperie, wielkie poduchy i kanapy, na których tłoczą się ludzie. Wszystko jest miękkie - kolory, powierzchnie, wygląd ludzi. Oprócz muzyki, która porusza ściany i wprawia podłogę w wibracje. Ludzie palą również w środku, więc wszystko rozgrywa się za gęstą błękitną mgłą. Tylko raz paliłam trawę, ale tak właśnie sobie wyobrażam klasyczny odlot.

Lindsay nachyla się do mnie i coś mówi, ale jej słowa giną wśród innych głosów. Potem oddala się i przeciska przez tłum. Obracam się, ale Elody i Ally też przy mnie nie ma i gdy tylko zdaję sobie z tego sprawę, zaczyna walić mi serce i swędzą mnie dłonie.

Ostatnio wciąż śnił mi się ten sam koszmar. Stoję w olbrzymim tłumie, popychana z prawa i lewa. Wszystkie twarze wyglądają jednocześnie znajomo i jakoś tak upiornie: obok przechodzi ktoś, kto wygląda jak Lindsay, ale usta ma jakieś dziwne i wykrzywione, jakby się topiły pod wpływem gorąca. I nikt mnie nie poznaje.

Oczywiście tłum w domu Kenta to zupełnie co innego, bo tu znam wszystkich, może poza kilkoma pierwszoklasistami i kilkoma dziewczynami, które - jak mi się zdaje - mogą być z drugiej klasy. Ale to i tak wystarczy, żeby zaczęło mi odbijać.

Już mam zagadać do Emmy Howser - to niewiarygodna wieśniara i normalnie wołałabym umrzeć, niż z nią rozmawiać - kiedy nagle czuję wokół siebie mocne ramiona i zapach balsamu cytrynowego. Rob.

- *Sexy Sammy*. Gdzie się podziewałaś przez całe moje życie? Odwracam się. Ma czerwoną twarz.

- Jesteś pijany. - I brzmi to o wiele bardziej oskarżycielsko, niżbym chciała.

- Ale wystarczająco trzeźwy - odpowiada, próbując bezskutecznie unieść jedną brew. - A ty się spóźniłaś. - Leniwie szczyrzy zęby. Tylko połowa jego ust wygina się w górę. - Piliśmy piwo prosto z beczki, stojąc na rękach.

- Jest dziesiąta - przypominam mu. - Nie spóźniłyśmy się. Poza tym dzwoniłam do ciebie.

Klepie się po bluzie i kieszeniach.

- Gdzieś posiałem telefon. Przewracam oczami.

- Niezły z ciebie numer.

- Lubię, kiedy używasz wielkich słów - druga połówka jego uśmiechu powoli wędruje w górę i wiem, że Rob zaraz mnie pocałuje. Odwracam się, szukając wzrokiem moich przyjaciółek, ale zdaje się, że zagięły w akcji.

W kącie dostrzegam Kenta. Ma na sobie krawat i koszulę z kołnierzykiem o trzy rozmiary za dużym, w połowie wetkniętą w łachmaniarskie spodnie koloru khaki. Przynajmniej nie ma melonika. Rozmawia z Phoebe Rifer i z czegoś się śmieją. Wkurza mnie to, że jeszcze mnie nie zauważył. W pewnym sensie mam nadzieję, że spojrzy na mnie i podbiegnie jak zwykle, a on tylko nachyla się jeszcze bardziej do Phoebe, jakby czegoś nie dosłyszał.

Rob przyciąga mnie do siebie.

- Zostaniemy tylko godzinę, okej? A potem idziemy. - Kiedy mnie całuje, w jego oddechu czuję piwo i chyba papierosy. Zamykam oczy i myślę o tym, jak kiedyś w szóstej klasie widziałam go całującego się z Gabby Haynes i byłam tak zazdrosna, że nie mogłam niczego przelknąć przez dwa dni. Ciekawe, czy widać po mnie, jak bardzo mi się to podoba. Gabby tak wyglądała, w szóstej klasie.

Kiedy myślę o tym, jak zabawne potrafi być życie, automatycznie się rozluźniam.

Nie zdjęłam kurtki, którą teraz ściąga ze mnie Rob. Przesuwa dłonie wzdłuż mojej talii, a potem wsuwa je pod podkoszulek.

Ma wielkie, spocone dłonie. Odrywam się od niego na tyle, by powiedzieć:

- Nie tutaj, nie przy wszystkich.

- Nikt nie patrzy - odpowiada i znowu kładzie na mnie łapy. To kłamstwo. Wie dobrze, że wszyscy na nas patrzą. Widzi to. Nawet nie zamyka oczu.

Jego dłonie błądzą po moim brzuchu, palce wciskają się pod stanik. Niespecjalnie potrafi obsługiwać staniki. Właściwie nie za bardzo wie, co robić z piersiami. Nie twierdzę, że ja sama wiem, co powinno się czuć, ale za każdym razem kiedy on dotyka moich cycków, po prostu jakby masuje je kuliście. To samo robi mój ginekolog w czasie badania, a to oznacza, że któryś z nich nie zna się na rzeczy. I szczerze mówiąc, nie podejrzewam o to ginekologa.

Chcicie poznać mój najgłębszy sekret? Proszę bardzo: Wiem, że powinno się poczekać z pierwszym razem na kogoś, kogo się kocha i tak dalej, i naprawdę kocham Roba - to znaczy od zawsze jestem w nim zakochana, więc jak miałabym go nie kochać? - ale to wcale nie dlatego zdecydowałam, że pójdę z

nim dziś do łóżka. Zdecydowałam tak, bo chcę mieć to z głowy, a seks zawsze mnie przerażał i chcę położyć temu kres.

- Nie mogę się doczekać, kiedy obudzę się obok ciebie - mówi Rob wprost do mojego ucha.

To słodkie, ale nie mogę się skoncentrować, gdy bezustannie czuję na sobie jego ręce. I nagle dociera do mnie, że nigdy nie pomyślałam o momencie obudzenia się. Nie mam zielonego pojęcia, o czym powinno się rozmawiać następnego dnia po seksie, i już sobie wyobrażam, że leżymy obok siebie, nie dotykając się, w milczeniu, a słońce wschodzi. Rob nie ma w pokoju żaluzji - bo kiedyś po pijaku je zerwał - więc w ciągu dnia ma się wrażenie, że ktoś skierował na jego łóżko reflektor i stale cię podgląda.

- Znajdźcie sobie pokój!

Odrywam się od Roba, a obok mnie staje Ally i robi grymas.

- Zboczeńcy - mówi.

- To jest pokój - Rob pokazuje gestem wokół. Oblewa mi bluzkę piwem, a ja wydaję z siebie okrzyk poirytowania.

- Przepraszam, kochanie - wzrusza ramionami. W kubku został mu jeszcze tylko jakiś centymetr piwa, a on gapi się na nie i unosi brwi. - Idę po dolewkę. Chcecie?

- Mamy swój materiał - Ally klepie wódkę w torbie.

- Spryciule - Rob podnosi palec, żeby stuknąć się w skroń, ale prawie wybija sobie przy tym oko. Jest bardziej pijany, niż myślałam. Ally zasłania usta i chichocze.

- Mój chłopak to mumin - mówię, kiedy tylko Rob się oddala.

- Słodki mumin - poprawia mnie Ally.

- To jakbyś powiedziała „słodki mutant”. Nie ma czegoś takiego.

- Pewnie, że jest - Ally rozgląda się po pokoju, wydymając usta, żeby wydawały się bardziej warte pocałowania.

- A tak w ogóle, gdzie się podziewałyście? - wszystko wkurza mnie bardziej, niż powinno: to, że moje przyjaciółki wystawiły mnie do wiatru już po trzydziestu sekundach; to, że Rob tak się upił; to, że Kent nadal rozmawia z Phoebe Rifer, choć rzekomo szaleńczo kocha się we mnie. Nie żebym chciała, żeby się we mnie kochał, to chyba jasne. Ale to jakiś stały element w moim życiu, który zawsze mnie uspokajał. Wyszarpuję butelkę z torebki Ally i biorę kolejny haust.

- Zrobiliśmy obchód. Tu jest jakieś siedemnaście pokoi. Powinnaś zobaczyć. - Ally patrzy na mnie, jednak robię taką minę, że ona unosi tylko ręce w geście kapitulacji. - No co? Przecież nie porzuciłyśmy cię na środku pustkowia.

Ma rację. Nie wiem, czemu jestem taka podminowana.

- Gdzie Lindsay i Elody?

- Elody przyssała się do krocza Muffina w jednej z sypialni. A Lindsay kłóci się z Patrickiem.

- Tak szybko?

- No cóż, całowali się przez pierwsze trzy minuty. Zaczekali aż do czwartej, żeby wziąć się za łby.

Śmieję się, bo to naprawdę zabawne. Już czuję się lepiej, łapię luz. Wódka rozgrzewa mi głowę. Tłum gęstnieje, a ściany wirują wokół mnie. Ale to miłe uczucie, jak jazda na bardzo wolnej karuzeli. Razem z Ally podejmujemy się misji ocalenia Lindsay, zanim jej kłótnia z Patrickiem zamieni się w zwyczajne mordobicie.

Przyszło jeszcze więcej ludzi. Wygląda to tak, jakby przylazła tu cała szkoła, ale naprawdę jest jakieś sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt osób. Nigdy nie pojawia się więcej na imprezach. Przyszli najpopularniejsi i ci ze środkowej półki - Kent sytuuje się gdzieś na dolnych szczeblach drabiny towarzyskiej, ale jest gospodarzem, więc jest w porządku - parę fajnych osób z trzeciej klasy i kilka naprawdę fajnych z drugiej. Wiem, że powinnam ich nienawidzić, tak jak nas nienawidzono, kiedy jako drugoklasiści przychodziliśmy na imprezy czwartoklasistów, ale prawdę mówiąc, mam to gdzieś. Ally posyła w kierunku jednej z takich grup jedno ze swoich lodowatych spojrzeń i mówi głośno:

- Ścierwa.

Jedna z nich, Rachel Kornish, podobno niedawno kręciła z Mattem Wilde'em.

Oczywiście pierwszoklasistów się nie wpuszcza. Nie pokazuje się też społeczne dno. I wcale nie chodzi o to, że ludzie by się z nich nabijali, choć przecież tak by właśnie było. Chodzi o coś więcej. O imprezach dowiadują się już po fakcie. Nie wiedzą tego, co my wiemy: nie wiedzą o tajnym wejściu w bocznej ścianie domku dla gości Andrew Robertsa ani tego, że Carly Jablonski ukryła u siebie w garażu lodówkę, w której można schłodzić własne piwo, ani tego, że w barze Rocky nie sprawdzają nazbyt dokładnie dowodów osobistych, ani tego, że Mic ma otwarte przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i podają tam najlepszy ser w jajku na świecie, wprost ociekający olejem i keczupem, idealny, kiedy jest się na bani. W liceum istnieją dwa światy, kręcą się wokół siebie, ale nigdy się nie przenikają: ci, którzy coś mają, i ci, którzy nie mają nic. To chyba dobrze. Przecież liceum powinno przygotowywać do prawdziwego życia.

Dom Kenta to istny labirynt z małutkimi korytarzami i pokojami. Wszystkie pomieszczenia wypełniają szczelnie ludzie i dym. Tylko jedne drzwi są zamknięte. Wisi na nich kartka z napisem NIE WCHODZIĆ, a wokół roi się od dziwacznych naklejek na zderzak z tekstami w stylu I CO SIĘ TAK GAPISZ? albo POCAŁUJ MNIE. JESTEM Z IRLANDII.

Kiedy znajdujemy Lindsay, okazuje się, że już się pogodziła z Patrickiem. Co za niespodzianka. Ona siedzi mu na kolanach, a on pali jointa. W kącie Elody stoi ze Steve'em Doughiem. On opiera się o ścianę, a ona trochę tańczy, a trochę się o niego ociera. Z ust zwisa jej niezapalony papieros, filtrem na zewnątrz, a jej włosy są w kompletnym nieładzie. Steve próbuje ją utrzymać w pionowej pozycji, podtrzymując ramieniem, ale rozmawia jednocześnie z Liz Hummer (to jej prawdziwe nazwisko, a na dodatek i zupełnie przypadkiem nazwa jej auta), jakby Elody w ogóle tam nie było, a już na pewno jakby się o niego nie ocierała.

- Biedna Elody - mówię. Nie wiem, czemu nagle strasznie mi jej żal. - Jest taka fajna.

- To dziwka - mówi Ally, ale nie złośliwie.

- Myślisz, że coś z tego zapamiętamy? - Nie wiem, skąd dochodzą te słowa. Moja głowa robi się lekka i pełna waty, jakby zaraz miała gdzieś odpłynąć. - Myślisz, że za dwa lata będziemy z tego cokolwiek pamiętać?

- Ja już jutro niczego nie będę pamiętała - śmieje się Ally, wkładając mi w dłoń butelkę. Została tylko jedna czwarta. Nie wiem nawet, kiedy to wszystko wypiliśmy.

Lindsay piszczy na nasz widok i schodzi z kolan Patricka. Obejmuje nas obie, jakbyśmy się nie widziały całe lata. Wrywa mi wódkę i bierze łyk, wieszając się na moim karku.

- Gdzie ty się podziewałaś!? - krzyczy. Mówi tak głośno, że słychać ją pomimo muzyki, rozmów i śmiechów. - Wszędzie cię szukałam!

- Gówno prawda - mówię.

- Chyba w ustach Patricka jej szukałaś - dodaje Ally.

Śmiejemy się z tego, że Lindsay wciska kit, a Elody już się upiła, Ally ma zaburzenie obsesyjno-kompulsyjne, a ja jestem aspołeczna. Ktoś otwiera okno, żeby trochę przewietrzyć i do pokoju wdziera się drobniutki deszcz, który pachnie trawą i świeżością, choć to sam środek zimy. Tak żeby nikt nie zauważył, kładę rękę na parapecie, bo podmuch lodowatego powietrza jest przyjemny. Czuję, jak setka igiełek deszczu kłuje mi skórę. Zamykam oczy i obiecuję sobie, że nigdy nie zapomnę tej chwili: śmiechu moich przyjaciółek, ciepła ludzkich ciał i zapachu deszczu.

Kiedy otwieram oczy, doznaję największego szoku w życiu. W drzwiach stoi Juliet Sykes i gapi się na mnie.

Właściwie gapi się na nas wszystkie, na mnie, Lindsay, Ally i Elody, która właśnie zostawiła Steve'a i podeszła do nas. Juliet ma włosy ściągnięte w kucyk i chyba po raz pierwszy w życiu widzę jej twarz.

To szok, że w ogóle przyszła, ale jeszcze bardziej szokuje mnie to, że właściwie jest ładna. Ma szeroko rozstawione, błękitne oczy i wydatne kości policzkowe, jak modelka. Ma idealnie czystą, bardzo bladą cerę. Nie mogę oderwać od niej wzroku.

Ludzie szturchają ją łokciami i popychają, bo stoi w przejściu, ale ona ani drgnie. Stoi i się gapi.

Ally pierwsza ją zauważa i otwiera szeroko usta.

- Co jest...?

Elody i Lindsay odwracają się, żeby zobaczyć, na co się tak gapimy. Najpierw Lindsay blednie. Właściwie wygląda na przestraszoną, co jest wyjątkowo dziwne, ale nie mam czasu, żeby się nad tym zastanawiać, bo jej twarz momentalnie czerwienieje, jakby miała zamiar urwać komuś głowę. Bardziej jej z tym do twarzy. Elody zaczyna histerycznie chichotać, aż wreszcie zgina się w pół i musi zasłonić usta obiema dłońmi.

- Nie wierzę - mówi. - Nie wierzę. - Próbuje zacząć śpiewać „Psychol-morderca, *qu'est-ce que c'est*”, ale jesteśmy w takim szoku, że się nie przyłączamy.

W filmach często zdarza się sytuacja, kiedy ktoś mówi albo robi coś niestosownego, nagle słychać zgrzyt płyty i zapada martwa cisza. Coś podobnego dzieje się w tej chwili. Muzyka nie cichnie, ale wszy-

scy w pokoju zaczynają zdawać sobie sprawę z tego, że Juliet Sykes - która sika do łóżka, ma w głowie sieczkę i jest psychopatyczną morderczynią - zjawia się w samym środku imprezy, żeby obrzucić cztery najpopularniejsze dziewczyny w Liceum imienia Thomasa Jeffersona swoim parszywym spojrzeniem. Rozmowy cichną i pokój wypełniają szepty, które robią się coraz głośniejsze i bardziej nachalne, aż wreszcie zamieniają się w jednostajny pomruk, jak szum wiatru albo oceanu.

Juliet Sykes wreszcie wchodzi do pokoju. Miarowym, pewnym krokiem zmierza w naszym kierunku - nigdy nie widziałem jej takiej spokojnej - i zatrzymuje się półtora metra od Lindsay.

- Jesteś suką - rzuca.

Wypowiada te słowa spokojnie i głośno, jakby chciała, żeby wszyscy to usłyszeli. Zawsze sobie wyobrażałam, że mówi piskliwie albo z przydechem, tymczasem jej głos jest pełny i głęboki, właściwie chłopiący.

Lindsay na sekundę zapomina języka w gębie.

- Słucham? - skrzeczy.

Juliet od piątej klasy nie ośmieliła się spojrzeć na Lindsay, a co dopiero się do niej odezwać czy ją obrazić.

- Słyszałaś. Suką. Złośliwą zdzirą. Wstrętną babą. - Juliet zwraca się do Ally. - Ty też jesteś suką. - Do Elody - Ty też.

Zwraca się w moją stronę i przez sekundę widzę jakiś błysk - coś znajomego - ale to momentalnie znika.

- Jesteś suką.

Jesteśmy w takim szoku, że nie wiemy, co odpowiedzieć. Elody chichocze nerwowo, czka i milknie. Lindsay otwiera i zamyka usta jak ryba, ale nie wydobywa się z nich najcichszy nawet dźwięk. Ally zaciska pięści, jakby chciała wytrzasnąć Juliet po twarzy.

Choć jestem wkurzona i zażenowana, to kiedy patrzę na Juliet, myślę tylko o jednym: Nie wiedziałam, że jesteś taka ładna.

Lindsay zbiera się do ataku. Nachyla się tak, że jej twarz zbliża się na parę centymetrów do twarzy Juliet. Nigdy nie widziałam jej tak wkurzonej. Wygląda, jakby oczy miały jej wyskoczyć z głowy. Jej usta wykrzywiają się jak pysk warczącego psa. Przez chwilę wygląda naprawdę koszmarnie.

- Wolę być suką niż psycholem - syczy i chwyta Juliet za bluzkę. Tak się wściekła, że z ust cieknie jej ślina. Popycha Juliet, a ona wpada tyłem na Matta Dorfmana. Popycha ją znowu, a ona bezwładnie wtacza się na Emmę McElroy. Lindsay zaczyna się drzeć:

- Psychol, psychol!

Wydaje z siebie wysokie dźwięki, jakby świst noża z filmu i nagle wszyscy krzyczą razem z nią, wykonując gest uderzenia niewidzialnym nożem, piszczą i popychają Juliet w tę i we w tę. Elody pierwsza wylewa jej piwo na głowę, ale wszyscy od razu się przyłączają. Lindsay wylewa na nią wódkę, a kiedy Juliet przechodzi obok mnie, potykając się i próbując z wyciągniętymi rękami złapać równowagę, chwy-

tam wypite w połowie piwo stojące na parapecie i wylewam jej prosto na głowę. Nawet nie wiem, kiedy przyłączam się do krzyczącego chóru i drę się, aż boli mnie gardło.

Juliet podnosi na mnie wzrok, kiedy wylewam na nią piwo. Nie umiem tego wyjaśnić - to szaleństwo - ale patrzy na mnie z politowaniem, jakby mi współczuła.

Nagle czuję, że brak mi tchu, jakbym dostała kukuśnika w brzuch. Nie zastanawiając się ani chwili, przyskakuję do niej i popycham ją z całej siły, a ona wpada tyłem na regał, który prawie się przewraca. Pcham ją dalej, w kierunku drzwi, a wszyscy piszczą, śmieją się i drą: „Psychol!” kiedy ona wybiega z pokoju. Przeciska się obok Kenta. Właśnie wszedł, pewnie po to, żeby zobaczyć, dlaczego wszyscy krzyczą.

Na chwilę nasze spojrzenia się krzyżują. Trudno powiedzieć, co on sobie myśli, ale na pewno nic dobrego. Odwracam wzrok, jest mi gorąco i nie czuję się komfortowo. We wszystkich buzuje teraz energia, wszyscy śmieją się z Juliet i rozmawiają o niej, ale mój oddech nie uspokaja się i czuję, jak wódka pali mi żołądek, jak podchodzi mi do gardła. W pokoju robi się duszno, a ściany wirują wokół mnie szybciej niż poprzednio. Muszę wyjść i zaczerpnąć świeżego powietrza. Próbuję precyzyjnie się przecisnąć przez tłum do wyjścia, ale Kent staje przede mną twarzą w twarz i blokuje mi przejście.

- Co to do cholery ma znaczyć? - Żąda wyjaśnień.

- Możesz mnie wypuścić? - Nie jestem w nastroju, żeby z kimkolwiek teraz się kłócić, a już na pewno nie z Kentem w tej jego śliczniutkiej koszuli.

- Co ona wam takiego zrobiła? Krzyżuję ręce na piersiach.

- Rozumiem. Przyjaźnisz się z Psycholem. Tak? Kent mruży oczy.

- Bardzo inteligentne przewisko. Sama je wymyśliłaś czy przyjaciółki ci pomogły?

- Zejdź mi z drogi! - Udaje mi się przecisnąć obok niego, ale on chwytą mnie za rękę.

- Dlaczego? - pyta. Stoimy tak blisko siebie, że czuję, że właśnie jadł cukierka miętowego i widzę pieprzyk w kształcie serduszka pod jego lewym okiem, choć wszystko inne jest rozmazane i pływa mi przed oczami. Kent patrzy na mnie, jakby desperacko próbował coś zrozumieć, i to jest gorsze, znacznie gorsze od wszystkiego, co się do tej pory zdarzyło, gorsze niż Juliet, gorsze niż jego gniew, i to, że zaraz zrobi mi się niedobrze.

Próbuję mu się wyrwać.

- Nie można nikogo tak po prostu złapać! Nie możesz mnie tak trzymać! Mam chłopaka!

- Ciszej, próbuję tylko...

- Słuchaj... - udaje mi się wyrwać. Wiem, że mówię za głośno i za szybko. Wiem, że robię histeryczne przedstawienie, ale nic na to nie mogę poradzić. - Nie wiem, jaki masz problem, okej? Nie zamierzam z tobą chodzić. Nie zamierzam z tobą chodzić nawet za milion lat. Więc może wylecz się z tej obsesji na moim punkcie. Wiesz co? Mnie nawet nie obchodzi, jak się nazywasz. - Słowa cisną mi się na usta, jakby chciały mnie udusić. Nagle nie mogę złapać oddechu.

Kent wbija we mnie wzrok. Potem nachyla się jeszcze bardziej. Przez chwilę wydaje mi się, że zaraz mnie pocałuje, a moje serce przestaje bić. Ale on tylko zbliża usta do mojego ucha i mówi:

- Przejrzałem cię na wylot.

- Nie znasz mnie - robię krok w tył, cała trzęsąc się z gniewu. - Nie wiesz o mnie zupełnie nic.

Kent podnosi ręce w geście kapitulacji i wycofuje się.

- Masz rację. Nie znam cię. Odwraca się i coś mamrocze.

- Co powiedziałeś? - serce wali mi tak, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

Kent odwraca się i mówi:

- Powiedziałem: Dzięki Bogu.

Obracam się, żałując, że pożyczyłam od Ally buty na obcasie. Pokój kręci się razem ze mną i muszę przytrzymać się poręczy.

- Twój chłopak jest na dole, rzyga do zlewu w kuchni! - woła za mną Kent.

Nie odwracam się nawet, żeby sprawdzić, czy za mną stoi, tylko pokazuję mu przez ramię środkowy palec. Mam wrażenie, że i tak nie patrzy.

Gdy wracam do kuchni, żeby sprawdzić, czy Kent mówił prawdę o Robie, dociera do mnie, że to nie jest moja noc. Połączenie rozczarowania i ulgi jest tak wszechogarniające, że idąc, muszę opierać się o ścianę, bo wydaje mi się, że schody wirują mi pod stopami, jakby miały za chwilę gdzieś uciec. To nie jest moja noc. Jutro się obudzę i będę znowu sobą, świat będzie wyglądał po staremu i wszystko będzie wyglądać i smakować, i pachnieć tak samo. Zaciska mi się gardło i zaczynają mnie piec oczy. W myślach obwiniam o wszystko Kenta. Kenta i Juliet Sykes.

Pół godziny później impreza zmierza powoli ku końcowi. Ktoś zerwał lampki choinkowe ze ściany i teraz walają się po podłodze jak wąż, oświetlając kołtuny kurzu w kątach.

Już mi lepiej, wracam do siebie.

- Zawsze nadchodzi jutro - powiedziała mi Lindsay, kiedy opowiedziałam jej o Robie, i powtarzam to zdanie w nieskończoność, jak mantrę. Zawsze nadchodzi jutro. Zawsze nadchodzi jutro.

Spędzam dwadzieścia minut w łazience. Myję twarz, nakładam znowu makijaż, choć ręce wciąż mi drżą, a twarz rozdwa się w lustrze. Gdy się maluję, przypomina mi się moja matka - zawsze obserwowałam, jak daje upust swojej próżności, przygotowując się do wyjścia z ojcem - i to mnie uspokaja. Zawsze nadchodzi jutro.

To ten moment w nocy, który lubię najbardziej, kiedy większość ludzi już śpi i wydaje się, że świat należy wyłącznie do mnie i do moich przyjaciółek. Jakby nie istniało nic prócz naszego małego kółka. Wszystko inne spowija ciemność i cisza.

Wychodzę z Elody, Ally i Lindsay. Tłum się przersedza, bo inni też już idą, ale nadal trudno się poruszać. Lindsay wykrzykuje raz po raz:

- Przepraszam, przepraszam, proszę mnie przepuścić, kobieca przypadłość!

Kilka lat temu, na jakiejś dyskotecie dla nastolatków w Poughkeepsie odkryłyśmy, że nic nie toruje drogi szybciej niż wzmianka o kobiecej przypadłości. Wszystkim się wtedy wydaje, że coś od ciebie złąpią.

Po drodze mijamy pary wciśnięte w kąty i opierające się o poręcz schodów. Zza zamkniętych drzwi dochodzą nas stłumione chichoty. Elody wali pięścią w każde drzwi i wrzeszczy:

- Bez oprawy nie ma zabawy!

Lindsay obraca się i szepcze coś do Elody, a ta zamyka się i patrzy na mnie z poczuciem winy. Chcę im powiedzieć, że mam to w nosie - mam w nosie Roba, przegapioną szansę i w ogóle wszystko - ale nagle ogarnia mnie takie zmęczenie, że nie mam siły wydobyć z siebie słowa.

Widzimy Bridget McGuire, jak siedzi na krawędzi wanny przy otwartych drzwiach. Trzyma głowę w dłoniach i płacze.

- Co z nią? - pytam, próbując zapanować nad uczuciem, że wszystko pływa mi w głowie, a moje słowa dochodzą z ogromnej odległości.

- Dała kosza Aleksowi. - Lindsay chwytą mnie za łokieć. Wydaje się trzeźwa, ale ma ogromne zrenice i przekrwione białka. - Nie uwierzysz. Dowiedziała się, że Nikotynowa Nazistka nakryła Aleksa i Annę. Miał być u lekarza. - Muzyka nadal gra, więc nie słyszymy Bridget, ale jej ramiona trzęsą się, jakby miała konwulsje. - Wydobrzeje. Gnojek.

- Wszyscy są gnojami! - mówi Elody, podnosząc piwo. Rozlewa trochę. Nie jestem pewna, czy w ogóle wie, o czym mówimy.

Lindsay podnosi kubek i stawia go na stoliku na sfatygowanym egzemplarzu *Moby Dicka*. Wkłada do kieszeni ceramiczną figurkę, pastuszka z kręconymi blond włosami i pomalowanymi rzęsami. Zawsze kradnie coś na imprezie. Mówi, że bierze sobie prezent.

- Byle tylko nie darła się w Czołgu - mówi szeptem, głową wskazując w kierunku Elody.

Na dole Rob siedzi wyciągnięty na kanapie, ale kiedy przechodzę, udaje mu się złapać mnie za rękę i przyciągnąć do siebie.

- Dokąd idziesz? - pyta. Ma zamglone oczy i zachrypnięty głos.

- Przestań, Rob. Puść mnie. - Odpycham go. W końcu to też jego wina.

- Mieliliśmy... - zawiesza głos i kręci głową, zdezorientowany, a potem patrzy na mnie przez zmrużone oczy. - Zdradzasz mnie?

- Nie bądź idiotą. - Chcę przewinąć cały wieczór do tyłu, właściwie kilka poprzednich tygodni, wrócić do chwili, kiedy Rob przytulił się do mnie, położył policzek na moim ramieniu i powiedział, że chce spać obok mnie. Wrócić do tego cichego momentu w ciemnym pokoju, z błękitnym obrazem na ekranie wyciszonego telewizora, kiedy słyszałam tylko jego oddech i rodziców śpiących na górze. Wrócić do tego momentu, kiedy otworzyłam usta i usłyszałam, jak mówię: Ja też tego chcę.

- To prawda, zdradzasz mnie. Wiedziałem. - Staje chwiejnie i rozgląda się dziko. Chris Harmon, jeden z najlepszych kumpli Roba, stoi w kącie i z czegoś się śmieje, a Rob idzie w jego kierunku, zataczając się.

- Czy moja dziewczyna zdradza mnie z tobą, Harmon!?! - wrzeszczy Rob i popycha Chrisa. Chris potyka się i wpada na regał. Porcelanowa figurka spada na podłogę i roztrzaskuje się w drobny mak, a jakaś dziewczyna krzyczy.

- Zwariowałeś? - Chris przyskakuje do Roba i nagle obaj wczepieni w siebie walczą, walając się po całym pokoju, wpadając na meble i przedmioty, warcząc i wrzeszcząc. Robowi udaje się powalić Chrisa na kolana i obaj przewracają się na podłogę. Dziewczyny popiskują i schodzą im szybko z drogi. Kiedy Rob i Chris wtaczają się pod drzwi do kuchni, gdzie stoi beczka z piwem, ktoś krzyczy:

- Uwaga na piwo!

- Chodźmy, Sam - Lindsay staje za mną i bierze mnie pod rękę.

- Nie mogę go tak zostawić - mówię, choć w głębi duszy czuję, że powinnam już iść.

- Nic mu nie będzie. Popatrz, już się śmieje.

Ma rację. Rob i Chris już przestali walczyć i leżą na podłodze, zaśmiewając się.

- Rob się wkurzy, że hej - mówię i wiem, że Lindsay wie, że mam na myśli nie tylko to, że zostawiam go na imprezie.

Lindsay obejmuje mnie szybko.

- Pamiętaj, co powiedziałam. - Zaczyna podśpiewywać: - Pomyśl, co będzie jutro, jutro otrzesz łzy...

Na chwilę zaciska mi się żołądek, bo mam wrażenie, że Lindsay się ze mnie nabija, ale to zbieg okoliczności. Lindsay nie знаła mnie, kiedy byłam małą, nawet nie rozmawiała ze mną. Niemożliwe, żeby wiedziała, że miałam zwyczaj zamykać się w pokoju, puszczać ścieżkę dźwiękową z musicalu *Annie* i śpiewać tę piosenkę na cały głos, póki rodzice nie zagrozili, że wyrzucą mnie na ulicę.

Melodia wpada mi w głowę i wiem, że będę ją nuciła przez następne dni. „Jutro, jutro, jutro będę cię kochał”. To piękne słowa, jeśli się dobrze nad tym zastanowić.

- Beznadziejna impreza, co nie? - mówi Ally, podchodząc do mnie z drugiej strony. Dobrze wiem, że jest wkurzona tylko dlatego, że Matt Wilde się nie pojawił, ale i tak się cieszę, że to mówi.

Dźwięk deszczu okazuje się głośniejszy, niż się spodziewałam, i trochę mnie niepokoi. Przez chwilę stoimy pod zadaszeniem na ganku i patrzymy, jak nasze oddechy zamieniają się w białe obłoczki. Obejmujemy się. Jest bardzo zimno. Z zadaszenia woda spływa jednostajnym strumieniem. Christopher Tomlin i Adam Wu wynoszą puste butelki do lasu. Co chwilę słychać dźwięki tłuczonego szkła, które brzmią jak strzały z pistoletu.

Ludzie, biegnąc w deszczu, śmieją się i krzyczą. Pada tak bardzo, że woda rozmywa kontury świata. Najbliżsi sąsiedzi mieszkają kilka kilometrów dalej, więc nikt nie zadzwoni po policję. Trawnik jest poora-ny i wszędzie widać czarne połacie ziemi. W dali błyskają reflektory, tu i tam, gasną i zapalają się, kiedy samochody zjeżdżają z drogi dojazdowej na autostradę numer 9.

- Biegiem! - krzyczy Lindsay, i czuję, jak Ally ciągnie mnie, i biegniemy z krzykiem, a deszcz nas oślepia i spływa nam po kurtkach, do butów wdziera się błoto, a wszystko ginie w strugach wody.

Kiedy już siedzimy w samochodzie Lindsay, naprawdę przestaje mnie obchodzić, że cały ten wieczór okazał się taką porażką. Śmiejemy się histerycznie, przemoczone, i trzęsiemy się z zimna, rozbudzone chłodem i ulewą. Lindsay piszczy, kiedy widzi, że nasze tyłki zostawiły mokre ślady na skórzanej tapicerce, a błoto z butów spłynęło wprost na podłogę. Elody błaga ją, żebyśmy pojechały do Mica na ser w jajku, i narzeka, że zawsze zajmuję miejsce z przodu, a Ally wrzeszczy do Lindsay, żeby włączyła ogrzewanie, i grozi, że zaraz padnie trupem na zapalenie płuc.

Chyba tak właśnie zaczynamy rozmawiać o tym. To znaczy o śmierci. Wydaje mi się, że Lindsay może jeszcze prowadzić, ale zauważam, że jedzie szybciej niż zazwyczaj w dół tej okropnej, długiej i skrytej w lesie drogi dojazdowej. Drzewa po obu stronach wyglądają jak kościotrupy miotane wiatrem.

- Mam taką teorię - mówię, kiedy Lindsay z piskiem opon wjeżdża na czarną i śliską autostradę. Zegar na desce rozdzielczej pokazuje 12:38. - Mam taką teorię, że zanim umrzesz, oglądasz listę największych przebojów, wicie? Najlepsze, co się zrobiło.

- Seks, kochanie - mówi Lindsay i puszcza kierownicę jedną ręką, żeby unieść zaciśniętą pięść w powietrze.

- Kiedy pierwszy raz całowałam się z Mattem Wilde'em - mówi od razu Ally.

Elody jęczy przeciągle i nachyla się do przodu, sięgając po iPoda.

- Poproszę o jakąś muzykę, zanim się tu zabiję.

- Mogę prosić papierosa? - pyta Lindsay, a Elody odpala jej jednego od swojego. Lindsay otwiera okno i do środka wdzierają się lodowaty deszcz. Ally znowu zaczyna narzekać, że jej zimno.

Elody włącza *With or Without You*, żeby wkurzyć Ally, a może dlatego że ma po dziurki w nosie jej mękolonia. Ally nazywa ją suką, odpina pas, przechyla się i próbuje dosięgnąć iPoda. Lindsay jęczy, bo ktoś szturchnął ją łokciem w kark. Papieros wypada jej z ust i ląduje między udami. Lindsay zaczyna przeklinać, próbując strzepnąć żarzący się popiół z tapicerki, Elody i Ally kłócą się zapamiętale, a ja próbuję je przekrzyczeć, przypominając historię o tym, jak chciałyśmy robić śniegowe orły w maju. Zegar pokazuje 12:39. Samochód ślizga się raz po raz na mokrej jezdni, pełen dymu papierosowego, którego niewielkie obłoki unoszą się w powietrzu jak duchy.

Nagle przed nami rozbłyskuje jasne, białe światło. Lindsay coś krzyczy, ale nie rozumiem jej - coś jakby szajs albo stój, albo zjazd - i wtedy samochód zjeżdża z drogi wprost w czarne usta lasu. Słychać straszliwy zgrzyt - metal pociera o metal, tłucze się szkło, samochód zgina się wpół - i czuję, że coś się pali. Przez sekundę zastanawiam się nawet, czy Lindsay zgasiła papierosa...

A potem...

I wtedy to się dzieje. Śmierci towarzyszy gorąco, hałas i niewiarygodny ból. Spadasz w rozgrzanym do czerwoności tunelu i rozpadasz się na kawałki, coś cię parzy, pali i rozdziera, a gdyby krzyk był emocją, to właśnie taką.

A potem nic.

Wiem, że niektórzy powiedzą, że sobie na to zasłużyłam. Może nie powinnam była wysyłać tej róży Juliet i wylewać na nią piwa na imprezie. Może nie powinnam była odpisywać na teście od Lauren Lornet. Może nie powinnam była mówić do Kenta tego, co powiedziałam. Niektórzy pewnie powiedzą, że zasłużyłam sobie na to, bo miałam zamiar pozwolić Robowi iść na całość, bo chciałam mieć to już z głowy.

Ale zanim zaczniecie wytykać mnie palcami, pozwólcie, że zapytam: Naprawdę aż tak nabroiłam? Tak bardzo, że zasłużyłam na śmierć? Tak bardzo, że zasłużyłam na taką śmierć?

Naprawdę postępowałam gorzej niż inni?

Naprawdę postępowałam gorzej niż wy?

Zastanówcie się.

TLR

ROZDZIAŁ 2

W moim śnie zdaję sobie sprawę, że spadam, choć straciłam zupełnie orientację w przestrzeni i nie wiem, gdzie jest góra, a gdzie dół. Nie widzę żadnych ścian, murów ani sufitów, czuję tylko chłód, a wokół panuje nieprzenikniona ciemność. Chcę krzyczeć z przerażenia, ale kiedy otwieram usta, nie wydobywa się z nich żaden dźwięk, i zastanawiam się, czy kiedy spada się w nieskończoność, nigdy nie sięgając podłoga, to czy nadal można nazwać to spadaniem.

Wydaje mi się, że będę tak spadała w nieskończoność.

Raz po raz w ciszy rozlega się jakiś hałas, niewyraźnie pikanie, które robi się coraz głośniejsze, póki nie zabrmi jak metalowe ostrze przecinające powietrze i wbijające się we mnie...

Budzę się.

Budzik dzwonił od dwudziestu minut.

Siadam na łóżku, odrzucam kołdrę. Jestem złana potem, choć w pokoju jest zimno. Mam sucho w gardle i strasznie chce mi się pić, jak po maratonie.

Przez sekundę, kiedy się rozglądam, wszystko wydaje się pozbawione konturów i trochę zniekształcone, jakbym nie patrzyła na swój pokój, tylko na pokazujące go przezrocze, które źle ustawiono i obraz ma rozmazane kontury. Nagle zmienia się światło i wszystko wraca do normy.

W jednej chwili powracają do mnie wspomnienia i w głowie zaczynam czuć pulsowanie: impreza, Juliet Sykes, kłótnia z Kentem...

- Sammy! - drzwi się otwierają, uderzają z hukiem o ścianę i przez pokój galopuje w moją stronę Izzy, depcząc leżące na podłodze zeszyty, dzinsy i bluzę Victorias Secret Team Pink.

Coś mi tu nie gra. Coś zwisa na krawędzi mojej pamięci, ale nagle spada. Izzy podskakuje na łóżku, zarzuca na mnie ramiona. Są gorące. Zaciska piąstkę na wisiorku, który zawsze noszę - to mały czarodziejski ptaszek na cieniutkim łańcuszku, prezent od babci - i lekko za niego ciągnie.

- Mama mówi, że masz wstawać. - Jej oddech pachnie masłem orzechowym i dopiero, kiedy udaje mi się ją od siebie oderwać, zdaję sobie sprawę, jak bardzo się trzęsę.

- Jest sobota - mówię. Nie mam pojęcia, jak wczoraj wróciłam do domu. Nie mam pojęcia, co się stało z Lindsay, Elody i Ally. Na samą myśl o tym robi mi się niedobrze.

Izzy zaczyna chichotać jak wariatka i zeskakuje z łóżka, pędem biegnie z powrotem do drzwi. Znika w korytarzu i słyszę, jak woła:

- Mamo, Sammy nie chce wstać. - W jej ustach moje imię brzmi „Siami”.

- Nie zmuszaj mnie, żebym do ciebie przyszła, Sammy! - głos mamy rozlega się echem z kuchni.

Stawiam stopy na podłodze. Chłód desek dodaje mi otuchy. Kiedy byłam młodsza, leżałam na podłodze przez całe lato, kiedy tata nie chciał włączyć klimatyzacji - tylko tam było chłodno. Teraz chcę zrobić to samo. Jestem rozpalona jak w gorączce.

Rob, deszcz, dźwięk butelek tłuczonych gdzieś w lesie.

Mój telefon brzęczy, a ja podskakuję. Sięgam po niego i otwieram. Nowa wiadomość od Lindsay: „Wysłałam z domu. Gdzie jesteś?”. Zamykam szybko klapkę telefonu, ale dostrzegam jeszcze jaśniejącą datę: piątek 12 lutego.

Wczoraj.

Kolejne brzęczenie. Kolejna wiadomość: „Spóźnimy się w Dzień Kupidyna, suuuko!!!”.

Nagle czuję się, jakbym tonęła, jakbym nic nie ważyła albo oglądała samą siebie z oddali. Próbuję wstać, ale kiedy się podnoszę, czuję skurcz w żołądku i pędzę do łazienki w korytarzu na trzęsących się nogach, pewna, że zaraz zwymiotuję. Rygluję drzwi i odkręcam wodę w umywalce i pod prysznicem. Staję nad sedesem.

Żołądek zaciska się, ale nic nie wychodzi.

Samochód, poślizg, krzyki...

Wczoraj.

Słyszę głosy w korytarzu, ale woda płynie tak głośno, że nic nie rozumiem. Kiedy ktoś wali w drzwi, prostuję się i wrzeszczę:

- Czego?

- Wyłaż spod prysznic. Nie ma czasu. - To Lindsay. Mama ją wpuściła.

Uchylam drzwi i widzę ją, jak stoi w swojej puchowej kurtce, zapięta po samą brodę. Wygląda na wkurzoną. I tak się cieszę, że ją widzę. Wygląda tak normalnie, zwyczajnie.

- Co się stało wczoraj? - pytam. Na chwilę unosi brwi.

- No tak, przepraszam. Nie mogłam oddzwonić. Wisiałam na telefonie z Patrickiem gdzieś tak do trzeciej nad ranem.

- Oddzwonić? - Kręcę głową. - Nie, chodzi mi o to, że...

- Świrował, bo jego rodzice jadą bez niego do Acapulco. - Przewraca oczami. - Biedactwo. Przysięgam, Sam, faceci są jak zwierzątka domowe. Trzeba ich nakarmić, wypieścić i położyć do łóżeczka. - Nachyliła się do mnie. - A skoro już o tym mówimy, pewnie nie możesz się doczekać wieczoru?

- Co? - Nawet nie wiem, o czym mówi. Jej słowa przelatują obok mnie i zlewają się ze sobą. Trzymam się wieszaka na ręczniki, bo boję się, że upadnę. Z prysznic płynie o wiele za gorąca woda. Całą łazienkę wypełnia gęsta mgła, pokrywa lustro i skrapla się na kafelkach.

- Ty, Rob, trochę piwa i jego flanelowa pościel. - Śmieje się Lindsay. - Bardzo romantyczne.

- Muszę wziąć prysznic. - Próbuję zamknąć drzwi, ale w ostatniej chwili Lindsay blokuje je łokciem i wpycha się do łazienki.

- Jeszcze nie wzięłaś prysznic? - Kręci głową. - Nie, nie. Nie ma mowy. Będziesz musiała iść bez prysznic.

Sięga do kabiny prysznicowej i zakręca wodę. Potem łapie mnie za rękę i wpycha na korytarz.

- Ale przyda ci się trochę makijażu. - Przygląda się bacznie mojej twarzy. - Wyglądasz jak kawałek gówna. Jakiś koszmar?

- Coś w tym stylu.

- Mam w Czołgu kosmetyczkę.

Rozpina kurtkę i widzę biały kłębek futra wystający z jej dekoltu. Ma na sobie nasz podkoszulek na Dzień Kupidyna. Nagle czuję, że muszę usiąść na podłodze i zacząć się śmiać i śmiać, i z trudem się przed tym powstrzymuję, kiedy Lindsay wpycha mnie do pokoju.

- Ubieraj się - rozkazuje i wyciąga komórkę, pewnie po to, żeby dać Elody znać, że się spóźnimy. Przygląda mi się przez kilka sekund, a potem wzdycha i się odwraca. - Mam nadzieję, że Rob lubi naturalny zapach ciała. - Kiedy ona śmieje się z własnego dowcipu, zaczynam się ubierać: podkoszulek, spódnica, kozaki.

Znowu.

Czy ten kaftan bezpieczeństwa nie poszerza mnie w biodrach?

Kiedy Elody wsiada do auta i sięga po kawę, zapach jej perfum - malinowego sprayu do ciała, który z religijnym zapałem nadal kupuje w Body Shopie w centrum handlowym, choć przestało to być *cool* już w siódmej klasie - jest tak prawdziwy, ostry i znajomy, że muszę zamknąć oczy, oszołomiona.

Zły pomysł. Z zamkniętymi oczami widzę piękne, ciepłe światła domu Kenta znikające we wstecznym lusterku i wychudzone, czarne drzewa po obu stronach samochodu, straszące jak szkielety. Czuję swąd spalenizny. Słyszę, jak Lindsay krzyczy, a mnie zaciska się żołądek, kiedy samochód ślizga się i skręca z piskiem opon...

- Cholera.

Otwieram oczy, kiedy Lindsay skręca gwałtownie, żeby ominąć wiewiórkę. Wyrzuca niedopałek przez okno i zapach dymu czuję jakoś tak podwójnie. Nie jestem pewna, czy czuję go teraz czy tylko go pamiętam, a może jedno i drugie.

- Naprawdę, nie znam gorszego kierowcy - chichocze Elody.

- Uważaj, jak jedziesz - mówię szeptem. Zupełnie bezwiednie zaciskam dłoń na krawędzi siedzenia.

- Nie martw się - Lindsay nachyla się do mnie i klepie mnie w kolano. - Nie pozwolę, żeby moja najlepsza przyjaciółka umarła jako dziewica.

Ledwo się powstrzymuję, żeby w tej chwili powiedzieć Lindsay i Elody wszystko, zapytać je, co się ze mną - z nami - dzieje. Ale nie wiem jak.

Miałyśmy wypadek samochodowy po imprezie, która jeszcze się nie odbyła.

Wczoraj wydawało mi się, że umarłam. Wydawało mi się, że umarłam dziś wieczorem.

Elody myśli pewnie, że nic nie mówię, bo martwię się, co z Robem. Przekłada ramię przez oparcie mojego fotela i nachyla się do mnie.

- Nie martw się, Sam. Wszystko będzie w porządku. To jak przejażdżka na rowerze - mówi Elody.

Zmuszam się do uśmiechu, ale ledwo mogę się skupić. Czuję się tak, jak dawno temu, kiedy leżałam w łóżku i wyobrażałam sobie, że obok mnie leży Rob i dotyka mnie chłodnymi, suchymi dłońmi. Na samą myśl o nim czuję ból, a moje gardło zaczyna się zaciskać. Nagle nie mogę się doczekać spotkania z

nim, jego krzywego uśmiechu i jego czapeczki z logo Yankees, a nawet tej jego brudnej bluzy, która zawsze pachnie trochę potem małego chłopca, nawet kiedy mama zmusi Roba, żeby ją wreszcie oddał do prania.

- To jak ujeżdżanie koni. - Lindsay poprawia Elody. - Nie obejrzysz się, a już będziesz czempionem z błękitną wstążeczką.

- Ciągle zapominam, że jeździłaś konno. - Elody otwiera pokrywkę kubka z kawą i zdmuchuje parę.

- Jak miałam chyba siedem lat - mówię, zanim Lindsay obróci to w żart. Jak zaczniesz się teraz ze mnie nabijać, to się naprawdę rozplaczę. Nigdy nie chciała zrozumieć, że jazda konna była dla mnie najważniejsza na świecie. Uwielbiałam jeździć sama w lesie, zwłaszcza późną jesienią, kiedy jest chłodno, a świat nabiera złotego połysku, liście mają kolor ognia i wszystko pachnie tak, jakby zamieniało się w ziemię. Uwielbiałam ciszę, w której rozbrzmiewał tylko jednostajny tętent kopyt i oddech konia.

Żadnych telefonów. Żadnych śmiechów. Żadnych głosów. Żadnych domów.

Żadnych samochodów.

Spuszczam daszek nad przednią szybą, żeby osłonić oczy przed światłem słonecznym, i w lusterku widzę, jak Elody się do mnie uśmiecha. Może powiem jej, co się ze mną dzieje, myślę, ale jednocześnie wiem, że nic nie powiem. Wzięłyby mnie za wariatkę. Wszystkie by mnie wzięły za wariatkę.

Milczę i patrzę przez okno. Światło jest słabe i rozwodnione, jakby słońce rozlało się za horyzontem i było zbyt leniwe, żeby po sobie posprzątać. Długie, spiczaste cienie przypominają igły. Widzę, jak trzy czarne wrony wlatują jednocześnie z trójki telefonicznej, i też chcę lecieć, w górę, wyżej, wyżej. Chcę patrzeć, jak ziemia się oddala, tak jak w czasie startu samolotu, kiedy ziemia się rozprostowuje i wygładza, aż wreszcie wszystko robi się płaskie i jaskrawokolorowe - aż świat staje się rysunkiem siebie samego.

- Główny motyw muzyczny, poproszę - mówi Lindsay, a ja odnajduję Mary J. Blige, potem opadam na fotel i próbuję skupić się na słuchaniu muzyki i linii basów.

Nie zamykam oczu.

Kiedy podjeżdżamy do drogi dojazdowej, która wije się obok górnego parkingu i prowadzi w dół do miejsc dla kadry i Alei Seniorów, czuję się już o wiele lepiej, choć Lindsay przeklina, a Elody narzeka, że jak jeszcze raz się spóźni, to będzie musiała zostać w piątek po lekcjach, a już dwie minuty po pierwszym dzwonku.

Wszystko wygląda tak normalnie. Wiem, że skoro jest piątek, to Emma McElroy przyjdzie z domu Evana Danziga, i oto widzę jej głowę wystającą z nad przyciętego żywopłotu. Wiem, że Peter Kourt będzie miał na sobie buty Nike Air Force i, które wkłada codziennie przez ostatni milion lat, choć mają już tyle dziur, że widać przez nie, jakie nosi skarpetki (zazwyczaj białe). Teraz też widzę, jak prześwitują, kiedy on zmierza prosto do głównego budynku.

Ten widok sprawia, że czuję się o niebo lepiej i zaczyna mi się wydawać, że może cały wczorajszy dzień - wszystko, co się wydarzyło - to tylko jakiś długi, dziwny sen.

Lindsay krąży po Alei Seniorów, choć nie ma najmniejszych szans na znalezienie miejsca. To jej rytuał. Czuję ucisk w żołądku, kiedy mijamy trzecie miejsce przy kortach tenisowych, na którym stoi brązowy Chevrolet Sarah Grundel z naklejką drużyny pływackiej naszego liceum i jeszcze jedną, mniejszą, z napisem ZANURZ SIĘ, przyklepionymi na zderzaku. Myślę sobie, że zajęła ostatnie miejsce, bo my się spóźniłyśmy i muszę wbić paznokcie w dłoń i powtarzać sobie, że to mi się tylko śniło, że to się nigdy naprawdę nie zdarzyło.

- Nie wierzę, że będziemy musiały przejść 354 metry - mówi Elody, wydymając usta. - Nawet nie mam kurtki.

- To ty wyszłaś z domu półnaga - mówi Lindsay. - Jest luty.

- Nie przewidziałam, że będę musiała wyjść na zewnątrz.

Zawracając w kierunku górnego parkingu, mijamy boisko do piłki nożnej po prawej stronie. O tej porze roku boisko jest zupełnie rozorane, samo błoto i kilka pasm brązowej trawy.

- Czuję się, jakbym miała *déjà vu* - mówi Elody. - Jakbym wróciła do pierwszej klasy.

- Ja od samego rana mam *déjà vu* - wypalam, zanim zdążę się skontrolować. Nagle czuję się lepiej, to na pewno o to właśnie chodzi.

- Niech zgadnę... - Lindsay przykłada dłoń do skroni i unosi brwi, udając, że się koncentruje. - Próbujesz sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz Elody była tak wkurzająca przed dziewiątą rano.

- Zamknij się! - Elody pochyla się i uderza Lindsay lekko w ramię. Obie wybuchają śmiechem. Ja też się uśmiecham. Ulżyło mi, że mogłam wypowiedzieć te słowa na głos. To ma sens. Kiedyś w czasie wycieczki do Kolorado razem z rodzicami wędrowałam sześć kilometrów do małego wodospadu pośrodku lasu. Rosły tam wielkie, stare drzewa, same sosny. Chmury rozsnuły się po niebie jak wata cukrowa. Izzy była za mała, żeby chodzić i mówić, i siedziała w nosidełku na plecach taty. Wyciągała swoje małe, grube piąstki w stronę nieba, jakby chciała je chwycić.

Ale kiedy staliśmy tam, patrząc, jak woda rozpryskuje się na skałach, miałam przedziwne uczucie, że to wszystko już się kiedyś zdarzyło, łącznie z zapachem pomarańczy, którą obierała moja mama, i dokładnymi odbiciami drzew na powierzchni wody. Byłam na sto procent pewna. To był najśmieszniejszy moment tamtego dnia, bo wcześniej strasznie narzekałam, że muszę iść sześć kilometrów, a kiedy powiedziałam rodzicom, że mam *déjà vu*, śmiali się i mówili, że to rzeczywiście byłby cud, gdybym w poprzednim życiu z własnej woli przeszła taki kawał drogi.

Chodzi mi chyba o to, że wtedy byłam tak samo pewna, jak teraz. Zdarza się.

- Ooo! - piszczy Elody i zaczyna grzebać w torebce. Wyciąga z niej paczkę papierosów i dwie puste tubki po błyszczyku do ust oraz zdeformowaną zalotkę do rzęs. - O mały włos zapomniałabym dać ci prezent.

Rzuca kondom na przednie siedzenie, a Lindsay klaszcze i podskakuje na siedzeniu, kiedy trzymam go w górze.

- Bez oprawy nie ma zabawy? - mówię, zdobywając się na uśmiech.

Elody nachyla się do mnie i całuje mnie w policzek, zostawiając na nim ślad po różowym błyszczuku.

- Zachwycisz go, dziecinko.

- Nie nazywaj mnie tak - mówię i wrzucam kondom do torby. Wsiadamy z samochodu, a powietrze jest tak zimne, że kłuje mnie w oczy, które zaczynają łzawić. Ignoruję złe przeczucia, wciąż dające o sobie znać, i powtarzam sobie tylko: To mój dzień, to mój dzień, to mój dzień. Żeby nie myśleć o niczym innym.

Kraina Cieni

Czytałam gdzieś, że *déjà vu* ma się wówczas, gdy procesy w półkulach mózgowych nie przebiegają z taką samą prędkością: prawa strona wyprzedza lewą o jakieś dwie sekundy albo na odwrót. Przedmioty ściśle to moja pięta achillesowa, więc nie zrozumiałam całego artykułu, ale to by jakoś wyjaśniało dziwne uczucie rozdwojenia, jakby świat rozpadał się na pół. Świat albo ja.

Przynajmniej tak się właśnie czuję: jakbym istniała ja i jakieś odbicie mnie, a ja nie potrafię odróżnić jednego od drugiego. Jakby dzień miał cień.

Uczucie *déjà vu* mija jednak bardzo szybko, po trzydziestu sekundach, najwyżej po minucie.

Ale moje wciąż trwa.

Wszystko przebiega tak samo. Eileen Cho piszczy, kiedy dostaje róże na pierwszej przerwie, a Samara Phillips nachyla się do niej i szepcze:

- Pewnie bardzo cię kocha.

W tym samym czasie mijam na korytarzu tych samych ludzi. Aaron Stern znowu oblewa pół korytarza kawą, a Carol Lin zaczyna się na niego wydzierać.

Używa nawet tych samych słów.

- Wypadłeś z wózka o jeden raz za dużo!?

Muszę przyznać, że to dość zabawne, nawet za drugim razem. Nawet gdy zdaje mi się, że zwariowałam. Nawet kiedy chce mi się krzyczeć.

Ale jeszcze dziwniejsze są te wszystkie zająknięcia i załamania - rzeczy, które trochę się zmieniły. Na przykład Sarah Grundel. W drodze na drugą lekcję widzę, jak stoi, opierając się o szafki. Obraca na palcu okulary do pływania, rozmawiając z Hillary Hale. Przechodząc, słyszę fragment ich rozmowy.

- ... się cieszę. Trener mówi, że mogę płynąć o pół sekundy szybciej...

- Do półfinałów jeszcze dwa tygodnie. Jasne, że dasz radę.

Zamieram, kiedy to słyszę. Ona dostrzega, że gapię się na nią i robi się naprawdę spięta. Wygładza włosy i obciąga spódnice, która podchodzi jej do talii. Potem macha do mnie.

- Hej, Sam - mówi. Znowu poprawia spódnice.

- Gadacie... - biorę głęboki oddech, żeby się nie jąkać jak jakaś idiotka. - Gadacie o półfinałach? W pływaniu?

- Tak - twarz Sary się rozjaśnia. - Przyjdiesz?

No dobra, może i trochę świruję, ale nie aż tak, żeby nie zauważyć, że to naprawdę głupie pytanie. Nigdy w życiu nie byłam na zawodach pływackich, a na siedzenie na oślizgłej, wykafelkowanej podłodze i oglądanie, jak Sarah Grundel pluska się w stroju kąpielowym, mam taką chęć jak na - nie przymierzając - makaron w Kuchni Hunan. Szczerze mówiąc, jedyna impreza sportowa, na którą uczęszczam, to bal absolwentów, a i tak po czterech latach nie rozumiem ani jednej reguły tej gry. Lindsay zazwyczaj przynosi butelkę czegoś mocniejszego dla nas czterech, żebyśmy mogli w ogóle jakoś podłapać nastrój.

- Nie wiedziałam, że zakwalifikowałaś się do turnieju. - Próbuję zachowywać się normalnie. - Słyszałam jakieś plotki... że niby kiedyś się spóźniłaś i trener wpadł w szałaś...

- Słyszałaś plotki? O mnie? - Oczywiście Sarah robią się wielkie i wygląda tak, jakby ktoś właśnie wręczył jej zwycięski los na loterii. Zdaje się, że wyznaje filozofię „lepiej, żeby mówili źle niż wcale”.

- Pewnie się przesłyszałam.

Przypominam sobie, że zaparkowała na trzecim miejscu od końca w Alei Seniorów, i czuję, jak moją twarz zalewa fala ciepła. Oczywiście, że się dziś nie spóźniła. Oczywiście, że nadal jest w turnieju. Nie musiała dziś iść pieszo z parkingu dla uczniów. Spóźniła się wczoraj.

Czuję pulsowanie krwi w głowie i chcę natychmiast wydostać się z budynku.

Hillary przygląda mi się badawczo.

- Wszystko w porządku? Strasznie zbladłaś.

- Tak, w porządku. Wczoraj zatrzymałam się sushi.

Opieram się o szafkę, żeby nie stracić równowagi. Sarah zaczyna paplać coś o tym, jak raz się zatrzymała w barze w centrum handlowym, ale ja już odchodzę i mam wrażenie, że korytarz zwija się i kurczy wokół mnie.

Déjà vu. To jedyne wyjaśnienie.

Jeśli coś się powtórzy dostatecznie dużo razy, to samemu można w to uwierzyć.

Jestem tak poruszona, że zapominam o Ally czekającej na mnie w łazience, w skrzydle budynku z salami nauk ścisłych. Wchodzę do ubikacji, zamykam klapę od sedesu i siadam na niej, słuchając jej paplaniny jednym uchem. Przypomina mi się coś, co powiedziała kiedyś pani Harbor, kiedy dała się ponieść jednej ze swoich szalonych dygresji: że Platon wierzył, iż cały świat - wszystko, co widzimy - to tylko cień na ścianie jaskini. Nie widzimy prawdziwych rzeczy, tych rzucających cienie. I tak się teraz czuję, jakby otaczały mnie cienie, jakbym widziała tylko odbicie rzeczy, a nie ją samą.

Coś wam powiem - kiedy całe życie rozpada wam się w drobny mak, nie wolno myśleć o następujących sprawach: (a) wariatkach uczących literatury, które nie potrafią trzymać się tematu, i (b) greckich filozofach.

- Halo! Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Ally uderza drzwiami, a ja podnoszę wzrok, spłoszona. Dostrzegam równanie $AC = GK$ nabazgrane na wewnętrznej stronie drzwi. Pod nim widnieje mały napis: „Wracaj do slumsów, jo!”.

- Powiedziałaś, że niedługo będziesz kupować biustonosze w dziale dla ciężarnych - odpowiadam automatycznie. Oczywiście tak naprawdę nie słuchałam. Przynajmniej nie tym razem.

Bezwiednie zastanawiam się, dlaczego Lindsay przyszła aż tutaj, żeby napisać coś na ścianie w łazience. Dlaczego to dla niej takie ważne? Napisała to samo ponad dziesięć razy w łazience naprzeciwko stołówki, gdzie chodzą wszyscy. Nawet nie wiem, z jakiego powodu tak nie lubi Anny, co przypomina mi także, że nie wiem, kiedy zaczęła nienawidzić Juliet Sykes. To dziwne, jak wiele można o kimś wiedzieć, nie wiedząc wszystkiego. A wciąż nam się wydaje, że kiedyś nadejdzie dzień, kiedy poznamy całą prawdę.

Wstaję i otwieram na oścież drzwi, wskazując na graffiti.

- Kiedy Lindsay to napisała? Ally przewraca oczami.

- To nie ona. To jakiś plagiat.

- Naprawdę?

- Mhm. Widziałam to też w szatni dla dziewczyn. Plagiat. - Związuje włosy w kucyk i zaczyna szczypać usta, żeby trochę nabrzmiały. - Beznadzieja. W tej szkole choćbyś nie wiem co zrobiła, to zawsze znajdzie się jakiś naśladowca.

- Beznadzieja. - Przebiegam palcami po napisie. Wykonano go niezmywalnym pisakiem, a grube, kręte litery przypominają robaki. Zastanawiam się przez moment, czy Anna też korzysta z tej łazienki.

- Powinniśmy wnieść sprawę o naruszenie praw autorskich. Wyobraź sobie. Dwadzieścia dolców od każdego, kto kradnie nasz styl. Tarzałybyśmy się w forsie. - Chichocze. - Miętówkę?

Ally podsuwa mi pudełko z dropsami. Choć jest jeszcze dziewicą - i pozostanie nią, przynajmniej w możliwej do przewidzenia przyszłości (albo póki nie pójdzie na studia), bo ma kompletnego fioła na punkcie Matta Wilde'a - z uporem maniaka bierze pigułki, które trzyma w foliowym woreczku, obok dropsów. Twierdzi, że musi to ukrywać przed ojcem, ale wszyscy wiedzą, że uwielbia niby mimochodem pokazywać je w czasie lekcji, żeby wszyscy myśleli, że uprawia seks. Nikt się na to nie nabiera. Nasze liceum jest na to za małe. Pewne rzeczy po prostu się wie.

Kiedyś Elody wyśmiewała się z Ally, że ta ma „ciążowy oddech”, i wszystkie umierałyśmy ze śmiechu. To było w trzeciej klasie. Wszystkie leżałyśmy na trampolinie przy basenie u Ally. Był sobotni poranek, po najlepszej z imprez, jakie do tej pory zorganizowała. Miałyśmy leciutkiego kaca, szumiało nam w głowach i byłyśmy napchane tyłoma omletami z bekonem, ile tylko dałyśmy radę w siebie wcisnąć w barze. Stan totalnego szczęścia. Leżałam sobie, a trampolina unosiła się i kołysała. Zamknęłam oczy, bo raziło mnie słońce, i chciałam, żeby ten dzień nigdy się nie skończył.

Rozległ się dzwonek i Ally zapiszczała:

- Och! Spóźnimy się.

Znowu poczułam kamień w żołądku. Coś podpowiadało mi, że powinnam przez cały dzień ukrywać się w łazience, ale oparłam się tej pokusie.

Wiem, że wiecie, co będzie dalej. Że się spóźnię na chemię. Że zajmę ostatnie miejsce obok Lauren Lornet. Że pan Tierney zrobi kartkówkę z trzema pytaniami.

A co najgorsze? Już widziałam tę kartkówkę, a i tak nie znam odpowiedzi.

Proszę o pożyczanie długopisu. Lauren zaczyna do mnie szeptać; pyta, czy wszystko w porządku. Podręcznik pana Tierneya spada na biurko z hukiem.

Wszyscy podskakują, prócz mnie.

Lekcja. Dzwonek. Lekcja. Dzwonek.

Wariuję. Po prostu wariuję.

Na matematyce odbieram róże roztrzęsionymi rękami. Biorę głęboki oddech, po czym otwieram małą, laminowaną kartkę przywiązaną do róży od Roba. Wyobrażam sobie, że będzie na niej napisane coś niewiarygodnego, coś zaskakującego, coś, co wszystko naprawi.

Jesteś piękna, Sam.

Jestem szczęśliwy, będąc z Tobą.

Sam, kocham Cię.

Delikatnie unoszę rożek kartki i zaglądam do środka. „Masz moje...”

Szybko zamykam kartkę i wkładam do torby.

- O rany. Piękna.

Podnoszę wzrok. Stoi przede mną dziewczyna przebrana za anioła i gapi się na różę, którą właśnie położyła mi na ławce. Z zachodzącymi na siebie kremowo-różowymi płatkami kwiat wygląda jak ozdoba na tort. Dziewczyna wciąż ma wyciągniętą rękę, jej skórę pokrywa siateczka cienkich, niebieskich żyłek.

- Zrób zdjęcie, to dłużej postoi - odszczekuję.

Robi się czerwona jak różę, które trzyma w ręku i mamrocze:

- Przepraszam.

Nawet nie mam zamiaru czytać kartki przywiązanej do tej róży i przez całą lekcję wlepiam wzrok w tablicę, żeby uniknąć jakiegokolwiek znaku od Kenta. Tak bardzo koncentruję się na tym, by na niego nie spojrzeć, że o mały włos nie zauważam, jak pan Daimler puszcza do mnie oko i się uśmiecha.

O mały włos.

Po lekcji Kent podchodzi do mnie, trzymając różowo-kremową różę, którą specjalnie zostawiłam na ławce.

- Zapomniałaś o czymś - mówi. Jak zawsze włosy zasłaniają mu jedno oko. - W porządku, możesz to powiedzieć na głos: Jestem wspaniały.

- Nie zapomniałam. - Desperacko próbuję na niego nie patrzeć. - Nie chcę jej.

Obrzucam go spojrzeniem i widzę, jak na sekundę z jego twarzy znika uśmiech. Ale za moment powraca, jak bumerang.

- Co masz na myśli? - Próbuje mi ją wręczyć. - Nikt ci nie powiedział, że im więcej dostaniesz róż na Dzień Kupidyna, tym bardziej jesteś popularna?

- Akurat w tej sprawie nie potrzebuję pomocy. A już na pewno nie od ciebie.

Jego uśmiech znika na dobre. Trochę nienawidzę się za to, co właśnie robię, ale nie mogę wymazać tego wspomnienia, a może snu, a może jeszcze czegoś innego; wspomnienia o tym, jak on nachyla się do mnie i wydaje mi się, że mnie pocałuje, jestem tego pewna, tymczasem on szepcze tylko:

- Przejrzałem cię na wylot.

- Nie znasz mnie. Nie wiesz o mnie zupełnie nic.

- Dzięki Bogu.

Wbijam paznokcie w dłoń.

- Kto powiedział, że to róża ode mnie - mówi tak niskim i poważnym głosem, że mnie to przeraża. Patrzę mu prosto w oczy. Są jasnozielone. Pamiętam, że jak byłam mała, mama powtarzała, że Bóg tą samą farbą pomalował trawę i oczy Kenta.

- Przecież to oczywiste. - Chcę tylko, żeby przestał na mnie patrzeć w ten sposób.

Kent bierze głęboki oddech.

- Słuchaj, dziś robię imprezę...

I wtedy widzę, jak Rob wbiega do stołówki. Zazwyczaj czekam, żeby mnie zauważył, ale dziś nie mogę.

- Rob! - krzyczę.

On odwraca się, niedbale macha do mnie i już chce się odwrócić.

- Rob! Czeka! - Biegnę za nim przez korytarz. To znaczy tak jakby biegnę, bo Lindsay, Ally, Elody i ja zawarłyśmy lata temu pakt, że nigdy nie będziemy biegać na terenie szkoły, nawet na wuefie (nie oszukujmy się, spocona i zdyszana dziewczyna nigdy nie wygląda atrakcyjnie).

- Heja, Strażaku Samie, gdzie się pali?

Rob obejmuje mnie, a ja zatapiam twarz w jego bluzie. Pachnie trochę starą pizzą - to nie najpiękniejszy zapach, zwłaszcza w połączeniu z balsamem cytrynowym - ale mam to gdzieś. Nogi tak mi się trzęsą, że boję się, że mnie zdradzą. Chcę po prostu stać tak w nieskończoność, wczepiona w niego.

- Tęskniłam za tobą - mówię, opierając czoło o jego klatkę piersiową.

Na sekundę Rob zaciska wokół mnie ramiona. Ale kiedy podnosi moją twarz do swojej, już się uśmiecha.

- Dostałaś mój Valogram? - pyta. Odpowiadam skinieniem głowy.

- Dzięki. - Czuję, jak ściska mnie w gardle, i chce mi się płakać. To takie wspaniałe, czuć jego ramiona wokół siebie, jakbym tylko dzięki niemu utrzymywała się w pionie. - Słuchaj, Rob, jeśli chodzi o dzisiejszy wieczór...

Nie jestem pewna, co chcę powiedzieć, ale on mi przerywa.

- Okej, co znowu?

Odsuwam się lekko, żeby móc na niego spojrzeć.

- Ja... chcę... Po prostu... dziś wszystko się sypie. Chyba będę chora... a może coś innego się wydarzy.

On śmieje się i ściska mi nos dwoma palcami.

- O nie. Nie wywiniesz się. - Zbliża usta do mojej skroni i szepcze: - Czekam na to od tak dawna.

- Wiem, ja też...

Tyle razy sobie to wyobrażałam: jak światło księżycy będzie muskało czubki drzew i wpadało przez okna, oświetlając trójkąty i kwadraty na ścianie; jak będę czuła miękki koc na skórze, kiedy się rozbiore.

A potem wyobrażam sobie chwilę zaraz po, kiedy Rob mnie całuje, mówi, że mnie kocha, i zasypia z półotwartymi ustami, a ja wymykam się do łazienki, żeby napisać esemesa do Elody, Lindsay i Ally: „Zrobiłam to”.

Tę środkową część najtrudniej mi jednak sobie wyobrazić.

W tylnej kieszeni brzeczy mi telefon, bo dostałam nową wiadomość. Czuję ukłucie w żołądku. Już wiem, jak będzie brzmiała.

- Masz rację - mówię do Roba, zaciskając wokół niego ramiona. - Może powinnam przyjść zaraz po szkole. Spędzimy razem całe popołudnie i noc.

- Jesteś słodka. - Rob odsuwa się, poprawia czapkę i plecak. - Ale moi starzy zmyją się dopiero po kolacji.

- Nieważne. Możemy obejrzeć film albo coś...

- Poza tym - Rob patrzy teraz przez ramię - słyszałem o jakiejś imprezie u tego... Jak mu tam? Ten koleś w meloniku. Ken?

- Kent - odpowiadam automatycznie. W korytarzu rośnie hałas i ludzie zaczynają nas mijać. Czuję na sobie ich wzrok. Pewnie liczą na to, że się pokłócimy.

- O właśnie, Kent. Mógłbym wpaść tam na chwilę. Możemy się tam spotkać?

- Naprawdę chcesz tam iść? - Próbuję opanować narastającą we mnie panikę. Zniżam głowę i patrzę na Roba spod rzęs, w sposób, który podpatrzyłam u Lindsay. Lindsay stosuje to spojrzenie, kiedy rozmawia z Patrickiem i strasznie czegoś chce. - Wtedy spędzisz mniej czasu ze mną.

- Będziemy mieć mnóstwo czasu. - Rob całuje koniuszki swoich palców i dwa razy dotyka mojego policzka. - Zaufaj mi. Czy kiedyś cię zawiodłem?

Dziś wieczorem mnie zawiedziesz. Ta myśl nachodzi mnie, nie mogę jej powstrzymać.

- Nie - mówię głośno. Ale Rob nie słucha. Dołączają do nas Adam Marshall i Jeremy Forker i wszyscy wykonują rytuał powitalny, polegający na wskakiwaniu na siebie i mocowaniu się. Czasem wydaje mi się, że Lindsay ma rację, kiedy mówi, że faceci są jak zwierzęta.

Wyciągam telefon, żeby przeczytać esemesa, choć przecież go znam.

„Impreza u Kenta McŚwirusa. Idziesz?”

Zdrętwiałymi palcami odpisuję: „Jasne”. Potem idę na lunch. Dźwięk trzystu głosów uderza we mnie z całą mocą, jak silny wiatr, który chce unieść mnie w górę, wyżej i wyżej.

Przed przebudzeniem

- I co? Denerwujesz się? - Lindsay unosi nogę i kołysze nią, podziwiając buty, które właśnie ukradła z szafki Ally.

Słychać, jak w salonie dudni muzyka. Ally i Elody na cały regulator wyśpiewują *Like a Prayer*. Ally muzyka nie przeszkadza. Razem z Lindsay leżymy na plecach na gigantycznym łóżku Ally. W jej domu wszystko jest o dwadzieścia pięć procent większe niż u normalnych ludzi: lodówka, skórzane fotele, telewizory, nawet wielkie butelki szampana, które jej tata trzyma w piwniczce na wino (pod żadnym pozorem nie wolno ich dotykać). Lindsay powiedziała kiedyś, że czuje się tu jak Alicja w Krainie Czarów.

Podkładam pod głowę wielką poduszkę z napisem „Suka wróciła”. Już wypilałam cztery szoty, bo myślałam, że mnie to uspokoi. W górze światła mrugają do mnie i zlewają się ze sobą. Otworzyłyśmy na oścież wszystkie okna, ale i tak oblewają mnie siódme poty.

- Nie zapominaj o oddychaniu - mówi Lindsay. - Nie świruj, jak będzie trochę bolało... szczególnie na początku. Nie spinaj się. Bo będzie gorzej.

Trochę mnie mdli, a Lindsay wcale mi nie pomaga. Przez cały dzień nie mogłam jeść, więc kiedy przyjechałyśmy, umierałam z głodu i wrębałam jakieś dwadzieścia pięć tostów z pesto i kozim serem, które zrobiła Ally. Nie wiem, czy kozie ser dobrze łączy się z wódką. A poza tym Lindsay wmusiła we mnie chyba siedem gum do żucia, bo pesto robi się z czosnkiem, i powiedziała, że Robowi będzie się wydawało, że traci dziewictwo z włoskim kucharzem.

Nie denerwuję się nawet aż tak Robem. To znaczy nie mogę się skupić na tym, by się nim denerwować. Na samą myśl o imprezie, jeździe samochodem i wszystkim, co może się tam wydarzyć, kurczy mi się żołądek. Przynajmniej dzięki wódce mogę oddychać i już się nie trzęsę.

Oczywiście nie mogę powiedzieć o tym Lindsay ani słowa.

- Przecież nie zeświruję. W końcu wszyscy to robią, no nie? Skoro Anna Cartullo może...

Lindsay robi zniesmaczoną minę.

- Blee. Cokolwiek robisz, nie ma to nic wspólnego z tym, co robi Anna Cartullo. Ty i Rob kochacie się.

Pokazuje palcami w powietrzu cudzysłów i chichocze, ale wiem, że nie żartuje.

- Tak myślisz?

- Oczywiście. - Odchyła głowę, żeby na mnie spojrzeć. - A ty? Chcę zapytać: Ale skąd wiesz, że jest jakaś różnica?

W filmach zawsze wiadomo, że ludzie mają być razem, bo muzyka w tle nagle robi się pompatyczna - to głupie, lecz proste. Lindsay zawsze powtarza, że nie mogłaby żyć bez Patricka, i nie jestem pewna, czy tak właśnie powinno się czuć.

Czasem, kiedy stoję z Robem pośrodku tłumu, a on obejmuje mnie ramieniem i przyciąga do siebie - jakby nie chciał, żeby ktoś na mnie wpadł albo czymś oblał - czuję w środku ciepło, jakbym właśnie wypila kieliszek wina, i jestem zupełnie szczęśliwa przez sekundę, jestem pewna, że to właśnie miłość.

Więc odpowiadam Lindsay:

- Oczywiście, że tak.

Lindsay znowu chichocze i szturcha mnie łokciem.

- No i? Zacisnął pięści i powiedział to?

- Co powiedział? Przewraca oczami.

- Że cię kocha.

Milczę o jedną sekundę za długo, myśląc o liściku. „Masz moje serce”. To coś, co wpisuje się komuś do pamiętnika, jak nie wiadomo, co napisać.

Lindsay nie czeka na moją odpowiedź.

- Powie to. Faceci są opóźnieni w rozwoju. Założę się, że dziś to powie. Zaraz po tym, jak... - zawiesza głos i porusza biodrami w przód i w tył.

Uderzam ją poduszką.

- Suka z ciebie, wiesz?

Warczy na mnie i szczyrzy zęby. Śmiejemy się i przez minutę leżymy w milczeniu, słuchając jak Elody i Ally wyją w pokoju obok. Teraz przeszły do *Total Eclipse of the Heart*. Dobrze mi, kiedy tak leżymy. Dobrze i normalnie. Myślę o wszystkich wieczorach, kiedy tak sobie leżałyśmy, dokładnie w tym miejscu, czekając, aż Elody i Ally wreszcie skończą się pacykować, czekając na wyjście, czekając, że coś się zdarzy - czas płynął i chwile przemijały, na zawsze. I nagle pragnę przypomnieć sobie każdy wieczór z osobna, jakby to, że mogłabym je sobie przypomnieć, miałyby je przywrócić.

- A ty się denerwowałaś? Za pierwszym razem? - Jestem trochę skrepowana tym pytaniem, więc zadaję je cicho.

Moje pytanie chyba zbija Lindsay z tropu. Rumieni się i zaczyna skubać frędzle przy narzucie na łóżku. Na chwilę zapada krępująca cisza. Jestem prawie pewna, że wiem, co myśli, choć nigdy nie powiedziałabym tego na głos. Lindsay, Ally, Elody i ja jesteśmy ze sobą tak blisko, jak to tylko możliwe, ale i tak istnieją rzeczy, o których nigdy nie mówimy. Na przykład, choć Lindsay twierdzi, że Patrick jest jej pierwszym i jedynym facetem, nie jest to do końca prawda z technicznego punktu widzenia. Tak naprawdę jej pierwszym facetem był ktoś, kogo spotkała na imprezie, kiedy odwiedzała swojego przyrodniego brata w Nowym Jorku. Palili trawę, wypili razem zgrzewkę piwa, poszli do łóżka, a on się nie zorientował, że to był jej pierwszy raz.

Nigdy o tym nie rozmawiamy. Nie rozmawiamy też o tym, że od Elody trzeba wyjść przed piątą, bo potem wraca jej mama, kompletnie pijana. Nie rozmawiamy o tym, że Ally zjada tylko jedną czwartą tego, co ma na talerzu, choć ma bzika na punkcie gotowania i bez końca może oglądać kanał Kuchnia TV.

Nie rozmawiamy o dowcipie, który przez lata ciągnął się za mną po korytarzach, w klasie i w autobusie, a nawet wplótł mi się w sny: „Co jest czerwone jak cegła i rozgrzane jak piec? Sam Kingston!”. A już na pewno nie rozmawiamy o tym, że to Lindsay go wymyśliła.

Dobry przyjaciel nie zdradzi twojego sekretu. Najlepszy przyjaciel dopilnuje, żebyś nie zdradził swojego sekretu.

Lindsay przewraca się na bok i opiera na łokciu. Zastanawiam się, czy wreszcie powie coś o tym gościu z Nowego Jorku. (Nawet nie wiem, jak miał na imię, a kiedy Lindsay kilka razy napomknęła o nim, nazwała go Tym, Którego Nie Należy Wspominać).

- Nie denerwowałam się - szepce. Potem bierze głęboki oddech, a jej twarz przecina szeroki uśmiech. - Byłam napalona, dziecinko. Teraz jestem napalona - mówi z brytyjskim akcentem, po czym wskakuje na mnie, udając, że mnie ujeżdża.

- Jesteś niemożliwa - mówię, spychając ją z siebie. Ze śmiechem spada z łóżka.

- Kochasz mnie. - Lindsay wstaje i rozdmuchuje kosmyki włosów spadające jej na twarz. Nachyla się i opiera łokcie na łóżku. Nagle poważnieje.

- Sam? - Otwiera szeroko oczy, a jej głos się obniża. Muszę usiąść, żeby ją usłyszeć, bo muzyka gra na fuli. - Mogę powierzyć ci tajemnicę?

- Jasne. - Serce zaczyna mi szybciej bić. Ona wie, co się ze mną dzieje. Z nią dzieje się to samo.

- Musisz mi obiecać, że nikomu nie powiesz. I przyrzeknij, że nie zaczniesz świrować.

Wie. Wie. To nie tylko ja. Nagle w głowie wszystko mi się rozjaśnia i wszystko wokół nabiera wyraźnych konturów. Czuję się zupełnie trzeźwa.

- Przyrzekam. - Ledwo słyhać moje słowa.

Nachyla się do mnie, a jej usta zbliżają się na dwa centymetry do mojego ucha.

- Ja...

A potem odwraca głowę i głośno beka mi prosto w twarz.

- Jezu, Lindz! - Odganiem powietrze sprzed twarzy dłonią. Lindsay wraca do poprzedniej pozycji, kopie nogami powietrze i śmieje się histerycznie. - Odbiło ci?

- Gdybyś mogła się zobaczyć.

- Czy ty kiedykolwiek bywasz poważna? - mówię półzartem, ale w całym ciele czuję zawód. Ona nie wie. Ona nie rozumie. To, co się dzieje, przydarza się tylko mnie. Ogarnia mnie uczucie całkowitej samotności, spowija mnie jak mgła.

Lindsay dotyka kącików oczu kciukami i skacze na równe nogi.

- Spoważnieję po śmierci.

To słowo jest jak nagły cios. Śmierć. Nieodwołalna, okropna, wkrótce. Ciepło, które czułam po wypiciu kilku szotów, nagle słabnie. Nachylam się, żeby zamknąć okno, bo cała się trzęsę.

Otwierają się czarne usta lasu. Twarz Vicky Hallinan...

Próbuję sobie wyobrazić, co się stanie, jeśli się okaże, że naprawdę odbiło mi na całego. Tuż przed ósmą lekcją stałam dwa metry od głównego biura - siedziby dyrektorki, pani Winters, i szkolnego psychologa - bo chciałam tam iść i powiedzieć, że wydaje mi się, że wariuję. Ale nagle rozległo się wielkie bum i na korytarz wpadła Lauren Lornet, pochlipując, pewnie z powodu kłótni z chłopakiem albo z rodzicami,

albo z jakiegoś innego, normalnego powodu. Nagle poszedł na marne cały mój wysiłek, wszystkie starania, aby nie odstawać od reszty.

Nagle wszystko zaczęło wyglądać zupełnie inaczej. Ja jestem inna.

- No to idziemy czy nie? - Elody wpada do pokoju, a za nią Ally. Obu brakuje tchu.

- Chodźmy. - Lindsay podnosi torbę i zawiesza ją na ramieniu. Ally chichocze.

- Dopiero w pół do dziesiątej - mówi - a Sam już wygląda, jakby miała puścić pawia.

Wstaję i czekam kilka sekund, żeby grunt przestał falować mi pod nogami.

- Zaraz wydobrzeję. Już w porządku.

- Kłamczucha - mówi Lindsay i uśmiecha się.

Impreza, ujęcie drugie

- Tak się zaczynają horrory - mówi Ally. - Jesteś pewna, że mieszka pod czterdziestym drugim?

- Jestem pewna. - Mój głos brzmi tak, jakby dobiegał z odległości. Znow wpadłam w silne kleszcze lęku. Czuję, jak zaciskają się wokół mnie, pozbawiając oddechu.

- Oby tylko te badyle nie porysowały mi lakieru - mówi Lindsay, kiedy gałęzie drapią drzwi od strony pasażera, wydając dźwięk paznokcia przesuwanego po tablicy.

Las się rozrzedza i w ciemności majaczy dom Kenta. Jest biały i jaśnieje, jakby wykuto go w lodzie. Wyłania się w taki sposób, otoczony ze wszystkich stron ciemnością, że przypomina mi się ta scena z *Titanica*, w której z oceanu wynurza się góra lodowa i rozbija statek na pół. Przez krótką chwilę milczymy. Kropelki deszczu rozpryskują się na przedniej szybie i na dachu, a Lindsay wyłącza iPoda. Z radia cichutko sączy się stara piosenka. Ledwo słyszę jej tekst: „Czuję to tak, jak ty czułaś to kiedyś... Dotknij mnie teraz i jeszcze raz”.

- Prawie taki duży jak twój dom, Al - mówi Lindsay.

- Prawie - mówi Ally. W jednej chwili ogarnia mnie fala czułości dla niej. Dla Ally, która lubi duże domy, drogie samochody, biżuterię od Tiffany'ego, buty na platformie i spray do ciała z brokatem. Dla Ally, która wcale nie jest najbystrzejsza, ale dobrze o tym wie i zazwyczaj zakochuje się w chłopakach, którzy nie dorastają jej do pięt. Dla Ally, która nie chce się przyznać do tego, że świetnie gotuje. Znam ją. Na wylot. Znam je wszystkie.

W domu Dujeous drze się z głośników: „Wszyscy DJ-e w mieście wpadli do tego domu! Masz coś do powiedzenia!? Powiedz do mikrofonu!”. Schody wiją mi się pod stopami. Kiedy wchodzimy na górę, Lindsay zabiera mi butelkę z wódką i się śmieje.

- Zwolnij, Wyścigowo. Masz sprawę do załatwienia.

- Sprawę? - zaczynam się śmiać. Wokół jest tyle dymu, że ledwo da się oddychać. - Myślałam, że mam się kochać?

- Twoja sprawa polega na tym, że masz się kochać. - Lindsay nachyla się, a jej twarz robi się okrągła jak księżyc w pełni. - Na chwilę odstaw wódkę, okej?

Czuję, że kiwam głową, a jej twarz się oddala. Rozgląda się badawczo.

- Muszę znaleźć Patricka. Dasz sobie radę?

- Bez problemu - mówię, próbując się uśmiechnąć. Nie wiem, co jest grane. Czuję się tak, jakby mięśnie na mojej twarzy nie reagowały. Lindsay już chce się odwrócić, kiedy łapię ją za nadgarstek.

- Lindz?

- Tak?

- Pójdę z tobą, okej?

Wzrusza ramionami.

- Jasne, jak chcesz. Patrick jest gdzieś na tyłach domu, właśnie przysłał esemesa.

Zaczynamy się przeciskać przez tłum, a Lindsay krzyczy do mnie:

- To jakiś labirynt!

Wszystko wokół zlewa się ze sobą - urywki rozmów i śmiechy, dotyk kurtek ocierających się o moją skórę, zapach piwa, perfum, żelu pod prysznic i potu. Wszystko łączy się i kręci wokół.

Ludzie wyglądają jak zjawy ze snu - znajomi, ale nie do końca, jakby w każdej chwili mogli przedzierzgnąć się w kogoś innego. Wydaje mi się, że śnię. To wszystko sen. Cały ten dzień jest snem, a kiedy się obudzę i powiem Lindsay, jak realny się wydawał i jak długo trwał, przewróci oczami i powie, że sny nigdy nie trwają dłużej niż trzydzieści sekund.

To zabawne, że myślę o tym, co powiem Lindsay - która ciągnie mnie za rękę i zniecierpliwiona odrzuca włosy - że tylko o niej śnię, że tak naprawdę jej tu nie ma. Zaczynam chichotać i się rozluźniam. To wszystko sen. Mogę zrobić, co zechcę. Mogę pocałować, kogo zechcę. Kiedy przechodzimy obok grupy chłopaków, odhaczam ich imiona w głowie - Adam Marshall, Rasan Lucas i Andrew Roberts - mogłabym się całować z każdym z nich, gdybym tylko chciała. Widzę, że w kącie stoi Kent i rozmawia z Phoebe Rifer i myślę: Mogłabym podejść i pocałować go w pieprzyk w kształcie serca pod okiem, a to i tak niczego by nie zmieniło. Nie wiem, skąd ten pomysł. Nigdy nie pocałowałabym Kenta, nawet we śnie. Ale mogłabym, gdybym tylko chciała. Gdzieś tam leżę pod ciepłą kołdrą na wielkim łóżku, otoczona poduszkami, z dłońmi złożonym pod głową, i śpię.

Nachylam się do Lindsay, żeby jej o tym powiedzieć - że śnię o wczorajszym dniu, a może i dzień wczorajszy był tylko snem - kiedy widzę Bridget McGuire, jak stoi w rogu i obejmuje w pasie Aleksa Limenta. Ona się śmieje, a on schyla się, żeby pocałować ją w szyję. Ona podnosi głowę dokładnie w tej chwili i widzi, że ich obserwuję. Potem bierze Aleksa za rękę i ciągnie w moją stronę, spychając z drogi innych ludzi.

- Ona będzie wiedziała - mówi do niego przez ramię, a potem odwraca się do mnie z uśmiechem. Jej zęby są tak białe, że jaśnieją. - Czy pani Harbor oddawała dziś prace domowe?

- Co? - jestem tak zbita z tropu, że dopiero po kilku sekundach zdaję sobie sprawę, że chodzi jej o zajęcia z literatury.

- Prace domowe. Na temat *Makbeta*. Bridget szturcha Aleksa, a on mówi:

- Nie poszedłem na siódmą lekcję.

Nasze oczy się spotykają, a on odwraca szybko wzrok, biorąc łyk piwa.

Nic nie mówię. Nie wiem, co powiedzieć.

- No to oddawała czy nie? - Bridget wygląda tak jak zawsze, jak szczeniak czekający na smakołyk.

- Alex nie mógł pójść. Był u lekarza. Mama kazała mu się zaszczepić przeciwko zapaleniu opon mózgowych czy coś w tym stylu. Ale bez sensu, co nie? W zeszłym roku zmarły na to cztery osoby. Prędzej przejedź cię auto niż...

- Powinien się zaszczepić przeciwko herpesowi - mówi Lindsay, śmiejąc się tak cicho, że słyszę to tylko ja, bo stoję tuż obok. - Ale pewnie i tak już za późno.

- Nie wiem - mówię do Bridget. - Byłam na wagarach.

Patrzę na Aleksa i czekam na jego reakcję. Nie jestem pewna, czy zauważył, że ja i Lindsay stałyśmy przed Kuchnią Hunan i gapiliśmy się na niego przez szybę. Nie wygląda mi na to.

Razem z Anną siedzieli obok siebie nad jakimś poszarzałym mięsem zastygającym w plastikowej misce, dokładnie tak, jak się spodziewałam. Lindsay chciała wejść do środka i zabawić się ich kosztem, ale zagroziłam, że jak tylko poczuję rozchodzący się w środku zapach mięsa i cebuli, obrzygam jej nowe buty od Steve'a Maddena.

Kiedy wracałyśmy z lodami, już ich nie było. Widziałyśmy ich tylko przez chwilę w Salonie Pałacy. Szli sobie, kiedy Lindsay zapalała papierosa. Alex cmoknął Annę w policzek i widziałyśmy, jak rozchodzą się w przeciwnych kierunkach: Alex do stołówki, a Anna do budynku, gdzie odbywały się zajęcia z plastyki.

Już od dawna ich nie było, kiedy razem z Lindsay minęłyśmy Nik Nazi w czasie codziennego obchodu. Dziś ich nie dorwała.

A Bridget nie wie, gdzie Alex naprawdę był w czasie siódmej lekcji.

Nagle wszystko zaczyna się logicznie układać - te lęki, które tłumiłam - jeden element po drugim, jak spadające na siebie klocki domino. Już nie mogę dłużej temu zaprzeczać. Sarah Grundel zaparkowała, bo my się spóźniłyśmy. Dlatego nadal startuje w półfinałach. Anna i Alex nie pokłócili się, bo przekonałam Lindsay, żebyśmy szły dalej. Dlatego też nie zostali przyłapani w Salonie Pałacy i dlatego Bridget uwiesiła się na Aleksie i nie beczy w łazience.

To nie sen. I to nie *déjà vu*.

To się naprawdę dzieje. To się znowu dzieje.

W tym momencie czuję, jak przez moje ciało przepływa fala zimna. Bridget paple coś o tym, że nigdy nie opuściła lekcji, a Lindsay przytakuje ze znudzoną miną. Alex pije piwo, a ja nie mogę złapać oddechu - strach zaciska się wokół mnie niczym imadło i wydaje mi się, że zaraz rozpadnę się na milion kawałeczków. Przeszywa mnie chłód. Chcę usiąść i włożyć głowę między kolana, ale boję się, że jak się ruszę albo zamknę oczy, albo zrobię cokolwiek innego, to zaraz się rozsypię - głowa odpadnie od szyi, szyja od ramion - a ja rozplnę się w nicość.

Czaszka odłączona od karku, kark odłączony od kręgosłupa...

Ktoś obejmuje mnie od tyłu i czuję na szyi usta Roba. Ale nawet on nie może mnie ogrzać. Nie mogę powstrzymać drżenia.

- *Sexy Sammy* - mówi śpiewnie, odwracając mnie do siebie. - Gdzie się podziewałaś przez całe moje życie?

- Rob. - Dziwię się, że jeszcze mogę mówić. Że mogę myśleć. - Naprawdę musimy pogadać.

- Co jest, dziecinko? - Ma zamglone, czerwone oczy. Może to wpływ strachu, ale niektóre rzeczy zdają mi się bardziej wyraziste niż kiedykolwiek, klarowniejsze. Zauważam po raz pierwszy, że blizna w kształcie półksiężyca na górnej wardze sprawia, że Rob przypomina trochę byka.

- Nie możemy tego zrobić tutaj. Musimy... musimy gdzieś iść. Do jakiegoś pokoju. Do zamkniętego pomieszczenia.

Szczerzy zęby i przywiera do mnie, a kiedy próbuje mnie pocałować, w jego oddechu czuję alkohol.

- Rozumiem. Chodzi ci o taką rozmowę.

- Mówię serio, Rob. Czuję się... - Kręcę głową. - Nie czuję się dobrze.

- Nigdy nie czujesz się dobrze. - Odpycha mnie od siebie i patrzy na mnie spod uniesionych brwi. - Zawsze masz jakiś problem, wiesz?

- O czym ty mówisz?

Rob kołysze się na nogach i przedrzeźnia mnie.

- Jestem dziś zmęczona. Moi rodzice są na górze. Twoi rodzice usłyszą. - Kręci głową. - Czekam na to od miesiący, Sam.

Czuję, jak do oczu napływają mi łzy. Cała głowa pulsuje mi od wysiłku, by nie dać im popłynąć.

- Nie o to chodzi, przysięgam, ja...

- To o co chodzi? - Krzyżuje ręce na piersi.

- Po prostu bardzo cię teraz potrzebuję. - Ledwo wydobywam z siebie słowa. Dziwię się, że w ogóle mnie słyszy.

Wzdycha i pociera czoło.

- Dobrze, dobrze. Przepraszam. - Rob kładzie mi dłoń na włosach.

Kiwam głową. Zaczynają mi płynąć łzy, a on kciukiem je wyciera.

- Pogadajmy, dobra? Pójdziemy w jakieś spokojne miejsce. - Potrząsa mi przed oczami pustym kubkiem po piwie. - Ale najpierw sobie doleję, pozwolisz?

- Tak, jasne - mówię, choć chcę go błagać, żeby ze mną został, żeby mnie objął i nie puszczał.

- Jesteś najlepsza - mówi i schyla się, żeby mnie pocałować w policzek. - Żadnych łez. Jesteśmy na imprezie, pamiętasz? Mamy się bawić. - Zaczyna się wycofywać i podnosi w górę dłoń z rozprostowanymi palcami. - Pięć minut.

Opieram się o ścianę i czekam. Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić. Mijają mnie ludzie, a ja spuszczaam włosy na twarz, żeby nikt nie widział, że nadal płyną mi łzy. Jest bardzo głośno, ale hałas dociera do

mnie z dużego dystansu. Słowa są zniekształcone, a muzyka brzmi jak w czasie karnawału, jakby wszystkie nuty spadły z pięciolinii i bezwładnie zderzały się ze sobą.

Mija pięć minut, a potem siedem. Po dziesięciu minutach mówię sobie, że poczekam jeszcze kolejne pięć, a potem pójdę go poszukać, choć pomyśl, żeby się ruszyć, wydaje mi się niemożliwy do realizacji. Po dwunastu minutach wysyłam mu wiadomość: „Gdzie jesteś?” Ale przypominam sobie, że wczoraj mówił, że gdzieś posiał telefon.

Wczoraj. Dzisiaj.

Tym razem nie wyobrażam sobie, że śnię. Tym razem wyobrażam sobie, że leżę wyciągnięta na zimnym, kamiennym bloku, mam mlecznobiałą skórę, sine usta i ręce skrzyżowane na piersiach, jakby ktoś je ułożył...

Biorę głęboki oddech i zmuszam się do myślenia o czymś innym. Liczę lampki choinkowe otaczające plakat z filmu *E.T.* wiszący nad kanapą, a potem liczę żarzące się na jasnoczerwono końcówki papierosów, które krążą w półmroku jak świetliki. Nie jestem fanką matematyki, ale zawsze lubiłam liczby. Podobają mi się to, że można je ustawiać w szeregi, jedną za drugą, póki nie wypełnią całej przestrzeni, w każdej chwili. Powiedziałam o tym kiedyś moim przyjaciółkom, a Lindsay stwierdziła, że kiedyś zostanę starszką, która zapamiętuje numery z książki telefonicznej, przechowuje w domu zgniecione pudełka po płatkach kukurydzianych i gazety poukładane w stosy sięgające sufitu, a w kodach kreskowych doszukuje się tajnych informacji z kosmosu.

Ale kilka miesięcy później, kiedy spałam u niej, wyznała mi, że czasem, kiedy jest jej źle, odmawia katolicką modlitwę, której nauczyła się w dzieciństwie, choć jest w połowie Żydówką i nawet nie wierzy w Boga.

Gdy mnie sen ogarnie, Panie,

Niechaj chroni mnie Twe ramię.

Jeśli we śnie umrzeć muszę,

Błagam, Panie, weź mą duszę.

Kiedyś przeczytała tę modlitwę wyszytą na poduszce w domu swojej nauczycielki gry na fortepianie i śmiałyśmy się, że wyszywane poduszki to taka wiocha. Ale tamtej nocy, póki nie zasnęłam, wciąż słyszałam w głowie tę modlitwę. W kółko słyszałam tę jedną linijkę: „Jeśli we śnie umrzeć muszę”.

Już mam oderwać się od ściany, kiedy słyszę imię Roba. Dwie drugoklasistki weszły właśnie do pokoju, chwiejąc się i chichocząc. Próbuje zrozumieć, co do siebie mówią.

- ... drugą w ciągu dwóch godzin.

- Nie, to Matt Kessler wypił pierwszą.

- Obaj wypili.

- A widziałas Aarona Sterna, jak go trzyma nad beczką? Zupełnie do góry nogami.

- O to chodzi w tej zabawie, no nie?

- Rob Cokran jest śliczny.

- Ciii. O Boże.

Na mój widok jedna z dziewczyn szturcha drugą łokciem. Blednie. Musi być przerażona: mówiła o moim chłopaku (wykroczenie), a konkretnie, że jest śliczny (zbrodnia). Gdyby była tu Lindsay, dostałaby szału, zwyzywałaby je od dziwek i kazała wywalić z imprezy. Gdyby tu była, oczekiwałaby ode mnie, że dostanę szału. Lindsay uważa, że dzieci z niższych klas - szczególnie dziewczyny z drugiej klasy - trzeba usadzić. W przeciwnym razie opanują wszechświat jak karaluchy, osłonięte pancerzem z biżuterii od Tiffany'ego i wysmarowane błyszcznikiem do ust, żeby ochronić się przed atakiem nuklearnym.

Nie mam siły na awantury i cieszę się, że nie ma ze mną Lindsay, która pewnie by mi za to nawrzucała. Mogłam się spodziewać, że Rob nie wróci. Myślę o tym, co dziś powiedział - że mogę mu zaufać i że mnie nie zawiedzie. Trzeba było mu powiedzieć, żeby się wypchał.

Muszę stąd wyjść. Chcę być z dala od dymu i muzyki. Potrzebuję miejsca, gdzie będę mogła pomyśleć. Wciąż mi zimno i jestem pewna, że wyglądam fatalnie, choć już nie chce mi się płakać. Oglądaliśmy kiedyś na biologii film instruktażowy o objawach szoku i ja w tej chwili mam je wszystkie, jak w podręczniku. Trudności z oddychaniem. Zimne, zgrabiące dłonie. Zawroty głowy. Wiem o tym i jest mi coraz gorzej.

Co dowodzi, że nigdy nie powinno się uważać na biologii.

Do obu łazienek jest kolejka i wszystkie pokoje są pełne ludzi. Jest jedenasta i są już wszyscy, którzy mieli przyjść. Kilka osób wymawia moje imię, a Tara Flute patrzy mi prosto w twarz i mówi:

- O Boże, ale masz super kolczyki. Kupiłaś je w...

- Nie teraz. - Przerwywam jej i idę dalej, szukając desperacko jakiegoś cichego i ciemnego miejsca.

Po lewej widzę zamknięte drzwi, to te wyklejone naklejkami na zderzak. Chwytam za klamkę i potrząsam, ale oczywiście nie otwierają się.

- To pokój dla VIP-ów.

Odwracam się. Za mną stoi Kent i się uśmiecha.

- Trzeba być na liście - opiera się o ścianę. - Albo zapłacić bramkarzowi dwie dychy. Do wyboru.

- Szukam... szukam łazienki.

Kent ruchem głowy wskazuje na drugi koniec korytarza, gdzie Ronica Masters, oczywiście pijana, wali pięścią w drzwi.

- Szybciej, Kristen! - krzyczy - Naprawdę chce mi się sikać. Kent odwraca się do mnie i unosi brwi.

- Mam pecha - mówię i próbuję przejść obok niego.

- Wszystko w porządku? - Kent mnie nie dotyka, ale unosi rękę, jakby chciał. - Wyglądasz.

- W porządku.

Ostatnia rzecz, jakiej teraz mi potrzeba, to litość Kenta McFullera. Idę przez korytarz.

Chcę wyjść na ganek i stamtąd zadzwonić do Lindsay - powiem jej, że chcę natychmiast wyjść, że muszę wyjść - ale Elody wtacza się na korytarz i rzuca na mnie.

- Gdzieś ty się podziewała? - chrypi i całuje mnie. Jest cała spocona i przypomina Izzy, kiedy ta wdrapuje się na moje łóżko i mnie obejmuje, chwytając mój łańcuszek. Nie powinnam była dziś wychodzić spod kołdry.

- Niech zgadnę, niech zgadnę. - Elody wciąż mnie obejmuje i zaczyna poruszać rytmicznie biodrami, jakbyśmy obściskowały się na parkiecie. Wywraca oczami i zaczyna jęczeć.

- Och, Rob! Och, Rob! O tak. Właśnie tak.

- Jesteś zboczona. - Odpycham ją od siebie. - Jesteś gorsza niż Shaw.

Śmieje się, chwytając mnie za rękę i ciągnie do tylnego pokoju.

- Chodź. Wszyscy tam są.

- Muszę iść - mówię. Tu muzyka gra znacznie głośniej i muszę krzyczeć. - Źle się czuję.

- Co?

- Źle się czuję!

Wskazuje na ucho, jakby chciała powiedzieć, że nic nie słyszy. Nie wiem, czy nie udaje. Ma wilgotne dłonie, próbuję ją odepchnąć, ale w tym momencie dostrzegają mnie Lindsay i Ally, które zaczynają piszczeć i podskakiwać wokół mnie.

- Całe wieki cię szukałam - mówi Lindsay, wymachując paczką papierosów.

- Chyba u Patricka w ustach - prychna Ally.

- Była z Robem - Elody wskazuje na mnie, kołysząc się na nogach. - Patrzcie na nią. Wygląda na winną.

- Lafirynda! - pieje Lindsay.

- Puszczalska! - przyłącza się Ally.

- Rozpustnica! - wrzeszczy Elody.

To taki nasz stary dowcip. W zeszłym roku Lindsay stwierdziła, że słowo „dziwka” nam się znudziło.

- Idę do domu - mówię. - Nie musisz mnie odwozić, poradzę sobie.

Lindsay myśli chyba, że sobie żartuję.

- Do domu? Dopiero co przyjechałyśmy, jakąś godzinę temu. - Nachyla się do mnie i szepcze: - Poza tym myślałam, że ty i Rob macie zamiar... no wiesz. - Jakby przed chwilą wcale nie obwieściła wszem i wobec, że właśnie to zrobiliśmy.

- Zmieniłam zdanie. - Z całych sił próbuję powiedzieć to tak, jakby mi w ogóle nie zależało, co mnie zupełnie wyczerpuje. Jestem zła na Lindsay, choć nawet nie wiem za co - pewnie za to, że nie chce uciec z imprezy razem ze mną. Jestem zła na Elody za to, że mnie tu przyciągnęła, i na Ally za to, że niczego nie jarzy. Jestem zła na Roba, który ma w nosie to, że źle ze mną, i na Kenta za to, że go to obchodzi. Jestem zła na wszystkich i wszystko i w tym momencie wyobrażam sobie, że od papierosa, którym wymachuje Lindsay, zapalają się zasłony, a ogień roznosi się po pokoju i pochłania wszystkich. I nagle

czuję się winna. Brakuje tylko tego, żebym zamieniła się w jedną z tych odklejonych panien, które zawsze ubierają się na czarno, a w zeszytach rysują tylko karabiny i bomby.

Lindsay gapi się na mnie, jakby wiedziała, o czym myślę. Nagle zdaję sobie sprawę, że patrzy ponad moim ramieniem. Elody robi się czerwona. Ally otwiera i zamyka usta, jak ryba. Nagle hałas imprezy cichnie, jakby ktoś zatrzymał nagle płytę.

Juliet Sykes. Wiem to, ale i tak jestem zdziwiona, kiedy ją widzę. Nadal nie mogę w to uwierzyć.

Ładnie wygląda.

Kiedy widziałam ją dziś, jak sunie przez stołówkę, wyglądała jak zawsze, z włosami zwisającymi wokół twarzy, w workowatym ubraniu, skurczona, jakby mogła być kimkolwiek, gdziekolwiek, jak duch lub cień.

Ale teraz stoi wyprostowana, ze związanymi włosami i błyskiem w oku.

Idzie przez pokój w naszą stronę. Robi mi się sucho w ustach. Chcę powiedzieć „nie”, ale nim zdążę to zrobić, już stoi przed Lindsay. Widzę, jak porusza ustami, ale dopiero po kilku sekundach dociera do mnie, co mówi, jakby jej głos dochodził spod wody.

- Jesteś suką.

Wszyscy szepczą, gapiąc się na naszą małą grupkę: na mnie, Lindsay, Elody, Ally i Juliet Sykes. Czuję, że płoną mi policzki. Wszyscy mówią coraz głośniejsze.

- Co powiedziałaś? - mówi Lindsay przez zaciśnięte zęby.

- Suką. Złośliwą zdzirą. Wstrętną babą. - Juliet zwraca się do Elody. - Jesteś suką. - Do Ally. - Jesteś suką. - Wreszcie jej wzrok pada na mnie. Ma oczy koloru nieba. - Jesteś suką.

Głosy zamieniają się teraz w ryk. Wszyscy się śmieją i krzyczą.

- Psychol!

- Nie znasz mnie - wyrzucam z siebie wreszcie, kiedy wraca mi głos, ale Lindsay już mnie minęła i przekrzyczała.

- Wolę być suką niż psycholem - syczy i kładzie dłonie na ramionach Juliet, popycha ją. Juliet traci równowagę i wymachuje ramionami, a wszystko to zdaje się tak straszne i tak znajome. To się znowu dzieje. To się naprawdę dzieje. Zamykam oczy. Chcę się modlić, ale w głowie słyszę tylko jedno słowo: Dlaczego? Dlaczego, dlaczego, dlaczego?

Kiedy otwieram oczy, Juliet idzie w moją stronę, cała mokra, z wyciągniętymi rękami. Patrzy na mnie i przysięgam na Boga, wygląda, jakby wszystko wiedziała, jakby przejrzała mnie na wylot, jakby to wszystko z jakiegoś powodu była moja wina. Czuję się, jakbym dostała pięścią w brzuch i zeszło ze mnie całe powietrze. Niewiele myśląc, rzucam się na nią, popycham ją, a ona pada do tyłu. Wpada na regał, a potem odrywa się od niego i opiera się o framugę drzwi. W końcu wymyka się na korytarz.

- Nie wierzę! - ktoś skrzeczy mi za plecami.

- Juliet Sykes ma jaja.

- Kompletnie jej odwaliło, człowieku.

Wszyscy się śmieją, a Lindsay nachyla się do Elody i mówi:

- Powalona.

Ally chichocze, a w ręku wisi jej butelka wódki, teraz już zupełnie pusta. Pewnie resztkę wylała na Juliet.

Zaczynam przedzierać się do wyjścia. Wydaje się, że do pokoju weszło więcej osób i niemal nie sposób się poruszyć. Muszę się naprawdę rozpychać łokciami, a wszyscy posyłają mi dziwne spojrzenia. Mam to gdzieś. Chcę wyjść.

Wreszcie docieram do drzwi, w których stoi Kent i gapi się na mnie z zaciśniętymi ustami. Przesuwa się, jakby chciał mi zagrodzić drogę.

Podnoszę rękę.

- Nawet o tym nie myśl - warczę.

Bez słowa przesuwa się, a ja przeciskam się obok niego. Kiedy jestem już w połowie korytarza, słyszę, jak krzyczy za mną:

- Dlaczego!?

- Bo tak! - odkrzykuję. Ale tak naprawdę zadaję sobie dokładnie to samo pytanie.

Dlaczego to mi się przytrafia? Dlaczego, dlaczego, dlaczego?

- Niby czemu to Sam zawsze siedzi z przodu?

- Bo ty zawsze tak się spijesz, że nie dobiegasz na czas.

- Nie wierzę, że tak po prostu dałaś nogę przed Robem - mówi Ally. Naciągnęła kołnierz kurtki po same uszy. W aucie Lindsay jest tak zimno, że nasze oddechy zamieniły się w gęstą, białą parę. - Jutro będziesz miała przez to same problemy.

Mam na końcu języka: Jeśli nadejdzie jutro. Wysłałam z imprezy bez pożegnania z Robem, który leżał wyciągnięty na sofie z półprzymkniętymi oczami. Wcześniej na pół godziny zamknęłam się w łazience na pierwszym piętrze i siedziałam na zimnej, twardej krawędzi wanny, słuchając, jak muzyka pulsuje przez ściany i sufit. Lindsay przekonała mnie, żebym pomalowała usta na jaskrawoczerwono, a kiedy popatrzyłam w lustro, zobaczyłam, że szminka całkiem się rozmazała i że wyglądam jak klaun. Starłam ją powoli zwiniętymi w kulkę chusteczkami higienicznymi, które wrzuciłam do muszli klozetowej, gdzie unosiły się jak małe, różowe kwiaty.

W pewnym momencie mózg po prostu przestaje logicznie myśleć. W pewnym momencie daje za wygraną, wyłącza się, dłużej nie działa. I tak jednak ogarnia mnie strach, kiedy Lindsay nawraca, wjeżdżając na trawnik wokół domu. Opony grzęzną w błocie.

Białe drzewa grzechoczą jak kości, gdy tańczą dziko na wietrze. Deszcz tłucze w dach samochodu, a woda zalewająca szyby sprawia, że świat zdaje się rozpadać na kawałki. Zegar na desce rozdzielczej pokazuje godzinę 12:38.

Moje ręce zaciskają się na siedzeniu, kiedy Lindsay pędzi drogą dojazdową, a gałęzie chłoszczą samochód po obu stronach.

- Nie boisz się, że porysujesz lakier? - mówię, a serce wali mi w klatce piersiowej. Wmawiam sobie, że wszystko w porządku, że nic mi nie jest, że nic się nie wydarzy. Ale wcale mi to nie pomaga.

- Leję na to - odpowiada. - Auto i tak już jest rozwalone. Widziałaś zderzak?

- Może powinnaś przestać wjeżdżać w zaparkowane samochody? - mówi Elody z kpina.

- Może gdybyś miała auto. - Lindsay zdejmuję jedną rękę z kierownicy i sięga po torbę, która leży u moich stóp. Chwieje się i przekręca kierownicę, a auto skręca trochę w stronę lasu. Ally ślizga się po tylnym siedzeniu i wpada na Elody, obie zaczynają się śmiać.

Sięgam ręką i próbuję chwycić kierownicę.

- Jezu, Lindz.

Lindsay siada prosto i odpycha mnie łokciem. Rzuca mi gniewne spojrzenie, a potem zaczyna szamotać się z paczką papierosów.

- Co z tobą?

- Nic, ja tylko... - patrzę przez okno, próbując powstrzymać łzy, które nagle napływają. - Po prostu proszę cię, żebyś uważała, to wszystko.

- Tak? A ja cię proszę, żebyś nie dotykała kierownicy.

- Dajcie spokój, bez kłótni - uspokaja Ally.

- Daj fajkę, Lindz. - Elody prawie leży na tylnym siedzeniu i dziko wymachuje ręką.

- Pod warunkiem że też mi odpalisz - mówi Lindsay i rzuca paczkę na tylne siedzenie. Elody zapala dwa papierosy i podaje jednego Lindsay. Lindsay otwiera okno i wypuszcza przez nie obłok dymu. Ally piszczy.

- Proszę, proszę, nie otwieraj okna. Zaraz umrę na zapalenie płuc.

- Zaraz umrzesz, jak ja cię zabiję - mówi Elody.

- Gdybyście miały umrzeć - wypalam - to w jaki sposób?

- Ja nie planuję umrzeć - mówi Lindsay.

- Mówię serio. - Moje dłonie są wilgotne od potu i wycieram je o pokrowiec siedzenia.

- We śnie - mówi Ally.

- Jedząc lasagne mojej babci - mówi Elody, a potem robi pauzę i dodaje. - Albo w czasie seksu. - Na co Ally reaguje piskliwym śmiechem.

- W samolocie - mówi Lindsay. - Jeśli mam umrzeć, to chcę, żeby wszyscy umarli razem ze mną. - Ręką pokazuje upadek samolotu.

- Myślicie, że jakoś się o tym dowiecie? - Nagle wydaje mi się, że koniecznie trzeba o tym porozmawiać. - To znaczy myślicie, że coś przeczujecie... zanim to nastąpi?

Ally siada prosto, nachyla się i owija ramiona wokół oparcia naszych siedzeń.

- Któregoś dnia mój dziadek się obudził i przysięgał na wszystkie świętości, że zobaczył ubranego na czarno faceta u stóp łóżka. Faceta w wielkim kapturze, bez twarzy, który trzymał miecz czy coś takiego.

To była Śmierć, wiecie? I tego samego dnia dziadek poszedł do lekarza, który stwierdził u niego raka trzustki. Tego samego dnia.

Elody przewraca oczami.

- Ale przecież nie umarł.

- Ale mógł.

- Bez sensu ta historia.

- Możemy zmienić temat? - Lindsay hamuje na sekundę, po czym wpada samochodem na moką, śliską drogę. - To takie przytłaczające.

- O Boże, jakie trudne słowo - chichocze Ally.

Lindsay wykręca szyję i próbuje dmuchnąć Ally dymem w twarz.

- Nie wszyscy mamy słownictwo na poziomie dwunastoletniego dziecka.

Lindsay skręca w autostradę numer 9, która rozciąga się przed nami jak długi, srebrny język. Zdaje mi się, że w piersi trzepece mi koliber - wznosi się i wznosi, aż z trzepotem skrzydeł podlatuje mi do gardła.

Chcę wrócić do tego, co mówiłam - chcę powiedzieć: Przeczułybyście, prawda? Przeczułybyście, że to się stanie - ale Elody odpycha Ally i nachyla się do nas, z papierosem zwisającym z ust, i oznajmia triumfalnie:

- Muzyka! - Bierze iPoda.

- Zapięłaś pas? - pytam mimowolnie. Wszędzie teraz czai się przerażenie, osacza mnie, wyciska ze mnie ostatni oddech i myślę: Jeśli nie zaczniesz oddychać, umrzesz. Czas płynie nieubłaganie, zegar pokazuje 12:39.

Elody nawet nie odpowiada, po prostu przegląda zawartość iPoda. Odnajduje *With or Without You*, a Ally daje jej kuksańca, mówiąc, że to jej kolej, żeby wybrać piosenkę. Lindsay każe im przestać się bić i próbuje zabrać Elody iPoda, puszczając kierownicę i podtrzymując ją tylko kolanem. Znowu ją chwytam, a ona krzyczy:

- Puść to! - I się śmieje.

Elody wytrąca Lindsay z ręki papierosa, który ląduje jej na udach. Opony ślizgają się trochę na mokrej drodze, a samochód wypełnia swąd spalenizny.

Jeśli nie zaczniesz oddychać...

Nagle przed nami błyska jasne, białe światło. Lindsay coś krzyczy, ale nie rozumiem co - coś jakby szajs albo stój, albo zjazd - i nagle...

Cóż.

Już wiecie, co się stało potem.

ROZDZIAŁ 3

W moim śnie spadam bez końca w ciemność.

Spadam, spadam, spadam.

Czy to nadal spадanie, jeśli nie ma końca?

A potem krzyk. Wrzask rozdziera martwą ciszę, jakieś okropne, wysokie wycie, jak zwierzę, albo budzik...

Biiipbiiipbiiipbiiipbiiip!

Budzę się, a krzyk więźnie mi w ustach.

Wyłączam budzik, cała się trzęsę, leżąc na poduszkach. Pali mnie w gardle i jestem mokra od potu. Powoli i głęboko oddycham. Pokój się rozświetla, kiedy słońce toruje sobie drogę nad horyzontem centymetr po centymetrze. W coraz jaśniejszym blasku zaczynam dostrzegać wokół różne przedmioty: bluzę Victorias Secret leżącą na podłodze, kolaż, który wiele lat temu zrobiła dla mnie Lindsay, z cytataми z naszych ulubionych piosenek i zdjęciami wyciętymi z czasopism. Nasłuchuję dźwięków dochodzących z dołu, tak znajomych i jednostajnych, że zdają się częścią domu, jakby nasączono nimi ściany niegdyś, kiedy powstawał: słyszę stukanie naczyń ustawianych przez tatę; odgłos dzikiego drapania naszego mopsa Pickle'a, który próbuje wyjść z domu tylnymi drzwiami, pewnie żeby się wysikać i pobiegać w kółko; niski pomruk dobiegający z telewizora, co oznacza, że mama ogląda poranne wiadomości.

Kiedy jestem gotowa, wciągam głęboki oddech i sięgam po telefon. Otwieram klapkę.

Wyskakuje data.

Piątek 12 lutego.

Dzień Kupidyna.

- Wstawaj, Sammy - Izzy wsuwa głowę przez drzwi. - Mama mówi, że się spóźnisz.

- Powiedz mamie, że jestem chora. - Blond czupryna Izzy znika.

Pamiętam tylko, że siedzę w samochodzie. Pamiętam, że Elody i Ally biją się o iPoda. Pamiętam dzikie wirowanie kół i twarz Lindsay, kiedy samochód szybuje w las, jej otwarte usta i brwi uniesione w wyrazie zdziwienia, jakby właśnie wpadła na jakiegoś znajomego w miejscu, w którym nie spodziewała się go spotkać. Ale potem?

Nic.

Potem tylko sen.

Dopiero w tej chwili po raz pierwszy przychodzi mi na myśl... Po raz pierwszy dopuszczam do siebie tę myśl. Że może wypadki - oba - zdarzyły się naprawdę. I może ich nie przeżyłam.

Może w chwili śmierci czas otacza cię ze wszystkich stron, a ty objasz się w nieskończoność w tym małym pęcherzyku. Może życie po śmierci to jakby wersja *Dnia Świstaka*. Nie tak sobie wyobrażałam śmierć - nie wyobrażałam sobie, że nastąpi coś takiego. Ale kto miał mnie o tym uprzedzić?

Powiedz szczerze: Czy zdziwiło cię, że nie zorientowałam się wcześniej? Zdziwiło cię, że aż tyle czasu potrzebowałam, aby wreszcie przyszło mi do głowy słowo „śmierć”? „Umieranie”? „Martwa”?

Myślisz, że byłam głupia? Naiwna?

Spróbuj mnie nie osądzać. Pamiętaj, jesteśmy tacy sami, ty i ja. Mnie też się wydawało, że będę żyć wiecznie.

- Sam? - Teraz w drzwiach stoi mama. Otwiera drzwi na oścież i opiera się o framugę. - Izzy mówiła, że źle się czujesz.

- Chyba... chyba mam gripę albo coś w tym stylu. - Wiem, że wyglądam jak wypluta, więc brzmi to dość wiarygodnie.

Mama wzdycha, jakbym z premedytacją robiła niepotrzebne problemy.

- W każdej chwili może przyjechać Lindsay.

- Nie sędzę, żebym była w stanie dziś iść do szkoły. - Na samą myśl o szkole mam ochotę zwinąć się w kłębek i zasnąć na zawsze.

- W Dzień Kupidyna? - Mama unosi brwi. Rzuca okiem na obszuty futrem podkoszulek, ułożony pieczołowicie na krześle przy biurku. To jedyna część mojej garderoby, która nie leży gdzieś w nieładzie na podłodze albo nie zwisa z ramy łóżka czy kłamki. - Coś się stało?

- Nie, mamo. - Próbuję połknąć węzeł w gardle. Najgorsze, że nie mogę nikomu powiedzieć, co się ze mną dzieje, czy raczej, co się ze mną stało. Nawet mamie. Chyba od lat nie rozmawiałam z nią o poważnych sprawach, ale zaczynam tęsknić za czasami, kiedy wierzyłam, że ona potrafi rozwiązać każdy problem bez wyjątku. To zabawne, prawda? Jak się jest młodym, to chce się być starszym, a potem tak bardzo chce się wrócić do czasów dzieciństwa.

Mama wpatruje się intensywnie w moją twarz. Czuję, że w każdej chwili mogę się rozkleić i palnąć coś głupiego, więc odwracam się na drugi bok i wbijam wzrok w ścianę.

- Przecież uwielbiasz Dzień Kupidyna - mówi mama zachęcająco. - Na pewno nic się nie stało? Nie pokłóciłaś się z koleżankami?

- Nie. Oczywiście, że nie.

Waha się.

- Pokłóciłaś się z Robem?

Chce mi się śmiać. Przypominam sobie, jak na imprezie u Kenta kazał mi na siebie czekać na górze, i prawie wrywa mi się: Jeszcze nie.

- Nie, mamo. Boże.

- Nie mów do mnie tym tonem. Próbuję ci pomóc.

- No jasne, ale nie pomagasz.

Nawet się nie odwracam, tylko wchodzę jeszcze głębiej pod kołdrę. Słyszę szelest i wydaje mi się, że mama podejdzie i siądzie obok mnie. Tak się jednak nie dzieje. Gdy byłam w pierwszej klasie liceum, po wielkiej kłótni z mamą tuż za progiem mojego pokoju namalowałam czerwonym lakierem do paznokci

linię i zapowiedziałam jej, że jeśli kiedykolwiek ją przekroczy, to się już do niej więcej nie odezwę. Lakier już prawie się starł, ale w niektórych miejscach widać jeszcze resztki. Wyglądają jak krople krwi.

Wtedy właśnie tego chciałam, miałam jednak nadzieję, że mama wkrótce o tym zapomni. Ale od tamtego dnia jej noga nie stanęła w moim pokoju. Trochę szkoda, bo już nie sprawia mi niespodzianek, zmieniając pościel albo zostawiając poskładane pranie, albo kładąc nową letnią sukienkę na łóżku, jak zwykła robić, kiedy jeszcze byłam w gimnazjum. Ale przynajmniej mam pewność, że nie myszkuję w moich szufladach, kiedy jestem w szkole, szukając narkotyków albo wibratora, albo czegoś podobnego.

- Jak wyjdiesz z pokoju, to przyniosę termometr - mówi.

- Chyba nie mam gorączki.

W ścianie jest wyrwa w kształcie owada. Zasłaniam ją, przyciskając kciuk do ściany.

Niemal widzę, jak mama kładzie dłonie na biodrach.

- Słuchaj, Sam. Wiem, że to już drugi semestr. I wiem, że wydaje ci się, że to daje ci prawo do nieróbstwa...

- Mamo, nie o to chodzi. - Zagrzebuję twarz w poduszkach. Chce mi się krzyczeć. - Mówiłam, źle się czuję.

Trochę się boję, że zapyta, co ze mną nie tak, a trochę mam nadzieję, że to zrobi. Mówi tylko:

- Dobra, powiem Lindsay, że przyjdiesz później. Może poczujesz się lepiej, jak jeszcze sobie pośpisz.

Nie sędzę.

- Może - odpowiadam i w sekundę później słyszę, jak drzwi zatrząskują się za nią.

Zamykam oczy i próbuję wrócić do tych ostatnich chwil, ostatnich wspomnień...

Wyraz zdziwienia na twarzy Lindsay i drzewa podświetlone od dołu, przypominające kły, dziki warkot silnika - szukam światła, nitki, która połączy mnie z tamtą chwilą i za pomocą której pozszywam do kupy ostatnie dni, żeby razem nabrały sensu.

Ale widzę tylko ciemność.

Nie potrafię powstrzymać łez. Cisną mi się do oczu i po chwili łkam, obsmarkując moje najlepsze poduszki, kupione w markowym sklepie. Później słyszę drapanie w drzwi. Pickle ma niezwykły psi zmysł, dzięki któremu wie, że płaczę. W szóstej klasie, kiedy Rob Cokran powiedział, że z takim kujonem jak ja nie będzie chodził (na samym środku stołówki, w obecności wszystkich), Pickle usiadł na moim łóżku i zlizywał moje łzy, jedną po drugiej.

Nie wiem, czemu właśnie ten przykład przyszedł mi do głowy, ale na myśl o tym czuję, jak wzbiera we mnie fala gniewu i frustracji. To dziwne, jak duży wpływ ma na mnie to zdarzenie. Nigdy nie powiedziałam Robowi o tym dniu - wątpię, by pamiętał - ale lubię to wspominać, kiedy idziemy korytarzem ze splecionymi palcami albo imprezujemy w piwnicy u Tary Flute, a Rob patrzy na mnie i puszcza oko. Często myślę o tym, jak zabawne bywa życie, jak wiele się w nim zmienia. Jak ludzie się zmieniają.

Ale teraz zastanawiam się, kiedy dokładnie zrobiłam się dość *cool* dla Roba.

Po chwili drapanie w drzwi ustaje. Pickle wreszcie zrozumiał, że nie wejdzie do środka. Słyszę odgłos jego łap, kiedy drepcze, wracając na dół. Nigdy w życiu nie czułam się tak samotna.

Płaczę, póki sama nie zaczynam się dziwić, że można w ogóle mieć tyle łez. Jakby wypełniały mnie od stóp do głów. A potem śpię i nic mi się nie śni.

Taktyka ucieczki

Budzę się i myślę o filmie, który kiedyś widziałam. Główna postać umiera - nie pamiętam, w jaki sposób - ale jest tylko na wpół martwa. Jej ciało leży w śpiączce, a jej duch włóczy się po świecie, jakby w limbusie. Chodzi o to, że póki całkowicie nie umrze, zawsze jakaś część będzie uwięziona w tej między-strefie.

To daje mi nadzieję po raz pierwszy w ciągu dwóch dni. Wyobrażam sobie, że może leżę w śpiączce, a moja rodzina stoi wokół łóżka, wszyscy się martwią i wypełniają salę w szpitalu kwiatami. Od razu mi lepiej.

Bo jeśli jeszcze nie umarłam - przynajmniej na razie - to może da się temu jeszcze jakoś zapobiec.

Mama wysadza mnie na parkingu dla uczniów tuż przed początkiem trzeciej lekcji (już wolę przejść 354 metry, niż dać się przyłapać na tym, jak wysiadam z kasztanowej hondy accord z 2003 roku, której mama nie chce sprzedać, bo twierdzi, że to „ekonomiczne auto”). Nie mogę się doczekać, aż przyjdę do szkoły. Czuję, że znajdę tam odpowiedzi na moje pytania. Nie wiem, jak ani dlaczego utknęłam w tej pętli czasu, ale im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem pewna, że musi być jakiś powód.

- Do zobaczenia później - mówię i zaczynam wysiadać.

Ale coś mnie zatrzymuje. Myśl, która nie dawała mi spokoju od dwudziestu czterech godzin. To o tym chciałam porozmawiać z przyjaciółkami w samochodzie: jak to możliwe, że nigdy nie wiadomo. Jak to możliwe, że idziesz sobie któregoś dnia ulicą i nagle - bum!

Ciemność.

- Jest zimno, Sam. - Mama nachyla się nad siedzeniem dla pasażera i gestem wskazuje, żebym zamknęła drzwi.

Odwracam się i schylam, żeby na nią popatrzeć. Zajmuje mi sekundę, by wymówić te słowa, ale mamroczę:

- Kocham cię.

Czuję się dziwnie, mówiąc to. Brzmi to bardziej jak „kopał cię”. Nawet nie wiem, czy mnie zrozumiała. Szybko zatrzymuję drzwi, zanim zdąży mi odpowiedzieć. Chyba od lat nie powiedziałam „kocham cię” do żadnego z rodziców, poza Bożym Narodzeniem i urodzinami albo kiedy oni powiedzieli to do mnie pierwsi, więc takiej odpowiedzi oczekiwali. Czuję w tej chwili coś dziwnego, po części ulgę, po części zażenowanie, a po części żal.

Idąc w kierunku szkoły, obiecuję sobie, że dziś nie dojdzie do wypadku.

I niezależnie od tego, co to jest - pęcherzyk czy czkawka czasu - zamierzam się z tego wyplątać.

Oto kolejna rzecz, którą należy zapamiętać: Nadzieja trzyma przy życiu. Nawet po śmierci jest to jedyna rzecz, która trzyma przy życiu.

Dzwonek zadzwonił już na trzecią lekcję, więc biegnę na chemię. Przychodzę w samą porę, żeby zająć miejsce obok - co za niespodzianka! - Lauren Lornet. Zaczyna się kartkówka, dokładnie jak wczoraj i przedwczoraj, ale tym razem na pierwsze pytanie umiem odpowiedzieć samodzielnie.

Długopis. Wypisany. Pisze? Pan Tierney. Książka. Łup. Podskok.

- Zatrzymaj go - szepce do mnie Lauren, niemalże muskając mnie rzęsami. - Będziesz potrzebowała długopisu.

Już chcę jej go oddać, jak zawsze, ale coś w wyrazie jej twarzy przywołuje wspomnienia. Pamiętam, jak wróciłam do domu z imprezy wokół basenu u Tary Flute w siódmej klasie i w lustrze zobaczyłam swoją twarz właśnie tak rozświetloną, jakby ktoś mi wręczył zwycięski los na loterii i oznajmił, że moje życie od teraz zmieni się zupełnie.

- Dzięki. - Wkładam długopis do torby. Nadal ma taką samą minę, widzę to kątem oka, więc po minucie odwracam się szybko i mówię: - Nie powinnaś być dla mnie taka miła.

- Co?

Teraz wygląda na zupełnie zaskoczoną. Zdecydowana poprawa.

Muszę szeptać, bo pan Tierney rozpoczął już lekcję. Reakcje chemiczne, bla bla bla. Przemiana chemiczna. Zmieszaj ze sobą dwie cieczki, a zmieniają się w ciało stałe. Dwa plus dwa niekoniecznie daje cztery.

- Miła dla mnie. Nie powinnaś być.

- Dlaczego? - marszczy czoło tak, że prawie znikają jej oczy.

- Bo ja nie jestem miła dla ciebie. - Zaskakująco trudno przychodzi mi wypowiedzenie tych słów.

- Jesteś miła - mówi Lauren, patrząc na dłonie, ale bynajmniej tak nie myśli. Podnosi wzrok i próbuje jeszcze raz. - Ty nie...

Nie kończy, ale wiem, co chciała powiedzieć: „Ty nie musisz być dla mnie miła”.

- No właśnie - odpowiadam.

- Dziewczęta! - grzmi pan Tierney, uderzając pięścią w blat laboratoryjny. Słowo daję, wygląda, jakby miał zaraz wybuchnąć.

Do końca lekcji nie rozmawiam z Lauren, ale wychodzę z klasy z poczuciem, że postąpiłam jak należy.

- To mój ulubiony widok - pan Daimler stuka palcami w moją ławkę, kiedy przechodzi między rzędami na koniec lekcji, zbierając zadania domowe. - Szeroki uśmiech. Dziś mamy piękny dzień...

- Później ma padać - wtrąca Mike Heffner i wszyscy się śmieją. Ale debil.

Ale pan Daimler nawet nie robi pauzy.

- ... i dziś jest Dzień Kupidyna. W powietrzu czuje się miłość. - Patrzy wprost na mnie, a moje serce przestaje bić na kilka sekund. - Wszyscy powinni się uśmiechać.

- Robię to tylko dla pana, panie Daimler - mówię szczególnie słodkim głosem. Jeszcze więcej chichotów i jedno głośne parsknięcie z tyłu. Odwracam się i widzę Kenta, jak siedzi ze spuszczoną głową i bazgroli coś zapamiętałe na okładce zeszytu.

Pan Daimler śmieje się i mówi:

- A ja już myślałem, że tak rozpałem waszą wyobraźnię równaniami różniczkowymi.

- Czym innym pan ją rozpałił - mamrocze Mike. Jeszcze więcej śmiechu z klasy. Nie jestem pewna, czy pan Daimler to słyszał, nie wygląda na to, choć czerwienią mu się koniuszki uszu.

I tak minęła cała lekcja. Mam dobry nastrój, na pewno wszystko będzie w porządku. Już to rozpracowałam. Dostanę drugą szansę. Pan Daimler poświęca mi szczególną uwagę. Po przyjściu Kupidynów popatrzył na moje cztery róże, uniósł brwi i powiedział, że muszę mieć wszędzie sekretnych adoratorów.

- Nie takich znowu sekretnych - odpowiedziałam, a on puścił do mnie oko.

Po lekcji zbieram swoje rzeczy i wychodzę na korytarz, zatrzymując się tylko na chwilę, żeby spojrzeć przez ramię. No jasne, wlecze się za mną Kent, w koszuli wystającej ze spodni, z półotwartą torbą, która obija mu się o uda. Człowiek-porażka. Kieruję się w stronę stołówki. Dziś przyjrzałam się dokładniej liścikowi od niego: drzewo naszkicował czarnym atramentem i idealnie wycieniował każde załamanie kory. Małe liście mają kształt diamentów. Musiał nad tym pracować godzinami. Wkładam liścik między strony książki do matematyki, żeby się nie pomiały.

- Hej - mówi, równając do mnie. - Dostałaś mój liścik?

Ciśnie mi się na usta: Naprawdę ładny!, ale coś mnie powstrzymuje.

- Nie pij, kiedy kochasz? To jakieś przysłowie, którego wcześniej nie znałam?

- Uważam, że obwieszczenie tego świata to mój obywatelski obowiązek - Kent kładzie rękę na sercu.

Nagle przebiega mi przez głowę myśl: Nie mówiłbyś tak do mnie, gdybyś pamiętał. Ale odsuwam ją od siebie. To Kent McFuller. Ma szczęście, że w ogóle z nim rozmawiam. Poza tym nie wybieram się dziś na imprezę: nie ma imprezy, nie ma Juliet Sykes, nie ma powodu, żeby Kent się na mnie rozgniewał. A co najważniejsze, nie ma wypadku.

- Obwieszczasz brednie - mówię.

- Uznam to za komplement - nagle Kent robi się poważny. Marszczy czoło, a wszystkie jasne piegi u nasady nosa zbiegają się w jedną konstelację. - Czemu flirtujesz z panem Daimlerem? Przecież wiesz, że to zboczeniec.

Pytanie tak mnie zaskakuje, że odpowiadam dopiero po kilku sekundach.

- Pan Daimler nie jest zboczeńcem.

- Uwierz mi, jest.

- Zazdrosny?

- Bynajmniej.

- Poza tym, wcale z nim nie flirtuję.

- No jasne - Kent przewraca oczami.

- Czemu cię to aż tak obchodzi? - mówię, wzruszając ramionami.

Kent czerwieni się i spuszcza wzrok.

- Bez powodu - mamrocze.

Czuję, jak zaciska mi się żołądek, i zdaję sobie sprawę, że miałam cień nadziei na nieco inną, trochę bardziej osobistą odpowiedź. To byłaby katastrofa, gdyby Kent w tej chwili, na korytarzu, wyznał mi miłość do grobowej deski. Jest dziwakiem, ale nie chcę go publicznie poniżyć - jest miły, w dzieciństwie się przyjaźniliśmy i tak dalej - ale nigdy, nigdy, przenigdy nie mogłabym z nim chodzić, nawet za milion lat. Przynajmniej nie w tym życiu, w tym, które chcę odzyskać, gdzie po każdym wczoraj przychodzi dzisiaj, a po nim nastaje jutro. Już sam melonik sprawia, że to niemożliwe.

- Słuchaj - Kent rzuca mi spojrzenie kątem oka - moi rodzice wyjeżdżają na weekend i zaprosiłem dziś wieczorem parę osób...

- Aha - widzę, jak przed nami Rob biegnie susami do stołówki. Za moment mnie zobaczy. Nie mam siły się z nim teraz spotkać. Żołądek mi się kurczy i jednym skokiem znajduję się przed Kentem, odwrócona plecami do stołówki. - Aha... a gdzie mieszkasz?

Kent posyła mi pełne zdziwienia spojrzenie. Właśnie rzuciłam mu się pod nogi, zagradzając drogę.

- Trzeba zjechać z autostrady numer 9. Nie pamiętasz? - Nie odpowiadam i na krótką chwilę uśmiech znika z jego twarzy. Kent odwraca wzrok i wzrusza ramionami. - No tak, pewnie nie mogłaś zapamiętać. Byłaś tam tylko kilka razy. Przeprowadziłem się tuż przed pójściem do gimnazjum. Z Terrace Place. Pamiętasz mój stary dom na Terrace Place, prawda? - Jego uśmiech wraca. To prawda, jego oczy mają kolor trawy. - Myszkowałaś zawsze w kuchni i wyjadałaś najlepsze ciasteczka. A ja goniłem cię wokół tych wielkich klonów, które rosły przed domem. Pamiętasz?

Kiedy mówi o klonach, wracają wspomnienia i rosną, jakby wylaniały się spod powierzchni wody i wywoływały fale. Siadywaliśmy w wąskiej szczelinie między dwoma olbrzymimi pniami, które wyrastały z ziemi, wijąc się niczym kręgosłupy zwierząt. Pamiętam, jak rozplątał nasiona klonu i nakleił na nosie sobie i mnie, twierdząc, że dzięki temu wszyscy się dowiedzą, że jesteśmy zakochani. Miałam wtedy jakieś pięć czy sześć lat.

- Ja... ja... - ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebuję, są jego wspominki o starych dobrych czasach, kiedy miałam odrapane kolana, wielki nos i okulary, a on był jedynym chłopakiem, który się do mnie zbliżał. - Może. Wiesz, dla mnie wszystkie drzewa wyglądają tak samo.

Kent śmieje się, choć przecież wcale nie próbowałam być zabawna.

- To jak? Przyjdiesz dziś do mnie? Na imprezę?

W jednej chwili powracam na ziemię. Impreza. Kręcę głową i zaczynam się wycofywać.

- Nie sądzę.

Jego uśmiech trochę blednie.

- Będzie fajnie. Wielka impreza. Wspomnienia z czwartej klasy. Najlepszy okres w życiu i tak dalej.

- No jasne - mówię sarkastycznie - licealne niebo.

Odwracam się i oddalam od niego. Stołówka pęka w szwach i kiedy podchodzę do podwójnych drzwi - których jedno skrzydło ktoś podparł starym trampkiem - wita mnie ryk wielu głosów.

- Przyjdziesz! - woła za mną Kent. - Wiem, że przyjdziesz.

- Żebyś się przypadkiem nie doczekał! - odkrzykuję i prawie dodaję: Tak będzie lepiej.

Zasady przetrwania

- Co to znaczy, że nie możesz iść?

Ally patrzy na mnie tak, jakbym powiedziała, że chcę iść na studniówkę z Benem Farskim (czy raczej Parskiem, jak nazywamy go od czwartej klasy).

Wzdycham.

- Po prostu nie czuję się najlepiej. - Zmieniam taktykę i próbuję jeszcze raz. - Wychodzimy w każdy weekend. Po prostu... nie wiem. Chciałabym, żebyśmy raz zostali w domu, jak kiedyś.

- Zostawałyśmy w domu, boby nas nie wpuścili na imprezy czwartoklasistów - mówi Ally.

- Mów za siebie - wtrąca Lindsay.

To trudniejsze, niż mi się wydawało.

Przypomina mi się pytanie mamy, czy pokłóciłam się z Robem, i bez zastanowienia wypalam:

- Chodzi o Roba, okej? Mamy... pewne problemy.

Otwieram klapkę telefonu, sprawdzając po raz setny, czy nie przyszedł jakiś esemes. Kiedy weszłam do stołówki, Rob stał przy ladzie i polewał frytki keczupem i sosem barbecue (jego ulubionym). Nie mogłam się zmusić, żeby do niego podejść, więc pospiesznie poszłam do naszego stolika w sali dla czwartoklasistów i wysłałam mu wiadomość: „Musimy pogadać”. Od razu odpowiedział: „O?”.

„O dzisiejszym wieczorze” - odpisałam. Od tego momentu nie nadeszła żadna odpowiedź. Na drugim końcu stołówki Rob, oparty o maszynę z napojami, rozmawia z Adamem Marshalllem. Czapeczkę przekrzywił na głowie. Twierdzi, że dzięki temu wygląda na starszego.

Uwielbiałam kolekcjonować te jego drobne dziwactwa, magazynować je i trzymać blisko siebie, bo zdawało mi się, że jak zbiorę wszystkie szczegóły i zapamiętam je - to, że woli sos barbecue od musztardy, że jego ulubiona drużyna to Yankees, choć woli koszykówkę od bejsbolu, że kiedyś, jako mały chłopiec, złamał nogę, bo próbował przeskoczyć nad samochodem - to w pełni go zrozumiem. Wydawało mi się, że na tym polega miłość: na poznananiu kogoś tak dobrze, że wydaje się częścią ciebie.

Ale właśnie uświadomiłam sobie, że w ogóle nie znam Roba.

Ally opada szczęką.

- Ale mieliście przecież... no wiesz.

Z otwartymi ustami wygląda jak ryba wyjęta z wody, więc odwracam wzrok, żeby się nie roześmiać.

- Mieliśmy, ale...

Nigdy nie byłam szczególnie dobrą kłamczuchą i czuję zupełną pustkę w głowie.

- Ale? - dopytuje się Lindsay.

Sięgam do torby i wyciągam liścik, który mi przysłał. Pomiął się i przykleiła się do niego guma w połowie wysunięta z opakowania. Rzucam kartkę na stół.

- Ale to.

Lindsay marszczy nos i otwiera karteczkę samym koniuszkiem paznokcia. Ally i Elody nachylają się i obie czytają. Przez kilka sekund panuje cisza.

Wreszcie Lindsay zamyka kartkę i popycha ją w moją stronę.

- Nie jest tak źle - mówi.

- Ale dobrze też nie. - Chciałam tylko wymyślić jakąś wymówkę, żebyśmy nie poszły wieczorem na imprezę, ale kiedy zaczynam mówić o Robie, niepotrzebnie się ekscytuję. - Masz moje serce? Co to za gównno? Chodzimy ze sobą od października.

- Pewnie czeka, żeby ci to powiedzieć - mówi Elody z ekscytacją w oczach. - Steve nigdy mi tego nie powiedział.

- To co innego. Nie oczekujesz, że ci to powie.

Elody szybko odwraca wzrok, bo zdaje się, że jednak właśnie tego oczekuje. Zapada krępująca cisza i nagle odzywa się Lindsay.

- Nie dramatyzuj. Wiesz, że Rob cię lubi. Nie chodzi mu o przygodę na jedną noc.

- Lubi mnie, ale... - już mam powiedzieć, że nie wiem, czy do siebie pasujemy, ale w ostatniej chwili się powstrzymuję. Wzięłyby mnie za wariatkę. Sama tego nie rozumiem, naprawdę. Chyba wyobrażenie o Robie jest o wiele lepsze niż on sam. - Słuchajcie. Nie pójdę z nim do łóżka tylko dlatego, żeby mógł mi powiedzieć, że mnie kocha.

Nawet nie chciałam tego powiedzieć i przez chwilę moje słowa tak mnie dziwią, że nie mogę wydobyć z siebie ani słowa więcej. To nie dlatego planowałam iść do łóżka z Robem - to znaczy nie po to, żeby usłyszeć to wyznanie. Po prostu chciałam to mieć z głowy. Tak sędzę. Właściwie nawet nie wiem, czemu wydawało mi się to takie ważne.

- O wilku mowa - mruczy Ally pod nosem.

Nagle czuję balsam cytrynowy i Rob składa na mojej szyi mokry pocałunek.

- Witam panie. - Sięga po frytkę z talerza Elody, a ona odsuwa go poza jego zasięg. Rob się śmieje.

- Cześć, Samba. Dostałaś mój liścik?

- Dostałam.

Patrzę na stół. Boję się, że jeśli spojrzę mu w oczy, o wszystkim zapomnę. Zapomnę o liściku i o tym, że zostawił mnie samą, i że kiedy mnie całuje, nie zamyka oczu.

Jednocześnie, tak naprawdę nie chcę, żeby coś się zmieniło.

- Co? Coś przegapiłem?

Rob nachyla się i kładzie ręce na stole - chyba trochę zbyt gwałtownie. Puszka z colą Lindsay podskakuje.

- Mówiliśmy o imprezie u Kenta i o tym, czemu Sam nie chce na nią iść - wypala Ally i pojękuje, bo Elody szturcha ją łokciem.

Rob odwraca głowę w moją stronę. Jego twarz jest zupełnie pozbawiona wyrazu.

- To o tym chciałaś pogadać?

- Nie... To znaczy... tak jakby.

Nie sądziłam, że wspomni o esemesie, i smuci mnie to, że nie wiem, co sobie myśli. Jego oczy wydają się wyjątkowo ciemne, prawie zamglone. Próbuję się do niego uśmiechnąć, ale czuję się tak, jakby ktoś wypchał mi policzki watą. Mimowolnie widzę oczyma wyobraźni, jak kołysze się na nogach, podnosi rękę i mówi: „Pięć minut”.

- No i? - Prostuje się i wzrusza ramionami. - Co?

Lindsay, Ally i Elody gapią się na mnie. Czuję, jakby ich oczy emitowały ciepło.

- Nie mogę o tym tutaj mówić. Nie teraz. - Głową pokazuję w kierunku przyjaciółek.

Rob się śmieje: wydaje krótki, ostry dźwięk. Teraz już wiem, że jest wściekły, ale to ukrywa.

- Oczywiście, że nie. - Odchyła się do tyłu z uniesionymi rękami, jakby się przed czymś osłaniał. - Zróbmy tak: jak będziesz gotowa do rozmowy, daj mi znać. Poczekaam na wiadomość od ciebie. Nie mam zamiaru, no wiesz, przypierać cię do muru.

Niektóre słowa celowo wydłuża i w jego głosie słyszę sarkazm. Leciutki, ale słyszalny. To oczywiście - przynajmniej dla mnie - że Robowi chodzi o znacznie więcej niż tylko o rozmowę. Robi ręką zamaszty gest, rodzaj ukłonu, odwraca się i odchodzi.

- Jezu. - Ally odpycha talerz z sałatką. - Co to miało być?

- Nie pokłóciliście się naprawdę, co, Sam? - pyta Elody z szeroko otwartymi oczami.

Waham się, co odpowiedzieć. Lindsay syczy i skinieniem głowy pokazuje coś za moimi plecami.

- Alarm antypsychopatyczny. Schować wszystkie noże i dzieci. Do stołówki właśnie weszła Juliet Sykes. Tak się skupiałam

na dniu dzisiejszym - na tym, jak wszystko naprawić i że da się wszystko naprawić - że zapomniałam o Juliet. Ale teraz odwracam się szybko, ciekawa jej bardziej niż kiedykolwiek. Patrzą, jak sunie przez stołówkę. Włosy ma spuszczone na twarz: postrzępione, miękkie włosy, białe jak śnieg. Tak właśnie wygląda - jak płatek śniegu na wietrze, który wiruje i fruwa miotany podmuchami powietrza. Juliet nawet nie patrzy w naszym kierunku i zastanawiam się, czy także teraz planuje pójść za nami na imprezę i zrobić scenę przy wszystkich. Nie wygląda, jakby o tym właśnie myślała.

Tak się skupiam na oglądaniu jej, że dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, że Ally i Elody skończyły już rundę „Psychol-morderca, *qu'est-ce que c'est*” i teraz śmieją się histerycznie. Lindsay ułożyła palce w krzyż, jakby odpędzała złe moce, i powtarza:

- O Panie, nie pozwól, by pochłonęła mnie ciemność.

- Dlaczego nienawidzisz Juliet? - pytam Lindsay.

To dziwne, że dopiero teraz przyszło mi do głowy, żeby ją o to zapytać. Zawsze traktowałam to jako coś oczywistego.

Elody prychnęła i prawie krztusi się całą.

- Pytasz serio?

Lindsay najwyraźniej nie spodziewała się tego pytania. Otwiera usta, zamyka je, a potem odrzuca włosy i przewraca oczami, jakby nie wierzyła, że w ogóle o to zapytałam.

- Nie nienawidzę jej.

- Właśnie, że tak.

To Lindsay dowiedziała się, że Juliet nie dostała ani jednej róży w pierwszej klasie i to ona wpadła na pomysł, żeby jej posłać Valogram. To Lindsay nadała jej przezwisko Psychol i to ona, lata temu, roztrąbiła wszem i wobec, że Juliet posikała się w czasie obozu dla skautów.

Lindsay gapi się na mnie, jakbym zwariowała.

- Wybacz - mówi, wruszając ramionami - ale nie ma litości dla pacjentów z psychiatrika.

- Nie wmówisz mi, że masz wyrzuty sumienia - mówi Elody. - Przecież wiesz, że powinni ją zamknąć.

- W psychiatriku - chichocze Ally.

- Tak się tylko zastanawiałam - mówię, sztywniejąc na dźwięk słowa na „p”, które wymawia Ally. Zupełnie możliwe, że to mnie kompletnie odwaliło. Ale z jakiegoś powodu już tak nie myślę. Przeczytałam kiedyś w jednym artykule, że wariaci nie martwią się, że są wariatami - i w tym cały szkopuł.

- Naprawdę zostajemy dziś w domu? - pyta Ally, wydymając usta. - Całą noc?

Biorę głęboki oddech i patrzę na Lindsay. Ally i Elody też na nią patrzą. Ona ma ostatnie słowo w sprawie wszystkich naszych wspólnych decyzji. Jeśli się uprze, żebyśmy poszły do Kenta, to nie wywinę się z imprezy tak łatwo.

Lindsay rozpięta się na krześle i wbija we mnie wzrok. Widzę błysk w jej oku i serce przestaje mi na chwilę bić na myśl o tym, że zaraz mi powie, żebym dała sobie siana i że impreza dobrze mi zrobi. Ale ona tylko posyła mi uśmiech i puszcza do mnie oko.

- To tylko impreza - mówi. - I tak pewnie będzie do bani.

- Może wypożyczymy jakiś horror - włącza się Elody. - Jak kiedyś.

- Niech Sam zdecyduje - mówi Lindsay. - To jej wieczór. Mogłabym ją teraz ucałować.

Znowu uciekam z Lindsay z angielskiego. Mijamy Aleksa i Annę w Kuchni Hunan, ale dziś Lindsay nawet się nie zatrzymuje, pewnie dlatego że z całych sił próbuje być dla mnie miła, bo wie, że nienawidzę konfliktów.

A jednak się waham. Przypominam sobie, jak Bridget obejmuje Aleksa i patrzy na niego tak, jakby był jedynym facetem na ziemi. Jest wkurzająca, no dobra, ale i tak zasługuje na o wiele więcej, niż on może jej dać. Żal mi jej.

- Ej! Bawimy się w podglądaczy? - mówi Lindsay.

Nagle zdaję sobie sprawę z tego, że gapię się przez szybę pokrytą potarganymi plakatami reklamującymi specjalne *menu* obiadowe za pięć dolarów, ulotkami lokalnych grup teatralnych i salonów fryzjerskich. Alex Liment zauważa mnie. Teraz on gapi się na mnie.

- Już idę.

Żal mi Bridget, ale - bądźmy szczerzy - co mogę dla niej zrobić? Żyj i pozwól żyć.

W barze kupujemy wielgachne kubki lodów jogurtowych, z podwójną czekoladą i pokruszonymi ciastkami orzechowymi, a ja dodaję jeszcze posypkę i płatki śniadaniowe. Przynajmniej wrócił mi apetyt. Wszystko idzie tak, jak zaplanowałam. Nie będzie dziś imprezy, przynajmniej nie dla nas czterech. Nie będziemy jechać autem. Jestem pewna, że w ten sposób wszystko uda się naprawić - że fałda czasu się rozprostuje, a ja obudzę się z tego koszmaru, w którym teraz żyję. Może usiądę gdzieś na łóżku szpitalnym, wokół którego zgromadzą się przyjaciele i rodzina. Wyobrażam sobie dokładnie tę scenę: mama i tata we łzach, Izzy z płaczem wiesza mi się na szyi, Lindsay, Ally, Elody i...

Przez głowę przelatuje mi obraz Kenta, ale szybko go odpędzam.

... i Rob. Oczywiście, Rob.

To właściwy klucz, na pewno. Przeżyj dzień. Stosuj się do reguł. Trzymaj się z dala od imprezy u Kenta. To proste.

- Uważaj - Lindsay szczerzy zęby, wsuwając do ust wielką łyżeczkę lodów. - Nie chcesz chyba skończyć jako dziewczica z nadwagą.

- To lepsze niż nadwaga i rzeźączka - mówię, rzucając w nią kawałeczkiem czekolady.

Odrzuca go do mnie.

- Żartujesz, jestem taka czysta, że można ze mnie jeść.

- Bufet Lindsay. Czy Patrick wie, że się puszczasz na prawo i lewo?

- Ohyda.

Lindsay grzebie w swoim wielkim kubku, próbując wykopać idealną porcję. Obie się śmiejemy, gdy nagle ona wystrzela w moim kierunku pełną łyżeczkę lodów. Dostaję dokładnie nad lewym okiem.

Lindsay wzdycha i zasłania usta dłonią. Lody spływają mi po twarzy i z płaskim lądują na futerku zasłaniającym moją lewą pierś.

- Przepraszam, bardzo przepraszam - mówi Lindsay głosem zduszonym przez dłoń. Otwiera szeroko oczy i to oczywiste, że próbuje powstrzymać śmiech. - Zniszczyłam ci bluzkę?

- Jeszcze nie - odpowiadam, nabieram pełną łyżeczkę lodów i strzelam do niej. Bryła lodów uderza ją w bok głowy, prosto we włosy.

- Suka! - skrzeczy.

Po chwili uganiamy się po sklepie, chowając się za krzesłami i stolikami, używając łyżeczek jak kaptuły, żeby w siebie strzelać lodami z podwójną czekoladą.

Nie osądzaj nauczyciela wufu po jego cinkciarskich wąsach

Nie przestajemy się śmiać w drodze do szkoły. Trudno to wyjaśnić, ale od lat nie czułam się tak szczęśliwa, jakbym wszystko zauważała po raz pierwszy: ostry zapach zimy, dziwne, ukośnie padające światło, chmury zasnuwające powoli niebo. Futerko, którym obszyte są nasze podkoszulki, zupełnie już zmatowiało i wygląda ohydnie, wszędzie mamy mokre plamy. Samochody trąbią za nami, a my im machamy i posyłamy buziaki. Przejeżdża obok nas czarny mercedes, a Lindsay klepie się w pośladek i krzyczy:

- Dziesięć dolców! Dziesięć dolców! Klepię ją w ramię.

- To może być mój tata.

- Wybacz, że muszę cię o tym poinformować, ale twój tata nie jeździ mercedesem.

Lindsay odgarnia z twarzy wilgotne włosy, które zlepiły się w strączki. Musiałyśmy się umyć w łazience w cukierni, bo sprzedawczyni wydarła się na nas i zagroziła, że wezwie policję, jeśli jeszcze kiedyś tam się pokażemy.

- Jesteś niemożliwa - mówię.

- Wiesz, że mnie kochasz - odpowiada. Chwyta mnie za rękę i przytula się do mnie.

Jest nam bardzo zimno.

- Jasne, że cię kocham - mówię i naprawdę tak myślę. Kocham ją, kocham obrzydliwe budynki naszego liceum, zbudowane z musztardowej cegły, i korytarze w kolorze fuksji. Kocham Ridgeview za to, że jest takie małe i nudne, i kocham w nim wszystkich i wszystko. Kocham moje życie. Chcę je z powrotem.

- Też cię kocham, dziecinko.

Kiedy wracamy do szkoły, Lindsay chce zapalić, choć w każdej chwili może zadzwonić dzwonek na ósmą lekcję.

- Dwa machy - obiecuje Lindsay i robi wielkie oczy, a potem się śmieje i ciągnie mnie za sobą, bo wie, że jak robi tę minę, to godzę się na wszystko. W Salonie nie ma nikogo. Stajemy tuż przy kortach tenisowych, wtulone w siebie, a Lindsay próbuje zapalić zapałkę.

Wreszcie jej się udaje i zaciąga się głęboko, wypuszczając z ust kłęby dymu.

Kilka sekund później słyszymy, jak ktoś krzyczy do nas przez cały parking.

- Hej! Ty! Z papierosem!

Kamieniejemy. Pani Winters. Nikotynowa Nazistka.

- Spadamy! - krzyczy Lindsay, w ułamku sekundy rzucając na ziemię papierosa. Przebiega za kortami tenisowymi, choć krzyczę:

- W tę stronę! - bo widzę wielki blond kok pani Winters przemykającej między samochodami.

Nie wiem, czy już nas zobaczyła, czy tylko usłyszała, jak się śmiejemy. Kucam za range roverem, a potem przebiegam przez Aleję Seniorów do jednego z tylnych wejść do sali gimnastycznej, podczas gdy pani Winters wciąż krzyczy:

- Hej! Hej!

Chwytam za klamkę i potrząsam nią, ale drzwi się nie otwierają. Na chwilę serce przestaje mi bić i jestem pewna, że ktoś je zamknął na klucz, ale napieram na nie całym ciężarem ciała i otwierają się, pokazując magazyn. Wskakuję do środka i zamykam drzwi za sobą, serce chce mi wyskoczyć z piersi. Minutę później słyszę kroki pod drzwiami. Potem słyszę, jak pani Winters mamrocze:

- Cholera.

Odgłos kroków ginie w oddali.

Wszystko to - cały dzień, bitwa na lody, berek z Nikotynową Nazistką, myśl, że Lindsay czai się gdzieś w lesie w spódnicy i nowych butach na koturnach od Steve'a Maddena - wydaje mi się tak zabawne, że muszę zasłonić usta dłonią, żeby powstrzymać się od śmiechu. Pomieszczenie, w którym stoję, pachnie butami do piłki nożnej, koszulkami i błotem. Ledwo się mieszczę między poukładanymi jeden na drugim pomarańczowymi pacholkami i workiem pełnym piłek do koszykówki w rogu. W jednej ze ścian magazynka jest okno, które wychodzi na biuro. Pewnie to pokój pana Shawa, bo on właściwie mieszka w sali gimnastycznej. Nigdy wcześniej nie widziałam jego biura. Biurko ma zawalone papierami, a tapeta na ekranie komputera wygląda jak kiczowata fotka z plaży ściągnięta z jakiejś strony internetowej. Podchodzę bliżej do okna, myśląc o tym, jak byłoby zabawnie, gdybym znalazła u niego coś kompromitującego, na przykład bieliznę wystającą z szuflady biurka albo czasopismo pornograficzne. Nagle drzwi do biura się otwierają i wchodzi pan Shaw.

Natychmiast padam na podłogę. Muszę zwinąć się w kłębek i nawet wtedy wpadam w paranoję, że mój kucyk może wystawać ponad parapet. Może to i głupie, biorąc pod uwagę wszystko, co się do tej pory stało, ale w tej chwili myślę tylko o jednym: Jeśli mnie zobaczy, to naprawdę umrę. Żegnaj nasiadówko u Ally, witajcie karne zajęcia pozalekcyjne.

Przyciskam twarz do półotwartego wielkiego worka, który wygląda, jakby był wypchany starymi koszulkami do koszykówki. Nie wiem, czy ktoś je kiedyś prał, ale od ich zapachu chce mi się rzygać.

Słyszę, jak Shaw krząta się wokół biurka i modłę się - modłę - żeby nie podszedł na tyle blisko, by zobaczyć, jak kulę się obok starego sprzętu sportowego. Już słyszę te plotki: Samantha Kingston nakryta na zabawianiu się pacholkami do nauki jazdy.

Pod dwóch minutach nasłuchiwania szelestu zaczynają mi cierpnąć nogi. Słysząc pierwszy dzwonek na ósmą lekcję - do lekcji zostały trzy minuty - ale w żaden sposób nie mogę się stąd wyrwać. Drzwi narobiłyby za dużo hałasu, a poza tym nie wiem, w którym kierunku Shaw patrzy. Może gapić się właśnie na drzwi.

Mam tylko nadzieję, że Shaw idzie na zajęcia, choć sądząc po dźwiękach, jakie wydaje, nie spieszy się nigdzie. Wyobrażam sobie, że zostanę tu uwięziona do końca zajęć. Sam smród mnie wykończy.

Słyszę, jak otwierają się drzwi do biura Shawa, i podnoszę się, myśląc, że on nareszcie wychodzi. Ale nagle słyszę drugi głos:

- Cholera. Uciekli mi.

Wszędzie bym rozpoznała ten nosowy, jękliwy ton. To pani Winters.

- Palacze? - pyta Shaw.

Ma prawie tak wysoki głos jak ona. Nie miałam nawet pojęcia, że się znają. Widziałam ich w tym samym pomieszczeniu tylko w czasie szkolnych uroczystości. Pani Winters siada obok dyrektora Benetera i wygląda, jakby ktoś właśnie podłożył jej pod krzesło bombę zapachową. Shaw siada wtedy obok nauczycieli edukacji specjalnej, higienistki, instruktora nauki jazdy i całej reszty z galerii dziwadeł, które pracują w szkole, choć nie są prawdziwymi nauczycielami.

- Wiesz, że uczniowie nazywają to miejsce Salonem Palaczy? - niemal słyszę, jak pani Winters zatyka sobie nos.

- Przyjrzałaś im się? - pyta Shaw, a ja cała się spinam.

- Niezbyt. Słyszałam ich tylko i czułam dym.

Lindsay ma rację. Pani Winters ma w sobie coś z psa myśliwskiego.

- Uda się następnym razem - mówi Shaw.

- Tam leżą ze dwa tysiące petów - mówi pani Winters. - I pomyśleć, że pokazujemy im tyle filmów o zdrowym trybie życia...

- To nastolatki. Zawsze robią na odwrót, niż im się każe. To część umowy. Pryszczki, włosy łonowe i totalny olej na wszystko.

Prawie tracę kontrolę, kiedy słyszę, jak Shaw mówi „włosy łonowe” i wydaje mi się, że pani Winters zaraz palnie mu wykład, ale ona mówi tylko:

- Czasem nie wiem, czemu się tym tak przejmuję.

- Zły dzień? - mówi Shaw i nagle słyszę, jak ktoś wpada na biurko i jakaś książka spada na podłogę. Pani Winters chichocze.

A potem, przysięgam na Boga, słyszę, jak się całują. I bynajmniej nie jak ptaszki wyjadające sobie z dzióbek. Prawdziwe całowanie z otwartymi ustami, siorbaniem i jękami.

O cholera! Muszę się ugryźć w dłoń, żeby nie krzyknąć albo płakać, albo wybuchnąć śmiechem, albo puścić pawia - albo wszystko na raz. To. Się. Nie. Dzieje. Naprawdę. Korci mnie, żeby wyciągnąć telefon i napisać esemesa do wszystkich dziewczyn, ale nie mogę się ruszyć. Teraz naprawdę nie mogę dać się złapać, bo wtedy Shaw i Nazi pomyślą, że szpiegowałam ich w czasie tego małego *sex party*. Zaraz rzygnę.

Właśnie w chwili, kiedy czuję, że nie wytrzymam ani sekundy dłużej, wciśnięta w stos przepocowanych koszulek, słuchając jak Shaw i Winters się liżą niczym w tanim pornolu, rozbrzmiewa drugi dzwonek. Jestem oficjalnie spóźniona na ósmą lekcję.

- O Boże, mam się przecież spotkać z Beanie - mówi pani Winters. Beanie to przezwisko, jakie nadali uczniowie panu Beneterowi, dyrektorowi szkoły. Ze wszystkich szokujących rzeczy, które usłyszałam w ciągu ostatnich pięciu minut, to właśnie jest najbardziej szokujące - że wie o tym przezwisku i że go używa.

- No to jazda stąd - mówi pan Shaw i potem, daję słowo, daję słowo, słyszę, jak klepie panią Winters w tyłek.

O! Mój! Boże! To jeszcze lepsze, niż kiedy Marcie Harris przyłapano, jak się masturbowała w laboratorium chemicznym (z probówką wsadzoną wicie gdzie, jeśli wierzyć plotkom). To jeszcze lepsze, niż kiedy Bryce'a Hanleya zawieszono w prawach ucznia za to, że przez chwilę prowadził internetową stronę porno. To lepsze niż jakikolwiek skandal, jaki wybuchł do tej pory w Liceum imienia Thomasa Jeffersona.

- Idziesz na lekcję? - pyta, a właściwie szczebioce Winters.

- Na dziś skończyłem - odpowiada Shaw. Serce mi zamiera. Nie ma mowy, żebym dała radę tu wytrzymać przez kolejne czterdzieści pięć minut. Pal sześć skurcz ścięgien i mięśni ud. Mam przecież niesamowitą plotkę do rozpuszczenia. - Ale muszę jeszcze przygotować boisko przed treningiem drużyny piłkarskiej.

- Okej, dziecinko. - Dziecinko. - Zobaczymy się wieczorem.

- O ósmej.

Słyszę, jak otwierają się drzwi, i wiem, że pani Winters wyszła. Dzięki Bogu. Sądząc po tym, jak do siebie szczebiotali, bałam się, że będę musiała przez kolejne pięć minut wysłuchiwać symfonii migdalenia. Nie wiem, czy mój umysł i ścięgna mogłyby to znieść.

Po kilku minutach krzątaniny i klepania w klawiaturę, Shaw podchodzi do drzwi. W biurze gaśnie światło. Drzwi się otwierają i zamykają. Wiem, że droga wolna.

Mówię po cichu: Alleluja. Wstaję. Nogi tak mi ścierpły, że prawie się przewracam, ale niepewnym krokiem podchodzę do drzwi i opieram się o framugę. Kiedy wychodzę wreszcie na zewnątrz, staję i przez chwilę przestępuję z nogi na nogę. Powoli wciągam głęboko do płuc czyste powietrze. Wreszcie schodzi ze mnie całe napięcie: odrzucam w tył głowę i zaczynam śmiać się histerycznie, wyję i parskam, nie dbając o to, czy wyglądam jak wariatka.

Pani Winters i cholerny pan Shaw. Nikt by tego nie zgadł, nawet za milion, nawet za trylion lat.

Kiedy zmierzam w kierunku sali gimnastycznej, uderza mnie, jak dziwni potrafią być ludzie. Widujesz ich każdego dnia - wydaje ci się, że ich znasz - a potem okazuje się, że nie znasz ich wcale. Rozpiera mnie radość i czuję się, jakbym wirowała w wielkiej pralce, krążyła coraz bliżej i bliżej tych samych osób i tych samych wydarzeń, ale oglądała wszystko z coraz to innego punktu widzenia.

Jeszcze chichoczę, kiedy docieram do głównego holu, choć pan Kummer robi mi awanturę, że się spóźniłam, ale i tak muszę jeszcze zatrzymać się przy swojej szafce, żeby zabrać z niej podręcznik (pierwszego dnia Kummer powiedział nam, że powinniśmy traktować podręczniki jak własne dzieci; oczywiście on jest bezdzielny).

Właśnie wysyłam esemesa Elody, Ally i Lindsay - „Nie uwierzycie, co się właśnie stało” - kiedy nagle łup, wpadam na Lauren Lornet.

Obie robimy krok w tył, a telefon wypada mi z ręki i sunie po podłodze korytarza.

- Cholera! - Zderzamy się tak mocno, że dopiero po kilku sekundach odzyskuję oddech. - Patrz, jak idziesz.

Idę w kierunku telefonu, zastanawiając się, czy mam prawo kazać jej zapłacić, jeśli pękł ekran lub coś się uszkodziło, kiedy ona nagle łapie mnie za ramię.

- Co jest...?

- Powiedz im! - mówi dziko, zbliżając twarz do mojej twarzy. - Masz im powiedzieć.

- O czym ty mówisz?

Próbuję się jej wyrwać, ale ona łapie mnie za drugą rękę, jakby chciała mną potrząsnąć. Ma czerwona twarz i wygląda dość nieszczęśliwie. To oczywiste, że płakała.

- Powiedz im, że nic złego nie zrobiłam - mówi, wskazując głową za ramię. Stoimy przed samym głównym biurem i w tej chwili widzę ją dokładnie tak jak wczoraj, jak biegnie przez korytarz z włosami spadającymi na twarz.

- Naprawdę nie wiem, o czym mówisz - mówię najdelikatniejszym tonem, na jaki potrafię się zdobyć, bo widzę, że właśnie odbiła jej szajba. Zdaje się, że co dwa tygodnie odwiedza szkolnego psychologa, który leczy u niej paranoję albo zaburzenie obsesyjno-kompulsyjne, a może jeszcze jakiś inny problem.

Lauren bierze głęboki oddech. Głos jej się trzęsie.

- Myślałam, że odpisywałam od ciebie na chemii. Beanie mnie wezwał... A przecież nie odpisywałam. Przysięgam, uczyłam się...

Wyrywam się, ale jej uścisk jest mocny. Powraca uczucie zamknięcia w wirującej pralce, ale tym razem wcale mnie to nie bawi. Coś ciągnie mnie w dół, w dół, w dół, jakby ktoś przywiązał mi jakiś ciężar.

- Odpisywałaś ode mnie? - Własne słowa dochodzą do mnie jakby z oddali. Mój głos nie brzmi jak mój.

- Nie odpisywałam, przysięgam na Boga, ja... - Lauren łka, unosząc ramiona. - Obleje mnie. Powiedział, że mnie obleje, jeśli moje stopnie się nie poprawią... Chodzę na prywatne lekcje, a oni myślą, że... powiedział, że zadzwoni na uniwersytet. Nigdy nie dostanę się na studia, a ja... Nie rozumiesz. Ojciec mnie zabije. Zabije mnie. - Teraz naprawdę mną potrząsa. W jej oczach widzę tylko panikę. - Musisz im powiedzieć.

Wreszcie udaje mi się wyrwać. Jest mi gorąco i niedobrze. Nie chcę tego wiedzieć, nic nie chcę o tym wiedzieć.

- Nie mogę ci pomóc - mówię, wycofując się, a wciąż wydaje mi się, że to nie ja to mówię, jakbym słuchała głosu dochodzącego z oddali.

Lauren wygląda tak, jakbym jej właśnie przywaliła.

- Co? Co to ma znaczyć, że nie możesz mi pomóc? Po prostu im powiedz...

Kiedy podnoszę telefon, trzęsą mi się ręce. Dwa razy wyslizguje mi się z ręki i ląduje z trzaskiem na podłodze. Nie tak to miało wyglądać. Czuję się, jakby ktoś wyjął z odkurzacza torebkę na brudy, które właśnie posprzątałam, i wysypał je z powrotem na dywan, żebym mogła im się lepiej przyjrzeć.

- Masz szczęście, że nie zepsułaś mi telefonu - mówię i drętwieję. - Dałam za niego dwie stowy.

- Czy ty mnie w ogóle słuchasz? - Głos Lauren przybiera histeryczne tony. Boję się spojrzeć jej w oczy. - Mam przesrane, definitywnie...

- Nie mogę ci pomóc - powtarzam. Jakbym zapomniała wszystkie inne słowa.

Lauren wydaje z siebie dziwny dźwięk, jakby wpół krzyk, a wpół łkanie.

- Powiedziałaś dziś, żebym nie była dla ciebie miła. Wiesz co? Miałaś rację. Jesteś wstrętna, jesteś suką, jesteś...

Nagle jakby przypomniała sobie, gdzie i kim jesteśmy: kim ona jest, a kim ja jestem. Zaslania usta dłonią tak szybko, że słychać jeszcze głuche echo rozbrzmiewające w korytarzu.

- O Boże - teraz zniża głos do szeptu. - Przepraszam. Nie chciałam.

Nawet nie odpowiadam. Słowa „jesteś suką” sprawiają, że przenika mnie chłód.

- Przepraszam. Proszę... nie bądź zła.

Nie mogę tego znieść. Nie mogę znieść tego, że mnie przeprasza. I zanim zdaję sobie z tego sprawę, zaczynam biec - na pełnym gazie, przez korytarz, serce mi wali i chce mi się krzyczeć albo płakać i najchętniej rozwalilibym coś własnymi rękami. Lauren woła za mną, ale nie słyszę co. Mam to w nosie, nie chcę wiedzieć, a kiedy wpadam do łazienki, opieram się o drzwi i kucam, aż kolana dotykają mojej klatki piersiowej, a gardło zaciska mi się tak, że każdy oddech sprawia ból. Telefon daje mi sygnał, a kiedy już się trochę uspokajam, otwieram go i czytam esemesy od Lindsay, Ally i Elody: „Co? Gadaj”, „Puszczaj farbę”, „Pogodziłaś się z Robem?”

Wrzucam telefon do torby i podpieram głowę rękami, czekając, aż puls wróci do normy. Całe szczęście, które wcześniej czułam, gdzieś się ulatnia. Nawet sprawa Shawa i Winters już mnie nie śmieszy. Bridget, Alex, Anna, Sarah Grundel razem z jej głupimi problemami z parkowaniem i Lauren Lornet z tą swoją kartkówką z chemii - wpadłam w jakieś olbrzymie sidła i gdziekolwiek popatrzę, widzę, że przykleiłam się do kogoś innego i wszyscy wijemy się bezradnie w tej samej sieci. Nie chcę nic o tym wiedzieć. To nie mój problem. W nosie to mam.

„Jesteś suką”.

Mam to w nosie. Mam na głowie większe zmartwienia.

Wreszcie wstaję. Już na pewno nie pójde na hiszpański. Oplukuję twarz zimną wodą i ponownie nakładam makijaż. Moja twarz robi się tak blada w ostrym, jarzeniowym świetle, że prawie jej nie rozpoznaję.

Tylko ten sen

- Hej, rozchmurz się. - Lindsay bije mnie poduszką w głowę.

Elody wsadza do ust ostatnią roladkę z tuńczykiem na ostro, choć zdaje mi się, że to niezbyt dobry pomysł, zważywszy, że leżała na stoliku od trzech godzin.

- Nie martw się, Sammy. Robowi przejdzie.

Wydaje im się, że to z powodu Roba nic nie mówię. Ale oczywiście prawda jest inna. Nic nie mówię, bo jak tylko wskazówka zegara przekroczyła dwunastą, znowu obleciał mnie strach. Wypełniał mnie powoli, jak przesypujący się piasek w klepsydrze. Z każdą sekundą zbliżam się coraz bardziej do Tego Momentu. Dziś rano wszystko wydawało mi się takie proste. Wydawało mi się, że wystarczy, jak nie pójdę na imprezę i nie wsiądę do samochodu. Że czas wróci na właściwy tor. Że się uratuję.

Ale teraz żebra zaciskają mi się wokół serca i coraz trudniej mi oddychać. Panicznie boję się, że w ciągu sekundy - w krótkiej pauzie między dwoma oddechami - wszystko rozplynie się w ciemności i znowu zadzwoni budzik, a ja obudzę się sama w moim pokoju, u siebie w domu. Nie wiem, co zrobię, jeśli tak właśnie się stanie. Serce mi pęknie. Po prostu przestanie bić.

Ally wyłącza telewizor i rzuca pilota na stolik.

- Co teraz robimy?

- Pozwól, że zapytam duchy. - Elody ześlizguje się z kanapy na podłogę, gdzie wcześniej rozłożyłyśmy planszę do wywoływania duchów, na pamiątkę starych dobrych czasów. Próbowaliśmy się nią bawić, ale każda pchała oczywiście w inną stronę, a strzałka pokazywała takie słowa, jak „penis” albo „fiucik”, póki Lindsay nie zaczęła krzyczeć w powietrze:

- Zboczone duchy! Pedofile!

Elody popycha wskaźnik dwoma palcami. Obraca się raz dokoła, a potem podjeżdża do słowa TAK.

- Patrzcie państwo - podnosi do góry ręce. - A rączki tu.

- To nie było pytanie na „tak” lub „nie”, ówoku. - Lindsay przewraca oczami i bierze haust wina Châteauneuf-du-Pape, które zwędziłyśmy z piwniczki.

- Mieszkamy na kompletnym zadupiu - mówi Ally. - Nic się tu nie dzieje.

Dwunasta trzydzieści trzy. Dwunasta trzydzieści cztery. Nigdy nie widziałam, żeby sekundy i minuty mijały tak szybko, jakby pędziły z góry, jedna za drugą. Dwunasta trzydzieści pięć. Dwunasta trzydzieści sześć.

- Trzeba włączyć jakąś muzykę - mówi Lindsay, zrywając się na równe nogi. - Nie możemy tu tak siedzieć jak ostatnie ofiermy.

- O tak, muzyka - przytakuje Elody. Razem biegną do drugiego pokoju, gdzie podłączyłyśmy iPoda do głośników.

- Żadnej muzyki - jęczę, ale już za późno. Beyoncé już zaczęła swoje trele. Wazy na półkach zaczynają drżeć. Głowa chce mi wybuchnąć, a na całym ciele czuję ciarki. Dwunasta trzydzieści siedem. Wtulam się w kanapę, naciągając koc z kolan aż po same uszy.

Lindsay i Elody wmaszerowują z powrotem do pokoju. Mają na sobie stare bokserki i podkoszulki bez rękawów. Oczywiście Lindsay właśnie przetrząsnęła szafę Ally, bo razem z Elody mają jeszcze na sobie gogle do jazdy na nartach i czapki z polaru. Elody kuśtyka z jedną nogą w dzieciennym bucie narciarskim.

- O mój Boże! - krzyczy Ally. Trzyma się za brzuch, zgięta w pół, i się śmieje.

Lindsay z kijkiem do nart między nogami kołysze się w przód i w tył, jęcząc:

- Och, Patrick! Patrick!

Muzyka gra tak głośno, że ledwo słyszę Lindsay, nawet kiedy odsłaniam uszy. Dwunasta trzydzieści osiem. Została minuta.

- No dalej! - krzyczy Elody i wyciąga do mnie rękę. Strach tak mnie paraliżuje, że nie mogę się ruszyć, nawet nie mogę skinąć głową, a ona nachyla się i krzyczy do mnie: - Z życiem!

Tyle myśli i słów kłębi mi się w głowie. Chcę krzyknąć: Nie, stop!, albo: Tak, żyjmy!, ale starcza mi sił tylko na to, żeby zacisnąć powieki i wyobrażać sobie, jak sekundy niczym krople skapują do nieskończenie wielkiego basenu. Widzę, jak wszystkie cztery szybujemy poprzez czas i myślę: Teraz, teraz się to zdarzy...

I nagle zapada cisza.

Boję się otworzyć oczy. Czuję w sobie wielką pustkę. Jakbym nic nie miała w środku. Pewnie tak czują się umarli. A potem słyszę głos:

- Za głośno. Popękają wam bębenki, zanim skończycie dwadzieścia lat.

Natychmiast otwieram oczy. Pani Harris, mama Ally, stoi w drzwiach w lśniącem płaszczu, przysładzając włosy. Lindsay stoi obok w goglach i czapce, a Elody próbuje niezdarnie wyciągnąć nogę z buta narciarskiego.

Udało się. Zdziałało. Ulga i radość spływają na mnie z taką siłą, że chce mi się krzyknąć. Ale zamiast tego zaczynam się śmiać. W ciszy rozlega się mój śmiech, a Ally patrzy na mnie spode łba, jakby chciała powiedzieć: „Niby teraz ty dyktujesz, co jest zabawne?”

- Upiłyście się? - Mama Ally patrzy po kolei na każdą z nas, a potem spod uniesionych brwi na leżącą na podłodze pustą butelkę po winie.

- Ledwo co - Ally rzuca się na kanapę. - Ale udało ci się zepsuć nam zabawę.

Lindsay podnosi gogle na czoło.

- Zrobiliśmy sobie potańcówkę, pani Harris - mówi radośnie, jakby tańce półnagich dziewcząt ustrojonych w sprzęt do sportów zimowych stanowiły obowiązkowy punkt programu w czasie spotkań skautów.

Pani Harris wzdycha.

- No to właśnie się skończyła. To był długi dzień. Idę spać.

- Maaamo! - jęczy Ally.

- Koniec z muzyką - pani Harris rzuca jej gniewne spojrzenie.

Elody wreszcie udaje się uwolnić stopę z buta i traci równowagę, przewracając się na jeden z regałów. Z półki spada książka *Martha Stewart radzi, jak prowadzić dom* i ląduje u jej stóp.

- Ups - Elody robi się cała czerwona i patrzy na panią Harris tak, jakby oczekiwała, że zaraz dostanie klapsa.

Nie mogę się powstrzymać. Znowu chichoczę. Pani Harris przewraca oczami i kręci głową.

- Dobranoc, dziewczęta.

- Super - Ally nachyla się do mnie i szczypie mnie w udo. - Kretynka.

Elody zaczyna chichotać i naśladuje głos Lindsay.

- Zrobiłyśmy sobie potańcówkę, pani Harris.

- Przynajmniej nie wywaliłam się na regał. - Lindsay schyla się i kręci tyłkiem w naszą stronę. - Tu mnie pocałujcie.

- Może i pocałuję - Elody podchodzi do niej i udaje, że zaraz to zrobi. Lindsay piszczy i odpycha ją. Ally syczy „ciii”, a z góry dochodzi głos pani Harris:

- Dziewczęta!

Po chwili wszystkie się śmiejemy. To super, móc się śmiać z nimi.

Wróciłam.

Godzinę później wraz z Lindsay i Elody siedzimy na kanapie w kształcie litery L. Moje stopy są oparte o stopy Lindsay, która porusza palcami, żeby mnie wkurzyć. Ale teraz nic nie jest w stanie wyprowadzić mnie z równowagi. Ally przywlokła dmuchany materac i kołdrę z góry (twierdzi, że bez niej nie potrafi zasnąć). Jest jak w pierwszej klasie. Włączyliśmy cicho telewizor, bo Elody lubi tak zasypiać, a w ciemnym pokoju poświata z ekranu przypomina mi o tym, jak latem włamywałyśmy się na pływalnię, żeby się kąpać w nocy. Przypominam sobie światło przenikające ciemną wodę, ciszę i uczucie, że jesteśmy jedynymi żywymi istotami na ziemi.

- Dziewczyny? - szepcę, bo nie wiem, która jeszcze nie śpi.

- Mhmm - mamrocze Lindsay.

Zamykam oczy, pozwalając, by od stóp do głów ogarnął mnie zupełny spokój.

- Gdybyście musiały przeżywać ten sam dzień bez końca, to który byście wybrały? Bo ja nie wiem. Niby jak wybrać?

Żadna nie odpowiada, a po chwili słyszę, jak Ally zaczyna chrapać w poduszkę. Wszystkie śpią. Jeszcze nie jestem zmęczona. Rozpiera mnie radość, bo tu jestem, bezpieczna, bo wyrwałam się z tego pęcherzyka czasu i przestrzeni, w którym mnie zamknięto. Ale i tak zamykam oczy i próbuję sobie wyobrazić, który dzień bym wybrała. Wspomnienia kłębią się w mojej głowie. Tuziny imprez, wyprawy na zakupy z Lindsay, wspólne całonocne spotkania, płacze i szloch z Elody nad filmem *Pamiętnik*, a jeszcze wcześniej wakacje z rodziną, przyjęcie z okazji moich ósmych urodzin i pierwszy raz, kiedy skoczyłam z trampoliny do basenu, a do nosa nalała mi się woda i kręciło mi się w głowie. Ale wszystkie te wspomnienia wydają się jakoś niepełne, jakby miały plamy albo kładł się na nich jakiś cień.

W idealny dzień nie poszłabym do szkoły, to na pewno. Na śniadanie byłyby naleśniki mojej mamy. Tata zrobiłby swoje słynne smażone jajka, a Izzy nakryłaby do stołu, jak czasem robi w wakacje, kiedy kładzie na stole niepasujące do siebie talerze, a na środek rzuca owoce i kwiaty zebrane wokół domu. Mówi na nie „śtloik”.

Zamykam oczy i daję się ponieść wyobraźni, jakbym stała na krawędzi otchłani, a ciemność miała zaraz mnie porwać...

Bringbringbring.

Muszę zawrócić sprzed bram snu i przez jedną koszmarną sekundę myślę: To mój budzik, jestem w domu, to się znowu dzieje. Wydaję z siebie krzyk, spazm, a Lindsay mamrocze:

- Ooo!

Ten jeden dźwięk sprawia, że moje serce zaczyna normalnie bić, a oddech wraca do normy.

Bringbringbring. Już się obudziłam, więc wiem, że to nie mój budzik. To telefony, dzwonią ostro w wielu pokojach, jak echo. Patrzę na zegar. Jest pierwsza pięćdziesiąt dwie.

Elody mamrocze. Ally przewraca się na drugi bok i mruczy:

- Niech ktoś to wyłączy.

Telefon cichnie, ale zaraz znowu zaczyna dzwonić i nagle Ally siada wyprostowana i zupełnie obudzona.

- Cholera. Cholera. Mama mnie zabije - mówi.

- Wyłącz to, Al - mówi Lindsay spod poduszki. Ally próbuje się wyplątać z kołdry, wciąż mamrocząc:

- Cholera. Gdzie ten zakichany telefon?

Wychodzi z łóżka, potyka się i przewraca. Elody znowu jęczy, tym razem głośniej.

- Ludzie, ja próbuję zasnąć - mówi Lindsay.

- Muszę znaleźć telefon - syczy Ally.

I tak jest za późno. Słyszę kroki na górze. Oczywiście pani Harris też już się obudziła. Kilka sekund później telefon przestaje dzwonić.

- Dzięki Bogu - Lindsay szamoce się chwilę, jeszcze szczerzej otulając się kołdrą.

- Jest prawie druga - Ally wstaje. Widzę niewyraźny zarys jej sylwetki, kiedy chwiejnym krokiem wraca do łóżka. - Kto do diabła wydzwaniania o drugiej nad ranem?

- Może to Matt Wilde z wyznaniem miłości? - mówi Lindsay.

- Ale śmieszne - odpowiada Ally.

Układa się w łóżku i wszystkie milkniemy. Słyszeć tylko, że pani Harris rozmawia na górze i kiedy chodzi, skrzypi podłoga. I nagle bardzo wyraźnie słyszę, jak mówi:

- O nie, o mój Boże.

- Ally... - zaczynam.

Ale ona też to słyszała. Wstaje i włącza światło. Muszę zmrużyć oczy. Lindsay przeklina i naciąga kołdrę na głowę.

- Coś się stało - Ally otula się ramionami i mruga nerwowo. Elody sięga po okulary, a potem opiera się na łokciach. Wreszcie Lindsay zdaje sobie sprawę, że nikt nie wyłączy światła i wyłania się ze swojego kokonu.

- Co się stało? - Zaciska pięści i przeciera nimi oczy.

Nikt nie odpowiada. Teraz do nas wszystkich to dociera: stało się coś bardzo niedobrego. Ally stoi pośrodku pokoju. W za dużym podkoszulku i workowatych bokserkach wygląda na znacznie młodszą.

W końcu głos na górze milknie i słychać, jak pani Harris idzie przez pokój w kierunku schodów. Ally wraca na swój materac, kuląc nogi i zagryzając paznokcie.

Pani Harris nie wygląda na zdziwioną, że nie śpimy, tylko na nią czekamy. Ma na sobie długi, jedwabny szlafrok, a na czoło odsunęła maseczkę na oczy. Pani Harris zawsze wygląda perfekcyjnie, więc sam jej widok w tym stanie wywołuje we mnie falę lęku.

- Co? - mówi Ally z histerią w głosie. - Co się stało? To tata? Pani Harris mruga i patrzy na nas uważnie, jakby ktoś właśnie wyrwał ją ze snu.

- Nie, to nie tata. - Bierze głęboki oddech, a potem wypuszcza go głośno. - Słuchajcie, dziewczęta. Muszę wam powiedzieć coś bardzo smutnego. Mówię wam to już teraz, bo i tak same się wkrótce dowiecie.

- Po prostu to powiedz, mamó. Pani Harris powoli schyla głowę.

- Znacie Juliet Sykes.

To szok: patrzymy na siebie, zupełnie zdezorientowane. Ze wszystkich słów, jakie pani Harris mogłaby wypowiedzieć w tej chwili, na pewno „znacie Juliet Sykes” figuruje na samym szczycie listy najmniej oczekiwanych zdań.

- Tak. No i? - Ally wzrusza ramionami.

- Cóż, ona... - pani Harris urywa, wygładzając szlafrok dłonią, i zaczyna od początku. - Dzwoniła Mindy Sachs.

Lindsay unosi brwi, a Ally wzdycha znacząco. Wszystkie znamy Mindy Sachs. Jest pięćdziesięcioletnią rozwódką, ale ubiera się jak drugoklasistka. Nawet w naszej szkole nie ma większej plotkary. Kiedy tylko widzę panią Sachs, przypomina mi się gra z dzieciństwa: jedna osoba mówi drugiej coś na ucho, a ta powtarza to kolejnej i tak dalej. Tyle tylko, że w Ridgeview pani Sachs to jedyna osoba, która szepcze. Razem z panią Harris zasiadają w radzie szkoły, więc ta ostatnia zawsze wie, kto się z kim rozwiódł, kto stracił cały majątek i kto ma z kim romans.

- Mindy to sąsiadka Sykesów - kontynuuje pani Harris - i mówi, że przez ostatnie pół godziny na ulicy roiło się od karettek.

- Nie rozumiem - mówi Ally. Może to z powodu późnej pory, a może stresu, który towarzyszył mi przez ostatnie kilka dni, ale ja też nie kapuję.

Pani Harris krzyżuje ręce na piersi, cała spięta, jakby było jej zimno.

- Juliet Sykes nie żyje. Zabiła się dziś w nocy.

Cisza. Totalna cisza. Ally przestaje gryźć paznokcie, a Lindsay siedzi tak cicho jak nigdy. Przez kilka sekund naprawdę mi się wydaje, że serce przestało mi bić. Czuję się tak dziwnie, jakbym jechała w tunelu, jakby mnie katapultowano z mojego ciała i jakbym teraz oglądała je z daleka. Jakbyśmy przez kilka chwil były tylko obrazem nas samych.

Nagle przypomina mi się historia, którą kiedyś opowiedzieli mi rodzice. Kiedy jeszcze naszą szkołę nazywano Liceum Samobójców, jakiś chłopak powiesił się w szafie, zaraz obok swetrów pachnących nafaliną i starych adidasów. Miał nieźle narąbane w głowie, grał w jakimś zespole muzycznym i prawie z nikim się nie przyjaźnił. Z powodu jakiegoś wrodzonego defektu połowa twarzy zwisała mu bezwładnie. Więc nikt się nie przejął jakoś specjalnie jego śmiercią. To znaczy ludzie byli smutni i tak dalej, ale długo za nim nie tęsknili.

Ale rok później - dokładnie, co do dnia - jeden z najbardziej lubianych chłopaków w szkole zabił się, dokładnie w ten sam sposób. Wszystko się zgadzało: metoda, czas, miejsce. Poza tym że ten chłopak był kapitanem drużyn pływackiej i futbolowej, a kiedy policjanci weszli do szafy, znaleźli tam tyle starych trofeów sportowych na półkach, że chłopak wyglądał jak pogrzebany w skarbcu. Zostawił tylko liścik z jednym zdaniem: „Wszyscy jesteśmy Wisielcami”.

- Jak? - pyta Elody, prawie szeptem.

Pani Harris kręci głową i przez chwilę wygląda tak, jakby miała się rozplakać.

- Mindy słyszała wystrzał. Myślała, że to petarda. Myślała, że ktoś sobie robi kawał.

- Zastrzeliła się? - pyta Ally cicho, prawie z szacunkiem, i wszystkie wiemy, że myślimy o tym samym: to najgorszy z możliwych sposobów zabicia się.

- Jak oni... - Elody poprawia okulary i oblizuje wargi. - Wiedzą dlaczego?

- Nie zostawiła listu - odpowiada pani Harris i przysięgam, że słyszę w pokoju jakiś dźwięk, jak słaby wydech. Jakby ktoś oddychał z ulgą. - Wydawało mi się, że powinnam wam to powiedzieć.

Podchodzi do Ally i nachyla się nad nią, całuje ją w czoło. Ally odsuwa się, chyba ze zdziwienia. Nigdy nie widziałam, żeby pani Harris całowała Ally. Nigdy nie widziałam, żeby pani Harris wyglądała właśnie tak jak prawdziwa matka.

Kiedy pani Harris wychodzi, siedzimy, a cisza rozciąga się i rozszerza, jak wielki, obejmujący nas pierścień. Wydaje mi się, że na coś czekamy, ale nie wiem na co. Wreszcie odzywa się Elody.

- Myślicie... - Elody przelityka ślinę, patrząc raz po raz na każdą z nas. - Myślicie, że to z powodu naszej róży?

- Nie bądź głupia - odwarkuje Lindsay. Ale i tak widzę, że jest przygnębiona. Ma bladą twarz i ścisną w dłoni brzeg kołdry. - Przecież to nie był pierwszy raz.

- To nawet gorzej - mówi Ally.

- Przynajmniej wiedziałyśmy, kim była. - Lindsay dostrzega, że gapię się na jej ręce, więc układa je nieruchomo na udach. - Większość ludzi w ogóle jej nie zauważała.

Ally zagryza wargi.

- Ale i tak ostatniego dnia... - Elody urywa.

- Teraz jest jej lepiej - mówi Lindsay. To zbyt podłe, nawet jak na nią. - Co? - Podnosi brodę i patrzy na nas wyzywająco. - Przecież wiadomo, że wszystkie myślicie tak samo. Była żalosna. Uciekła. I po sprawie.

- Ale... wiesz, sprawy mogły przybrać trochę inny obrót - mówię.

- Nie mogły - odpowiada Lindsay.

Ally kręci głową i przyciąga kolana pod brodę.

- Boże, Lindsay.

Jestem w szoku. Najbardziej dziwi mnie, że użyła pistoletu. To taki brutalny, hałaśliwy, mechaniczny sposób odebrania sobie życia. Krew, mózg i przesywające gorąco. Jeśli już musiała to zrobić - umrzeć - to powinna była się utopić, wejść do wody, aż zamknie się nad jej głową. Albo mogła skoczyć. Wyobrażam sobie Juliet, jak płynie, a potem jak podtrzymują ją prądy powietrzne. Wyobrażam sobie, że rozpościera ramiona i skacze, z mostu albo w dół kanionu, ale w mojej głowie nie spada, tylko wzlatuje, unoszona podmuchami wiatru, gdy tylko jej stopy oderwą się od ziemi.

Ale nie pistolet. Pistolety przydają się w kryminałach, w czasie napadów na sklepy, handlarzom narkotyków i w czasie wojen gangów. Ale nie Juliet Sykes.

- Może mogłyśmy być dla niej miłsze - mówi Elody. Wbija wzrok w podłogę, jakby się wstydziła tego, co mówi.

- Zlituj się - głos Lindsay brzmi jak uderzenie młotem. - Nie można się nad kimś pastwić od nie wiadomo kiedy, a potem mieć wyrzuty sumienia, gdy umrze.

Elody podnosi wzrok i wbija go w Lindsay.

- Ale ja mam wyrzuty sumienia. - Jej głos robi się coraz mocniejszy.

- To jesteś hipokrytką - rzuca Lindsay. - A nie ma nic gorszego.

Wstaje i gasi światło. Słyszę, jak wdrapuje się z powrotem na kanapę i opatula kołdrą.

- Wybaczcie - mówi - ale muszę się wyspać.

Na chwilę zapada martwa cisza. Nie wiem, czy Ally już się położyła, ale kiedy mój wzrok przyzwyczajają się do ciemności, widzę, że jeszcze siedzi z nogami podciągniętymi pod brodę, gapiąc się przed siebie.

Po minucie mówi:

- Idę na górę.

Zabiera swoją pościel, celowo hałasując, pewnie żeby zemścić się na Lindsay. Chwilę później Elody mówi:

- Idę z nią. Kanapa jest krzywa.

Też jest zdołowana. Od lat śpimy na tej kanapie.

Kiedy ich już nie ma, siedzę przez chwilę, nasłuchując oddechu Lindsay. Zastanawiam się, czy śpi. Nie wyobrażam sobie, że mogła zasnąć. Mnie zupełnie odechciało się spać. Ale trzeba pamiętać, że Lindsay zawsze różniła się od większości ludzi, była mniej wrażliwa, widziała świat w czerni i bieli. Moja drużyna, twoja drużyna. Ta strona granicy, tamta strona granicy. Nieustraszona, nierozważna. Zawsze ją za to podziwiałam, jak my wszystkie.

Nie mogę się uspokoić, jakbym poszukiwała odpowiedzi na pytania, których nie umiem zadać. Wstaję z kanapy powoli, żeby nie zbudzić Lindsay, ale okazuje się, że jednak nie śpi. Obraca się na drugi bok i w ciemności widzę jej bladą skórę i ciemne oczodoły.

- Też idziesz na górę? - szepcze.

- Do łazienki - odpowiadam szeptem.

Po omacku docieram do korytarza i zatrzymuję się tam na chwilę. Gdzieś tyka zegar, ale poza tym panuje cisza. Otacza mnie ciemność i czuję tylko chłód kamiennej posadzki pod stopami. Przebiegam jedną dłonią po ścianie, żeby się zorientować, gdzie jestem. Już nie słyszę, jak pada deszcz. Kiedy wyglądam przez okno, widzę, że deszcz zmienił się w śnieg. Tysiące płatków topnieją na oknach. Światło księżyca, przechodząc przez szyby, robi się perłowe i ruchliwe, a cienie witraży wiją się i rozmazują na podłodze, jak żywe. Wcale nie idę do łazienki. Otwieram drzwi do piwnicy Ally i po omacku idę w dół, trzymając się obu poręczy.

Moja stopa dotyka dywanu u stóp schodów, a ja ręką odnajduję na ścianie włącznik światła. Nagle moim oczom ukazuje się piwnica - wielka, surowa i zupełnie zwyczajna: beżowe, skórzane kanapy, stary stół do ping-ponga, kolejny telewizor z płaskim ekranem i kolista przestrzeń z bieżnią, stepperem do ćwiczeń i trójstronnym lustrem pośrodku. Tu na dole jest chłodniej, pachnie chemikaliami i świeżą farbą.

Zaraz za miejscem do ćwiczeń są kolejne drzwi, prowadzące do następnego pokoju, który od zawsze nazywamy Ołtarzem Allison Harris. Pokój jest wytapetowany starymi rysunkami Ally, wszystkie nie-dobre, a większość pochodzi z czasów, gdy chodziła do podstawówki. Na półkach roi się od jej zdjęć: Ally przebrana za ośmiornicę na Halloween w pierwszej klasie; Ally w zielonej aksamitnej sukience obok gigantycznej choinki, wprost uginającej się od ozdób, uśmiechająca się; Ally pozująca w bikini; Ally uśmiechnięta; Ally z uniesionymi brwiami; Ally zamyślona. A na najniższej półce stoją w równym rzędzie wszystkie stare albumy upamiętniające życie Ally od przedszkola, rok po roku. Kiedyś Ally pokazała nam, jak pani Harris przewertowała wszystkie albumy, jeden po drugim i przykleiła kolorowe nalepki przy każdym z jej przyjaciół („Żebyś pamiętała, że zawsze wszyscy cię lubili” - powiedziała jej pani Harris).

Kłękam. Nie wiem dokładnie, czego szukam, ale w mojej głowie formuje się jakiś pomysł, jakieś dawne wspomnienie, które znika, kiedy tylko chcę mu nadać kształt, jak na tych trójwymiarowych obrazkach, na których widać coś dopiero wtedy, kiedy ogląda się je, nie koncentrując wzroku.

Zaczynam od albumu z pierwszej klasy. Przez przypadek otwieram go na klasie pana Christensena i widzę na zdjęciu siebie, jak stoję trochę z dala od grupy. Błysk lampy odbił się w okularach, dlatego nie

widać moich oczu. Mój uśmiech przypomina raczej skurcz, jakby jakiś wysiłek sprawiał mi ból. Szybko przewracam stronę. Nienawidzę oglądać starych albumów, bo bynajmniej nie towarzyszą temu same dobre wspomnienia. Moje albumy upchałam gdzieś na poddaszu, razem ze starymi lalkami, wyliniałą wypchaną owieczką, z którą kiedyś się nie rozstawałam, i całą resztą tego gówna, które mama każe mi trzymać, „bo może kiedyś jeszcze ci się przyda”.

Dwie strony dalej znajduję to, czego szukam: pierwsza klasa pani Novak. Lindsay jak zawsze w samym środku, z przodu, uśmiecha się prosto do kamery. Obok niej stoi szczupła, śliczna dziewczyna z nieśmiałym uśmiechem i włosami tak jasnymi, że zdają się białe. Stoją tak blisko siebie, że ich ręce stykają się od ramion po koniuszki palców.

Juliet Sykes.

W albumie z drugiej klasy Lindsay klęczy w pierwszym rzędzie. Obok niej - znowu Juliet Sykes.

W albumie z trzeciej klasy Juliet i Lindsay oddziela kilka stron. Lindsay była w klasie pani Derner (razem ze mną, bo to wtedy wymyśliła dowcip: „Co jest czerwone jak cegła i rozgrzane jak piec?”). Juliet chodziła do klasy doktor Kuzmy. Inne strony, inne klasy, inne pozy. Lindsay ma złożone przed sobą ręce; Juliet stoi trochę przechylona w bok. Ale i tak wyglądają prawie identycznie w takich samych pastelowo-niebieskich T-shirtach Petit Bateau i takich samych białych spodniach capri z nogawką tuż za kolano. Obie mają jasne i lśniące włosy z równym przedziałkiem pośrodku, a na ich szyjach lśnią cieniutkie, srebrne łańcuszki. W tamtym roku panowała moda na ubieranie się jak twoi przyjaciele - najlepsi przyjaciele.

Biorę album z czwartego roku, otwieram go ciężkimi, zdrętwiałymi palcami. Przeszywa mnie chłód. Na okładce widnieje duży kolorowy rysunek szkoły w neonowych różach i czerwieniach, pewnie namalowany przez nauczyciela plastyki. Przez dłuższą chwilę szukam klasy Lindsay, a kiedy wreszcie znajduję, moje serce zaczyna bić szybciej. Oto ona, z tym samym uśmiechem od ucha do ucha, jakby chciała, żeby kamera uchwyciła ją, gdy nie wygląda idealnie. A obok niej Juliet Sykes. Śliczna, szczęśliwa Juliet Sykes, z tajemniczym uśmiechem. Wpatruję się dokładnie w wąską, rozmazaną przestrzeń między nimi i wydaje mi się, że mają luźno splecione palce wskazujące.

Piąta klasa. Bez trudu odnajduję Lindsay w klasie pani Krakow, stoi z przodu, pośrodku, i uśmiecha się tak szeroko, że wygląda, jakby szczyrzyła zęby. Więcej czasu zajmuje mi odnalezienie Juliet. Przeglądam wszystkie fotografie i muszę zacząć od początku, aż wreszcie dostrzegam ją, daleko, w prawym rogu, wciśniętą między Lauren Lornet i Eileen Cho, wycofaną, jakby chciała zupełnie wypaść poza kadr. Włosy zasłaniają jej twarz niby kurtyna. Lauren i Eileen trochę się od niej odsuwają, jakby nie chciały być z nią kojarzone, jakby była zakaźnie chora.

Piąta klasa. To wtedy miała miejsce owa wycieczka skautów, kiedy Juliet nasikała do śpiwora i Lindsay przezwała ją Żółtą Pieluchą.

Odkładam album na miejsce. Sprawdzam, czy wszystkie stoją w odpowiednim porządku. Serce wali mi dziko, wybija niekontrolowany rytm, jak bęben. Nagle mam ochotę wydostać się z piwnicy tak szybko, jak to tylko możliwe. Wyłączam światło i po omacku wychodzę na schody. W ciemności wirują wokół

mnie jakieś kształty i cienie, a moje gardło zaciska się z przerażenia. *Jestem* pewna, że gdy się odwrócę, zobaczę Juliet, ubraną na białą, z zakrwawioną, rozplataną twarzą, idącą chwiejnym krokiem z wyciągniętymi przed siebie rękami, próbującą mnie złapać.

I nagle widzę ją na górze, niczym zjawę z sennego koszmaru. Jej twarz osłania cień - jej twarz wygląda jak dziura - ale wiem, że na mnie patrzy. Pokój wiruje wokół mnie. Opieram się o ścianę, żeby nie stracić równowagi.

- Masz jakiś problem? - Lindsay wchodzi w głąb korytarza i teraz światło księżyca oświetla ją całą, więc widzę jej twarz. - Co się tak na mnie gapisz?

- Jezu - kładę dłoń na piersi, próbując uspokoić serce, by wróciło do normalnego rytmu. - Ale mnie przestraszyłaś.

- Co robiłaś na dole? - Ma włosy w nieładzie. W tych białych bokserkach i podkoszulku bez rękawów wygląda jak duch.

- Przyjaźniłaś się z nią - mówię. Brzmi to jak oskarżenie. - Przez lata się z nią przyjaźniłaś.

Nie wiem sama, jakiej odpowiedzi oczekuję, ale Lindsay odwraca wzrok, a potem znowu na mnie patrzy.

- To nie nasza wina - mówi, jakby prowokowała mnie, żebym zaprzeczyła. - Ma kompletnie narąbane w głowie. Przecież wiesz.

- Wiem - odpowiadam. Ale wydaje mi się, że Lindsay wcale nie mówi do mnie.

- Słyszałam też, że jej ojciec jest alkoholikiem. Chyba. - Lindsay ciągnie dalej, jakby miała coś bardzo ważnego do powiedzenia. - Wszyscy w jej rodzinie mają narąbane w głowie.

- Jasne - przytakuję.

Przez minutę stoimy w ciszy. Moje ciało wydaje się ciężkie, bezwładne, jak czasem w koszmarach, kiedy wiesz, że trzeba biec, ale i tak nie możesz. Po chwili coś mi świta i mówię:

- Miała.

Choć Lindsay chwilę milczała, bierze głośno oddech, jakbym jej przerwała długi monolog.

- Co?

- Miała narąbane w głowie - mówię. - Teraz już jej nie ma.

Lindsay nie odpowiada. Przechodzę obok niej przez ciemny korytarz i odnajduję drogę na kanapę. Układam się pod kołdrą, a po chwili Lindsay przyłącza się do mnie.

Kiedy tak leżę, przekonana, że nie uda mi się zasnąć, przypomina mi się, jak w trzeciej klasie liceum razem wymknęłyśmy się któregoś dnia w środku tygodnia - we wtorek, a może w czwartek - i jeździłyśmy po okolicy, bo nie miałyśmy nic lepszego do roboty. W którejś chwili Lindsay gwałtownie zahamowała na Fallow Ridge Road i wyłączyła światła, czekając, aż jakieś auto będzie chciało się precyzyjnie obok nas na jednopasmowej drodze. Nagle szybko włączyła silnik i światła i ruszyła wprost na nadjeżdżające z przeciwka auto. Krzyczałam, ile sił w płucach, kiedy reflektory zbliżały się, wielkie jak słońca, bo byłam pewna, że zginiemy, a ona nie puszczała kierownicy i przekrzykiwała mnie:

- Nie martw się, oni zawsze skręcają pierwsi!

I miała rację. W ostatniej chwili to drugie auto skręciło gwałtownie do rowu.

To ostatnie, co pamiętam. Potem ogarnął mnie sen.

W moim śnie spadam w ciemności.

W moim śnie spadam w nieskończoność.

ROZDZIAŁ 4

Trzymam w ręku budzik i otwieram oczy dokładnie w chwili, w której rzucam nim o ścianę. Wydaje ostatni jęk, po czym rozpada się na kawałki.

- O matko - mówi Lindsay, kiedy wsiadam do jej samochodu piętnaście minut później. - W dzielnicy czerwonych latarni jest jakaś oferta pracy, o której nie wiem?

- Jedź - ledwo mogę na nią patrzeć.

Kipi we mnie gniew. Paruje ze mnie, aż dymi. Lindsay jest oszustką. Cały świat to oszuści - jeden wielki, jasno świecący szwindel. I z jakiegoś powodu to ja za to płacę. To ja umarłam. To mnie uwięziono.

A przecież to wszystko nie powinno się przydarzyć właśnie mnie. To Lindsay prowadzi tak, jakby grała w filmie *Mistrz kierownicy ucieka*. To Lindsay cały czas główkuje, jak by tu kogoś zniszczyć albo poniżyć, to ona wszystkich krytykuje. To Lindsay nie przyznała się do tego, że przyjaźniła się z Juliet Sykes, a potem przez lata ją torturowała. Ja nic nie zrobiłam, ja tylko szłam za tłumem.

- Zamarznie, wiesz? - Lindsay wyrzuca papierosa i zamyka okno.

- Dzięki, mam.

Opuszczam lusterko, żeby sprawdzić, czy nie rozmazała mi się szminka. Podwinęłam spódnicę, teraz ledwo przykrywa mi tyłek. Mam na sobie buty na dwunastocentymetrowych koturnach, kupione dla zgrywy razem z Ally w sklepie, który - jestem pewna - wyposaża przede wszystkim striptizerki. Włożyłam obsyty futerkiem podkoszulek bez rękawów, ale dodałam do niego naszyjnik z kryształów górskich, który też kupiłam dla żartu w Halloween, kiedy przebrałyśmy się za Niegrzeczne Pielęgniarki. Układa się w wielki, błyszczący napis DZIWKI.

Mam to w nosie. Mam ochotę, żeby na mnie patrzyli. Czuję się tak, jakbym mogła zrobić wszystko: uderzyć kogoś pięścią w twarz, obrabować bank, upić się i narobić głupot. To jedna z zalet bycia martwym. Nie ma żadnych konsekwencji.

Lindsay nie słyszy sarkazmu w moim głosie, a może go tylko ignoruje.

- Dziwię się, że rodzice wypuścili cię z domu w tym stroju.

- Nie wypuścili.

Kolejna rzecz, która zepsuła mi humor, to dziesięciominutowa pyskówka, jaka rozpetęła się między mną a mamą, zanim wyszłam z domu, trzaskając drzwiami. Nie mogłam zatrzymać potoku słów, nawet kiedy Izzy poszła się schować do swojego pokoju, a tato zagroził, że do końca życia (ha!) będę miała szla-

ban na wychodzenie z domu. Tak wspaniale się czułam, krzycząc - jakbym zdrapała strupa i popłynęła krew.

„Nie wyjdiesz z domu, póki nie pójdziesz na górę i nie ubierzesz się ciepłej”. Tak powiedziała mama. „Nabawisz się zapalenia płuc. A co ważniejsze, nie chcę, żeby ludzie w szkole coś sobie pomyśleli”.

I nagle coś we mnie trzasnęło, trzasnęło i pękło.

- Teraz cię to obchodzi? - Odskoczyła na dźwięk mojego głosu, jakbym ją uderzyła. - Teraz mi chcesz pomóc? Teraz chcesz mnie chronić?

Tak naprawdę chciałam powiedzieć coś innego: Gdzie byłaś cztery dni temu? Gdzie byłaś, kiedy mój samochód koziółkował po poboczu w środku nocy? Czemu o mnie nie myślałaś? Czemu cię tam nie było? Teraz nienawidzę moich rodziców: za to, że siedzieli sobie cichutko w domu, kiedy w ciemności uderzenia serca odmierzały ostatnie sekundy mojego życia, odkreślając je jedną po drugiej, póki nie skończył się czas; za to, że łącząca nas nić wydłużała się i stawała coraz cieńsza, a kiedy wreszcie się urwała, nawet tego nie odczuli.

Jednocześnie wiem, że to nie ich wina, przynajmniej nie do końca. Sama nawarzyłam dość piwa. Setki razy i na tysiąc sposobów, wiem o tym. Ale to bynajmniej nie łagodzi mojego gniewu, a wręcz go wzmacnia. Rodzice mają obowiązek nas chronić.

- Jezu, co cię ugryzło? - Lindsay wbija we mnie wzrok na sekundę. - Wstałaś lewą nogą?

- Już od kilku dni tak.

Mam serdecznie dość tego przygaszonego światła, chorobliwie bladego błękitu nieba - to nawet nie jest prawdziwy błękit - i słońca rozlanego jak mokra plama na horyzoncie. Kiedyś czytałam, że wygłodzeni ludzie fantazjują na temat jedzenia. Leżą sobie godzinami i śnią o talerzu pełnym gorących tłuczonych ziemniaków ociekających masłem i o krwistym steku. Teraz rozumiem. Łaknę innego światła, innego słońca, innego nieba. Nigdy wcześniej o tym nie myślałam, ale to niesamowite, ile odcieni potrafi przybrać światło i jak wiele kolorów może mieć niebo: blada jasność wiosny, kiedy wydaje się, że cały świat kwitnie; soczysta, jasna nonszalancja lipcowego południa; fioletowe niebo w czasie burzy; zielonkawe, mdłe niebo tuż przed uderzeniem pioruna; szalone, wielokolorowe zachody słońca, które wyglądają jak wizje po zażyciu kwasu.

Trzeba było się nimi nacieszyć, zapamiętać je wszystkie. Trzeba było umrzeć w dniu z pięknym zachodem słońca. Trzeba było umrzeć w letnie wakacje albo w czasie ferii zimowych. Trzeba było umrzeć kiedy indziej. Opieram głowę o szybę i wyobrażam sobie, że uderzam pięścią w okno, w sam środek nieba, i patrzę, jak rozpryskuje się niczym lustro.

Zastanawiam się, jak przetrwać wszystkie te miliony i miliony dni, które będą dokładnie takie, jak ten, jakbym stała między dwoma ustawionymi naprzeciw siebie lustrami, powielającymi moje odbicie w nieskończoność. Zaczynam układać w głowie plan: przestanę chodzić do szkoły i każdego dnia będę kradła komuś samochód, i jechała, jak daleko się da, codziennie w innym kierunku. Wschód, zachód, północ, po-

ładnie. Puszczam wodze fantazji i wyobrażam sobie, że pojadę najdalej i najszybciej jak się da, że auto wzbije się w powietrze jak samolot i pofrunie w górę, aż do miejsca, gdzie czas się rozsypuje, jak piasek miotany wiatrem na wielkiej równinie.

Pamiętasz, co mówiłam o nadziei?

- Szczęśliwego Dnia Kupidyna! - mówi śpiewnie Elody, wsiadając do Czołgu.

Lindsay gapi się to na mnie, to na Elody.

- Co jest grane? Bierzecie udział w konkursie na Najbardziej Skąpo Ubraną Dziewczynę?

- Jak masz co pokazać, to pokazuj - Elody przygląda się bacznie mojej spódnicy, kiedy schyla się po kawę. - Zapomniałaś spodni, Sam?

Lindsay prychna.

- Zazdrosna jesteś? - odpowiadam, nie odwracając się od okna.

- Co jej jest? - Elody rozpiera się na tylnym siedzeniu.

- Ktoś zapomniał zażyć rano pigułkę szczęścia.

Kątem oka widzę, jak Lindsay patrzy w tył na Elody i robi minę mówiącą: „Daj jej spokój”. Jakbym była dzieckiem, którego fochy trzeba tolerować. Myślę o tych starych fotografiach, na których stoi ramię w ramię z Juliet Sykes, a potem przed oczami staje mi obraz rozplątanej głowy Juliet i mózgu rozprysniętego na ścianie w piwnicy. Znowu ogarnia mnie furia i robię, co mogę, żeby się nie odwrócić do Lindsay i nie wykrzyknąć jej w twarz, że jest pozerką, kłamczuchą i że ją przejrzałam na wylot.

„Przejrzałam cię na wylot...” Serce bije mi szybciej, kiedy przypominam sobie słowa Kenta.

- Mam coś, co cię rozweseli.

Elody zaczyna grzebać w torbie i wygląda na zadowoloną z siebie.

- Przysięgam, Elody, że jak teraz dasz mi kondom... - przyciskam palce do skroni.

Elody zastyga. Unosi w górę brwi, trzymając w palcach kondom.

- Ale... to prezent ode mnie.

Patrzy na Lindsay, jakby oczekiwała pomocy. Lindsay wzrusza ramionami.

- Jak sobie chcesz - mówi. Nie patrzy na mnie, ale wiem dobrze, że moje dąsy naprawdę zaczynają ją wkurzać. I prawdę mówiąc, bardzo mnie to cieszy. - Może chcesz założyć laboratorium chorób wenerycznych.

- Ty wiesz o tym to i owo. - Nie chciałam, żeby to mi się wysnęło. Ale stało się. Lindsay odwraca się błyskawicznie w moją stronę.

- Co powiedziałaś?

- Nic.

- Powiedziałaś, że...

- Nic nie powiedziałam.

Opieram głowę o szybę. Elody wciąż siedzi i trzyma kondom w dwóch palcach.

- Ej, Sam, bez oprawy nie ma zabawy, co nie?

Utrata dziewictwa wydaje mi się teraz tak totalnie absurdalna, jak kulminacyjny punkt w innym filmie, z innymi postaciami i w innym życiu. Wyteżam pamięć, próbując przypomnieć sobie, co kocham w Robie - czy raczej, co w nim kochałam - ale przed oczami kłębią mi się tylko jakieś obrazy, które nie chcą się ułożyć w żaden porządek: Rob rozwalony na kanapie u Kenta, kiedy łapie mnie za rękę i oskarża o zdradę; Rob kładzie głowę na moim ramieniu w szóstej klasie; Rob podnosi dłoń i mówi: „Pięć minut”; Rob chwytą mnie po raz pierwszy za rękę, kiedy idziemy korytarzem, a ja czuję się dumna i silna. Patrzę na to wszystko jak na cudze wspomnienia. I wtedy zaczynam rozumieć - to się już nie liczy. To wszystko się już nie liczy. Odwracam się i sięgam po kondom.

- Bez oprawy nie ma zabawy - mówię, posyłając jej niemrawy uśmiech.

- Dobra dziewczynka - cieszy się Elody.

Odwracam się znowu, kiedy Lindsay hamuje z piskiem na czerwonych światłach. Rzuca mnie w przód i muszę wyciągnąć rękę, żeby nie wpaść na deskę rozdzielczą, a potem, kiedy auto już staje, uderzam o zagłówek. Z kubka spada wieczko i kawa rozlewa mi się na uda.

- Ups - chichocze Lindsay - tak mi przykro.

- Jazda z tobą to rosyjska ruletka - śmieje się Elody, zapinając pas.

Cały gniew, który wzbierał we mnie od rana, wybucha w jednej chwili.

- Upadłaś na głowę!?

Uśmiech zastyga na twarzy Lindsay.

- Słucham?

- Pytam, czy upadłaś na głowę? - Wyciągam serwetki ze skrytki i zaczynam wycierać nogi. Kawa nie jest już aż tak gorąca, bo Lindsay zostawiła wieczko otwarte, żeby przestygła. Mimo to brunatna plama zostaje na moim udzie. Chce mi się płakać. - To nie takie trudne. Czerwone światło: zatrzymujesz się. Zielone światło: jedziesz. Rozumiem, że żółte może ci sprawić trochę trudności, ale jak trochę poćwiczysz, to i z tym sobie poradzisz.

Lindsay i Elody gapią się na mnie zdumione i nic nie mówią, ale ja się nie zamykam, nie mogę, to wszystko wina Lindsay i jej idiotycznych popisów.

- Małą można by nauczyć jeździć lepiej od ciebie. Co z tego? O co ci chodzi? Musisz udowodnić, że masz wszystko w dupie? Że na niczym ci nie zależy? Że o nikogo nie dbasz? Błotnik się wyklepie, lustro można przetrzeć, ups, dzięki Bogu mamy poduszki powietrzne. Od czego są zderzaki? Nie zatrzymuj się, jedź dalej, nikt nie zauważy. Wiesz co, Lindsay? Nie musisz niczego udowadniać. Już każdy wie, że masz w dupie wszystkich oprócz siebie samej. Zawsze to wiedzieliśmy.

Nie starcza mi tchu i na chwilę milknę. Zapada głucha cisza. Lindsay nawet na mnie nie patrzy. Gapi się przed siebie, z obiema dłońmi na kierownicy, zaciska je tak mocno, że kostki robią się białe. Światło zmienia się na zielone, a ona gwałtownie naciska na pedał gazu. Silnik warczy, jakby gdzieś daleko przechodziła burza.

Lindsay dopiero po chwili się odzywa. Mówi niskim, zduszonym głosem.

- Gdzie, do cholery, mam cię wysadzić...?

- Dziewczyny - Elody włącza się nerwowo z tyłu. - Nie kłóćcie się, okej? Dajcie spokój.

Gniew wciąż przeze mnie przepływa, jak prąd elektryczny. Od lat nie czułam się tak trzeźwa i czujna. Odwracam się gwałtownie do Elody.

- A czemu ty nigdy się nie bronisz? - pytam. Kuli się trochę, patrząc to na Lindsay, to na mnie. - Wiesz, że to prawda. To suka. No dalej, powiedz to.

- Nie mieszaj jej do tego - syczy Lindsay.

Elody otwiera usta, ale przez chwilę tylko kręci głową.

- Wiedziałam - mówię i czuję zarówno triumf, jak i obrzydzenie. - Boisz się jej. Wiedziałam.

- Powiedziałam, żebyś dała jej spokój! - Wreszcie Lindsay podnosi głos.

- To ja mam dać jej spokój? - Nagle przestaję jasno myśleć. Wszystko zaczyna się kręcić, wiruje wokół mnie, wymyka mi się spod kontroli. - To ty cały czas traktujesz ją jak kawałek gówna.

To ty. Elody jest taka żałosna. Patrzcie, jak Elody uwiesiła się na Stevie, a on nawet jej nie lubi. O, Elody znowu się zalała. Mam nadzieję, że ta alkoholiczka nie narzyga mi do auta, nie chcę, żeby mi tapicerka śmierdziała.

Słyszę, jak Elody wciąga głośno powietrze, kiedy wypowiadam słowo „alkoholiczka”. Wiem, że posunęłam się za daleko. Już w chwili, gdy to mówię, chcę to wycofać. Lusterko jest nadal opuszczone i widzę, że Elody gapi się przez okno, a jej usta drżą, jakby siłą powstrzymywała łzy. W przyjaźni obowiązuje zasada: pewnych rzeczy nigdy, przenigdy się nie mówi.

Nagle Lindsay gwałtownie hamuje. Jesteśmy na samym środku drogi numer 120, jakiś kilometr od szkoły, ale za nami widać sznur aut. Jadący za nami samochód musi skrócić na drugi pas, żeby w nas nie wjechać. Dzięki Bogu z naprzeciwka nic nie jedzie. Nawet Elody krzyczy.

- Jezu - Serce mi wali. Samochód mijają nas, trąbiąc dziko. Pasażer otwiera okno i coś do nas krzyczy, ale nic nie słychać. Miga mi tylko czapeczka bejsbolowa i gniewny wzrok. - Co ty wyprawiasz?

Kierowcy w samochodach za nami też zaczynają trąbić, ale Lindsay włączyła światła postojowe i nie rusza się.

- Lindsay - mówi przerażona Elody - Sam ma rację. To nie jest śmieszne.

Lindsay rzuca się w moją stronę i już mi się wydaje, że mnie uderzy. Ale ona tylko nachyliła się i otwiera drzwi.

- Wynocha - mówi cicho głosem pełnym gniewu.

- Co?

Chłód wdziera się do samochodu, czuję zimno jak uderzenie w brzuch i zupełnie schodzi ze mnie powietrze. Odchodzi wraz z nim resztką mojego gniewu i odwagi. Teraz jestem tylko zmęczona.

- Lindz - Elody próbuje się zaśmiać, ale wydaje tylko wysoki, histeryczny dźwięk. - Nie możesz kazać jej iść. Zamarznie.

- Wynocha - powtarza Lindsay.

Samochody zaczynają nas teraz objeżdżać, kierowcy trąbią, opuszczają szyby i na nas krzyczą. Ich słowa giną wśród wycia silników i dźwięku klaksonów, ale to i tak dostatecznie poniżające. Drętwieję na samą myśl o tym, że muszę teraz wysiąść i iść poboczem, dziesiątki samochodów będą mnie mijały, a ludzie będą się na mnie gapić. Patrzą na Elody, licząc na wsparcie, ale ona odwraca wzrok.

Lindsay nachyla się.

- Powiedziałaś. Wynoś. Się - szepce, zbliżając usta do mojego ucha tak, że gdyby ktoś nie słyszał, co do mnie mówi, pomyślałby, że powierza mi jakąś tajemnicę.

Chwytam torbę i wychodzę na zimne powietrze. Lodowaty podmuch niemal paraliżuje mi nogi. Jak tylko wysiadam z samochodu, Lindsay wciska gaz do dechy, odjeżdża z otwartymi drzwiami.

Idę pełnym śmieci i liści poboczem. Palce u rąk i nóg od razu mi drętwieją i tupię po zamarzniętych liściach, żeby krew zaczęła szybciej krążyć. Dopiero po chwili długi sznur samochodów zaczyna się ruszać, ale kierowcy na końcu kolejki jeszcze trąbią, co brzmi jak dźwięk przejeżdżającego w oddali pociągu.

Obok mnie zatrzymuje się niebieska toyota. Wychyla się z niej kobieta - ma siwe włosy, wygląda na sześćdziesiątkę - i kręci głową.

- Wariatka - mówi, unosząc brwi.

Przez chwilę stoję, ale kiedy auto zaczyna odjeżdżać, przypominam sobie, że nic się nie liczy, że to wszystko już się nie liczy, więc unoszę w górę środkowy palec z nadzieją, że ona to zobaczy.

Przez całą drogę do szkoły to sobie powtarzam: To się nie liczy, nic już się nie liczy. W końcu słowa przestają cokolwiek znaczyć.

Oto czego nauczyłam się tego poranka: jeśli przekroczysz pewną granicę i nic się nie dzieje, to granica traci znaczenie. Jak w starej zagadce: „Czy kiedy drzewo przewróci się w lesie, to wyda dźwięk, jeśli w pobliżu nie będzie nikogo, kto by to mógł usłyszeć?”.

Wytycza się granicę coraz dalej i dalej, za każdym razem ją przekraczając. W taki sposób ludzie odrywają się od ziemi. Zdziwilibyście się, jak łatwo wypaść z orbity, poszybować w miejsce, gdzie nikt nie może cię dotknąć. Zatracić się. Zagubić.

A może nie zdziwilibyście się. Może niektórzy z was już to znają z autopsji.

Tym osobom mogę powiedzieć tylko: Współczuję wam.

Olewam wszystkie poranne zajęcia tylko dlatego, że mogę, i przez kilka godzin włóczę się po korytarzach, bez jakiegokolwiek celu i planu. Mam wręcz nadzieję, że ktoś mnie zatrzyma - jakiś nauczyciel albo pani Winters, albo jakiś asystent nauczyciela, albo ktokolwiek - i zapyta, co robię, a nawet od razu oskarży mnie o wagary i wyśle do gabinetu dyrektora. Kłótnia z Lindsay nie usatysfakcjonowała mnie i wciąż czuje niejasną, ale dojmującą potrzebę, żeby coś zrobić. Tymczasem większość nauczycieli tylko wita mnie skinieniem głowy, uśmiecha się albo niedbale pozdrawia gestem. Nie mają pojęcia, jaki mam plan lekcji, więc nie wiedzą, czy nie mam wolnej godziny albo czy nie odwołano jakichś zajęć. Jestem zadowolona, że tak łatwo łamię się zasady.

Kiedy przychodzę na lekcję pana Daimlera, celowo na niego nie patrzę, ale czuję na sobie jego wzrok. Podchodzi do mnie, kiedy tylko zajmuję miejsce w ławce.

- Nie za wczesna pora na strój plażowy? - pyta z szerokim uśmiechem.

Zazwyczaj, kiedy patrzy na mnie dłużej niż kilka sekund, zaczynam się denerwować, ale dziś zmuszam się, by patrzeć mu prosto w twarz. Ciepło ogarnia całe moje ciało. Czuję się jak wtedy, gdy w wieku pięciu lat w domu babci stanęłam pod lampami grzewczymi. To zdumiewające, że można zrobić coś takiego samym spojrzeniem, przemienić światło w ciepło. Nigdy nie czułam tego w towarzystwie Roba.

- Jak masz co pokazać, to pokazuj - odpowiadam cicho i spokojnie.

Widzę błysk w jego oku. Zaskoczyłam go.

- Pewnie masz rację - mruży tak cicho, że na pewno tylko ja to słyszę. A potem robi się jasnoczerwony na twarzy, jakby nie mógł uwierzyć, że właśnie to powiedział. Wskazuje kiwnięciem głowy na moją ławkę, gdzie leży tylko długopis i mały, kwadratowy notatnik, w którym razem z Lindsay przekazujemy sobie wiadomości w czasie lekcji. - Żadnych róż? Czy twój bukiet zrobił się za ciężki, żeby go cały czas ze sobą nosić?

Nie poszłam na lekcje, więc nie zebrałam Valogramów. Nic mnie to nie obchodzi. W przeszłości wolałabym skoczyć z mostu, niż chodzić po szkole w Dzień Kupidyna bez jednej róży. W przeszłości uważałabym to za karę o wiele gorszą niż śmierć.

Tak było, zanim dowiedziałam się prawdy. Kręcę głową i wzruszam ramionami.

- Już się w to nie bawię.

Czuję napływ pewności siebie, jakbym kradła ją od kogoś innego, znacznie starszego i piękniejszego. Jakbym tylko odgrywała rolę.

Pan Daimler uśmiecha się do mnie, a ja znowu dostrzegam błysk w jego oku. Potem pan Daimler wraca do biurka i klaszcze w dłonie, gestem nawołując wszystkich, by zajęli miejsca. Jak zawsze spod kołnierzyka wystaje mu brudny naszyjnik z konopnego sznurka. Wyobrażam sobie, że zaciskam na nim palce, przyciągam pana Daimlera do siebie i całuję. Ma mięsiste usta (ale nie za bardzo), wykrojone idealnie - takie powinien mieć każdy facet - jak tylko lekko rozchyli wargi, od razu można przyłożyć do nich własne. Myślę o zdjęciu ze szkolnego albumu, na którym stoi ze swoją dziewczyną i ją obejmuje. Była szczupła, miała długie brązowe włosy i szeroki uśmiech. Dokładnie jak ja.

- Proszę państwa - mówi pan Daimler, kiedy wszyscy jeszcze się krzątają i zmierzają do swoich ławek, chichocząc i szeleszcząc bukietami. - Wiem, że mamy Dzień Kupidyna i miłość wisi w powietrzu, ale nie zgadnicie, co jeszcze. Tak, rachunek różniczkowy.

Kilka osób wzdycha głośno. Kent wchodzi, trzaskając drzwiami, z otwartą torbą, z której dosłownie wysypują się za nim papiery, jakby naśladował Jasia i Małgosię i chciał, żeby ktoś podązał za nim szlakiem w połowie ukończonych szkiców i notatek z matematyki. Spod nogawek zbyt obszernych spodni khaki wystają mu trampki w białą-czarną szachownicę.

- Przepraszam - dysząc, mówi do pana Daimlera. - „Chaos” wymknął się spod kontroli. Problemy z drukarką. Złośliwy guz w podajniku numer dwa. W obliczu ryzyka, że wszystko stracę, musiałem natychmiast operować.

Kiedy dochodzi do połowy przejścia między ławkami, podręcznik do matematyki - który unosił się coraz wyżej i wyżej na fali zmiętych papierzyśk w jego torbie - wypada i uderza z hukiem o podłogę. Wszyscy się śmieją. Wzbiera we mnie irytacja. Czemu zawsze musi być takim niechlujem? Tak trudno mu zapiąć torbę?

Kent zauważa, że na niego patrzę, i chyba mylnie odczytuje mój wyraz twarzy jako zatroskanie, bo uśmiecha się do mnie szeroko i bezgłośnie mówi:

- Chodząca katastrofa. - Jakby był z tego dumny.

Kieruję uwagę z powrotem na pana Daimlera. Stoi na środku klasy z rękami skrzyżowanymi na piersi i udawaną powagą na twarzy. To najbardziej w nim lubię: nigdy naprawdę się nie złości.

- Cieszę się, że drukarka przeżyła - mówi, unosząc brwi. Ma podwinięte rękawy i opalone przedramiona. A może to po prostu kolor jego skóry? Przypalony miód. - Jak już mówiłem, wiem, że Dzień Kupidyń dostarcza wam wielu mocnych wrażeń, ale nie możemy zapomnieć, że mamy jeszcze codzienne...

- Kupidyńki! - ktoś piszczy, a w klasie rozbrzmiewa śmiech.

I oto one: diabeł, kot i blady, biały anioł z wielkimi oczami. Pan Daimler unosi ręce do góry i opiera się o biurko.

- Poddaję się - mówi.

Patrzy na mnie z uśmiechem przez jedną sekundę, tylko jedną, ale to wystarczy, żeby całe moje ciało rozświetliło się jak wystawa sklepowa w Boże Narodzenie.

Anioł wręcza mi trzy róże - od Roba, Tary Flute i Elody - a potem metodycznie przeszukuje bukiet, otwierając każdą kartkę i sprawdzając, czy jest do mnie. Dziewczyna każdy ruch wykonuje z namaszczeniem, solennie, jakby usilnie koncentrowała się na tym, żeby wszystko poprawnie wykonać. Kiedy odczytuje adresata, po cichu wymawia jego imię, zadumana, jakby nie wierzyła, że w szkole jest tyle osób, tyle róż do dostarczenia, tylu przyjaciół. Oglądanie tego to dla mnie tortura, więc wstaję nagle i wyrrywam jej z rąk kremowo-różową różę. Ona, zdumiona, odskakuje.

- To dla mnie - mówię. - Poznaje.

Kiwa głową i patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami. Wątpię, by kiedykolwiek rozmawiała z kimś z czwartej klasy. Już zaczyna otwierać usta.

Nachylam się do niej, żeby nikt nie usłyszał.

- Nie mów tego - uprzedzam jej reakcję, a ona jeszcze szerzej otwiera oczy. Jeśli powie, że róża jest piękna, wybuchnę. Wkurza mnie to, że róża, tak jak i wszystko inne, zamieniła się teraz w zwykły, pozbawiony znaczenia śmieć. - I tak ją wyrzucę do śmietnika.

Naprawdę zamierzam to zrobić. Jak tylko pan Daimler odprowadza Kupidyńki do drzwi - cała klasa nadal chichocze i wszyscy pokazują sobie nawzajem liściki, które dostali od przyjaciół, próbując jednocze-

śnie przewidzieć, ile róż zbiorą do końca dnia - ja zbieram moje róże i idę wyrzucić je do wielkiego kosza na śmieci stojącego obok biurka pana Daimlera.

Nagle chichoty milkną. Dwie osoby wzdychają głośno, a Chrissy Walker robi znak krzyża, jakbym co najmniej nasrała na Biblię. Właśnie taką wagę przywiązują do tych róż. Becca Roth podnosi się z krzesła, jakby chciała zanurkować w koszu i wydobyć z niego kwiaty, żeby uratować je spod lawiny papieru i strużyn, oblanych klasówek i pustych puszek po coli. Nawet nie patrzę w kierunku Kenta. Nie chcę oglądać jego twarzy.

- Nie możesz tak po prostu wyrzucić swoich róż, Sam - wypala nagle Becca. - Ktoś ci je przysłał.

- No właśnie - włącza się Chrissy. - Tak się po prostu nie robi. Wzruszam ramionami.

- Możecie je sobie wziąć, jeśli chcecie - mówię i gestem wskazuję na kosz. Becca rzuca w jego kierunku tęskne spojrzenie. Pewnie nie może zdecydować, czy opłaca jej się wspiać na drabinie towarzyskiej dzięki zyskaniu dodatkowych róż, ale za cenę utraty dobrego mniemania o sobie, co z pewnością ją czeka, kiedy cała szkoła ochrzci ją mianem Śmiecionurka.

Pan Daimler uśmiecha się i puszcza do mnie oko.

- Na pewno chcesz to zrobić, Sam? - Podnosi ręce w obu kierunkach. - Łamiesz serca ludziom na prawo i lewo.

- Naprawdę? - To wszystko odejdzie w niepamięć, zniknie, zostanie jutro wymazane, a jutro zostanie wymazane kolejnego dnia, a potem i ten dzień zostanie wymazany, do czysta, bez śladu, przez dzisiejszy dzień. - A pańskie też?

W klasie zapada martwa cisza. Ktoś pokasłuje. Widzę, że pan Daimler nie wie, czy celowo się z nim drocę. Nerwowo oblizuje wargi i gładzi włosy.

- Słucham?

- Pańskie serce? - Zbliżam się do niego i siadam na rogu biurka, a spódnica podnosi mi się tak, że prawie widać bieliznę. Serce bije mi tak szybko, że niemal słyszę jego rytm. Czuję się tak, jakbym płynęła w powietrzu. - Też je łamię?

- Okej. - Pan Daimler spuszcza wzrok i nerwowo bawi się rękawem. - Wróć na swoje miejsce, Sam. Czas zaczynać.

- Myślałam, że lubi pan na mnie patrzeć.

Odchylam się do tyłu i wyciągam ramiona nad głowę. W powietrzu przepływa prąd elektryczny, słychać trzaski, napięcie rozchodzące się we wszystkich kierunkach. Podobna atmosfera jest przed burzą, kiedy każda cząsteczka w powietrzu jest dodatkowo naładowana i wibruje. Ktoś z tyłu klasy się śmieje, a kto inny mamrocze:

- Jezu.

Może to sprawka mojej wyobraźni, ale wydaje mi się, że poznaję głos Kenta.

Pan Daimler patrzy na mnie. Ma pochmurną twarz.

- Siadaj.

- Skoro pan nalega.

Zsuwam się z krawędzi biurka i ruszam w stronę jego krzesła. Siadam i powoli zakładam nogę na nogę, składając dłonie na podolku. W klasie wybuchają cichutkie chichoty i westchnienia niczym małe eksplozje. Nie wiem, skąd rodzi się we mnie uczucie kompletnej i totalnej kontroli. Jeszcze kilka miesięcy temu, rozmawiając z facetami, nawet z Robem, trzęsłam się jak galareta. A teraz czuję się swobodnie, naturalnie, jakbym po raz pierwszy w życiu występowała w nowej skórze.

- Na swoim krześle.

Pan Daimler prawie warczy, a jego twarz robi się ciemnoczerwona, prawie purpurowa. Wyprowadziłam go z równowagi, to chyba pierwszy taki przypadek w historii Liceum imienia Thomasa Jeffersona. Wiem, że niezależnie od tego, w jaką grę gramy, właśnie zdobyłam punkt. Na samą myśl czuję lekki skurcz żołądka. Ale nie nieprzyjemny, bardziej jak tuż przed osiągnięciem szczytowego punktu na rollercoasterze, kiedy wiesz, że za moment będziesz w najwyższym miejscu wesołego miasteczka i spojrzysz na wszystko z góry, i zatrzymasz się tam na ułamek sekundy, zanim zaczniesz spadać na łeb, na szyję. To ten lekki skurcz, po którym wiatr rozbija wszystko w pył, a ty mkniesz za nim i krzyczysz, zupełnie mu się poddając. Śmiech w klasie zamienia się w ryk. Gdyby ktoś stał na zewnątrz, mógłby wziąć go za aplauz.

Przez resztę lekcji się nie odzywam, choć wokół ludzie szepczą i chichoczą. Przychodzą do mnie trzy liściki. Jeden jest od

Becki i brzmi: „Jesteś boska”. Drugi od Hanny Gordon: „On jest taaakim ciachem”. Kolejny ląduje na moich kolanach w postaci zwiniętej kulki, nie wiem od kogo. Zawiera tylko jedno słowo: „Dziwka”. Przez moment czuję gorące uderzenie zażenowania, coś jak mdłości albo lęk przestrzeni. Ale to szybko mija. Przecież nic nie dzieje się naprawdę. Nawet ja już nie jestem prawdziwa.

Czwarty liścik przychodzi tuż przed końcem lekcji. Ma formę malutkiego samolotu, który szybuje z gracją w moim kierunku i ląduje z szelestem na ławce, dokładnie w chwili, kiedy pan Daimler odwraca się od tablicy, na której zapisał równanie. Jest tak idealny, że boję się go dotknąć, ale rozkładam jego skrzydła i odczytuję wiadomość napisaną równym, drukowanym pismem: „Jesteś za dobra na takie numery”.

Nie ma podpisu, ale i tak wiem, że to od Kenta. Nie wiem czemu, nagle do głębi przeszywa mnie dziwne uczucie. Nawet nie umiem go opisać - to jakby ostrze, które wbija mi się między żebra i sprawia, że z trudem łapię oddech. Nie powinnam była umrzeć. Nie ja.

Bardzo delikatnie biorę liścik do rąk i drę na pół. Składam i znów drę na pół.

Przez całą lekcję nie mogliśmy się uspokoić i pan Daimler poddaje się dwie minuty przed dzwonkiem.

- Nie zapomnijcie, że w poniedziałek klasówka. Granice funkcji i asymptoty. - Podchodzi do biurka i opiera się na nim. Szmer kurtek i szuranie krzeseł na linoleum brzmi jak jedno wielkie, zbiorowe westchnienie, jakby cała klasa oddychała w tym samym rytmie. - Samantha Kingston, proszę, żebyś została po lekcji.

Nawet na mnie nie patrzy, ale sam ton jego głosu sprawia, że zaczynam się denerwować. Po raz pierwszy dociera do mnie, że chyba napytałam sobie biedy. To się oczywiście nie liczy, ale jeśli pan Daimler wygłosi wykład na temat nieodpowiedzialnego zachowania, umrę z zażenowania. Znowu umrę.

- Powodzenia - mówi niemal bezgłośnie Becca, wychodząc.

Nawet się nie przyjaźnimy. Lindsay nazywa ją indykomanką, bo każdego dnia bez wyjątku je kanapkę z indykiem. Ale już to, że się do mnie zwraca, powoduje, że trochę się rozluźniam.

Pan Daimler czeka, aż ostatni uczeń wywlecze się w końcu z klasy - kątem oka widzę, że na zewnątrz kręci się Kent - a potem powoli podchodzi do drzwi i je zamyka. Ten dźwięk - szybki, ostateczny - sprawia, że skacze mi puls. Na sekundę zamykam oczy i czuję się tak, jakbym znowu była z Lindsay w samochodzie na Fallow Ridge Road, kiedy zamglone reflektory z drugiego auta gapiły się na nas oskarżycielsko w ciemności. Mówiła, że zawsze skręcają pierwsi, ale w tym momencie zrozumiałam zupełnie jasno, że nie dlatego to robiła, czy raczej robi. Jej tak naprawdę chodzi o ten jeden jedyny ekscytujący moment, kiedy nie wiesz, co będzie dalej, kiedy stajesz naprzeciwko kogoś, kto nie skręca, i to właśnie ty nagle zjeżdżasz z drogi w samą ciemność.

Kiedy otwieram oczy, pan Daimler chwyta się pod boki. Patrzy prosto na mnie.

- Co ty sobie, do diabła, wyobrażasz?

Uderza mnie ostrość tonu jego głosu. Nigdy wcześniej żaden nauczyciel nie przeklinał w mojej obecności.

- Ja... nie wiem, o czym pan mówi - mój głos zdaje się słabszy, cichszy, niżbym tego chciała.

- To gówno, które odwaliałaś przed wszystkimi. Co ty sobie myślisz?

Wstaję, żeby nie siedzieć przed nim i nie gapić się w górę jak małe dziecko. Nogi mi się trzęsą i muszę się podeprzeć jedną ręką na ławce. Biorę głęboki oddech, próbując pozbierać się do kupy. To nie ma najmniejszego znaczenia, to wszystko zostanie wymazane, wyczyszczone.

- Przepraszam - mówię i czuję się trochę silniejsza. - Naprawdę nie wiem, o czym pan mówi. Czy zrobiłam coś nie tak?

Patrzy w kierunku drzwi i widzę, jak zaciskają się mięśnie jego szczęki. Ten jeden mały skurcz przywraca mi całą pewność siebie. Chcę wyciągnąć do niego rękę i go dotknąć, włożyć dłoń w jego włosy.

- Mogłaś narobić sobie problemów - mówi, nie patrząc na mnie. - Mnie też mogłaś narobić problemów.

Dzwoni pierwszy dzwonek, lekcja się oficjalnie skończyła. Znowu we krwi i w otaczającym mnie powietrzu czuję radosny rytm. Ostrożnie odsuwam się od ławki i wychodzę na środek sali. Zatrzymuję się o krok od pana Daimlera. On się nie wycofuje. Wreszcie na mnie patrzy. Ma tak głębokie, pełne czułości oczy, że prawie mnie to przeraża. Ale jednak nie przeraża.

Przysiadam niedbale na ławce Becki, odchylając się do tyłu i opierając na łokciach. Teraz pan Daimler widzi mnie w całej okazałości: piersi, nogi, wszystko. Czuję się, jakby głowa oderwała mi się od ciała; jakby z ciała odpłynęła mi krew; jakbym rozproszyła się i zamieniła w czystą energię i wibracje.

- Kłopoty to moja specjalność - mówię najseksowniejszym głosem, na jaki mnie stać.

Pan Daimler patrzy mi prosto w oczy, bo musi bardzo się wysilać, żeby nie spojrzeć niżej.

- Co ty wyprawiasz?

Spódnica podsunęła mi się do samych bioder, na pewno widać mi majtki. To żółte stringi z koronki, jedno z pierwszych, jakie sobie kupiłam. W stringach zawsze czuję się tak, jakbym w tyłku miała kawałek gumy, ale w zeszłym roku kupiłyśmy sobie z Lindsay po parze takich samych w Victorias Secret i przysięgłam, że będę je nosić.

Mam wrażenie, że czytam scenariusz jakiegoś filmu.

- Mogę przestać, jeśli pan chce.

Mówię niskim głosem, choć bynajmniej się nie staram. Już nie oddycham. Wszystko, cały świat za styga, kiedy czekam na jego odpowiedź.

Ale kiedy się odzywa, w jego głosie słyszę znużenie i zniecierpliwienie. Nie tego oczekiwałam.

- Czego chcesz, Samantha?

Ton jego głosu mnie zaskakuje i przez sekundę mój umysł wiruje w próżni. Teraz pan Daimler gapi się na mnie ze zniecierpliwionym wyrazem twarzy, jakbym przyszła błagać, żeby zmienił mi ocenę. Rozbrzmiewa drugi dzwonek. Wydaje mi się, że za chwilę mnie wyrzuci, przypominając o poniedziałkowej klasówce. Z jakiegoś powodu straciłam panowanie nad sytuacją i nie wiem, jak je odzyskać. Powietrze nadal wibruje, ale teraz już złowieszczo, jakby zawisło w nim mnóstwo ostrych przedmiotów, które zaraz spadną na ziemię.

- Chcę... chcę...

Nie chciałam zabrzmieć jak niepewna swego sierota. Przecież tego właśnie chcę, już od dawna: pana Daimlera. Przez chwilę mój umysł wiruje w ślepej panice i nie mogę sobie przypomnieć, jak on ma na imię. Chce mi się histerycznie śmiać. Leżę półnaga, wyciągnięta na ławce przed swoim nauczycielem matematyki i nie pamiętam, jak ma na imię. I nagle mnie oświeca. Evan.

- Chcę ciebie, Evan - mówię trochę odważniej. Nigdy wcześniej nie mówiłam do niego po imieniu.

On gapi się na mnie przez dłuższą chwilę. Zaczynam się denerwować. Chcę odwrócić wzrok, naciągnąć spódnicę albo skrzyżować ręce na piersiach, ale zmuszam się do bezruchu.

- O czym myślisz? - pytam wreszcie, a on zamiast odpowiedzieć, obchodzi swoje biurko i kładzie mi dłonie na ramionach, przewracając mnie do tyłu i kładąc na ławce Becki. Nachyla się nade mną, całuje mnie i liże po szyi i uchu, pochrzäkując lekko, jak Pickle, kiedy chce mu się sikać. Gdy mnie do siebie przyciska, czuję się taka malutka. Ma mocne ręce, które dotykają moich ramion i rąk. Wkłada mi jedną rękę pod bluzkę i ściska po kolei piersi, tak mocno, że chce mi się krzyczeć. Ma wielki, gruby język. Myślę sobie: Całuję pana Daimlera, całuję pana Daimlera. Lindsay nigdy mi nie uwierzy. Ale to wcale nie przebiega tak, jak to sobie wyobrażałam. Jego zarost drapie mi skórę i nachodzi mnie okropna myśl, że tak właśnie czuje się moja mama, kiedy całuje się z tatą.

Otwieram oczy i widzę jednokolorowe, pokryte plamami panele pokrywające sufit w klasie - panele, które godzinami oglądałam przez cały semestr - a mój umysł zaczyna wokół nich krążyć, liczyć je, jakbym była muchą brzęczącą gdzieś tam, poza moim ciałem. Myślę: Jak to możliwe, że sufit nadal tam jest, kiedy to wszystko się dzieje? Dlaczego nie spada? Nagle wszystko to przestaje mnie bawić; wszystkie ostre, błyszczące przedmioty spadają niespodziewanie na ziemię i w tej samej chwili coś we mnie pęka. Czuję się, jakbym trzeźwiała po całonocnej balandze.

Kładę panu Daimlerowi ręce na klatce piersiowej i próbuję go odepchnąć, ale jest za ciężki, za silny. Pod palcami czuję jego mięśnie - w liceum grał w lacrosse, kiedyś to odkryłyśmy z Lindsay - pokryte cieniutką warstwą tłuszczu. Napiera na mnie całym ciężarem ciała i nie mogę oddychać. Przygniótł mnie. Mam rozłożone nogi, po obu stronach jego bioder, przygniata mnie jego ciepły, ciężki brzuch. Wrywam usta spod jego warg.

- Nie możemy tu tego robić.

Słowa po prostu wylatują z moich ust, choć wcale tego nie chcę. Chciałam powiedzieć: Nie możemy tego robić. Ani tu, ani nigdzie.

Chciałam powiedzieć: Dość.

Pan Daimler oddycha ciężko, wciąż wgapiiony w moje usta. Tuż przy linii włosów pojawia mu się kropelka potu i patrzę, jak spływa po czole, w dół, na koniuszek nosa. Wreszcie pan Daimler odrywa się ode mnie, pociera dłonią szczękę i przytakuje.

Kiedy tylko ze mnie złazi, staję i obciążam spódnicę. Nie chcę, żeby zauważył, że trzęsą mi się ręce.

- Masz rację - mówi powoli. Kręci szybko głową, jakby chciał się obudzić ze snu. - Masz rację.

Cofa się kilka kroków i odwraca tyłem. Przez chwilę stoimy bez słowa. Mój umysł zupełnie się zatrzymał. Pan Daimler stoi tylko kilka kroków ode mnie, ale oddalił się już o całe kilometry, jakby jego sylwetka majaczyła gdzieś w oddali, w czasie gwałtownej śnieżycy.

- Samantha? - Wreszcie odwraca się do mnie, przecierając oczy i wzdychając, jakbym go wyczerpała. - Słuchaj, to, co się tutaj wydarzyło... Nie muszę ci chyba mówić, że to musi pozostać wyłącznie między nami.

Uśmiecha się, ale to nie jest jego normalny, swobodny uśmiech. Nie ma w nim nic wesołego.

- To bardzo ważne, Samantha. Rozumiesz? - Znowu wzdycha, jakbym nie rozumiała czegoś banalnego, co usilnie próbuje mi wytłumaczyć. - Każdy popełnia błędy... - Urywa i przygląda mi się.

- Błędy - powtarzam za nim, a słowo świdruje mi mózg. Nie jestem pewna, czy pan Daimler myśli, że to on popełnił błąd czy ja. Błąd, błąd, błąd. Dziwne słowo, trochę kłuje.

Usta, oczy, nos, cała twarz pana Daimlera układa się w nieznaną wcześniej wzór. Przypomina portret namalowany przez Picassa.

- Muszę mieć pewność, że mogę ci zaufać.

- Oczywiście, że pan może. - Słyszę swoje własne słowa, a on patrzy na mnie z ulgą i czuję, że gdyby mógł, to poklepałby mnie po ramieniu i powiedział: „Dobra dziewczynka”.

Potem stoję przez chwilę. Nie jestem pewna, czy zamierza podejść i mnie pocałować albo objąć. To szaleństwo, muszę teraz tak po prostu zabrać rzeczy, wyjść i iść sobie, jak gdyby nigdy nic. Pan Daimler patrzy na mnie w milczeniu i po chwili dodaje:

- Spóźnisz się na lunch.

Teraz już wiem, że mnie wyrzuca. Zabieram torbę i wychodzę.

W korytarzu opieram się o ścianę, wdzięczna za to, że czuję za plecami solidny mur. Coś we mnie wzbiera i nie wiem, czy powinnam skakać z radości i śmiać się czy może płakać. Na szczęście jest pusto. Wszyscy poszli już na lunch.

Wyciągam telefon, żeby napisać do Lindsay, ale przypominam sobie, że się pokłóciłyśmy. Nie przysłała esemesa z pytaniem, czy idę na imprezę do Kenta. Pewnie nadal jest na mnie wściekła. Nie jestem pewna, czy pokłóciłam się też z Elody. Podle się czuję na samo wspomnienie o tym, co powiedziałam w samochodzie.

Mam ochotę napisać do Ally - jestem pewna, że przynajmniej ona nie jest na mnie wściekła - ale przez dłuższą chwilę myślę, jak sformułować tę wiadomość. Jakos dziwnie brzmi dla mnie: „Całowałam się z panem Daimlerem”, ale jak napiszę „Evan”, to nie skojarzy, o kim mówię. „Evan Daimler” brzmi tak samo źle, a poza tym nie tylko się całowaliśmy. On się na mnie położył.

W końcu niczego nie piszę i wrzucam telefon z powrotem do torby. Decyduję, że jak się już pogodzę z Lindsay i Elody, wtedy im powiem, osobiście. Tak będzie łatwiej, łatwiej będzie mi przedstawić to tak, żeby wyglądało lepiej niż w rzeczywistości, a poza tym zobaczę ich miny. Wiem, że Lindsay zzielenieje z zazdrości, co sprawia, że gra jest warta świeczki. Korektorem zamalowuję zaczerwienienie na brodzie, gdzie pan Daimler wykonał mi peeling, którego nie potrzebowałam, a potem idę na lunch.

Nie taki diabeł straszny jak jego ciężkie buty z metalowymi noskami

Wchodzę do stołówki spóźniona dziesięć minut. Nasz stół jest pusty i wiem, że zostałam oficjalnie i z premedytacją olana.

Przez ułamek sekundy czuję, że wszyscy wbijają we mnie wzrok. Bezwiednie unoszę rękę do twarzy, nagle przerażona, że wszyscy zobaczą otarcie na mojej brodzie i zorientują się, co robiłam.

Wracam na korytarz. Muszę zostać sama i pozbierać to wszystko do kupy. Idę do łazienki, ale kiedy już się do niej zbliżam, dwie dziewczyny z drugiej klasy (Lindsay mówi na nie markizy, bo są jak ciastka przekładane kremem: po więcej niż dwóch człowieka zaczyna mdlić) wypadają z łazienki. Chichoczą, idąc pod rękę.

Lunch to godzina szczytu w łazienkach - każda dziewczyna musi poprawić błyszczczyk, ponarzekać, że czuje się za gruba, i zagrozić, że puści pawia w ubikacji - a ostatnie, czego mi teraz trzeba, to nieprzerwany strumień głupoty.

Idę do starej łazienki, na drugim końcu skrzydła nauk ścisłych. Już prawie nikt z niej nie korzysta, bo nową łazienkę - w której toalety nigdy się nie zatykają - zbudowano w zeszłym roku między laboratoriami. W miarę jak oddalam się od stołówki, słabnie dochodzący stamtąd ryk, aż wreszcie brzmi jak odległy szum oceanu. Z każdym krokiem się uspokajam. Moje stopy wystukują na posadzce jednostajny rytm.

Skrzydło nauk ścisłych jest puste, tak jak się spodziewałam, i pachnie jak zawsze odczynnikami chemicznymi i siarką. Dziś czuć tu czymś jeszcze: to zapach dymu i czegoś bardziej ziemnego, ostrzejszego. Popycham drzwi łazienki, ale ani drgną. Napieram mocniej i słyszę odgłos miażdżenia. Naciskam drzwi ramieniem i wreszcie udaje mi się je otworzyć, ale z rozpędu wpadam do łazienki. Uderzam kolaniem o krzesło, którym podparto kłamkę, i nagle moją nogę przeszywa ból. W łazience zapach jest znacznie silniejszy.

Upuszczam torbę i schylam się, by rozmasować kolano.

- Cholera.

- Co jest!?

Na dźwięk głosu podskakuję. Nie wiedziałam, że w łazience jest ktoś jeszcze. Podnoszę wzrok i widzę Annę Cartullo z papierosem w ręku.

- Jezu - mówię - ale mnie wystraszyłaś.

- Ja cię wystraszyłam? - Opiera się o parapet i strzepuje popiół do umywalki. - Przecież wyważyłaś drzwi. Nie mogłaś zapukać? - Jakbym co najmniej włamała się do jej domu.

- Przepraszam, że zepsułam ci imprezę. - Robię niezdecydowany ruch w kierunku drzwi.

- Poczekaj. - Anna podnosi rękę, wygląda na zdenerwowaną. - Wygadasz?

- Co?

- To. - Wdycha i wydycha obłok dymu.

Papieros, który pali, jest bardzo cienki. Wygląda na to, że sama go skręciła. Wtedy dociera do mnie, że to joint. Zmieszała trawę z dużą ilością tytoniu, dlatego nie rozpoznałam od razu zapachu, a moje ubrania zawsze tym śmierdzą, kiedy przychodzę do domu z imprezy. Elody mówi, że mam szczęście, że mama nie wchodzi do mnie do pokoju, bo pomyślałaby, że w koszu na brudną bieliznę trzymam trawę na handel.

- No i co z tego? Przychodzisz tu, żeby sobie spalić lolka na lunch?

Nie chcę, żeby to zabrzmiało złośliwie, ale jakoś tak wychodzi. Kieruję wzrok na podłogę i zauważam pustą torbę po kanapkach, a obok zjedzoną do połowy porcję frytek. Nagle zdaję sobie sprawę z tego, że nigdy nie widziałam Anny w stołówce. Pewnie codziennie tu właśnie je lunch.

- Tak, podoba mi się ten wystrój. - Zauważa, że patrzę na torbę po kanapce, gasi jointa i krzyżuje ręce na piersi. - A tak właściwie, co tu robisz? Gdzie zgubiłaś...? - Zatrzymuje się, ale wiem, co chce powiedzieć: „Gdzie zgubiłaś swoje przyjaciółki?”

- Chce mi się sikać - odpowiadam.

To jawne kłamstwo, bo nawet nie próbowałam skorzystać z toalety, ale jestem zbyt zmęczona, żeby wymyślić lepszą wymówkę, a ona się o nią nie doprasza.

Stoimy przez chwilę w krępującej ciszy. Przez całe życie wypowiedziałam do Anny Cartullo tylko jedno zdanie: Nie nazywaj jej żoną, po tym jak właśnie tak nazwała Lindsay. Ale wolę zostać tutaj, niż wyjść na korytarz. Wreszcie mówię sobie: Walić to. Siadam na krześle, opierając nogę o jedną z umywalk. Anna z zamglonymi oczami złapała już fazę i opiera się nonszalancko o ścianę. Wskazuje głową na moje kolano.

- Wygląda na spuchnięte.

- No tak, bo ktoś podparł drzwi krzesłem. Anna zaczyna chichotać. Jest upalona.

- Fajne buty. - Unosi brwi na widok moich stóp, które zwisają nad okrągłą umywalką. Wydaje mi się, że w jej głosie słyszę sarkazm. - Ciężko się w nich chodzi, co?

- Ja tam daję radę - odpowiadam trochę zbyt pospiesznie. Potem wzruszam ramionami. - Ale tylko na krótkie dystanse.

Anna parska i zakrywa usta dłonią.

- Kupiłam je dla zgrywy - mówię.

Nie wiem, czemu czuję się zobowiązana, żeby się usprawiedliwiać przed Anną Cartullo, ale to pewnie dlatego, że dziś wszystko idzie mi nie tak. Wszystkie zasady wylądowały w śmietniku. Anna też się wyluzowała. Zachowuje się, jakby wcale jej nie dziwiło to, że przesiadujemy w łazience wielkości celi więziennej, kiedy powinnyśmy jeść lunch.

Anna wskakuje na parapet i kręci stopą w moją stronę. Widać, że ubierając się, w ogóle nie myślała o Dniu Kupidyna (i prawdę mówiąc, wcale mnie to nie dziwi). Ma na sobie kilka włożonych jeden na drugi podkoszulków bez rękawów i bluzę z kapturem. Obstrzępione na dole dzinsy spięła w pasie agrafką w miejscu guzika. Nosi olbrzymie kozaki na koturnach, które wyglądają jak martensy zaprojektowane na ostrym haju.

- Kup sobie takie. - Stuka piętą o piętę, jak przerażona Dorotka, próbująca wrócić do domu z krainy Oz. - Najwygodniejsze buty, jakie kiedykolwiek nosiłam.

Rzucam jej spojrzenie pod tytułem „no jasne”. Wzrusza ramionami.

- Nie mów, póki nie spróbujesz.

- Dobra, to daj.

Anna patrzy na mnie przez dłuższą chwilę, jakby nie była pewna, czy mówię poważnie.

- Dawaj - zsuwam moje buty. Uderzają o podłogę z hukiem. - Zamienimy się.

Anna pochyla się bez słów, rozpinając buty i strząsa z nóg. Ma skarpety w tęczowe pasy, co mnie trochę dziwi. Spodziewałam się raczej skarpet w czaszki albo czegoś podobnego. Ściąga również skarpety, zwija w kulkę i podaje mi je.

- Yyy - marszczę nos - włożę raczej na gołą stopę. Ona wzrusza ramionami, śmiejąc się.

- Jak chcesz.

Kiedy zapinam jej buty, okazuje się, że nie kłamała. Są superwygodne, nawet bez skarpet. Skóra jest chłodna i bardzo miękka. Podziwiam je na mojej nodze.

- W czymś takim mogłabym terroryzować dzieci. - Uderzam jednym pokrytym metalem czubkiem buta o drugi i rozlega się przyjemny stukot.

- W czymś takim mogłabym się puszczać za pieniądze. - Annie udało się wbić w moje buty na obcasie i teraz chodzi w nich niepewnym krokiem po łazience, z rozłożonymi rękami, jakby sunęła po trampolinie.

- Ten sam rozmiar - mówię, choć to oczywiste.

- Czterdzieści. Dość powszechny.

Patrzy na mnie przez ramię, jakby chciała powiedzieć coś innego, potem sięga pod umywalkę i wyciąga spod niej swoją torbę - wytartą patchworkową torbę na ramię, która wygląda tak, jakby Anna sama ją zrobiła. Wydobywa z niej małą puszkę po miętówkach. W środku ma zamkniętą hermetycznie torebkę z marihuaną - przynajmniej Alex Liment na coś się przydaje - bibułki i kilka papierosów.

Anna zaczyna związać kolejnego skręta: trzyma na kolanach podręcznik do wychowania seksualnego i używa go jako podstawki. (Uwaga na stronie: Do tej pory widziałam, jak podręcznika do życia seksualnego używano w charakterze (a) parasola, (b) ręcznika, (c) poduszki. A teraz to. Nigdy natomiast nie widziałam, żeby ktoś się z niego uczył, co oznacza, że wszyscy wychowankowie naszego liceum kończą je zupełnie nieprzygotowani do życia seksualnego albo że pewnych rzeczy po prostu nie da się nauczyć z książek). Ma szczupłe i bardzo zwinne palce. Widać, że ma wprawę. Ciekawe, czy jak już kończą się kochać z Alekssem, to leżą obok siebie i palą. Ciekawe, czy kiedy to robią, myślą czasem o Bridget. Mam ochotę zapytać.

- Nie gap się na mnie - mówi Anna, nie podnosząc wzroku.

- Nie gapię się. - Odchylam głowę i wpatruję się w sufit koloru wymiocin. Przypomina mi się pan Daimler i znowu na nią spoglądam. - Nie mam zbyt wielu innych opcji.

- Nikt cię tu nie zapraszał. - Jej głos znowu pobrzmiwa ostro.

- Teren publiczny. - Przez ułamek sekundy jej twarz pochmurnieje i jestem pewna, że zaraz zrobi mi awanturę i tak się skończy nasza piękna, wspólna idylla. Zmieniam temat. - Naprawdę nie jest tu tak źle. Jak na łazienkę.

Patrzy na mnie podejrzliwie, jakby była pewna, że tylko rzucam jej przynętę, żeby potem się z niej ponabijać.

- Można by rzucić na podłogę parę poduszek - rozglądam się. - Trochę udekorować.

Schyla głowę, koncentrując się na swoim zadaniu.

- Jest taki holenderski malarz, którego zawsze lubiałam. Ten, który maluje dziwaczne schody.

- M.C. Escher?

Anna podnosi wzrok, wyraźnie zdziwiona, że wiem, o kim mówi.

- Tak, ten. - Przez jej twarz przebiega uśmiech. - Zastanawiałam się, czy by tu nie przypiąć którejś z jego grafik. Taśmą klejącą, wiesz, żeby było na co popatrzeć.

- Mam w domu chyba z dziesięć jego książek - wypalam, zadowolona, że Anna nie wścieka się już i nie chce mnie wyrzucić z łazienki. - Mój tata jest architektem. Interesuje się tym.

Anna skręca jointa, liże bibułkę i roluje kilkoma ruchami palców. Ruchem głowy wskazuje na krzesło.

- Jak już siedzisz na tym krześle, to przynajmniej zablokuj nim drzwi. Wtedy to będzie teren prywatny.

Krzesło trzeszczy, kiedy odpycham się i opieram o drzwi. Obie robimy grymas, łapiemy się na tym i śmiejemy. Anna wyciąga fioletową zapalniczkę w kwiaty - nie przypuszczałam, że może używać właśnie takiej - i próbuje zapalić jointa. Zapalniczka tylko iskrzy kilka razy, a ona rzuca ją na podłogę, przeklinając. Ponownie grzebie w torbie, wyciąga z niej zapalniczkę w kształcie kobiecego popiersia. Naciska na głowę i mały, niebieski płomień wystrzela z sutków. Właśnie takiej zapalniczki oczekiwałam u Anny Cartullo.

Anna poważnie, zaciąga się głęboko, a potem patrzy na mnie przez chmurę niebieskiego dymu.

- Więc dlaczego mnie nienawidzicie? - pyta.

To ostatnia rzecz, jakiej bym się w tej chwili spodziewała. A co jeszcze bardziej zaskakujące, Anna wyciąga do mnie dłoń ze skretem, częstując mnie.

Waham się tylko przez chwilę. Hej, nie zrobiłam się święta tylko dlatego, że umarłam.

- Nie nienawidzimy cię. - Nie brzmi to przekonująco. Tak naprawdę nie jestem pewna. Ja nie nienawidzę Anny, naprawdę; Lindsay mówi, że owszem, ale trudno się domyślić, z jakich pobudek ona w ogóle działa. Zaciągam się. Palłam trawę tylko raz w życiu, ale setki razy widziałam, jak to się robi. Wdycham dym, który wypełnia mi płuca. Ma pełny, ciężki smak, czuję się, jakbym żuła mech. Próbuję wstrzymać oddech, tak jak należy, ale dym drapie mnie w gardło. Zaczynam się krztusić i oddaję jointa.

- To z jakiego powodu? - Nie dodaje: „Tyle razy mi dosrałyście? Wypisywałyście graffiti w łazienkach. W drugiej klasie rozesłałyście anonimowego maila, informującego wszystkich, że »Anna Cartullo ma chlamydię«. Nie musi wymieniać. Oddaje mi jointa.

Znowu się zaciągam. Wszystko już traci kształt, niektóre przedmioty się zamazują, inne wyostrzają, jakby ktoś się bawił fokusem w aparacie fotograficznym. Teraz już wiem, dlaczego ludzie wciąż jeszcze rozmawiają z Alekssem, choć to taki debil.

- Nie wiem. - Bo to łatwe. - Bo na kimś się trzeba wyżyć. Dopiero kiedy wypowiadam te słowa, zdaję sobie sprawę, że

tak właśnie jest. Zaciągam się znowu i oddaję jointa. Wydaje mi się, że wszystko się powiększyło, jakbym czuła ciężar ramion i nóg i słyszała, jak serce pompuje mi krew, z hukiem przepływając przez żyły. Kiedy skończy się ten dzień, moja krew ucichnie, przynajmniej póki czas znowu się nie zająknie i wszystko nie zacznie się od początku.

Dzwonek. Koniec lunchu. Anna mówi:

- Cholera! Cholera, miałam gdzieś być. - Zaczyna zbierać swoje rzeczy. Przypadkiem potyka się o pudełko po miętówkach. Torebka z trawą wpada pod umywalkę, a bibułki wszędzie się rozsypują. - Cholera.

- Pomogę ci - mówię.

Padamy na kolana. Mam wrażenie, że dłonie mi spuchły i zdrętwiały, nie mogę oderwać bibulek od podłogi. Niezwykle mnie to bawi i obie wybuchamy śmiechem, opieramy się o siebie, łapiemy oddech. Ona powtarza raz po raz: „Cholera”.

- Pospieszmy się - mówię. Cały gniew i ból, który gromadził się we mnie od kilku dni, nagle ustępuje, opuszcza mnie i czuję się wolna, beztroska i szczęśliwa. - Alex się wścieknie.

Anna zastyga. Nasze czoła są tak blisko siebie, że prawie się dotykają.

- Skąd wiesz, że spotykam się z Alekssem? - pyta trzeźwo niskim głosem.

O jeden moment za późno orientuję się, że dałam ciała.

- Raz czy dwa widziałam, jak się wymykacie przez Salon Palaczy - odpowiadam niemrawo, a ona się rozluźnia.

- Nie powiesz nikomu, prawda? - pyta, zagryzając wargi. - Nie chciałabym... - Milknie i zastanawiam się, czy powie coś o Bridget. Ale ona tylko kręci głową i wraca do zbierania bibulek. Bardzo się spieszy.

Po tym, co sama przed chwilą robiłam z panem Daimlerem, pomyśl, że doniosę na Annę Cartullo za to, że sypia z Alekssem, wydaje mi się niesłychanie zabawny. Nie mam prawa nikomu tego powiedzieć. Palę trawę w szkolnej łazience, nie mam przyjaciół, nauczyciel matematyki wsadził mi język do gardła, a chłopak mnie nienawidzi, bo nie chcę z nim iść do łóżka. Umarłam, a nie mogę przestać żyć. Absurd tego wszystkiego uderza mnie w jednej sekundzie i znowu zaczynam się śmiać. Anna poważnieje. Jej oczy wyglądają, jakby ktoś wykuł je w błękitnym marmurze.

- Co? - pyta. - Śmiejesz się ze mnie?

Kręcę głową, ale nie mogę odpowiedzieć od razu. Śmieję się tak, że nie mogę zaczerpnąć powietrza. Klęczę obok niej, ale trzęsę się ze śmiechu tak, że odchylam się do tyłu i siadam na tyłku z wielkim hukiem. Anna znowu się uśmiecha.

- Jesteś walnięta - mówi i chichocze. Biorę kilka głośnych oddechów.

- Przynajmniej nie barykaduję się w kiblu.

- Przynajmniej nie upalam się połową jointa.

- Przynajmniej nie sypiam z Alekssem Limentem.

- Przynajmniej nie przyjaźnię się z sukami.

- Przynajmniej z kimś się przyjaźnię.

Dogadujemy sobie raz po raz, śmiejąc się do rozpuku. Anna wyje ze śmiechu tak, że zgina się wpół i musi się podeprzeć na łokciu. A potem rozkłada się na podłodze i wydaje z siebie dźwięki, przypominające skamlanie pudła. Co chwilę parska śmiechem, co mnie niesamowicie bawi.

- Coś ci powiem - mówię, kiedy tylko udaje mi się zapanować nad sobą.

- Słucham - rzuca, udając, że niczym sędzia przywołuje salę do porządku stukaniem młoteczka. A potem parska śmiechem, zasłaniając dłonią usta.

Uwielbiam uczucie, że wokół mnie gęstnieje powietrze. Jakbym pływała w półmroku. Zielone ściany i woda.

- Całowałam się z panem Daimlerem. - Jak tylko to wypowiadam, zaczynam umierać ze śmiechu. To chyba pięć najbardziej niedorzecznych słów, jakie można wymówić.

Anna podpira się na łokciu.

- Co zrobiłaś?

- Ciii - przytakuję skinieniem. - Całowaliśmy się. Włożył mi rękę pod bluzkę. A potem... - pokazuję między nogi.

Anna gwałtownie kręci głową. Włosy oplatają jej twarz, jakby porwał je wiatr.

- Nie ma mowy. Nie ma mowy. Nie ma mowy.

- Przysięgam na Boga.

Nachyla się tak, że czuję na twarzy jej oddech. Ssie miętówkę.

- To chore, wiesz o tym?

- Wiem.

- Chore, chore, chore. Jeszcze parę lat temu chodził do naszej szkoły.

- Osiem, sprawdziliśmy.

Anna parska śmiechem i na sekundę kładzie głowę na moim ramieniu.

- Oni wszyscy są zbroczeni - szepcze mi wprost do ucha. A potem się odsuwa. - Cholera! Już nie żyję.

Wstaje, opierając się jedną ręką o ścianę. Chwieje się przez chwilę, kiedy poprawia włosy w lustrze, potem zakrapia oczy. Wciąż siedzę na podłodze, gapiąc się na nią z dołu. Anna wydaje się odległa o całe kilometry.

- Alex nie dorasta ci do pięt - wypalam nagle.

Już przeszła nade mną, kierując się do drzwi. Widzę, jak Annie sztywnieją plecy i myślę, że zaraz się rozzłości. Zatrzymuje się z ręką na oparciu krzesła.

Ale kiedy się odwraca, jest uśmiechnięta.

- Pan Daimler nie dorasta ci do pięt - mówi i obie znowu wybuchamy śmiechem.

Usuwa krzesło z drogi i otwiera drzwi na oścież, wychodząc na korytarz.

Kiedy już jej nie ma, siadam z odchyłoną głową. Jak przyjemnie, kiedy całe pomieszczenie wiruje wokół mnie. Jakbym leżała w pełnym słońcu, myślę, a potem uświadamiam sobie, jak bardzo się upaliłam i jakie to zabawne, że można wiedzieć, że się jest upalonym, a i tak przychodzą człowiekowi do głowy upalone myśli.

Widzę, że spod umywalki wystaje coś białego. Papieros. Schylam się i znajduję jeszcze jeden. Anna zapomniała je zabrać. Zaraz potem ktoś puka gwałtownie do drzwi. Chwytam oba papierosy i zrywam się na równe nogi. Znowu czuję, że wszystko wokół wiruje, a ja pływam pod wodą. Odsuwanie krzesła zdaje się trwać całą wieczność. Wszystko jest takie ciężkie.

- Zapomniałaś je zabrać - mówię, trzymając papierosy w dwóch palcach, kiedy otwieram drzwi.

Ale to nie Anna. To pani Winters. Stoi w korytarzu z rękami złożonymi na piersiach, a jej twarz jest tak ściągnięta, że wydaje się, że zamiast nosa ma czarną dziurę, która powoli wsysa resztę twarzy.

- Palenie na terenie szkoły jest zabronione - mówi, dokładnie wypowiadając każde słowo. A potem się uśmiecha, pokazując wszystkie zęby.

Mopsy

W statucie naszej szkoły napisano wyraźnie, że „uczeń przyłapany na paleniu na terenie szkoły zostanie na trzy dni zawieszony w prawach ucznia”. (Znam to na pamięć, bo wszyscy palacze wyrwijają tę stronę z broszury i spalają ją w Salonie, czasem nachylając się, żeby odpalić papierosa od płonącej kartki, na której słowa skręcają się i czernieją, a potem rozplywają w dym).

Ale ja dostaję tylko upomnienie. Administracja, jak mi się wydaje, robi wyjątek dla uczniów, którzy znają brudne sekrety pewnej wicedyrektorki i pewnego nauczyciela wuefu / trenera piłki nożnej / zagorzałego posiadacza wąsów. Pani Winters wyglądała, jakby zaraz miała dostać zawału, kiedy zaczęłam przemówienie na temat dawania dobrego przykładu i tego, jak łatwo ulegam wpływom - uwielbiam te wyrażenia: jakby ludzie, którzy nie skończyli dwudziestego pierwszego roku życia, mieli władze umysłowe na poziomie plomb dentystycznej, zaś rola administracji polegała na dawaniu dobrego przykładu, szczególnie jeśli pamiętać o stronie numer sześćdziesiąt dziewięć naszego statutu: „Zabronione jest, by uczniowie dopuszczali się nieprzyzwoitych, erotycznie nacechowanych czynności na terenie szkoły”. (Ten przepis znam na pamięć, bo tę stronę chyba z tysiąc razy wyrwano już ze statutu i wywieszono w łazienkach na terenie całego kampusu, przystrajając marginesy zdecydowanie nieprzyzwoitymi rysunkami o zdecydowanie erotycznym nacechowaniu. Administracja zresztą sama się o to prosiła. Kto umieszcza taką zasadę na stronie sześćdziesiątej dziewiątej?)

Przynajmniej w ciągu półtorej godziny spędzonej z panią Winters udało mi się otrzeźwieć. Właśnie rozległ się ostatni dzwonek i z sal wysypują się uczniowie. Robią znacznie więcej hałasu, niż to konieczne - piszcza, śmieją się, trzaskają drzwiczkami szafek, upuszczają segregatory, popychają się. W każdy piątek rozlega się ten nerwowy, bezmyślny i nieustępliwy hałas. Czuję się dobrze, jestem silna i myślę: Muszę znaleźć Lindsay. Nie uwierzy. Umrze ze śmiechu. A potem obejmie mnie ramieniem i powie: „Jesteś gwiazdą, Samantha Kingston”. I wszystko będzie w porządku. Wypatruję też Anny Cartullo. Kiedy siedziałam w biurze pani Winters, zdałam sobie sprawę, że nie oddałyśmy sobie butów. Wciąż mam na sobie jej gigantyczne czarne glany.

Wychodzę na zewnątrz. Chłód kłuje mnie w oczy, a w piersi czuję ostry ból. Luty to naprawdę najgorszy miesiąc. Sześć autobusów ustawilo się jeden za drugim niedaleko stołówki. Silniki krztuszą się i

kaszłą, wydzielając gęstą, czarną ścianę wyziewów. Przez pokryte grubą warstwą brudu szyby widzę blade twarze kilku pierwszo- i drugoklasistów - wszyscy, skuleni na siedzeniach, modlą się, żeby ich nikt nie zobaczył - ale nie mają rysów i niczym się od siebie nie różnią. Są jak wielkie kawały białej substancji z szeroko otwartymi oczami, jak postacie wycięte z kartonu albo wyjęte żywcem z kreskówki. Przechodzę przez parking dla pracowników w stronę Alei Seniorów, ale w połowie drogi widzę srebrnego range rovera z wielkim tylnym zderzakiem - z wnętrza dochodzi linia basów z *No More Drama* - jak pruje przez Aleję w kierunku parkingu dla uczniów. Zatrzymuję się i cały dobry nastrój wyparowuje ze mnie w jednej chwili. Oczywiście nie spodziewałam się po Lindsay, że będzie na mnie czekać, choć w głębi duszy miałam taką nadzieję. I nagle do mnie dociera, że nikt mnie nie podwiezie, że nie mam dokąd pójść. Dom to ostatnie miejsce, gdzie mam ochotę się znaleźć. Choć marznę, czuję ukłucia ciepła wznoszące się od moich palców i podchodzące w górę po kręgosłupie.

To bardzo dziwne. Jestem lubiana - naprawdę lubiana - ale nie mam wielu przyjaciół. A co jeszcze dziwniejsze, dopiero teraz się zorientowałam.

- Sam!

Odwracam się i widzę, że podchodzą do mnie Tara Flute, Bethany Harps i Courtney Walker. Zawsze jeżdżą w tej paczce i choć w pewnym sensie się kolegujemy, Lindsay nazywa je Mopsami: ładne z daleka, brzydkie z bliska.

- Co robisz? - Tara ma wiecznie przyklejony uśmiech, jakby nieustająco brała udział w castingu do reklamy pasty do zębów. Teraz posyła uśmiech w moją stronę. - Jest jakieś minus tysięcy stopni.

Poprawiam włosy, próbując wyglądać nonszalancko. Ostatnia rzecz, której mi trzeba, to żeby Mopsy dowiedziały się, że zostałam na lodzie.

- Miałam do pogadania z Lindsay - wskazuję niewyraźnie w kierunku Alei Seniorów. - Razem z dziewczynami musiały pojechać beze mnie. Muszą raz w miesiącu odbębnić jakieś prace społeczne. Beznadzieja.

- Ale beznadzieja - mówi Bethany, gwałtownie przytakując. Jak mi się zdaje, jej życiowa rola ogranicza się do przytakiwania wszystkiemu, co się do niej mówi.

- Chodź z nami - Tara chwyta mnie za ramię i ściska je. - Jedziemy do La Villa na zakupy. Potem wbijamy się na imprezę do Kenta. Masz ochotę?

Błyskawicznie sprawdzam, co mam do wyboru. Oczywiście powrót do domu odpada. U Ally nie będę mile widziana. Lindsay zdecydowanie określiła swój stosunek do mnie. Zostaje Rob... Siedzimy na kanapie, on zgrywa mistrza gry na gitarze, potem się trochę całujemy, a ja udaję, że nie widzę, jak drze mi kolejny stanik, bo nie umie go rozpiąć. Pogadamy z jego rodzicami, a potem im pomachamy, jak będą wyjeżdżali na weekend. Pizza i letnie piwo ze skrytki w garażu, gdy tylko odjadą. I znowu całowanie. Nie, dziękuję.

Rozglądam się jeszcze raz po parkingu w poszukiwaniu Anny. Trochę mam wyrzuty sumienia, uciekając w jej butach. Ale ona też jakoś się nie wysiliła, żeby mnie znaleźć. Poza tym Lindsay zawsze

powtarza, że jedna para butów może zmienić twoje życie. A nigdy bardziej niż teraz nie potrzebowałam w życiu poważnej zmiany - lub w życiu po życiu, jeśli chcecie.

- Idealnie - odpowiadam, a Tara uśmiecha się jeszcze szerzej (nie sądziłam, że to w ogóle możliwe), błyskając białymi jak śnieg zębami.

Kiedy wychodzimy ze szkoły, opowiadam Mopsom - jakoś nie potrafię przestać myśleć o nich w ten sposób - o mojej wycieczce do biura pani Winters, o tym, jak się miętoszyła z panem Shawem i jak uniknęłam oślej ławki, bo obiecałam jej, że zniszczę zrobione telefonem zdjęcie jednej z jej miłosnych nasiadówek w gabinecie pana Shawa (to oczywiście zmyśliłam; w żaden sposób nie mogłabym zdobyć dowodów ich romansu, tym bardziej w cyfrowym formacie). Tara zanosi się śmiechem, Courtney patrzy na mnie, jakbym opracowała lekarstwo na raka albo pigułkę powiększającą biust, a Bethany zasłania usta dłonią i mówi:

- Święta Matko Pana Czekoladowych Chocopopsów.

Nie wiem dokładnie, co to znaczy, ale to zdecydowanie najoryginalniejsza rzecz, jaką usłyszałam z jej ust. Znowu czuję się dobrze i pewnie i przypominam sobie, że to mój dzień: mogę robić, co zechcę.

- Tara? - patrzę przed siebie. Tara jeździ dwudrzwiową hondą civic, więc siedzimy z Bethany ściśnięte z tyłu. - Możemy na chwileczkę zatrzymać się przed moim domem, zanim pociśniemy do centrum handlowego?

- Jasne - znowu w tylnym lusterku widzę jej uśmiech, jak sygnał z nieba. - Chcesz coś zostawić?

- Chcę coś zabrać - poprawiam ją, posyłając jej w rewanżu największy uśmiech, na jaki mnie stać.

Jest już prawie trzecia, więc pewnie mama wróciła z jogi. Tak, jej auto stoi na podjeździe, kiedy zbliżamy się do domu. Tara chce zaparkować za hondą accord mamy, ale stukam ją w ramię i pokazuję, żeby jechała dalej i schowała się za niewielkim żywopłotem. Mama kazała ogrodnikowi posadzić go kilka lat temu, kiedy odkryła, że nasz ówczesny sąsiad, pan Horferly, lubił o północy przechadzać się po swojej posesji zupełnie nago. Tak mniej więcej rozwiązuje się każdy problem na przedmieściach: sadzisz krzaki i masz nadzieję, że nie zobaczysz niczych genitaliów.

Wyskakuję z auta i obchodzę dom dookoła, modląc się, żeby mama nie wyglądała przez okno ze swojego pokoju albo gabinetu taty. Liczę na to, że jest w łazience i bierze jeden ze swoich niesłychanie długich pryszniców, zanim pojedzie odebrać Izzy z gimnastyki. Nie mylę się. Kiedy przez tylne drzwi wślizguję się do kuchni, słyszę wodę płynącą na górze i kilka wysokich tonów. Mama śpiewa. Waham się przez ułamek sekundy, ale dostatecznie długo, by rozpoznać melodię - *New York, New York* Franka Sinatry - i w duchu składam modlitwę dziękczynną za to, że Mopsy nie słyszą wokalnych improwizacji mamy. Idę na palcach do przedpokoju, gdzie zostawiła swoją olbrzymią torebkę. Jest wybrzuszona z jednej strony. Na pralkę wypadło kilka monet i paczka miętówek, a róg jej zielonego portfela od Ralphi Lauren wystaje spod pętli ucha torby z grubej skóry. Delikatnie wyciągam portfel, nasłuchując cały czas dźwięku wody płynącej na górze, gotowa do ucieczki, kiedy tylko woda przestanie się lać. Mama ma też niezły bałagan w

portfelu. Naupychała do niego zdjęć - Izzy, mnie, mnie i Izzy, Pickle'a w kostiumie świętego Mikołaja - przepisów kulinarnych i wizytówek. Oraz kart kredytowych. Przede wszystkim kart kredytowych.

Ostrożnie wyciągam kartę Visa. Rodzice używają jej tylko do większych zakupów, więc mama na pewno się nie zorientuje, że zginęła. Pocą mi się dłonie, a serce bije mi tak szybko, że aż boli. Ostrożnie zamykam portfel i wkładam go z powrotem do torby, sprawdzając, czy jest w tej samej pozycji co przedtem.

Słyszę, jak na górze spadają ostatnie krople i piszczą rury, kiedy mama zakręca wodę. A potem cisza. Mama kończy koncert piosenek Sinatry. Koniec kąpieli. Przez sekundę jestem tak przerażona, że nie mogę zrobić kroku. Usłyszysz mnie. Złapie. Zobaczysz z kartą w ręku. Nagle zaczyna dzwonić telefon i słyszę jej kroki, gdy wychodzi z łazienki, idzie korytarzem i śpiewnie woła:

- Już idę, już idę.

W tej samej sekundzie wychodzę z przedpokoju, przekradam się przez kuchnię i wymykam tylnymi drzwiami. Biegnę, biegnę i biegnę wokół domu, a oszroniona trawa kłuje mnie w łydki. Próbuję powstrzymać śmiech. W ręku tak mocno zaciskam kartę kredytową, że kiedy później otwieram dłoń, widać na niej odciski śladów.

Zazwyczaj kiedy idę do centrum handlowego, mam wyznaczony bardzo wyraźnie limit zakupów: dwa razy do roku rodzice dają mi pięćset dolarów na nowe ubrania, a poza tym mogę wydać to, co zarobię, opiekując się Izzy albo wykonując inne usługi, o które poproszą mnie rodzice, na przykład pakując prezenty dla sąsiadów na Boże Narodzenie albo grabiąc liście w listopadzie, albo pomagając tacie przy przetykaniu burzowca. Wiem, że pięćset dolarów może wydawać się ogromną sumą, ale trzeba pamiętać, że tyle dokładnie kosztują kalosze Burberry, które Ally nosi w czasie deszczu. Na nogach. Nigdy więc nie robiłam wielkich zakupów. To raczej taka sobie zabawa, szczególnie kiedy twoje przyjaciółki to Ally „Karta Kredytowa Bez Limitu” Harris oraz Lindsay „Ojczym Próbuje Kupić Moją Miłość” Edgcombe. Dziś ten problem mam z głowy.

Pierwszy przystanek to sklep Bebe, gdzie kupuję śliczną sukienkę na ramiączkach, tak wąską, że muszę wciągać powietrze, żeby się w nią wcisnąć. Tara musi zajrzeć do przymierzalni i pomóc mi dopiąć ostatni centymetr suwaka. Podoba mi się zestawienie tej sukienki z butami Anny, wyglądam naprawdę ostro, *sexy*, jak zabójczyni z gry wideo albo bohaterka filmu akcji. Robię do lustra pozy, jakbym była aniołkiem Charliego, układając dłonie w pistolet, celując we własne odbicie i bezgłośnie wypowiadając słowa: Przykro mi. Pociągam za spust i wyobrażam sobie eksplozję.

Courtney prawie mdleje, kiedy wręczam sprzedawczynie moją kartę kredytową, nawet nie patrząc na sumę. Oczywiście, zauważam ją. Trudno nie dostrzec, że na ekranie kasy wyskoczyła kwota \$302,10 i mruga do mnie oskarżycielsko. W pierwszej chwili żołądek podskakuje mi do gardła, kiedy sprzedawczynie podaje kwit do podpisania, ale jak się okazuje, lata podrabiania zwolnień od lekarza i nagłych usprawiedliwień popłacają, bo idealnie kopiuję podpis mojej mamy z wszystkimi zawijasami, a sprzedawczynie uśmiecha się i mówi:

- Dziękuję, panno Kingston - jakbym co najmniej wyświadczyła jej jakąś przysługę.

I jak gdyby nigdy nic wychodzę z najpiękniejszą na świecie czarną sukienką, otuloną w cieniu papieru na dzień śnieżnobiałej torby na zakupy. Teraz dopiero rozumiem, dlaczego Ally i Lindsay kochają robić zakupy. To o wiele lepsze, gdy można mieć wszystko, czego dusza zapagnie.

- Masz szczęście, że rodzice dają ci kartę kredytową - mówi Courtney, wlokąc się za mną, kiedy wychodzimy ze sklepu. - Ja moich błagam o to od lat. Ale każą mi czekać, aż pójdę na studia.

- Nie do końca mi ją dali - mówię, unosząc jedną brew. Opada jej szczęka.

- Nie zalewaj - Courtney kręci głową tak szybko, że jej brązowe włosy zupełnie zakrywają twarz. - Nie zalewaj. Przecież jej nie... ukradłaś...

- Ciii. - La Villa to centrum handlowe wybudowane w stylu włoskim, więc jest olbrzymie, wszędzie są jakieś marmurowe fontanny i brukowane chodniki, każdy dźwięk odbija się echem i zniekształca, miesza z innymi dźwiękami, więc nie sposób zrozumieć, co mówią ludzie wokół, chyba że stoją tuż obok. Ale i tak nie ma sensu o tym trąbić na prawo i lewo, skoro złapałam wiatr w żagle. - Wolę myśleć o tym jak o pożyczce.

- Mnie rodzice by udusili. - Courtney otwiera oczy tak szeroko, że obawiam się, że jej wypadną. - Zabiliby mnie na śmierć.

- Totalnie - dodaje Bethany.

Potem idziemy do sklepu z kosmetykami i facet o imieniu Stanley, chudszy ode mnie, robi mi pełny makijaż, a Mopsy wypróbują rozmaite odcienie konturówki do oczu i dostają opiernicz za otwieranie nowych opakowań błyszczycy do ust. Kupuję wszystko, czego użył do makijażu Stanley: podkład, korektor, puder brązujący, bazę pod cienie do powiek, trzy cienie do powiek w różnych kolorach, dwie konturówki (jedną białą, pod oko), tusz do rzęs, konturówkę do ust, błyszczycy do ust, cztery różne pędzle i załotkę do rzęs. Ale to wszystko warte jest swojej ceny. Wychodzę, wyglądając jak jakaś sławna modelka, i czuję na sobie wzrok przechodniów, kiedy idę przez La Villa. Przechodzimy obok grupy chłopaków, którzy muszą już być na studiach, i jeden z nich mówi cicho:

- Niezła.

Tara i Courtney idą po obu stronach mnie, a Bethany wlecze się z tyłu. Myślę, że tak pewnie czuje się Lindsay przez cały czas.

Potem pora na butik Neimana Marcusa. Nigdy nie chodzę do tego sklepu, chyba że dam się zaciągnąć Ally, bo każda rzecz kosztuje w nim miliard dolarów. Courtney przymierza dziwaczne kapelusze dla starych dam, a Bethany robi jej zdjęcia i grozi, że wrzuci je do netu. Ja wybieram niesamowitą kurtkę ze sztucznego futra w kolorze głębokiej zieleni, w której wyglądam jak ktoś, kto powinien imprezować w prywatnym samolocie, i długie, srebrne kolczyki z granatami.

Nieprzewidziana przeszkoda staje mi na drodze, kiedy kasjerka - Irma, jak wynika z plakietki - prosi mnie o dowód tożsamości.

- Dowód tożsamości? - Niewinnie mrugam. - Nigdy nie noszę go przy sobie. W zeszłym roku mi go ukradziono.

Irma patrzy na mnie przez dłuższą chwilę, jakby zastanawiała się, czy jednak nie przeciągnąć karty przez czytnik, robi balon z gumy i uśmiecha się sztywno. Przesuwa kurtkę i kolczyki przez ladę.

- Przykro mi, Ellen. Przy wszystkich zakupach powyżej dwustu dolarów należy okazać dowód tożsamości.

- Wolalabym „panno Kingston” - posyłam jej równie sztuczny uśmiech. Suka. Ten numer z robieniem balonu z gumy? To Lindsay go wymyśliła.

Ale przyznaję, że sama byłabym suką, gdyby rodzice dali mi na imię Irma.

W nagłym przeblysku olśnienia przetrząsam torebkę i wyciągam z niej kartę członkowską klubu pływacko-tenisowego Hildebridge, gdzie mama chodzi na gimnastykę. Przysięgam, ochrona jest tam ostrzejsza niż na lotnisku - jakby otyłość w Ameryce była sprawką grupy terrorystów, którzy mają w planach wysadzić w powietrze automatyczne steppery w całym kraju. Na karcie jest moje małe zdjęcie, numer legitymacji członkowskiej, moje nazwisko i inicjały imion: KINGSTON, S.E.

Irma krzywi twarz.

- S to skrót od czego?

Mój umysł dostaje czkawki i nagle się opróżnia.

- Mhm... Severus. Gapi się na mnie.

- Jak w *Harrym Potterze*?

- To niemieckie imię. - Nigdy nie powinnam była się zgadzać na czytanie Izzy tych głupich książek. - Dlatego używam drugiego imienia.

Irma nadal się waha, zagryzając kącik ust. Tara stoi tuż obok mnie, przebiegając palcami po mojej karcie kredytowej, jakby część kredytu mogła stać się i jej udziałem. Nachyla się i chichocze.

- Na pewno pani akurat to rozumie. - Tara zezuje nieco, jakby z trudnością szło jej odczytanie imienia z plakietki z odległości piętnastu centymetrów. - Ma pani na imię Irma, prawda?

Courtney podchodzi do nas w kapeluszu z szerokim rondem z gigantycznym ptakiem z prawdziwych piór przypiętym z boku.

- Jak była pani mała, to pani nie przezywali?

Irma zaciska usta w cienką białą linię, sięga po kartę i przeciąga przez czytnik.

- *Guten Tag* - mówię, bo to jedyne, co umiem po niemiecku.

Tara i spółka jeszcze śmieją się z Irmy, kiedy wyjeżdżamy z parkingu w La Villa.

- Nie wierzę - powtarza Courtney, nachylając się, żeby lepiej mi się przyjrzeć, jakbym zaraz miała zniknąć. Teraz od razu posadziły mnie z przodu. Nawet nie musiałam się z nimi ścigać. - Jak Boga kocham, nie wierzę.

Pozwalam sobie na niewielki uśmiech, kiedy odwracam się do okna i w jednej chwili zaskakuje mnie moje odbicie: wielkie, brązowe oczy, pomalowane na ciemno, pełne, czerwone usta. Wtedy przypominam sobie, że mam makijaż. Przez sekundę nie mogłam się rozpoznać.

- Jesteś niesamowita - mówi Tara, kładąc dłonie na kierownicy i przeklinając, bo właśnie przegapiłyśmy zielone światło.

- Daj spokój - macham niedbale ręką. Świetnie się czuję. Poranna kłótnia z Lindsay wyszła mi na dobre.

- O cholera, ale numer. - Courtney klepie mnie w ramię, kiedy wielki chevy tahoe, rozedrgany od basów, zatrzymuje się obok nas. Choć jest mróz, wszystkie okna są opuszczone: to studenci, którzy gapili się na nas w La Villa. A konkretnie na mnie. Śmieją się i kłócą o coś w aucie (jeden z nich krzyczy: „Mike, ale z ciebie cipka”), udają, że nas nie widzą, jak zawsze robią faceci, kiedy szaleńczo im zależy, żeby na nich popatrzeć.

- Ale ciacha - mówi Tara, pochylając się w moją stronę, żeby lepiej widzieć. Szybko wraca za kółko.

- Weź od nich numer.

- Ślepa jesteś? Jest ich czterech.

- To ich numery.

- Nie ma dwóch zdań.

- Pokażę im cycki - mówię i nagle przechodzi mnie dreszcz podniecenia idealną, czystą prostotą tego pomysłu: zwyczajnie to zrobię. To znacznie łatwiejsze i czystsze niż „Może powinnam” albo „Napytamy sobie biedy”, albo „O Boże, nigdy bym nie mogła”. Tak. Trzy litery. Odwracam się do Courtney. - Zakład?

Znowu oczy wychodzą im z orbit. Tara i Bethany gapią się na mnie, jakby mi nagle wyrosły macki.

- Nie zrobiłabyś czegoś takiego - mówi Courtney.

- Nie możesz - mówi Tara.

- Mogę, zrobiłabym i zaraz zrobię.

Opuszczam szybę. Gwałtowna fala chłodu uderza we mnie i przenika od stóp do głów, całe moje ciało drętwieje i już czuję się tak, jakbym się rozpadła na kawałeczki, mój łokieć podskakuje w tę i w tę, mam skurcz w udzie, sztywne palce. Z samochodu chłopaków dochodzi tak głośna muzyka, że aż bołą mnie uszy, jednak nie słyszę słów ani melodii, jedynie rytm, który dudni i dudni, tak głośno, że to już nie dźwięk, tylko wibracja, fizyczne doznanie.

- Hej - najpierw wydaję z siebie jakiś dziwny skrzekot, więc odchrząkuję i próbuję znowu. - Hej, chłopaki.

Kierowca odwraca głowę w naszą stronę. Jestem tak spięta, że ledwo mogę się skupić, ale w tym momencie widzę, że wcale nie jest taki przystojny - ma krzywe zęby i kolczyk z kryształem górskim w uchu, jakby udawał rapera. Chłopak odpowiada:

- Hej, ślicznotko.

Widzę, jak jego przyjaciele pchają się do szyby, żeby popatrzeć. Jedna, dwie, trzy głowy wystające jak misie z okienka, jak kukułki wyskakujące z zegara. Raz, dwa, trzy... Podnoszę bluzkę i narasta wrzawa. Słyszę gorączkowy, śpiewny głos - śmiech? okrzyki? - po czym wrzask Courtney:

- Dalej, dalej, dalej!!!

Potem samochód rusza z piskiem opon. Trochę nim zarzuca. Wiatr gryzie mi twarz, a w powietrzu unosi się zapach palonej gumy i benzyny. Serce powoli wraca z gardła do piersi, a moje ciało odzyskuje czucie i robi mi się ciepło. Podnoszę szybę. Nawet nie wiem, co w tej chwili czuję, przepływa przeze mnie jakaś fala, jak wtedy, gdy śmiejesz się do rozpuku albo za długo kręcisz wokół własnej osi. Z braku lepszego określenia nazwijmy to szczęściem.

- Bezcenne! Legendarne! - Courtney uderza w oparcie mojego fotela, a Bethany tylko kręci głową i z szeroko otwartymi oczami nachyla się do przodu, żeby mnie dotknąć, zdumiona, jakbym była świętą, a ona próbowała wyleczyć się z jakiejś choroby. Tara wyje ze śmiechu. Ledwo widzi drogę, bo tak łzawią jej oczy.

- Widziałyście ich twarze? - Wydusza z siebie. - Widziałyście?

Zdaję sobie sprawę, że nic nie widziałam. Nic nie widziałam, nic nie czułam. Słyszałam tylko ryk, ciężki, głośny. Może tak czuje się ktoś, kto naprawdę żyje, a może właśnie ktoś, kto już zmarł. Bawi mnie to. Courtney uderza w oparcie jeszcze raz i widzę, jak w tylnym lusterku wynurza się za mną jej twarz, czerwona jak słońce, i też zaczynam się śmiać, wszystkie cztery śmiejemy się przez całą drogę do Ridgeview - ponad trzydzieści pięć kilometrów - a świat przepływa wokół nas w czarnoszarych pasmach, jak zły portret siebie samego.

Zatrzymujemy się w domu Tary, żeby się przebrać. Tara znowu pomaga mi wcisnąć się w sukienkę. Wkładam futrzaną kurtkę i kolczyki, rozpuszczam włosy - które zrobiły się lekko falujące, bo cały dzień były spięte w luźny węzeł - i patrzę w lustro, a moje serce zaczyna galopować. Wyglądam co najmniej na dwadzieścia pięć lat. Wyglądam jak ktoś inny. Zamykam oczy, przypominam sobie, jak będąc małą dziewczynką, stawałam przed lustrem w łazience, kiedy para z prysznicą powoli znikwała z lustra, i modliłam się, żeby zobaczyć w nim kogoś innego. Pamiętam gorzkie uczucie rozczarowania, kiedy tylko wyłaniała się moja twarz, tak zwyczajna, ani trochę niezmienniona. Ale tym razem, kiedy otwieram oczy, sen się ziszcza. Oto ja: inna, oszalamiająca. Nie jestem już sobą.

Oczywiście ja stawiam kolację. Idziemy do Le Jardin du Roi, niesamowicie drogiej francuskiej restauracji, gdzie wszyscy kelnerzy to zabójczo przystojni Francuzi. Zamawiamy najdroższe wino w karcie i nikt nie prosi nas o dowody osobiste, więc zaczynamy od kolejki szampana. Tak nam smakuje, że jeszcze przed przystawką bierzemy następną kolejkę. Bethany od razu się upija i zaczyna flirtować z kelnerami, mówiąc łamanym francuskim, bo w zeszłym roku spędziła lato w Prowansji. Zamawiamy połowę karty: malutkie, rozpływające się w ustach prażynki serowe, grube kawały pasztetu, który pewnie ma więcej kalorii, niż powinno się spożyć w ciągu całego dnia, sałatkę z kozim serem i mule w białym winie, stek z

sosem béarnaise, pieczoną solę, crème brûlée i mousse au chocolat. Nigdy nie jadłam tak dobrego jedzenia, więc jem, póki starcza sił, aż czuję, że jeśli wezmę choć jeden kęs więcej, to sukienka pęknie na mnie z trzaskiem. Na koniec, kiedy podpisuję rachunek, jeden z kelnerów (najprzystojniejszy) przynosi cztery małe kieliszki jakiegoś słodkiego, różowego likieru „na trawienie”, co on oczywiście wymawia „na thafienie”.

Dopiero kiedy wstaję, zdaję sobie sprawę, ile wypłam. Przez sekundę świat wiruje dziko, jakby próbował złapać równowagę, i myślę, że może to świat jest pijany, a nie ja, i zaczynam chichotać. Wychodzimy na mróz, który trochę mnie otrzeźwia.

Sprawdzam telefon i widzę, że napisał do mnie Rob. „Co słyhać? Mamy plany na wieczór”.

- Chodź, Sam - woła Courtney. Razem z Bethany wdrapały się na tylne siedzenie samochodu. Znowu czekają, żebym usiadła z przodu. - Jedziemy na imprezę.

Szybko odpisuję Robowi. „W drodze. Zaraz będę”. Potem idę do auta i jedziemy do Kenta.

Kiedy przyjeżdżamy, widzę, że impreza dopiero się zaczyna. Idę prosto do kuchni. Jest względnie wcześnie i nie ma wielu ludzi, więc zauważam mnóstwo szczegółów, które wcześniej nie rzuciły mi się w oczy. Dom jest tak wypełniony małymi drewnianymi rzeźbami, dziwnymi obrazami olejnymi i starymi książkami, że mógłby uchodzić za muzeum.

Kuchnia jest jasno oświetlona i każdy przedmiot ma ostre kontury. Dwie beczki z piwem stoją tuż przy drzwiach i tam też zgromadziła się większość gości. W tej chwili to przede wszystkim faceci i paru drugoklasistów. Stłoczeni w małe grupki kurczowo trzymają plastikowe kubki, jakby zawierały całą ich życiową moc. Mają przyklepione, wymuszone uśmiechy i wyglądają, jakby straszliwie bolały ich policzki.

- Sam. - Rob dostrzega mnie, ale dla żartu udaje, że w pierwszej chwili mnie nie poznał. Przepycha się w moją stronę, potem przyciska mnie do ściany i bierze moją głowę w dłonie, więc jestem unieruchomiona. - Już myślałem, że nie przyjdiesz.

- Przecież obiecałam. - Kładę mu dłonie na piersi, czując pod palcami, jak bije mu serce. Z jakiegoś powodu mnie to smuci. - Dostałeś mojego esemesa?

Wzrusza ramionami.

- Dziwnie się dziś zachowywałaś. Myślałem, że nie spodobała ci się moja róża.

„Masz moje serce”. Zapomniałam o tym. Zapomniałam, jak mnie to zdołowało. Ale teraz to się już nie liczy. To przecież tylko słowa.

- Róża była w porządku.

Rob uśmiecha się i kładzie mi jedną dłoń na głowie, jakbym była salonowym pieskiem.

- Wyglądasz wystrzałow, dziecinko - mówi. - Chcesz piwo?

Przytakuję. Wino, które wypłam w restauracji, powoli przestaje działać. Czuję się zbyt trzeźwa, zbyt świadoma własnego ciała, ramion zwisających jak bezwładne ciężary. Rob odwraca się, ale nagle zatrzymuje i zaczyna gapić na moje buty. Podnosi wzrok, trochę rozbawiony, a trochę zaintrygowany.

- Co to takiego? - wskazuje na buty Anny.

- Buty. - Unoszę duży palec u nogi, ale skóra nawet nie drgnie. Z jakiegoś powodu bardzo mnie to cieszy. - Podobają ci się?

Rob robi grymas.

- Wyglądają jak buty wojskowe albo coś w tym stylu.

- Cóż, mnie się podobają. Kręci głową.

- To nie w twoim stylu, kochanie.

Myślę o wszystkim, co dziś zrobiłam, a co zaszokowałoby Roba: ucieczka z lekcji, całowanie się z panem Daimlerem, palenie trawy z Anną Cartullo, kradzież karty kredytowej mamy. To wszystko nie w moim stylu. Nawet nie wiem, co to znaczy. Nie wiem, skąd to wiadomo. W głowie próbuję zgromadzić wszystko, co zrobiłam w życiu, ale nie wyłania się z tego żaden klarowny obraz, nic, co pozwoliłoby mi orzec, jakiego rodzaju osobą jestem - tylko niewyraźna chmura bez konturów, mgliste wspomnienia śmiechów i jazdy autem bez celu. Czuję się, jakbym próbowała zrobić zdjęcie, kierując obiektyw prosto w słońce: twarze ludzi z moich wspomnień nie mają żadnych charakterystycznych rysów, są kropka w kropkę identyczne.

- Nie wiesz o mnie wszystkiego - mówię. Rob śmieje się pod nosem.

- Wyglądasz słodko, kiedy się złościsz. - Puka mnie palcem między oczy. - Nie marszcz czoła. Zrobią ci się zmarszczki.

- Co z tym piwem? - mówię, wdzięczna, że Rob się odwrócił. Miałam nadzieję, że jak go zobaczę, to się wyluzuję, tymczasem tylko się podkręciłam.

Kiedy Rob wraca z moim piwem, biorę kubek i idę na górę. U szczytu schodów prawie zderzam się z Kentem. Kiedy mnie widzi, robi szybki krok w tył.

- Przepraszam - mówimy jednocześnie i czuję, że się czerwienię.

- Jednak przysłaś - mówi Kent. Jego oczy są bardziej zielone niż kiedykolwiek. Ma dziwny wyraz twarzy: wykrzywił usta, jakby gryzł coś bardzo kwaśnego.

- Tu chyba trzeba być.

Odwracam wzrok, modląc się, żeby przestał się na mnie gapić. Z jakiegoś powodu przeczuwam, że zaraz powie coś okropnego. Zaraz powie, że przejrzał mnie na wylot. A ja mam dziką ochotę zapytać go, co takiego zobaczył - jakby mógł mi pomóc zrozumieć samą siebie. Ale boję się odpowiedzi.

Kent patrzy na swoje stopy.

- Sam, chciałem ci powiedzieć...

- Nie mów. - Podnoszę rękę. I wtedy mnie oświeca: on wie, co zaszło między mną i panem Daimlerem. Widział to. Wiem, że myślę, jak paranoiczka, ale jestem tego tak pewna, że zaczyna mi się kręcić w głowie i muszę wyciągnąć rękę, żeby przytrzymać się poręczy. - Jak chcesz gadać na temat tego, co się stało na matematyce, to nie chcę tego słyszeć.

Kent podnosi na mnie wzrok i zaciska usta w jedną, równą linię.

- A co się stało?

- Nic. - Znowu czuję na sobie napierający ciężar pana Daimlera, ciepło jego ust przyciśniętych do moich. - To nie twój interes.

- Daimler to podejrzany typ, wiesz przecież. Trzymaj się od niego z daleka. - Patrzy na mnie z uczuciem. - On ci nie dorasta do pięt.

Przypomina mi się liścik, który w czasie lekcji przyfrunął na moją ławkę. Wiedziałam, że to od niego. Na samą myśl, że Kent McFuller się nade mną lituje, że patrzy na mnie z góry, coś we mnie pęka.

Słowa same cisną mi się na usta.

- Niczego nie muszę ci wyjaśniać. Nawet nie jesteśmy przyjaciółmi. Nic... Nic nas nie łączy.

Kent robi krok w tył i wydaje dźwięk, coś jakby parsknięcie albo szyderczy śmiech.

- Wiesz co, naprawdę jesteś niesamowita. - Kręci głową i wygląda, jakby był zde gustowany albo smutny, a może jedno i drugie. - Może jednak wszyscy mają rację. Może jesteś po prostu pustą... - Urywa.

- Czym? Pustym czym? - Wbił wzrok w ścianę. Mam ochotę uderzyć go w twarz, żeby na mnie popatrzył. - Pustą suką, tak? Tak o mnie myślisz?

Wbija we mnie wzrok. Jego oczy nabierają wyrazu, stają się ciemne i twarde, jak skała. Wolałabym chyba, żeby na mnie nie patrzył.

- Możliwe. Może masz rację. Nie jesteśmy przyjaciółmi. Nic nas nie łączy.

- Naprawdę? No cóż, ja przynajmniej nie udaję lepszej od wszystkich innych. - Wyrzucam to z siebie, choć powinnam się powstrzymać. - Sam wiesz, że nie jesteś idealny. Na pewno też nieźle rozrabiasz. Na pewno masz coś na sumieniu.

Ale kiedy tylko wypowiadam te słowa, dociera do mnie, że to nieprawda. Po prostu to wiem. Kent McFuller nie rozrabia. A przynajmniej nie krzywdzi innych.

Teraz już Kent się śmieje.

- To ja udaję lepszego od wszystkich? - Patrzy na mnie przez półprzymknięte oczy. - To naprawdę zabawne, Sam. Mówił ci ktoś kiedyś, jaka jesteś śmieszna?

- Nie żartuję. - Moje dłonie zwijają się w pięści i wbijają w uda. Nie wiem, czemu tak się na niego wściekłam, ale chciałabym nim potrząsnąć albo na niego nakrzyczeć. Wie o panu Daimlerze. Wie o mnie wszystko i nienawidzi mnie za to. - Nie musisz dołować innych tylko dlatego, że nie są idealni...

Otwiera usta.

- Nigdy nie powiedziałem...

- To nie moja wina, że nie mogę być taka jak ty, okej? Nie budzę się co rano z myślą, że świat to jeden wielki raj, pełen słońca i szczęścia, okej? Ja po prostu inaczej na niego patrzę. Nie sądzę, żeby ktoś mógł mnie wyprostować.

Chciałam powiedzieć: Nie sądzę, żeby ktoś mógł go wyprostować. Przejęzyczyłam się i nagle czuję, że zaraz się rozplączę. Muszę wziąć kilka głębokich oddechów, żeby powstrzymać łzy. Odwracam wzrok od Kenta, żeby nie zauważył.

Chwila ciszy zdaje się trwać wieczność. Wtedy Kent dotyka dłonią mojego łokcia, przez pół sekundy. Już to jedno dotknięcie sprawia, że przechodzą mnie ciarki.

- Chciałem tylko powiedzieć, że ślicznie wyglądasz z rozpuszczonymi włosami. Tylko tyle. - Kent mówi niskim, spokojnym głosem. Mija mnie i zaczyna schodzić po schodach. Zatrzymuje się na trzecim stopniu. Kiedy się odwraca, ma smutną minę, choć leciutko się uśmiecha. - Nikt cię nie musi prostować, Sam.

Mówi to, ale wydaje mi się, że wcale nie słyszę jego słów. Mam wrażenie, że nagle przechodzą przez moje ciało, jakbym je zbierała z powietrza. Musi wiedzieć, że to nieprawda. Otwieram usta, żeby mu to powiedzieć, ale on już zniknął w tłumie kłębiącym się na dole. Nie jestem człowiekiem, tylko cieniem, duchem. I chyba jeszcze przed wypadkiem nie byłam do końca człowiekiem - teraz zdaję sobie z tego sprawę. Nawet nie wiem, kiedy zaczęłam się tak zmieniać.

Biorę wielki haust piwa, bo chciałabym, żeby urwał mi się film. Chcę, żeby świat przestał istnieć. Kolejny wielki haust. Piwo jest zimne, ale i tak smakuje jak stęchła woda.

- Sam! - Tara wchodzi po schodach z uśmiechem jak flesz. - Szukałyśmy cię. - Kiedy dociera wreszcie na górę, dyszy trochę, kładzie prawą rękę na brzuchu i zwija się wpool. W lewej ręce trzyma do połowy wypalonego papierosa. - Courtney zrobiła rekonesans. Znalazła niezły towar.

- Niezły towar?

- Whiskey, wódkę, gin, cassis, czego dusza zapagnie. Alko. Niezły towar.

Tara chwyta mnie za rękę i schodzimy na dół po schodach, które powoli zapełniają się ludźmi. Wszyscy idą w tym samym kierunku: od wejścia w stronę piwa, a potem na górę. W kuchni przeciskamy się przez tłum zgromadzony wokół beczek. Na drugim końcu kuchni są drzwi, na których wisi odręcznie zapisana kartka. Rozpoznaję charakter pisma Kenta.

Na kartce widnieje napis: **PROSZĘ NIE WCHODZIĆ.**

Małymi literami u dołu strony dopisał jeszcze uwagę: **NAPRAWDĘ. JAKO GOSPODARZ PROSZĘ O TO JEDNO. PATRZ! ZA TOBĄ STOI BECZKA!**

- Może nie powinnyśmy... - zaczynam mówić, ale Tara już przeszła przez drzwi, więc idę za nią.

Za drzwiami jest ciemno i zimno. Światło dociera tu tylko przez dwa olbrzymie okna w wykuszach, wychodzące na tylne podwórze.

Gdzieś w głębi domu rozlega się chichot, a potem słyszę, że ktoś na coś wpadł.

- Ostrożnie - ktoś syczy.

A potem słyszę głos Courtney.

- Sama spróbuj nalać po ciemku.

- Tędy - szepce Tara. To dziwne, że w ciemności ludzie od razu zaczynają mówić szeptem, zupełnie bezwiednie.

Wchodzimy do jadalni. Z sufitu zwisa żyrandol jak egzotyczny kwiat, a po obu stronach okna wiszą odsłonięte zasłony. Razem z Tarą obchodzimy stół - na jego widok moja mama dostałaby zawału z podnie-

cenia, może przy nim usiąść jakieś dwanaście osób - i wchodzimy do alkowy. To tam jest barek. Za alkową jest kolejny ciemny pokój. Dostrzegam kanapy i regały, więc wygląda mi na bibliotekę albo salon. Ciekawe, ile tu jest pokoi. Dom wydaje się ciągnąć w nieskończoność. Tu jest jeszcze ciemniej, ale Courtney i Bethany szperają w jakichś szafkach.

- Tu jest z pięćdziesiąt butelek - mówi Courtney. Za ciemno, żeby czytać etykiety, więc Courtney otwiera każdą butelkę i wącha, zgadując, co zawiera. - To chyba rum.

- Cudaczny dom, co nie? - mówi Bethany.

- Mnie tam się podoba - mówię szybko i nie wiem czemu czuję, że powinnam się bronić. Musi tu być pięknie za dnia: mnóstwo pokoi wypełnionych światłem. Założę się, że w domu Kenta zawsze jest cicho albo rozbrzmiewa tu muzyka klasyczna.

Obok mnie rozbija się coś szklanego i coś oblewa mi nogę. Podskakuję, kiedy Courtney szepce:

- Co zrobiłaś?

- To nie ja - mówię.

- Nie chciałam - mówi Tara.

- To jakaś waza?

- Yyy, trochę oblałam sobie buty.

- Po prostu weźmy butelkę i chodźmy stąd.

Chyłkiem wracamy do kuchni dokładnie w chwili, kiedy DJ Ravner wrzeszczy:

- Wszyscy na parkiet!

Matt Dorfman bierze kubek piwa i zaczyna go opróżniać na raz. Wszyscy się śmieją, a Abby McGail klaszcze, kiedy Matt wypija wszystko do dna. Ktoś pogłównia muzykę i wszyscy śpiewają razem z Dujeous: „Wszyscy DJ-e w mieście wpadli do tego domu! Masz coś do powiedzenia!? Powiedz do mikrofonu!”.

Słyszę wysoki śmiech. A potem głos z korytarza:

- Boże, przyjechaliśmy w odpowiednim momencie. Żołądek podchodzi mi do gardła. To Lindsay.

Pewnych rzeczy nigdy się nie mówi

Oto wielki sekret Lindsay: Kiedy w trzeciej klasie wróciła z wizyty u swojego przyrodniego brata w Nowym Jorku, który tam studiował, przez kilka dni była nie do zniesienia - warczała na wszystkich, śmiała się z dziwnych nawyków żywieniowych Ally, drwiła z Elody, że jest pijaczką i popychadłem, a mnie docinała za to, że zawsze wszystko robię na końcu, nie nadążam za modą i jako ostatnia całowałam się z językiem (po raz pierwszy zrobiłam to dopiero pod koniec drugiej klasy). Elody, Ally i ja wiedziałyśmy, że w Nowym Jorku coś się musiało stać, ale kiedy pytałyśmy, Lindsay nie chciała nam powiedzieć, a my nie naciskałyśmy. Lindsay nie można naciskać. To tylko pogarsza sprawę.

Aż któregoś razu siedziałyśmy w beznadziejnej meksykańskiej restauracji Rosalita, gdzie nie sprawdzają dowodów osobistych, piłyśmy margarity i czekałyśmy na zamówione dania. Lindsay prawie nie jadła, właściwie w ogóle nie jadła od powrotu z Nowego Jorku. Nawet nie tknęła darmowych frytek,

twierdząc, że nie jest głodna, i zamiast tego palcem ścierała sól z brzegu kieliszka z margaritą i zjadała kryształki, jeden po drugim.

Nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy, ale nagle Lindsay wypaliła.

- Uprawiałam seks.

Tak po prostu. Gapiłyśmy się na nią w milczeniu, a ona nachyliła się do nas i powiedziała pospiesznie, bez tchu, że była pijana, ale jej brat przyrodni nie chciał jeszcze wychodzić z imprezy, więc ten facet - Ten, Którego Nie Wolno Wspominać - zaproponował, że ją odprowadzi do akademika, gdzie nocowała. Uprawiali seks na podwójnym, długim łóżku jej brata, ona raz po raz traciła kontakt z rzeczywistością, a ten facet - Ten, Którego Nie Wolno Wspominać - zniknął, zanim jeszcze brat Lindsay wrócił z imprezy.

- To trwało jakieś trzy minuty - powiedziała na koniec i wiedziałam, że właśnie kataloguje to wydarzenie w przegródce

„O tym nigdy nie będziemy rozmawiać” i wrzuca je gdzieś głęboko, na samo dno umysłu, tworząc na podstawie tej opowieści alternatywne i znacznie lepsze historie: „Pojechałam do Nowego Jorku i świetnie się bawiłam. Kiedyś na pewno się tam przeprowadzę. Całowałam się z chłopakiem, on chciał pójść do mnie do domu, ale się nie zgodziłam”.

Zaraz potem podano do stołu. Lindsay wyraźnie ulżyło, gdy nam powiedziała - choć kazała nam przysiąc pod groźbą śmierci w męczarniach, że to pozostanie między nami - a jej nastrój zmienił się w jednej chwili. Odesłała zamówioną sałatkę („Przecież nie będę się katować tym króliczym gównem”) i zamówiła quesadillas z serem i pieczarkami, burrito z wieprzowiną z dodatkową śmietaną i guacamole, kilka chimichang do podziału dla nas wszystkich oraz kolejną kolejkę margarity. Napychałyśmy się - nawet Ally - i piłyśmy jedną margaritę za drugą, w różnych smakach: mango, malinową, pomarańczową, śmiejąc się tak głośno, że ludzie ze stolika obok kazali się przesadzić w inne miejsce. Nawet nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy, ale w pewnej chwili Ally zrobiła zdjęcie Elody, gdy ta ma tortillę na głowie i trzyma w górze butelkę z pikantnym sosem. W rogu widać jedną trzecią profilu Lindsay. Zgięta w pół, śmieje się, a jej twarz ma jasnioletowy kolor. Ręką trzyma się za brzuch.

Po kolacji Lindsay rzuciła kartą kredytową swojej mamy, żeby za wszystko zapłacić. Mogła jej używać tylko w wyjątkowych sytuacjach, ale nachyliła się nad stołem i kazała nam się chwycić za ręce.

- To, moje drogie, była wyjątkowa sytuacja.

Zaczęłyśmy się śmiać, bo jak zawsze była melodramatyczna. Miałyśmy w planie imprezę w arboretum. To tradycja w pierwszy ciepły weekend roku. Miałyśmy przed sobą całą noc. Byłyśmy w świetnych nastrojach. Lindsay znów była sobą.

Lindsay poszła do łazienki poprawić makijaż, a pięć sekund później wszystkie margarity i cały ten śmiech dały o sobie znać. Nigdy w życiu nie chciało mi się tak sikać. Wciąż się śmiejąc, pognałam do łazienki, a Elody i Ally rzucały we mnie niedojedzonymi frytkami i zmiętymi serwetkami, krzycząc:

- Przyślij nam pocztówkę znad Niagary! Jeśli to tylko pierwsze danie, to nie spuszczaaj wody!

I kolejny stolik poprosił, żeby go przenieść.

Łazienka była jednoosobowa, więc oparłam się o drzwi, wołając do Lindsay, żeby mnie wpuściła, i szarpiąc za klamkę. Chyba się spieszyła, bo nie domknęła drzwi i otworzyły się, gdy tylko się o nie oparłam. Wpadłam do łazienki, wciąż się śmiejąc, oczekując, że zastanę Lindsay przed lustrem, jak nakłada na wydęte usta podwójną warstwę błyszczycy MAC Vixen.

Tymczasem ona klęczała na podłodze przed sedesem, a na powierzchni wody unosiły się resztki quesadillas i nadziewanego wieprzowiną burrito. Lindsay spuściła wodę, ale nie dość szybko. Zobaczyłam całe kawałki pomidorów wirujące w sedesie.

Natychmiast odechciało mi się śmiać.

- Co ty wyprawiasz? - zapytałam, choć sytuacja nie wymagała komentarza.

- Zamknij drzwi - syknęła.

Zamknęłam je szybko, a hałas restauracji zniknął, pozostawiając ciszę.

Lindsay powoli podniosła się z kolan.

- No i? - zapytała, patrząc na mnie, jakby już przygotowywała sobie kontrargumenty, jakby oczekiwała, że zaraz ją zacznę o coś oskarżać.

- Chciało mi się sikać - powiedziałam.

Beznadziejna odpowiedź, ale nic innego nie przyszło mi do głowy. We włosy wplątał jej się kawałek jedzenia i kiedy to zobaczyłam, zachciało mi się płakać. To była Lindsay Edgecombe. Nasza tarcza.

- No to sikaj - powiedziała z wyraźną ulgą, choć wydawało mi się, że dostrzegam w jej oczach jakiś błysk. Może smutku.

Tak zrobiłam. Wysikałam się, a Lindsay nachyliła się nad zlewem, nabrała w dłonie wody, obmyła twarz, przepłukała usta i gardło. Zabawne: mogłoby się wydawać, że kiedy dzieje się coś strasznego, to wszystko inne schodzi na dalszy plan, jakby człowiek zapominał, że chce mu się sikać, jeść czy pić, ale to nie do końca prawda. Chyba raczej ciało oddziela się od ciebie, jakby cię zdradzało, wlecze się swoim rytmem, głupie i zwierzęce, i nadal domaga się wody, kanapek i ubikacji, podczas gdy twój świat właśnie się rozpada.

Obserwowałam Lindsay, gdy wyciągnęła gumę do żucia i włożyła do ust. Potem poprawiła makijaż, tuszując rzęsy i malując usta błyszczycy. Łazienka była mała, ale Lindsay była bardzo daleko.

Wreszcie przemówiła.

- To nie nawyk czy coś w tym stylu. Chyba po prostu za szybko jadłam.

- Okej - powiedziałam. Nigdy nie byłam pewna, czy mówi prawdę.

- Nie mów Al i Elody, dobra? Nie chcę, żeby świrowały bez powodu.

- Oczywiście - powiedziałam.

Zamilkła na chwilę, zaciśnęła usta i wydeła je do lusterka. Potem odwróciła się do mnie.

- Jesteście moją rodziną. Wiesz o tym, prawda?

Powiedziała to od niechcenia, jakby chwaliła moje nowe dzinsy, ale wiedziałam, że była to jedna z najszczerzych rzeczy, jakie do mnie kiedykolwiek powiedziała. Wiedziałam, że to właśnie ma na myśli.

Zgodnie z planem poszliśmy na imprezę do arboretum. Elody i Ally świetnie się bawiły, ale mnie rozboleł brzuch i leżałam zwinięta na masce samochodu Ally. Nie wiedziałam, czy się zatrulałam jedzeniem, ale czułam, jakby coś próbowało wydostać się z mojego żołądka.

Lindsay też świetnie się bawiła. Tej nocy po raz pierwszy pocałowała Patricka. Cztery miesiące później, pod sam koniec lata, uprawiali seks. Kiedy opowiedziała o tym, jak straciła dziewictwo ze swoim chłopakiem - świece, koc na podłodze, kwiaty, jak w filmie - i jak to wspaniale, że miała taki romantyczny pierwszy raz, żadnej z nas nawet nie drgnęła powieka. Pospieszyliśmy z gratulacjami, wypytywałyśmy o szczegóły i powiedziałyśmy, że byłyśmy zazdrosne. Zrobiłyśmy to dla Lindsay, żeby była szczęśliwa. Ona by to dla nas zrobiła.

Po to właśnie są najlepsi przyjaciele. Tak właśnie postępują. Pilnują, żebyś nie spadł w przepaść.

Tu się to zaczyna.

Lindsay, Elody i Ally musiały pójść na górę zaraz po przybyciu - to raczej pewne, biorąc pod uwagę, że piły własną wódkę - bo nigdzie na dole ich nie widzę. Wypijam cztery szoty rumu i nagle odczuwam działanie alkoholu. Pokój wiruje wokół mnie, jak rozmyty świat kolorów i dźwięków. Courtney właśnie skończyła butelkę rumu, więc idę po piwo. Muszę się koncentrować przy każdym kroku, a kiedy podchodzę do beczki, stoję przy niej przez chwilę, bo zapomniałam, po co przyszedłam.

- Piwa? - Matt Dorfman napełnia kubek i podaje mi.

- Piwa - odpowiadam, zadowolona, że wymawiam to słowo tak wyraźnie i że przypomniałam sobie, że tego właśnie chciałam.

Idę na górę. Rejestruję tylko urywki wydarzeń, jak na taśmie filmowej, która pękła na kawałki: dotyk szorstkiej, drewnianej poręczy; Emma McElroy opierająca się o ścianę, dysząca przez otwarte usta - a może się śmieje? - jak ryba na haku; rozmazane, migoczące światełka choinkowe. Nie za bardzo wiem, dokąd idę i kogo szukam, ale nagle po drugiej stronie pokoju widzę Lindsay i zdaję sobie sprawę, że zaszedłam na tyły domu, do pomieszczenia dla palaczy. Patrzymy na siebie przez krótką chwilę i mam nadzieję, że uśmiechnie się do mnie, ale ona odwraca wzrok. Obok niej stoi Ally. Nachyla się do Lindsay i mówi jej coś na ucho, a potem idzie w moją stronę.

- Hej, Sam.

- Musiałaś poprosić o zgodę na rozmowę ze mną? - Tego nie wypowiadałam już tak wyraźnie.

- Nie bądź suką - Ally przewraca oczami. - Lindsay naprawdę zdołowało to, co jej powiedziałaś.

- Elody jest wściekła? - Elody stoi w kącie ze Steve'em Doughiem, opiera się o niego, podczas gdy on rozmawia z Liz Hummer, jakby Elody w ogóle tam nie było. Chcę podejść i ją objąć.

Ally się waha i patrzy na mnie spod grzywki.

- Nie jest wściekła. Znasz Elody.

Wiem, że Ally kłamie, ale jestem zbyt pijana, by drażnić temat.

- Nie zadzwoniłaś dziś do mnie.

Nienawidzę się za to, że to powiedziałam. Znowu czuję się jak autsajderka, jak ktoś, kto próbuje wdrzeć się do jakiejś grupy. To tylko jeden dzień, a już za nimi tęsknię, za moimi jedynymi prawdziwymi przyjaciółkami.

Ally bierze łyk wódki, a potem mruga.

- Lindsay świrowała, mówiłam ci, zdołowało ją to.

- Ale przecież to, co powiedziałam, to prawda, co nie?

- Nieważne, czy to prawda czy nie. - Ally kręci energicznie głową. - Lindsay to Lindsay. Należy do nas. Należymy do siebie, rozumiesz?

Nigdy nie uważałam Ally za wybitnie mądrą, ale to chyba najmądrzejsza rzecz, jaką usłyszałam od dłuższego czasu.

- Powinnaś powiedzieć, że ci przykro, i przeprosić - stwierdza Ally.

- Ale mi nie jest przykro.

Teraz już zdecydowanie bełkoczę. Mój język zrobił się gruby i ciężki. Nie chce robić tego, co mu każe. Chcę powiedzieć Ally wszystko - o panu Daimlerze, Annie Cartullo, pani Winters i Mopsach - ale nawet nie znajduję odpowiednich słów.

- Po prostu to powiedz, Sam.

Ally omiata wzrokiem cały pokój. Nagle robi szybki krok w tył. Otwiera usta i natychmiast zasłania je dłonią.

- O Boże - mówi, gapiąc się na coś ponad moim ramieniem. Jej usta wykrzywiają się w uśmiech. - Nie wierzę.

Wydaje się, że czas staje w miejscu. Odwracam się. Gdzieś czytałam, że na progu czarnej dziury czas się zatrzymuje, więc gdyby się na nią natrafiło, to zostałoby się tam na zawsze, w ustach czarnej dziury, na zawsze rozerwanym, w niekończącej się agonii. Tak się właśnie czuję w tej chwili. Tłum wokół mnie, nieskończenie wielkie usta, coraz więcej ludzi.

A w drzwiach stoi ona. Juliet Sykes. Juliet Sykes, która wczoraj odstrzeliła sobie mózg pistoletem rodziców.

Ma włosy związane w kucyk i mimowolnie wyobrażam je sobie skołtunione i zlepione krwią, z wielką dziurą zionącą tuż pod kosmykiem włosów. Wpadam w panikę. Duch, który nagle staje w drzwiach. Tego boją się dzieci, o tym kręci się horrory.

Przypomina mi się fraza z filmu dokumentalnego o skazanych na śmierć, który musiałam obejrzeć na zajęciach z etyki - „martwy za życia”. Kiedy ją pierwszy raz usłyszałam, wydała mi się okropna, ale dopiero teraz tak naprawdę ją zrozumiałam. Juliet Sykes jest martwa za życia. I ja w pewien sposób też.

- Nie - mówię, choć nie chciałam powiedzieć tego na głos. Robię krok w tył, a Harlowe Rosen piszczy:

- To moja stopa.

- Nie wierzę - powtarza Ally, ale jej głos dochodzi mnie z oddali. Już się ode mnie odwraca, wołając do Lindsay i przekrzykując muzykę. - Lindsay, widziałaś, kto przyszedł!?

Juliet kołysze się w drzwiach. Wygląda na spokojną, ale jej dłonie zaciśnięte są w pięści.

Rzucam się w przód, ale dokładnie w tym momencie tłum zaciska się wokół mnie. Nie mogę na to patrzeć. Nie chcę widzieć, co się teraz stanie. Nie mogę złapać równowagi i wciąż mnie ktoś popycha, to z jednej, to z drugiej strony, jak piłeczkę we flipperze, choć desperacko próbuję wyjść z pokoju. Wiem, że depczę ludziom po stopach i wbijam im łokcie w plecy, ale mam to gdzieś. Muszę wyjść.

Wreszcie przedzieram się przez ciasny tłum. Juliet blokuje przejście. Nawet na mnie nie patrzy. Stoi nieruchomo jak posąg, z oczami wbitymi w dal. Spogląda ponad moim ramieniem. Patrzy na Lindsay. Wtedy do mnie dociera, że tak naprawdę chce dorwać Lindsay - to jej nienawidzi najbardziej - ale nie powiem, żebym dzięki temu poczuła się lepiej.

Kiedy już mam przejść obok niej i wejść do ciemnego korytarza, jej ciało zaczyna drżeć i krzyżujemy spojrzenia.

- Czekaj - mówi do mnie i chwyta mnie za nadgarstek dłonią zimną jak lód.

- Nie - wyrywam się jej i idę dalej, potykając się i prawie dławiąc strachem. Przez moją głowę przełatują różne obrazy Juliet: Juliet zgięta w pół, z wyciągniętymi rękami, która potyka się, cała złana piwem; Juliet leżąca na podłodze w kałuży krwi. Nie myślę klarownie i nagle dwa obrazy w mojej głowie zlewają się i widzę ją, jak obija się po pokoju, a wszyscy się śmieją, ma mokre włosy, przesiąknięte krwią kapiącą na podłogę.

Jestem tak rozkojarzona, że zauważam Roba dopiero, kiedy na niego wpadam.

- Hej. - Rob jest już pijany. Z ust zwisa mu niezapalony papieros. - Hej, ty.

- Rob... - Przywieram do niego. Cały świat wiruje. - Chodźmy stąd, okej? Do ciebie. Jestem gotowa, tylko ty i ja.

- Ostra laska. - Połowa ust Roba powoli unosi się w górę, ale druga połowa jakoś nie daje rady do niej dołączyć. - Jak wypalę. - Idzie na tyły domu. - Potem pójdziemy.

- Nie! - prawie krzyczę.

Odwraca się do mnie na chwiejnych nogach. Nie czekając, aż zareaguje, wyciągam mu z ust papierosa i całuję go, trzymając jego twarz w obu dłoniach i wciskając się w jego ciało. Dopiero po sekundzie Rob zdaje sobie sprawę, co się dzieje, ale potem zaczyna gładzić moje ciało przez sukienkę, robić kółka językiem i trochę jęczeć.

Objamamy się o ściany korytarza, prawie jakbyśmy tańczyli. Czuję, że podłoga się wygina i wiruje, Rob przypadkowo popycha mnie mocno na balustradę, a ja głośno wzdycham.

- Przepraszam, kochanie. - Jego oczy tylko chwilami rejestrują moją obecność.

- Chodźmy do jakiegoś pokoju. - Z tyłu domu już dobiega mnie skandowanie: „Psychol, psychol”. - Chodźmy do jakiegoś pokoju teraz.

Biorę Roba za rękę i razem, chwiejąc się, przeciskamy się przez falę ludzi, którzy idą w przeciwnym kierunku. Wszyscy chcą zobaczyć, skąd dobiega hałas.

- Tutaj.

Rob z całej siły napiera na pierwsze zamknięte drzwi, na które trafiamy, te ozdobione naklejkami na zderzak. Słysząc trzask i oboje wtaczamy się do środka. Znowu go całuję i próbuję zatracić się w uczuciu bliskości naszych ciał i jego ciepła, próbuję zagłuszyć ryczące śmiechy dochodzące z tamtego pokoju. Udaję, że jestem tylko ciałem, z umysłem tak pustym i zamglonym jak rozregulowany telewizor. Próbuję się zmniejszyć, skoncentrować tylko na swoim ciele, jakby jedynym istniejącym doznaniem był dotyk palców Roba.

Kiedy drzwi się zamykają, zapada ciemność choć oko wykol. Nawet po chwili mrok nie rozprasza się ani trochę. Albo nie ma tu okien, albo są szczelnie zasłonięte. Ciemność tutaj zdaje się mieć własny ciężar i nagle dopada mnie histeryczny strach, że jesteśmy zamknięci w pudełku. Rob oplata mnie ramionami, ale tak się kołysze na nogach, że zaczyna mi się kręcić w głowie. Czuję napływającą falę mdłości i popycham go w tył, aż natrafiamy na coś miękkiego. Łóżko. Rob przewraca się na nie, a ja wspinam się na niego.

- Czekaj - mamrocze.

- Przecież tego chciałeś - szepczę.

Nawet teraz słyszę śmiechy i wrzaski - „Psychol, psychol!” - choć muzyka rozbrzmiewa bardzo głośno. Coraz namiętniej całuję Roba, a on mocuje się z zamkiem mojej sukienki. Słyszę rozdierany materiał, ale nic mnie to nie obchodzi. Ściągam sukienkę do połowy, a Rob rozpoczyna atak na mój biustonosz.

- Jesteś pewna? - bełkocze mi do ucha.

- Po prostu mnie pocałuj.

„Psychol, psychol”. Głosy odbijają się echem w korytarzu. Wkładam dłonie pod bluzę Roba i mocuję się, żeby zdjąć mu ją przez głowę, a potem zaczynam całować go w szyję i niżej, pod kołnierzykiem koszulki polo. Skóra Roba smakuje potem, solą i papierosami, ale nie przestaję go całować, a jego dłoń przesuwana się po moich plecach w dół, w kierunku pośladków. Z ciemności wyłania się obraz leżącego na mnie pana Daimlera - i pokrytego plamami sufitu - ale udaje mi się go od siebie odsunąć.

Zdejmuję Robowi koszulkę i teraz przyciskam moje piersi do jego klatki piersiowej. Kiedy stykamy się brzuchami, a potem od siebie odrywamy, skóra wydaje ten dziwny odgłos siorbania, ssania. W pewnej chwili Rob odrywa ode mnie dłonie. Wciąż go całuję, poruszając się w dół jego klatki piersiowej. Ma delikatne włoski. Włosy na klatce piersiowej zawsze mnie brzydziły, ale o tym też postanawiam nie myśleć.

Rob zamilkł. Pewnie jest w szoku. Nigdy wcześniej nie posunęliśmy się tak daleko. Zazwyczaj, kiedy się całujemy, to on przejmuje inicjatywę. Ja się zawsze bałam, że zrobię coś nie tak. To takie dziwne uczucie, kiedy człowiek zachowuje się, jakby wiedział, co robi. Nigdy nawet zupełnie się przed nim nie rozebrałam.

- Rob? - szepczę, a on wydaje cichy jęk. Wstaję, bo ręce zaczynają mi się trząść pod ciężarem ciała.

- Chcesz, żebym zdjęła sukienkę?

Cisza. Serce bije mi szybko i choć w pokoju jest zimno, czuję, jak po ramionach spływa mi pot.

- Rob? - powtarzam.

Nagle Rob wydmuchuje potężne chrapnięcie, głośne niczym klakson i przewraca się na drugi bok. I chrapie dalej, wydając z siebie długie, regularne dźwięki.

Przez chwilę po prostu stoję i słucham tego. Kiedy Rob chrapie, zawsze przypominam sobie, że będąc małą dziewczynką, siadałam na werandzie i patrzyłam, jak mój tata robi małe koła swoją sześćioletnią, automatyczną kosiarką marki Sears, która warczała tak potwornie, że musiałam zatykać sobie uszy. Ale nie wchodziłam do domu. Uwielbiałam patrzeć na równe pasma zieleni, które zostawiał za sobą tata, na setki drobniutkich źdźbeł trawy wirujących w powietrzu jak małe baletnice.

W pokoju jest tak ciemno, że całą wieczność szukam stanika i tego głupiego futrzanego czegoś. Muszę po omacku szukać ich na kolanach. Nie jest mi smutno. Właściwie niczego nie czuję, nie myślę, po prostu odhaczam rzeczy, które muszę zrobić. Znaleźć biustonosz. Poprawić sukienkę. Wyjść.

Wychodzę na korytarz. Muzyka dudni jak wcześniej, a ludzie wchodzi i wychodzą z pokoju na tyłach. Juliet Sykes już sobie poszła.

Kilka osób rzuca mi dziwne spojrzenia. Jestem pewna, że wyglądam jak kawałek ścierwa, ale nie mam siły, żeby się tym przejmować. To niesamowite, jak dobrze to wszystko znoszę, i choć w mózgu mam papkę, jedna myśl jest bardzo klarowna: To niesamowite, jak dobrze to wszystko znosisz. Lindsay byłaby z ciebie dumna.

- Masz niedopiętą sukienkę - mówi do mnie ze śmiechem Carly Jablonski.

- Co wy tam wyprawialiście? - pyta ktoś stojący za nią.

Olewam ich. Po prostu idę przed siebie - właściwie unoszę się w powietrzu, bo nawet nie wiem, dokąd zmierzam - dryfuję w dół po schodach i wychodzę na okalającą cały przód domu werandę. Uderza mnie fala zimna, zmuszając do cofnięcia się do domu, do kuchni. Nagle nachodzi mnie nieodparta chęć powrotu do ciemnej, cichej części domu za drzwiami z napisem NIE WCHODZIĆ, skąpanej w księżycowym świetle układającym się w kwadraty, wypełnionej cichym tykaniem starych zegarów. Więc idę w tamtą stronę, za drzwi, do jadalni, przez alkowę, gdzie Tara rozbiła szklaną wazę, której resztki trzeszczą mi teraz pod stopami, i dalej do salonu.

Jedną ścianę wypełniają niemal w całości okna. Wychodzą na przedni ogród. Na zewnątrz panuje srebrna, ścięta mrozem noc, drzewa spowija całun lodu, jakby zrobiono je z gipsu. Zastanawiam się, czy wszystko w tym świecie, w którym utknęłam, to tylko replika, tania imitacja rzeczywistości. Potem siadam na dywanie - dokładnie pośrodku kwadratu wyciętego przez snop księżycowego światła - i zaczynam płakać. Pierwszy spazm to prawie krzyk.

Nie wiem, jak długo tak siedzę - co najmniej piętnaście minut, bo zdołałam się swobodnie wypłakać. W trakcie obsmarkuję się zupełnie i kompletnie niszczę futrzaną kurtkę tuszem do rzęs i całym syfem, który spłynął mi z twarzy. I nagle czuję w pokoju czyjąś obecność.

Milknę. Część pokoju spowijają ciemności, ale kątem oka dostrzegam jakiś ruch. Trampki w szachownicy pojawiają się i znikają.

- Od jak dawna tu stoisz? - pytam, po raz czterdziesty wycierając nos o ramię.

- Niedługo - mówi cicho Kent. Wiem, że kłamie, ale mam to gdzieś. Właściwie czuję się lepiej, wiedząc, że nie byłam przez cały ten czas sama.

- Wszystko w porządku? - Robi kilka kroków w moim kierunku. Pada na niego światło księżyca i zamienia w srebrną figurę. - To znaczy widzę, że coś nie w porządku, ale chciałem zapytać, wiesz, czy mogę coś dla ciebie zrobić, a może chcesz pogadać albo...

- Kent? - przerywam mu.

Nawet kiedy byliśmy dziećmi, miał tendencję do snucia niekończących się dygresji bez związku z tematem. Milknie.

- Tak?

- Mógłbyś... mogłabym dostać szklankę wody?

- Jasne. Daj mi sekundę.

Chyba odczuł ulgę, że może coś dla mnie zrobić. Słyszę odgłos jego trampek na dywanie. Nie mija minuta, a wraca ze szklanką wody. Użył dokładnie tyle lodu, ile trzeba. Biorę kilka wielkich łyków.

- Przepraszam, że tu weszłam. Widziałam kartkę.

- W porządku. - Kent siada ze skrzyżowanymi nogami obok mnie, na dywanie, nie tak blisko, byśmy się dotykali, ale wystarczająco blisko, żebym czuła jego obecność. - Właściwie to ta kartka była dla innych. Wiesz, żeby nie potłukli tych pierdółek moich rodziców albo czegoś innego. Nigdy nie robiłem imprezy.

- To czemu teraz zrobiłeś? - pytam tylko po to, żeby pozwolić mu gadać.

- Myślałem, że jak zrobię, to przyjdiesz - mówi z niewyraźnym uśmiechem.

Czuję falę zażenowania. Ciepło ogarnia mnie od stóp do głów. Jego odpowiedź tak mnie zaskakuje, że nie wiem, co powiedzieć. Ale on nie wygląda na zbitego z tropu. Po prostu siedzi i na mnie patrzy. Cały Kent. Nigdy nie rozumiał, że takich rzeczy się po prostu nie mówi.

Cisza trwa o kilka chwil za długo. Przychodzi mi do głowy coś, co można powiedzieć.

- W tym pokoju w ciągu dnia musi być sporo światła.

- Jakbyś siedziała na samym słońcu - śmieje się Kent.

I znowu cisza. Słyszeć muzykę, ale jest stłumiona, jakby dobiegała z odległości kilku kilometrów. Podoba mi się to.

- Słuchaj. - Na samą myśl o tym, co chcę mu powiedzieć, zaciska mi się gardło. - Przepraszam za to, co wcześniej. Naprawdę... dzięki tobie lepiej się poczułam. Przepraszam, że zawsze jestem taka... - W

ostatniej sekundzie jednak nie mogę tego z siebie wydusić: Przepraszam, że zawsze jestem taka okropna. Przepraszam, że coś ze mną nie tak.

- To, co mówiłem, mówiłem serio - mówi cicho Kent. - O twoich włosach.

Porusza się nieznacznie - ale zbliża o ułamek centymetra - i dociera do mnie, że siedzę z Kentem McFullerem pośrodku oświetlonego przez księżyc pokoju.

- Powinnam już pójść.

Wstaję. Nadal z trudem łapię równowagę, a pokój krąży wokół mnie.

- Uważaj. - Kent wstaje i wyciąga do mnie rękę, żeby mnie podtrzymać. - Na pewno wszystko w porządku?

- Ja... - Zdaję sobie sprawę, że nie wiem, dokąd pójść i nikt mnie tam nie zabierze, tak czy siak. Nie zniosę ani chwili dłużej obecności Tary i jej wyszczerzonego uśmiechu, a Lindsay oczywiście nie wchodzi w grę. Teraz wydaje mi się to tak okropne, że aż śmieszne, i śmieję się cicho. - Nie chcę jechać do domu.

Kent nie pyta dlaczego. Jestem mu za to wdzięczna. Po prostu wkłada ręce do kieszeni. Jego twarz opromienia światło.

- Możesz... - Przełyka ślinę. - Zawsze możesz zostać tutaj. Gapię się na niego. Dzięki Bogu jest ciemno. Nie mam pojęcia, jak wygląda moja twarz.

- Nie w sensie, że ze mną - Kent zaczyna się jąkać. - Oczywiście, że nie. Chodziło mi... mamy kilka pokoi gościnnych, z przygotowaną pościelą i tak dalej. Czystą pościelą, oczywiście. Zawsze ją zmieniamy na świeżą...

- Okej.

- ... kiedy wyjadą, inaczej to by było paskudne. Właściwie mamy gosposię, która przychodzi dwa razy w tygodniu i...

- Kent? Powiedziałam: Okej. Chciałabym zostać. Jeśli nie masz nic przeciwko.

Stoi przez kilka sekund z otwartymi ustami, jakby był pewien, że się przesłyszał. Potem wyciąga rękę z kieszeni, zaciska dłoń i rozprostowuje, podnosi i uderza nią w udo.

- Jasne. Pewnie, że nie. W porządku.

Ale potem przez minutę się nie porusza. Po prostu się na mnie gapi. Powraca fala gorąca, tylko że tym razem napływa mi do głowy i sprawia, że wszystko zdaje się zamglone i odległe. Nagle moje powieki robią się ciężkie.

- Jesteś zmęczona - mówi Kent cicho.

- To był długi dzień.

- Chodź.

Wyciąga do mnie rękę, a ja bez zastanowienia ją chwytam. Jest ciepła i sucha. Kent prowadzi mnie w głąb domu, z dala od muzyki, w ciemność. Zamykam oczy i przypominam sobie, jak kiedyś wsuwał swoją dłoń w moją i szeptał: „Nie słuchaj ich. Po prostu idź. Głowa do góry”. Czuję się, jakby tamten czas

nagle powrócił. Wcale nie wydaje mi się szalone, że trzymam się za ręce z Kentem McFullerem i pozwalam się gdzieś prowadzić. Czuję się zwyczajnie.

Muzyka zupełnie cichnie. Zrobiło się tak spokojnie. Prawie nie słysząc naszych kroków na dywanie, a w każdym pokoju snopy księżycowego światła przecinają ciemność. Dom pachnie polerowanym drewnem, deszczem i trochę dymem, jakby ktoś niedawno palił w kominku. Myślę, że wspaniale byłoby utknąć tu w czasie śnieżycy.

- Tędy - mówi Kent.

Otwiera drzwi - zawiasy skrzypią - i słyszę, jak po omacku szuka włącznika światła.

- Nie - mówię.

- Nie włączać światła? - waha się Kent.

- Nie włączać.

Bardzo powoli prowadzi mnie do pokoju. Tu jest prawie zupełnie ciemno. Ledwo widzę zarys jego ramion.

- Łóżko jest tutaj.

Pozwalam, by mnie do siebie przyciągnął. Stoimy w odległości kilku centymetrów i dosłownie czuję jego obecność w ciemności, która zdaje się gęstnieć wokół nas. Wciąż trzymamy się za ręce, ale stoimy twarzą w twarz. Nigdy nie zwróciłam uwagi na to, jaki jest wysoki: przynajmniej dziesięć centymetrów wyższy ode mnie. Emanuje z niego niesamowite ciepło. Czuję je w koniuszkach palców.

- Twoja skóra - mówię ledwo słyszalnym szeptem. - Jest gorąca.

- Zawsze tak mam - mówi.

Coś szeleści w ciemności i wiem, że poruszył ręką. Jego palce unoszą się, zbliżają do mojej twarzy i wydaje mi się, że je widzę, rozgrzane do białości. Kent opuszcza rękę i ciepło się oddala.

To najdziwniejsza rzecz pod słońcem, ale kiedy tak stoję z Kentem McFullerem w mrocznym pokoju, tak ciemnym, jakby zbudowano go pod ziemią, czuję, że jakaś drobinka zaczyna we mnie płonąć, małym płomieniem na samym dnie żołądka, i dzięki temu przestaję się bać.

- W szafie są dodatkowe koce - mówi. Jego usta są tuż przy moim policzku.

- Dziękuję - odpowiadam szeptem.

Kent zostaje, póki nie wejdę do łóżka, a potem nakrywa mnie kołdrą po samą szyję, jakby to było zupełnie normalne, jakby przez całe życie kładł mnie wieczorem do łóżka. Cały Kent McFuller.

ROZDZIAŁ 5

Tak, wtedy jeszcze szukałam odpowiedzi. Wciąż chciałam się dowiedzieć dlaczego. Jakby ktoś mógł za mnie udzielić odpowiedzi. Jakby mogła mi wystarczyć jakakolwiek odpowiedź.

Trochę później zaczęłam myśleć o czasie, o tym, że nigdy się nie zatrzymuje, wciąż płynie, kropla po kropli - sekundy stają się minutami, minuty dniami, a dni latami. A wszystko to prowadzi do tego samego miejsca, jak prąd biegnący wiecznie w jednym kierunku. A my wszyscy płyniemy w nim tak szybko, jak tylko się da, przez co woda płynie jeszcze szybciej.

A może stać nas na to, żeby poczekać. Może dla ciebie jest jakieś jutro. Może dla ciebie istnieje tyśiąc kolejnych dni albo trzy tysiące, albo dziesięć - tyle czasu, że możesz się w nim zanurzyć, taplać do woli, że możesz pozwolić, by przesypywał ci się przez palce jak monety. Tyle czasu, że możesz go marnować.

Ale dla niektórych istnieje tylko dziś. I tak naprawdę nigdy nie wiadomo.

Budzę się, z trudem łapiąc oddech. Budzik wyciąga mnie z ciemności jak rybę wyłowioną z dna jeziora. Po raz piąty obudziłam się 12 lutego, ale dziś czuję ulgę. Wyłączam budzik i leżę w łóżku, patrząc, jak mlecznobiałe światło powoli wkrada się do pokoju i oblewa ściany. Czekam, aż mój puls wróci do normy. Snop światła unosi się w górę i pada na kołóż, który Lindsay zrobiła dla mnie. Na dole napisała różowym flamastrem z brokatem: „Kocham na zawsze”. Dziś znów jesteśmy przyjaciółkami. Dziś nikt się na mnie nie złości. Dziś nie całowałam się z panem Daimlerem i nie siedziałam sama na imprezie, wypłakując oczy.

To znaczy niezupełnie sama. Przypominam sobie, jak światło wypełnia dom Kenta, buzując w górę niczym szampan w kieliszku.

Kiedy tak leżę, zaczynam tworzyć w głowie listę wszystkich rzeczy, które chciałabym zrobić w życiu, gdyby nadal było to możliwe. Większość z nich to czyste wariactwo, ale nie myślę o tym, po prostu dodaję kolejne punkty, jakbym robiła zwyczajną listę zakupów. Polecieć prywatnym odrzutowcem. Zjeść croissanta prosto z pieca w piekarni w Paryżu. Przejechać konno z Connecticut do Kalifornii, ale po drodze nocować tylko w najlepszych hotelach. Niektóre pomysły są prostsze do wykonania. Zabrać Izzy na Gęsie Wzgórze, miejsce, które odkryłam, kiedy po raz pierwszy i jedyny próbowałam uciec z domu. Zamówić w naszym barze Tłustą Ucztę - cheeseburgera z bekonem, mleczny koktajl i cały talerz frytek z serem - i zjeść bez stresu, jak zawsze robiłam w urodziny. Biegać w deszczu. Zjeść jajecznicę w łóżku.

Kiedy Izzy wciska się do mojego pokoju i wskakuje mi do łóżka, jestem już właściwie spokojna.

- Mama mówi, że musisz iść do szkoły - mówi Izzy, uderzając czołem w moje ramię.

- Nie idę do szkoły.

Właśnie tak. Tak to się zaczyna. Jeden z najlepszych - i najgorszych - dni w moim życiu zaczyna się od tych czterech słów.

Chwytam Izzy za brzuch i zaczynam ją łaskotać. Nadal każe sobie zakładać T-shirt z Dorą, która poznaje świat, ale jest już na nią za mały i wystaje spod niego różowy pasek brzucha - jedyny kawałek tłuszczu na jej ciele. Izzy piszczy ze śmiechu i odrywa się ode mnie.

- Przestań, Sam. Powiedziałam: Przestań!

Izzy piszczy, śmieje się i wierzga, gdy do pokoju wchodzi mama.

- Jest za piętnaście siódma. - Stoi w drzwiach ze stopami ustawionymi tuż przed wytartą czerwoną linią, którą narysowałam lata temu. - Zaraz będzie tu Lindsay.

Izzy odpycha moje ręce i siada ze lśnącymi oczami. Nigdy wcześniej nie zauważyłam, jak podobna jest do mamy. Przez chwilę mnie to smuci. Chciałabym, żeby była bardziej podobna do mnie.

- Sam mnie łaskotała.

- Sam się spóźni. I ty też, Izzy - napomina mama.

- Sam nie idzie do szkoły. I ja też nie.

Izzy wypina pierś, jakby zaraz miała ruszyć do walki. Może jak podrośnie, zacznie przypominać mnie. Może, kiedy czas na nowo ruszy do przodu - nawet jeśli mnie już zmiecie, jak fala śmieci z plaży - jej kości policzkowe się uwydatnią, urosną i pociemnieją jej włosy. Lubię myśleć, że to prawda. Lubię myśleć, że kiedyś ludzie powiedzą: „Izzy wygląda dokładnie jak jej siostra Sam”.

Powiedzą: „Pamiętacie Sam? Była ładna”. Co jeszcze mogliby powiedzieć? „Była miła. Lubiana. Brakuje nam jej”. A może nic z tych rzeczy.

Oddalam tę myśl i powracam do mojej listy. Pocałunek, który sprawi, że poczuję się tak, jakby mi eksplodowała głowa. Wolny taniec pośrodku pustego pokoju do naprawdę fajnej muzyki. Pływanie w oceanie o północy, zupełnie nago.

Mama pociera czoło.

- Izzy, idź zjeść śniadanie. Na pewno już gotowe.

Izzy wchodzi na mnie. Ściskam jej brzusek, a ona piszczy ostatni raz, po czym zeskakuje z łóżka i pędzi do drzwi. Jedyna rzecz, która sprawia, że Izzy zaczyna się tak szybko poruszać, to cynamonowy bajgiel z masłem orzechowym, i wyobrażam sobie, że mogłabym jej dawać cynamonowego bajgla z masłem orzechowym codziennie przez resztę życia - zrobiłabym olbrzymie zapasy. Kiedy Izzy już nie ma, mama patrzy na mnie twardo.

- Co jest grane, Sam? Źle się czujesz?

- Nie do końca.

Na mojej liście na pewno nie ma wizyty u lekarza.

- To o co chodzi? Musi być jakiś powód. Myślałam, że Dzień Kupidyna to twoje ulubione święto.

- Bo tak jest. To znaczy było. - Siadam, podpierając się na łokciach i głośno wzdycham. - Nie wiem, to głupie święto, jak się nad tym zastanowić.

Mama unosi brwi.

Zaczynam gadać, nie zastanawiając się nawet nad tym, co chcę powiedzieć, ale potem zdaję sobie sprawę, że to wszystko prawda.

- Chodzi tylko o to, żeby pokazać innym, ilu się ma przyjaciół. Ale przecież wszyscy wiedzą, ilu mają przyjaciół. I wcale w ten sposób nie zdobywa się nowych ani nawet nie zbliża bardziej do tych, których już się ma.

Mama uśmiecha się leciutko, kącik ust podchodzi jej w górę.

- No cóż, masz szczęście, że masz świetnych przyjaciół i wiesz o tym. Na pewno niektórzy przywiązują ogromną wagę do tych róż.

- Mówię tylko, że cała ta impreza wydaje mi się podejrzana.

- To niepodobne do Samantha Kingston, którą znam.

- Cóż, może się zmieniam.

Sens moich słów dociera do mnie dopiero wtedy, gdy je wypowiadam. Przecież to prawda i widzę promyk nadziei. Może jeszcze nie wszystko stracone. Może mam się zmienić.

Mama gapi się na mnie jak na przepis kulinarny, którego do końca nie pojmuje.

- Coś się stało, Sam? Pokłóciłaś się z przyjaciółkami?

Dziś jej pytanie już mnie nie złości. Dziś wydaje mi się raczej zabawne. Tak bym chciała, żeby jedynym moim zmartwieniem była kłótnia z Lindsay albo jakaś głupota, którą palnęła Ally, albo coś w tym guście.

- Nie chodzi o przyjaciół. - Desperacko szukam czegoś, po czym da za wygraną. - To... to Rob.

Mama marszczy brwi.

- Pokłóciliście się?

Wciskam się trochę głębiej w łóżko, żeby wyglądać na pogrążoną w depresji.

- On... mnie rzucił.

W pewnym sensie nie kłamię. Nie do końca ze mną zerwał, ale może nigdy nie byliśmy ze sobą na poważnie, choć przez długi czas tak mi się właśnie zdawało. Czy można chodzić na poważnie z kimś, kto tak naprawdę cię nie zna?

Sztuczka działa lepiej, niż się spodziewałam. Mama chwyta się za serce.

- Och, kochanie. Co się stało?

- Chyba chcieliśmy innych rzeczy. - Obracam w palcach róg kołdry, myśląc o wszystkich tych nocach, które spędziłam z nim sam na sam w piwniczce, skąpana w niebieskim świetle, osłonięta przed całym światem. Nie muszę się nawet specjalnie wysilać, żeby wyglądać na przygnębioną. Kiedy o tym myślę, dolna warga zaczyna mi drżeć. - On chyba tak naprawdę nigdy mnie nie lubił. Nie tak naprawdę naprawdę.

To najszczęśliwsze wyznanie, jakim podzieliłam się z mamą od lat, i nagle czuję się obnażona. Przypominam sobie, jak w wieku pięciu czy sześciu lat musiałam się przed nią rozebrać do naga, żeby mogła sprawdzić, czy nie mam gdzieś kleszcza. Wkopuję się głębiej w pościel, zaciskając pięści tak mocno, że paznokcie wbijają mi się w dłonie.

I nagle wydarza się najdziwaczniejsza rzecz na świecie. Mama przekracza przetartą czerwoną linię i podchodzi do łóżka, jakby nigdy nic. Jestem tak zdziwiona, że nawet nie protestuję, a ona nachyla się nade mną i całuje mnie w czoło.

- Tak mi przykro, Sam. - Gładzi mi czoło kciukiem. - Oczywiście, że możesz zostać w domu.

Oczekiwałam dłuższej kłótni, więc zupełnie mnie zatyka.

- Chcesz, żebym została z tobą? - pyta.

- Nie - próbuję się uśmiechnąć. - Poradzę sobie, naprawdę.

- Ja chcę zostać w domu z Sam! - Izzy znowu podeszła do drzwi, tym razem w połowie ubrana do szkoły. Jest właśnie w fazie żółto-różowej (niezbyt fortunna kombinacja, ale jakoś trudno wyjaśnić ośmiolatce zasady łączenia kolorów) i włożyła musztardowożółtą sukienkę do różowych rajstop. Ma też na sobie wielkie, elastyczne, żółte skarpety. Wygląda jak jakiś tropikalny kwiat. Mam ochotę nakrzyczeć na mamę za to, że pozwala Izzy nosić, co tylko chce. Dzieci pewnie się z niej nabijają.

Ale przecież Izzy ma to w nosie. To też wydaje mi się bardzo śmieszne: że moja ośmioletnia siostra ma więcej odwagi ode mnie. Ma jej zresztą zapewne więcej niż trzy czwarte osób z naszego liceum. Zastanawiam się, czy to się kiedyś zmieni, czy ktoś kiedyś wypleni to z niej.

Izzy robi wielkie oczy i składa ręce jak do modlitwy.

- Błagam?

Mama wzdycha i mówi z desperacją w głosie:

- Wykluczone, Izzy. Nic ci nie jest.

- Źle się czuję - mówi Izzy. Brzmi to trochę mało wiarygodnie, zważywszy, że jednocześnie podskakuje i kręci piruety, to na jednej, to na drugiej nodze. Ale Izzy nigdy nie miała talentu do kłamania.

- Zjadłaś już śniadanie? - Mama krzyżuje ręce na piersi i robi minę srogiego rodzica.

Izzy kiwa głową.

- Chyba się zatrulałam. - Zgina się wpół, łapie za brzuch, a potem natychmiast się wyprostowuje i znowu zaczyna podskakiwać. Mimowolnie chichoczę.

- Daj spokój, mamó - mówię. - Niech zostanie w domu.

- Sam, proszę cię, nie zachęcaj jej. - Mama odwraca się do mnie i kręci głową, ale widzę, że powoli się łamie.

- Jest w trzeciej klasie - mówię. - Jeszcze nie uczą się przecież zbyt wiele.

- Uczymy się! - pieje Izzy, a potem zasłania usta dłonią, kiedy rzucam jej gniewne spojrzenie. Moja mała siostra nie jest też bynajmniej mistrzynią w prowadzeniu negocjacji. Kręci głową i jękając się, mówi szybko: - To znaczy nie uczymy się aż tyle.

Mama obniża głos.

- Wiesz, że przez cały dzień nie da ci spokoju? Nie wolisz zostać sama?

Wiem, że mama oczekuje, abym powiedziała „tak”. Od lat w tym domu moje humory kwitowano jednym zdaniem: „Sam chce po prostu być sama”. „Chcesz kolację?” Wezmę sobie do swojego pokoju.

„Dokąd idziesz?” Po prostu chcę być sama. „Mogę wejść?” Zostaw mnie samą. Nie wchodź do mnie do pokoju. Nie mów do mnie, kiedy rozmawiam przez telefon. Nie mów do mnie, gdy słucham muzyki. Sama, sama, sama.

Kiedy umierasz, wiele się zmienia, choć - jak mi się zdaje - umieranie to powodująca największą samotność rzecz, jaką można zrobić.

- Nie będzie mi przeszkadzać - mówię i naprawdę tak myślę. Mama unosi ręce do góry.

- Róbcie, co chcecie.

Jeszcze nie skończyła mówić, a Izzy już pędzi przez mój pokój, skacze na mnie, zarzuca mi ramiona na szyję i skrzeczy:

- Pooglądajmy telewizję. Zróbmy sobie makaron z serem.

Izzy jak zawsze pachnie kokosem. Przypominam sobie, jak była taka malutka, że kąpałiśmy ją w umywalce, a ona siedziała w niej, chichocząc, uśmiechając się i pluskając, jakby najwspanialszym miejscem na ziemi była porcelanowa niecka o wymiarach trzydzieści na pięćdziesiąt centymetrów, jakby umywalka była największym oceanem świata.

Mama rzuca mi spojrzenie mówiące: „Sama się o to prosiłaś”.

Uśmiecham się ponad główką Izzy i wzruszam ramionami.

To takie łatwe.

W głąb lasu

To zdumiewające, jak bardzo człowiek potrafi się zmienić. Na przykład gdy byłam mała, uwielbiałam to wszystko - konie, Tłustą Ucztę i Gęsie Wzgórze - ale z czasem wszystkie te rzeczy się oddaliły, jedna po drugiej, i zastąpili je przyjaciele, czaty w internecie, telefony komórkowe, chłopaki i ciuchy. Jak się nad tym zastanowić, to trochę smutne. Jakby w ludziach nie było żadnej ciągłości. Jakby coś w tobie pękało, kiedy masz dwanaście albo trzynaście lat lub gdy przestajesz być dzieckiem i zaczynasz być „nastolatkiem”, i nagle stajesz się zupełnie innym człowiekiem. Może nawet mniej szczęśliwym. Może nawet gorszym.

Oto jak odkryłam Gęsie Wzgórze. Jeszcze zanim urodziła się Izzy, rodzice powiedzieli, że nie kupią mi małego, fioletowego roweru z koszykiem w kwiaty i dzwonkiem. Nie pamiętam dlaczego - może już miałam rower - ale dostałam świra i postanowiłam uciec z domu. Oto dwie podstawowe zasady, by ucieczka z domu się udała:

Udaj się w miejsce, które znasz.

Udaj się w miejsce, którego nikt inny nie zna.

Wtedy oczywiście nie wiedziałam o tych dwóch zasadach i chyba miałam wręcz odwrotny cel: chciałam pójść w miejsce, którego nie znałam, żeby znaleźli mnie tam rodzice i powodowani wyrzutami sumienia zgodzili się kupić mi, cokolwiek sobie zażyczę, nawet rower (i może jeszcze kucyka).

Był maj, było ciepło. Każdy dzień trwał dłużej. Spakowałam moją ulubioną sportową torbę i wymknęłam się tylnym wyjściem. (Byłam z siebie niezwykle dumna, bo wpadłam na pomysł, żeby nie wy-

chodzić frontowymi drzwiami, jako że tata pracował wtedy w ogródku). Pamiętam dokładnie, co spakowałam: latarkę, bluzę, kostium kąpielowy, całą paczkę ciastek, moją ulubioną książkę pod tytułem *Matylda* oraz gigantyczny naszyjnik ze sztucznych pereł i diamentów, który mama pozwoliła mi założyć w Halloween. Nie wiedziałam, dokąd pójść, więc po prostu poszłam przed siebie, przez taras, schodami w dół i przez tylne podwórko, do lasu, który oddzielał nasz ogródek od ogródka sąsiadów. Przez chwilę szłam przez las i użalałam się nad sobą, z cichą nadzieją, że spotkam jakąś niebotycznie bogatą osobę, która zlituje się i adoptuje mnie, po czym kupi mi cały garaż pełen fioletowych rowerów.

Ale byłam wtedy dzieckiem, więc wkrótce dałam się ponieść przygodzie. Słońce było złote, niebo trochę zamglone. Każdy listek okalała aureola światła, wszędzie przelatywały małe ptaszki, a pod stopami ścieliły mi się całe pokłady mchu w kolorze butelkowej zieleni. Straciłam z pola widzenia wszystkie domy. Zawędrowałam daleko w las i wyobrażałam sobie, że jestem jedyną osobą, która tam dotarła. Marzyłam, że będę tak żyła wiecznie w harmonii z niedźwiedziami, lisami i jednoroźcami, spała na łóżku z mchu i wpiła kwiaty we włosy. Trafiłam na strumień i go przekroczyłam. Wdrapałam się na potężne, wysokie wzniesienie, prawie tak wielkie jak jakaś góra.

Na szczycie stała największa skała, jaką kiedykolwiek widziałam. Wyginała się w górę i opadała na zbocze wzgórza jak brzuchaty kadłub statku. Ale jej szczyt był płaski jak stołowy blat. Nie pamiętam wiele z tej pierwszej wycieczki poza jedzeniem herbatników, jednego po drugim, i uczucia, że to do mnie należy cała połać lasu. Pamiętam też, że jak wreszcie wróciłam do domu ze skurczem żołądka od tych wszystkich ciastek, ku mojemu rozczarowaniu odkryłam, że rodzice w ogóle się o mnie nie martwili. Wydawało mi się, że zniknęłam na długie godziny, tymczasem zegar pokazywał, że od mojego wyjścia minęło ledwie czterdzieści minut. Wtedy pomyślałam, że to pewnie ta skała ma specjalne właściwości, że czas stoi tam w miejscu.

Często tam wracałam tamtego lata, kiedy tylko potrzebowałam uciec, a także następnego lata. Kiedyś leżałam wyciągnięta na szczycie skały, patrząc w niebo, które mieniło się różem i fioletem niczym barwiona wata cukrowa sprzedawana w wesołym miasteczku, i zobaczyłam migrujące gęsi, setki ptaków zgrupowane w idealnie uformowany klucz w kształcie litery V. Z nieba spadło jedno pióro i wylądowało dokładnie obok mojej dłoni. Nazwałam to miejsce Gęsim Wzgórzem i przez lata przechowywałam pióro w małym ozdobnym pudełku, wciśniętym w jedną ze skalnych szczelin wyżłobionych w wydętym brzuszku skały. Któregoś dnia pudełko zniknęło. Pomyślałam, że pewnie wywiało je wiatr w czasie burzy i przez kilka godzin szukałam go w trawie i poszyciu, ale zniknęło. Płakałam.

Nawet kiedy już przestałam jeździć konno, wspinałam się czasem na Gęsie Wzgórze, choć zdarzało się to coraz rzadziej. Poszłam tam raz w szóstej klasie, kiedy wszyscy chłopcy na wuefie ocenili mój tyłek jako „zbyt kwadratowy”. Poszłam tam, kiedy nie zaproszono mnie na całonocną imprezę do Lexy Hill, mimo że była moją partnerką na zajęciach z fizyki i przez cztery miesiące chichrałyśmy się z tego, jaki słodki jest Jon Lippincott. Za każdym razem gdy wracałam do domu, okazywało się, że upłynęło mniej czasu, niż

się spodziewałam. Za każdym razem powtarzałam sobie, że Gęsie Wzgórze to szczególne miejsce, choć wiedziałam, że to głupota.

I nagle, któregoś dnia, Lindsay Edgecombe przyszła do kuchni w domu Tary Flute, kiedy tam stałam, zbliżyła swoją twarz do mojej i powiedziała szeptem:

- Chcesz coś zobaczyć?

W tamtej chwili moje życie zmieniło się na zawsze. Już nigdy nie wróciłam na Gęsie Wzgórze.

Może dlatego decyduję się zabrać tam Izzy, choć na zewnątrz panuje okropny ziąb. Chcę zobaczyć, czy Gęsie Wzgórze się nie zmieniło i czy ja też się nie zmieniłam. To dla mnie bardzo ważne, ale nie wiem dlaczego. Poza tym to najłatwiej osiągalna z rzeczy na liście, którą układałam w głowie od rana. Prywatny odrzutowiec nie codziennie ląduje pod twoim domem. A za pływanie na golasa mogą mnie aresztować albo dostanę od tego zapalenia płuc.

Więc to chyba najlepsze, co mogę zrobić. Powoli dociera do mnie, że chodzi właśnie o to, żeby zrobić to, co da się zrobić.

- Jesteś pewna, że to dobra droga?

Izzy toczy się obok mnie, owinięta w tyle ubrań, że wygląda jak bałwanek Bouli. Jak zawsze uparła się, żeby założyć dodatki, więc ma na sobie różowe nauszники w lamparcie cętki oraz dwa różne szaliki.

- To dobra droga - mówię, choć na początku mnie też się zdawało, że zabłądziłyśmy. Wszystko zmalowało. Strumyk - teraz cieniutka, zamarznięta czarna stróżka, pokryta lodem i pajęczynami - da się przejść jednym krokiem. Leżące za nim wzgórze delikatnie się wznosi, choć w mojej pamięci zawsze miało wielkość prawdziwej góry.

Ale co najgorsze, okolica zmieniła się w plac budowy. Ktoś wykupił te tereny i stoją tu teraz dwa jeszcze niegotowe domy, w różnych stadiach wykończenia. Jeden to wciąż szkielet wyrastający z ziemi, tylko bielone drewno, drzazgi i ostrza - jak wrak statku wyrzucony na brzeg. Drugi już prawie ukończono. Ten wielki anonimowy dom, podobny do willi Ally, przycupnął na wzgórzu, jakby nas obserwował. Dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, skąd to wrażenie: w oknach nie ma jeszcze rolet.

Czuję się bardzo rozczarowana. Ta wycieczka nie była najlepszym pomysłem. Nagle przypomina mi się coś, co powiedziała kiedyś nasza nauczycielka angielskiego pani Harbor w czasie jednej ze swoich przypadkowych tyrad na marginesie innego tematu. Czytaliśmy listę sławnych cytatów i omawialiśmy ich znaczenia. Jeden z nich, z Thomasa Wolfe'a, brzmiał: „Nigdy nie wraca się do domu”. Pani Harbor powiedziała, że do domu nie można wrócić nie dlatego, że zmieniają się miejsca, ale dlatego że zmieniają się ludzie. Z tego powodu nic nigdy nie wygląda tak samo.

Już chcę zasugerować, żebyśmy wracały, ale Izzy przeskakuje przez strumyk i biegnie w podskokach na wzgórze.

- Chodź! - krzyczy przez ramię. I kiedy już prawie stoi na szczycie, krzyczy: - Będę cię gonić!

Przynajmniej Gęsie Wzgórze ma dokładnie taki rozmiar, jak w moich wspomnieniach. Izzy wdrapuje się na szczyt skały, a ja za nią. Palce mi drętwieją, choć włożyłam rękawiczki. Szczyt pokrywają

drobne kamienie, zamrożone liście i warstwa szronu. Wystarczy miejsca, byśmy obie się wyciągnęły, ale przytulały się do siebie, żeby nie zmarznąć.

- Jak myślisz - pytam - to dobre miejsce na kryjówkę?

- Najlepsze - Izzy odchyła głowę, żeby na mnie spojrzeć. - Naprawdę myślisz, że czas tutaj płynie wolniej?

Wzruszam ramionami.

- Tak mi się wydawało, jak byłam mała. - Rozglądam się. Nie znoszę myśli, że teraz widać stąd domy. Kiedyś to miejsce było takie odległe, tajemnicze. - Wiele się tu zmieniło. Kiedyś bardziej mi się tu podobało. Na przykład nie było domów. Naprawdę czuło się, że to odludzie.

- Ale dzięki temu, jak ci się zachce siusiu, to można do kogoś zapukać i poprosić. - Sepleni, wymawiając „ziachcie”, „można” i „ziapukać”.

Śmieję się.

- Tak, pewnie tak. - Przez chwilę siedzimy w ciszy. - Izzy?

- Tak?

- Czy dzieci się z ciebie czasem śmieją? Bo tak mówisz?

Czuję, jak moja siostra sztywnieje pod wieloma warstwami ubrań.

- Czasami.

- To czemu czegoś z tym nie zrobisz? - mówię. - Mogłabyś się nauczyć mówić inaczej.

- Ale to mój głos. - Mówi cicho, ale z niewzruszoną pewnością siebie. - Już byś mnie nie poznała po głosie.

To tak dziwaczna odpowiedź i tak bardzo w stylu Izzy, że nawet nie wiem, jak na nią zareagować. Chciałabym jej tyle powiedzieć, chciałabym, żeby tylu rzeczy się dowiedziała. Że pamiętam, jak rodzice przywieźli ją do domu ze szpitala - wielkiego, różowego, wiecznie uśmiechniętego berbecia, jak zasypiała, trzymając mnie za palec wskazujący, jak nosiłam ją na barana na plaży na Cape Cod, a ona ciągnęła mnie za kucyk, żeby kierować mnie w jedną lub drugą stronę, jak miękka i włochata miała głowę zaraz po urodzeniu. Chciałabym powiedzieć jej, że kiedy pierwszy raz kogoś pocałuje, będzie się denerwować i dziwnie czuć i że wcale nie będzie tak fajnie, jak by się tego chciało, i że tak właśnie ma być, że powinna zakochiwać się tylko w ludziach, którzy odwzajemnią jej uczucia. Ale zanim mogę cokolwiek z siebie wydobyć, Izzy już odpycha się ode mnie rękami i nogami, piszcząc.

- Patrz, Sam!

Czołga się do krawędzi, wpatrując w coś tkwiącego w wyrwie w ścianie. Odwraca się na kolanach, trzymając triumfalnie w górze pióro - blade, białe, szare na krawędzi i oszronione.

Serce mi się kraje, bo nigdy nie zdążę powiedzieć jej wszystkiego, co powinnam. Nawet nie wiem, od czego zacząć. Zamiast tego biorę od niej pióro i wkładam do jednej z kieszeni na suwak w mojej zimowej kurtce.

- Tu nic mu się nie stanie - mówię. Potem kładę się na plecach na lodowatym kamieniu i wpatruję się w niebo, które właśnie ciemnieje, bo nadciąga burza. - Powinniśmy już iść do domu, Izzy. Zaraz znacznie padać.

- Zaraz. - Kładzie się obok mnie i opiera głowę na moim ramieniu.

- Ciepło ci?

- W porządku.

Właściwie nie jest tak zimno, kiedy się w siebie wtulamy, i trochę rozpinam zamek pod szyją. Izzy podpira się na łokciu i wyciąga rękę, bawiąc się wisiorkiem w kształcie ptaka, który mam na szyi.

- Dlaczego mnie babcia nic nie dała? - pyta. To pytanie ze stałego repertuaru.

- Jeszcze cię nie było na świecie, kurzy mózdzku. Izzy bawi się wisiorkiem jeszcze chwilę.

- Śliczny.

- Jest mój.

- Czy babcia była fajna? - To też pytanie ze stałego repertuaru.

- Tak, fajna.

Nie pamiętam babci dobrze - umarła, gdy miałam siedem lat - tylko ruch jej dłoni w moich włosach, kiedy je czesała. Przypominam sobie też, że zawsze podśpiewywała piosenki z musicali, cokolwiek robiła. Piekła gigantyczne muffiny czekoladowo-pomarańczowe, a mnie zawsze dawała największego.

- Polubiłabyś ją.

Izzy wypuszcza powietrze ustami.

- Chciałabym, żeby ludzie nie umierali - mówi.

Coś kłuje mnie w gardle, ale zmuszam się do uśmiechu. W myślach wypowiadam jednocześnie dwa życzenia, każde ostre jak brzytwa: Chcę zobaczyć, jak dorastasz. Nigdy się nie zmieniaj. Kładę dłoń na jej głowie.

- Świat byłby bardzo tłoczny, Fizz - odpowiadam.

- Przeprowadziłabym się do oceanu - mówi, jakby oznajmiała najoczywistszą rzecz pod słońcem.

- Kiedyś leżałam tutaj przez całe lato - mówię. - Przychodziłam i gapiłam się w gwiazdy.

Izzy odwraca się i kładzie na plecach, jak ja.

- Ale ten widok za bardzo się nie zmienił?

To jest tak proste, że chce mi się śmiać. Oczywiście ma rację.

- Nie. Niebo akurat wygląda dokładnie tak samo.

Pewnie na tym polega cała tajemnica, kiedy próbuje się wrócić do przeszłości. Trzeba spojrzeć w górę.

Poprzez mrok

Kiedy wracamy do domu, sprawdzam telefon: trzy nowe esemesy. Lindsay, Elody i Ally przysłały mi dokładnie tę samą wiadomość: „W Dzień Kupidyna <3 cię”. Pewnie były razem, kiedy to wysłały. Czasem piszemy tę samą wiadomość i wysyłamy dokładnie w tym samym momencie. To strasznie głupie, ale

mnie rozwesela. Nie odpowiadam. Rano wysłałam Lindsay esemesa z wiadomością, że nie idę do szkoły, i choć dziś się nie kłóciłyśmy, to trochę dziwnie się czułam, pisząc na końcu „xxo”, jak zawsze. Gdzieś - w jakimś równoległym czasie albo miejscu, albo życiu - wciąż jesteśmy na siebie wściekle.

Zdumiewa mnie, jak łatwo wszystko się zmienia, jak łatwo wyruszyć tą samą drogą, co zawsze, ale dotrzeć w zupełnie inne miejsce. Jeden fałszywy krok, jeden postój, jeden skrót i nagle dorabiasz się nowych przyjaciół albo fatalnej reputacji, albo chłopaka, albo złamanego serca. Nigdy nie zdawałam sobie z tego sprawy. Nigdy tego nie dostrzegłam. Co najdziwniejsze, wydaje mi się, jakby wszystkie te możliwości istniały jednocześnie, jakby każda chwila naszego życia składała się z ułożonych warstwami momentów, z których każdy wygląda inaczej.

Może jesteśmy z Lindsay najlepszymi przyjaciółkami i jednocześnie się nienawidzimy. Może do tego, żebym zamieniła się w dziwkę podobną do Anny Cartullo, brakuje mi tylko jednej lekcji matematyki. Może w głębi duszy niczym się od niej nie różnię. Może wszyscy jesteśmy tacy sami. Może wystarczy, byśmy raz samotnie zjedli lunch w szkolnej ubikacji. Zastanawiam się, czy można w ogóle dowiedzieć się całej prawdy o kimś. A może potrafimy tylko krążyć wokół siebie ze spuszczoneymi głowami, w nadziei, że unikniemy kolizji. Myślę o Lindsay w łazience w restauracji Rosalita i zastanawiam się, ile osób pielęgnuje w sobie podobne sekrety, nie wypuszcza ich z głębi ciała. Może wszyscy. Pewnie tak.

Czwarty esemes jest od Roba: „Jesteś chora?”. Kasuję go i zamykam telefon.

Przez resztę popołudnia razem z Izzy oglądamy stare filmy na DVD, głównie kreskówki Disneya i animacje Pixara, które obie uwielbiamy, na przykład *Małą syrenkę* i *Gdzie jest Nemo?*. Robimy sobie popcorn z ogromną ilością masła i sosem tabasco - taki, jaki zawsze robi tata - i kocujemy w piwniczce z wyłączonymi światłami do wieczora, gdy niebo na zewnątrz robi się ciemne, a drzewa zaczynają miotać gałęziami na wietrze. Kiedy mama wraca do domu, składamy petycję w sprawie Piątkowej Żenady - kiedyś co piątek chodziliśmy wieczorem do tej samej włoskiej restauracji i tak ją nazywaliśmy, bo była naprawdę żenująca (plastikowe ceraty w czerwono-białą kratę, muzyk grający na akordeonie, a na każdym stoliku bukietek sztucznych róż). Mama mówi, że się nad tym zastanowi, co oznacza, że pójdziemy.

Od wieków nie spędzałam wieczorów w weekend w domu. Kiedy wraca tato i widzi, jak razem z Izzy leżymy na kanapie, udaje, że ślania się na nogach i chwyta za serce, jakby miał zawał.

- To fatamorgana? - mówi, stawiając teczkę. - Czy to możliwe? Samantha Kingston? W domu? W piątek?

Przewracam oczami.

- Nie wiem. Brałeś dużo kwasu w latach sześćdziesiątych? Może masz jakiś nawrót halunów.

- W i960 miałem dwa lata. Spóźniłem się na imprezę. - Tato nachyla się i cmoka mnie w czoło, a ja z przyzwyczajenia odsuwam się od niego. - I nie chcę wiedzieć, ile ty wiesz na temat powracających halunów po kwasie.

- Co to są haluny po kwasie? - pyta Izzy.

- Nic - mówimy razem z tatą, który uśmiecha się do mnie.

W końcu idziemy do Żenady (nazwa oficjalna to Domowa Kuchnia u Luigiego), ale okazuje się, że nie istnieje już Żenada (ani Domowa Kuchnia u Luigiego). Pięć lat temu otworzono w tym miejscu bar sushi, a podrabiane kafelki art déco i szklane lampiony zastąpiono lśniąco metalowymi stolikami oraz długą, dębową ladą. Ale to nieważne. Dla mnie to zawsze będzie Żenada.

W restauracji jest straszliwy tłok, ale znajduje się dla nas miejsce zaraz obok wielkich, ustawionych tuż przy oknie akwariów z egzotycznymi rybami. Jak zawsze tato żałośnie żartuje, że w tej restauracji przynajmniej wiesz, co jesz, a mama mówi mu, żeby lepiej zajął się architekturą, a opowiadanie żartów pozostawił zawodowym komikom. W czasie kolacji mama jest dla mnie niesamowicie miła, bo myśli, że bardzo przeżywam rozstanie, a my z Izzy zamawiamy połowę *menu* i napychamy się edamame, shumai z krewetkami, tempurą i wodorostami, a jeszcze nie podali nam głównego dania. Tacie po dwóch piwach wyraźnie szumi w głowie i zabawia nas historyjkami o klientach-wariatach, mama powtarza, że mogę zamówić, co chcę, a Izzy przykrywa głowę serwetką i udaje pielgrzyma, który po raz pierwszy próbuje uramaki.

Do tego momentu to dobry dzień - jeden z najlepszych. Bliski ideału, naprawdę, choć nie wydarzyło się nic szczególnego. Pewnie spędziłam wiele takich dni, ale z jakiegoś powodu nigdy ich nie zapamiętałam. Teraz wydaje mi się, że powinnam była. Pamiętam, jak leżałam w domu u Ally, w ciemności, zastanawiając się, czy choć jeden z moich dni wart był przeżycia po raz kolejny. Wydaje mi się, że przeżywanie tego dnia w kółko nie byłoby takie złe i wyobrażam sobie, że to właśnie zrobię - będę żyć wiecznie, póki nie skończy się czas, póki wszechświat się nie zatrzyma.

Jeszcze przed deserem do restauracji wchodzi duża grupa pierwszo- i drugoklasistek, których twarze znam ze szkoły. Niektóre jeszcze mają na sobie kurtki z logo drużyny pływackiej. Pewnie spotkały się wieczorem. Wydają się takie młode, z włosami odsuniętymi z czoła, w kucykach, bez makijażu. Zupełnie inaczej wyglądają, kiedy pojawiają się na naszych imprezach, jakby przez pół godziny robili im gratisowy makijaż w sklepie z kosmetykami. Kilka z nich zauważa, że się gapię, ale natychmiast spuszczają wzrok.

- Lody z zielonej herbaty i czerwonej fasolki azuki. Kelnerka stawia wielki pucharek i kładzie obok cztery łyżki.

Izzy uwielbia czerwoną fasolkę azuki.

Tata z jękiem kładzie dłoń na brzuchu i mówi:

- Nie wiem, jak możecie jeszcze być głodne.

- Rosnę. - Izzy otwiera usta, pokazując lody roztapiające się na jej języku.

- Obrzydlistwo, Izzy. - Biorę swoją łyżeczkę i nabieram na nią odrobinę lodów z zielonej herbaty.

- Sykes! Hej! Sykes!

Na dźwięk tego nazwiska błyskawicznie się rozglądam. Jedna z dziewczyn z drużyny pływackiej prawie wstaje z krzesła i macha. Rozglądam się po restauracji, wypatrując Juliet, ale widzę przy drzwiach tylko jedną osobę. Jest chuda, blada i ma bardzo jasne włosy. Stoi i strząsa krople deszczu z kurtki. Przez

chwilę jej nie rozpoznaję, ale kiedy obraca się wkoło, szukając przyjaciół, zdaję sobie sprawę, że to Kupidyn z matematyki. Aniołek, który dostarczył mi róże.

Dziewczyna zauważa resztę koleżanek z drużyny, podnosi na chwilę rękę i macha, przebierając przy tym palcami. Rusza w kierunku ich stolika, a kiedy przechodzi obok naszego, zauważam jej odbłaskową, niebiesko-pomarańczową kurtkę z logo drużyny. Nagle wydaje mi się, że cała sala cichnie i zostaje tylko tych pięć liter, podświetlonych niczym jakieś ważne znaki.

SYKES.

Młodsza siostra Juliet.

- Ziemia do Sammy. - Izzy szturcha mnie końcówką łyżeczki. - Lody ci się roztopiają.

- Już nie jestem głodna. - Odkładam łyżeczkę i wstaję od stolika.

- Dokąd idziesz? - Mama wyciąga rękę i kładzie mi na nadgarstku, ale ledwo czuję jej dotyk.

- Pięć minut - odpowiadam.

Podchodzę do stolika, przy którym siedzi drużyna pływacka, cały czas patrząc na bladą dziewczynę o twarzy w kształcie serca. Niewiarygodne, że wcześniej nie dostrzegłam podobieństwa. Mają identyczne, szeroko rozstawione niebieskie oczy, tę samą przezroczystą cerę i blade usta. Przyznaję, ostatnio nieczęsto przyglądałam się Juliet, choć spotkałam ją pewnie z tysiąc razy.

Wszystkie dziewczyny dostały już *menu*. Śmieją się i przepychają. Wyraźnie słyszę, że jedna z nich wymienia imię Rob. Pewnie mówi, jak słodko wygląda w bluzie do lacrosse'a (wiem coś o tym, sama to powtarzałam w nieskończoność). Nigdy w życiu nie czułam się tak wyluzowana. Kiedy jestem o dwa metry od ich stolika, jedna z dziewcząt zauważa mnie i przy stoliku zapada cisza. Dziewczyna, która mówiła o Robie, robi się czerwona jak *menu*, które trzyma w ręku.

Mała Sykes siedzi na samym końcu stolika. Podchodzę wprost do niej.

- Hej. - Teraz, kiedy już tak stoję, nie wiem dokładnie, po co przyszłam. A co najzabawniejsze, to ja się denerwuję. - Jak ci na imię?

- Uhm... zrobiłam coś nie tak? - Słyszę, jak trzęsie jej się głos. Reszta dziewczyn w niczym mi nie pomaga. Patrzą na mnie, jakbym zaraz miała skoczyć na siostrę Juliet i odgryźć jej głowę.

- Nie, nie. Ja tylko... - Posyłam jej blady uśmiech. Teraz, kiedy już zdałam sobie sprawę z podobieństwa między nią i Juliet, odczuwam dziwny niepokój. - Masz starszą siostrę, prawda?

Jej usta zaciskają się w cienką linię, a oczy zasnuwa mgła, jakby próbowała się ode mnie odgradzić. Nie mam jej tego za złe. Pewnie myśli, że zaraz zacznę się z niej naigrawać za to, że jej starsza siostra to dziwoląg. Pewnie często jej się to zdarza.

Ale ona unosi wyniośle głowę i patrzy mi prosto w oczy. Przypomina mi to w pewnym sensie coś, co robi też Izzy. „Sam nie idzie do szkoły. I ja też nie”.

- Tak, Juliet Sykes.

A potem czeka cierpliwie. Czeka, żebym zaczęła się naśmiewać. Ma tak spokojne oczy, że muszę spuścić wzrok.

- Tak, hm, znam Juliet.

- Tak? - Podnosi brwi.

- To znaczy tak jakby. - Wszystkie dziewczyny gapią się teraz na mnie. Wydaje mi się, że zaraz opadną im szczęki. - Razem... Pracujemy wspólnie w laboratorium.

Wpadam na to, bo to bezpieczna ścierna. Biologia jest obowiązkowa, a w laboratorium zawsze pracujemy w parach. Twarz siostry Juliet trochę się rozluźnia.

- Juliet jest naprawdę dobra z biologii. To znaczy w ogóle dobrze się uczy. - Pozwala sobie na uśmiech. - Jestem Marian.

- Hej. - Pasuje do niej to imię. Jest takie czyste. Pocał mi się dłonie. Wycieram je o dzinsy. - Jestem Sam.

Marian spuszcza wzrok i mówi nieśmiało:

- Wiem, kim jesteś.

Wokół mojej talii zaciskają się dwie ręce. Izzy podeszła do mnie od tyłu. Jej podbródek wbija mi się w bok.

- Lody już prawie się skończyły - mówi. - Na pewno już nie chcesz?

Marian uśmiecha się do Izzy.

- Jak ci na imię?

- Elizabeth - mówi Izzy dumnie, a potem lekko się odchyła. - Ale wszyscy mówią do mnie Izzy.

- Jak byłem mała, wszyscy mówili do mnie Mary. - Marian robi grymas. - Ale teraz nazywają mnie Marian.

- Nie mam nic przeciwko Izzy - mówi moja siostra, gryząc wargę, jakby właśnie podjęła tę decyzję.

Marian podnosi na mnie wzrok.

- Ty też masz młodszą siostrę, co?

Nagle nie mogę znieść spojrzenia Marian. Nie mogę znieść myśli o tym, co się stanie później. Wiem o ciszy w jej domu, o strzale z pistoletu.

A potem... co? Czy to ona pierwsza wbiegnie na schody? Czy ten ostatni widok siostry będzie jej odtąd zawsze towarzyszył i przysłoni wszystkie wspomnienia o Juliet, jakie gromadziła przez lata?

Wpadam w panikę, próbując sobie wyobrazić, jakie wspomnienia pozostawiłam Izzy. Pozostawię.

- Chodź, Izzy. Dajmy dziewczynom zjeść. - Głos mi się trzęsie, ale nikt tego chyba nie zauważa. Głaszczę Izzy po głowie, a ona galopem wraca do naszego stolika.

Dziewczyny nabierają teraz pewności siebie. Na ich twarzach wykwitają uśmiechy i wszystkie patrzą na mnie w zdumieniu, jakby nie mogły uwierzyć, że jestem taka miła, jakbym im dała jakiś prezent. Okropnie się czuję. Powinny mnie nienawidzić za to, jaka byłem - tego jestem pewna.

Nie wiem czemu nagle zaczynam myśleć o Kencie. On też by mnie nienawidził, gdyby znał całą prawdę. Ta myśl bardzo mnie smuci.

- Powiedz Juliet, żeby tego nie robiła - wyrzucam i nie mogę uwierzyć, że to powiedziałam.

Marian marszczy czoło.

- Czego?

- Tej prezentacji na biologię - odpowiadam szybko, a potem dodaję. - Będzie wiedziała, o czym mówię.

- Okej - Marian uśmiecha się do mnie szeroko. Już się odwracam, kiedy ona mnie woła. - Sam!

Odwracam się, a ona zasłania usta dłonią i chichocze, jakby nie mogła uwierzyć, że odważyła się wypowiedzieć moje imię.

- Dopiero jutro jej powiem. Dziś wieczorem Juliet wychodzi. Brzmi to tak, jakby oznajmiała mi, że „Juliet będzie prymuską”. Wyobrażam sobie tę scenę. Mama, tata i siostra na dole, Juliet zamknięta w pokoju, jak zwykle, muzyka na cały regulator, sama. A potem - o cudzie cudów - schodzi na dół, ze związanymi włosami, pewna siebie, wyluzowana, i oświadcza, że idzie na imprezę. Pewnie się cieszą, pękają z dumy. Ich mała, samotna dziewczynka wreszcie świetnie się bawi pod koniec czwartej klasy.

Na imprezę do Kenta. Żeby spotkać Lindsay. I mnie. Żebyśmy ją popychały, kopały i oblewały piwem.

Wydaje mi się, że jednak to sushi mi nie podeszło. Gdyby tylko wiedzieli...

- Ale na pewno powiem jej jutro. - Marian znów posyła mi szeroki uśmiech, uśmiech jak reflektor pędzący na mnie w ciemności.

Przez całą drogę do domu usiłuję wyprzeć z myśli Marian Sykes. Kiedy tata życzy mi dobrej nocy - zasypia na stojąco już po jednym piwie, a dziś wypił (jejku, jejku!) aż dwa - próbuję zapomnieć o Marian Sykes. Kiedy pół godziny później przychodzi do mnie Izzy, wykąpana i pachnąca czystością, w swojej łachmaniarskiej pizamce z Dorą i składa mi na policzku mokrego, gorącego całusa, próbuję zapomnieć o Marian. Staram się o niej zapomnieć również godzinę później, kiedy mama staje w drzwiach i mówi:

- Jestem z ciebie dumna, Sam.

Mama idzie spać. W domu panuje zupełna cisza. Gdzieś w głębokiej ciemności tyka zegar i kiedy zamykam oczy, wyobrażam sobie, jak Juliet Sykes spokojnie do mnie podchodzi - jej kroki słysząc na drewnianej podłodze, a z oczu płynie jej krew.

Siadam na łóżku i wali mi serce. Potem wstaję i w ciemności odnajduję moją kurtkę The North Face.

Tego ranka przysięgłam sobie, że wołami nie zaciągną mnie na imprezę do Kenta. A teraz tam właśnie się wybieram. Na palcach schodzę po schodach, chwiejnym krokiem przemykam korytarzem, wykradam kluczyki mamy ze schowka. Dziś była dla mnie niesamowicie dobra, ale ostatnią rzeczą, z którą mam ochotę teraz się borykać, jest jakaś wielka rozmowa z cyklu „Niby na jakiej podstawie sądzisz, że możesz nie iść do szkoły, a pójść na imprezę?”.

Próbuję przekonać samą siebie, że Juliet Sykes to nie mój problem, ale nie mogę przestać myśleć o tym, jak okropnie by się czuła, gdyby to był jej dzień. Gdyby musiała go przeżywać w nieskończoność. Chyba każdy - nawet Juliet Sykes - zasługuje na to, żeby umrzeć w lepszy dzień niż ten.

Zawiasy w tylnych i frontowych drzwiach skrzypią tak głośno, że mogłyby równie dobrze służyć za budziki (czasem wydaje mi się, że rodzice specjalnie tak to wymyślili). W kuchni ostrożnie wylewam trochę oliwy z oliwek na papierowy ręcznik i wcieram ją w zawiasy w tylnych drzwiach. Tej sztuczki nauczyłam się od Lindsay. Zawsze opracowuje nowe sposoby wychodzenia ukradkiem z domu, choć rodzice wcale nie każą jej być z powrotem o określonej godzinie, więc nie musi wymykać się chyłkiem i potajemnie wracać. Wydaje mi się, że tego jej właśnie brakuje. Chyba dlatego tak zawsze dba o szczegóły - lubi udawać, że musi.

Drzwi, przyprawione po włosku, otwierają się bezgłośnie, a ja mogę wyjść.

Tak naprawdę nie zastanowiłam się, dlaczego w ogóle jadę do Kenta i co zrobię, jak już tam dotrę, więc zamiast jechać prosto do niego, błędzę po przypadkowo wybranych ulicach i ślepych zaułkach. Domy oddalone są nieco od ulicy, a rozświetlone okna nabierają z oddali magicznego wyglądu, jak lampiony zawieszane w ciemności. To zdumiewające, ale w nocy wszystko się zmienia nie do poznania, zwłaszcza w deszczu. Domy przycupnięte na trawnikach wyglądają jak żywe, pogrążone w zamyśleniu istoty. W dzień Ridgeview to zupełnie inne miasto - wszystko jest czyste, gładkie i równo przycięte, życie toczy się wedle stałego porządku: do samochodów wsiadają mężowie w garniturach, a wkrótce po nich z domów wychodzą żony w strojach do pilatesu i dziewczynki w sukieneczkach Baby Gap, które mamy sadzają w fotelikach na tylnych siedzeniach terenowych lexusów. Normalność. Ciekawe, która twarz miasta jest prawdziwa.

Na ulicach nie ma prawie w ogóle aut. Wlokę się z prędkością piętnastu kilometrów na godzinę. Szukam czegoś, ale nie wiem czego. Przejeżdżam obok ulicy, na której mieszka Elody, i jadę dalej. Każda lampa uliczna rzuca w dół równy snop światła, oświetlając na chwilę wnętrze samochodu, potem auto znów pogrąża się w ciemności.

Reflektory mojego samochodu omiatają krzywy zielony szyld, stojący jakieś dwadzieścia metrów przede mną. Cichy Zakątek. Nagle przypominam sobie, jak kiedyś w pierwszej klasie siedziałyśmy w kuchni u Ally, a jej mama bez końca gadała przez telefon, chodząc tam i z powrotem po tarasie, boso i w spodniach do jogi.

- Dostaje właśnie codzienną porcję plotek - powiedziała Ally, przewracając oczami. - Mindy Sachs dostarcza więcej wrażeń niż wszystkie plotkarskie czasopisma razem wzięte.

Wtedy Lindsay słusznie zauważyła, że to dość ironiczne, że pani Sachs mieszka w Cichym Zakątku - „Jakby w jej obecności panowała zawsze głucha cisza” - i wtedy po raz pierwszy zrozumiałam znaczenie słowa „ironia”.

W ostatniej chwili kręcę kierownicą i naciskam hamulec, zjeżdżając w kierunku Cichego Zakątka. To niedługa ulica - stoi przy niej nie więcej niż dwadzieścia pięć domów - i jak większość ulic w Ridgeview kończy się ślepym zaułkiem. Serce zaczyna mi szybciej bić, kiedy widzę srebrnego saaba zaparkowanego na jednym z podjazdów. Tablica rejestracyjna: MOM OF4. To samochód pani Sachs. Jestem blisko.

Następny dom ma numer pięćdziesiąt pięć. Wyróżnia się skrzynką na listy w kształcie koguta ustawioną na klombie, który o tej porze roku wygląda właściwie jak miednica pełna błota. Na skrzydle koguta napisano SYKES tak małymi literami, że trzeba wyteńczyć wzrok, żeby je dostrzec.

Nie umiem tego wyjaśnić, ale czuję, że skądś znam ten dom. Wszystko z nim jest w porządku - nie różni się niczym od innych domów, nie jest ani największy, ani najmniejszy, jest zadbane, pomalowany na biało, w oknach wiszą czarne rolety, na dole pali się jedna lampa. Ale ma coś jeszcze, jakiś trudny do zidentyfikowania element, który sprawia, że zdaje się niewymiarowy, jak gdyby coś próbowało się z niego wyrwać, jakby całe to miejsce miało za moment pęknąć w szwach. To dom pogrążony w desperacji.

Wjeżdżam na podjazd. Nie mam tu czego szukać, wiem to, ale jakiś wewnętrzny głos nie daje mi spokoju. Deszcz dudni o karoserię. Biorę z tylnego siedzenia jakąś starą bluzę - chyba Izzy - i osłaniam nią głowę, wysiadam z samochodu i pędem biegnę na ganek. Mój oddech zamienia się w kłęby pary. Zanim zdążę się zastanowić, już naciskam dzwonek.

Przez dłuższą chwilę nikt nie otwiera, więc przestępuję energicznie z nogi na nogę, wypuszczając z ust obłoczki i próbując się ogrzać. Wreszcie wewnątrz słyszę szuranie kapci i skrzywienie zawiasów. Otwierają się drzwi i staje w nich kobieta. Patrzy na mnie zdezorientowana i mruga. To matka Juliet. Jest ubrana w szlafrok, którego poły przytrzymuje jedną ręką. Jest tak samo chuda jak Juliet, ma takie same niebieskie oczy i bladą cerę. Wygląda trochę jak smużka dymu wijąca się w ciemności.

- W czym mogę pomóc? - pyta bardzo łagodnym głosem.

Zbija mnie to z pantafelku. Z jakiegoś powodu oczekiwałam, że otworzy mi Marian.

- Nazywam się Sam. Samantha Kingston. Szukam Juliet. - Skoro zadziałało poprzednio, to teraz też dodaję: - Jesteśmy partnerkami w laboratorium.

Z wnętrza domu jakiś mężczyzna - pewnie ojciec Juliet - krzyczy:

- Kto to!?

Jego głos przypomina głośny szczekot i tak bardzo różni się od głosu pani Sykes, że machinalnie robię mały krok w tył.

Pani Sykes aż podskakuje i odwraca szybko głowę, odruchowo uchylając drzwi o kilka centymetrów szerzej. Korytarz za nią jest ciemny. Bezkształtne, niebiesko-zielone cienie tańczą na ścianach, to odbłaski z telewizora w pokoju, którego nie widzę.

- Nikt - mówi szybko za siebie, w mrok. - To do Juliet.

- Juliet? Ktoś do Juliet? - męski głos brzmi dokładnie jak szczekanie psa. Hau, hau, hau, hau. Z trudem powstrzymuję nerwowy chichot.

- Zajmę się tym - pani Sykes odwraca się do mnie, a wtedy drzwi na powrót się przysmykają, jakby się na nich wspierała. Jej uśmiech w dziwny sposób nie pasuje do wyrazu oczu. - Juliet nie ma teraz w domu. Mogę ci w czymś pomóc?

- Ja, uhm, opuściłam dziś lekcje. A mieliśmy do zrobienia trudne zadanie... - Bezradnie urywam w pół zdania i zaczynam żałować, że w ogóle tu przyszedłam. Mam na sobie ciepłą kurtkę, a trzęsę się jak wa-

riatka. Pewnie zresztą wyglądam jak wariatka, z bluzą na głowie zamiast parasola, przeskakując z nogi na nogę.

Pani Sykes wreszcie zauważa, że stoję w deszczu.

- Wejdz do środka - mówi i robi krok w tył, wchodząc do korytarza. Idę za nią.

Otwarte drzwi na lewo prowadzą do pokoju, w którym stoi telewizor. Widzę tylko fotel i sylwetkę kogoś, kto w nim siedzi, zarys ogromnej szczęki w niebieskim świetle bijącym z ekranu. Przypomina mi się, że Lindsay mówiła kiedyś, że tato Juliet to alkoholik. W mieście krążyły jakieś plotki o jego nałogu i o tym, że miał wypadek, doznał częściowego paraliżu i musiał zażywać jakieś tabletki. Szkoda, że nie przyśluchiwałam się uważniej.

Pani Sykes zauważa, że się gapię, szybko podchodzi do drzwi i je zamyka. Robi się tak ciemno, że ledwo widzę, i zdaję sobie sprawę, że nadal mi zimno. Jeśli w tym domu włączono ogrzewanie, to w ogóle go nie czuję. Z pokoju z telewizorem dochodzą krzyki jak z horroru, a potem rytmiczny, przerywany odgłos serii z karabinu maszynowego.

Teraz naprawdę żałuję, że przyszłam. A może Juliet pochodzi z rodziny psychopatycznych, seryjnych morderców i pani Sykes wywinie mi za moment jakiś numer rodem z *Milczenia owiec*? „Cała rodzina jest porębana” - tak powiedziała kiedyś Lindsay. Wokół mnie zaciska się ciemność, dusi mnie i prawie wydaję okrzyk wdzięczności, kiedy pani Sykes włącza światło, a oświetlony korytarz okazuje się zupełnie zwyczajny i bynajmniej nie ma w nim witryny na skalpy zabitych ofiar. Na stoliku stoi bukiet suchych kwiatów ozdobiony koronką, a obok zdjęcie rodzinne. Chciałabym móc bliżej mu się przyjrzeć.

- To jakieś ważne zadanie? - pani Sykes pyta prawie szeptem.

Rzuca nerwowe spojrzenie w stronę pokoju z telewizorem i zastanawiam się, czy uważa, że mówi za głośno.

- Ja tylko... obiecałam Juliet, że wezmę od niej materiały do prezentacji, żeby zdążyć do poniedziałku nadrobić zaległości. - Próbuję mówić ciszej, ale ona nadal ma na twarzy grymas. - Wydawało mi się, że Juliet mówiła, że będzie dziś wieczorem w domu.

- Juliet wyszła - mówi pani Sykes. A potem, jakby była nieprzyzwyczajona do tych słów i jeszcze raz chciała poczuć ich smak na języku, powtarza: - Wyszła. Ale może to dla ciebie zostawiła?

- Mogę poszukać - mówię. Zdaję sobie sprawę z tego, że chcę zobaczyć pokój Juliet. Właśnie po to tu przyszłam. Muszę go zobaczyć. - Pewnie po prostu rzuciła notatki na łóżko. - Próbuję mówić od niechcienia, jakbyśmy z Juliet naprawdę się kumplowały, jakby nie było nic dziwnego w tym, że wpadam do jej domu o wpół do jedenastej wieczorem w piątek i próbuję wślizgnąć się do jej pokoju.

Pani Sykes waha się.

- Może zadzwonię do niej na komórkę - mówi, a potem dodaje przeproszającym tonem. - Juliet nie cierpi, gdy ktokolwiek wchodzi do jej pokoju.

- Proszę nie dzwonić - mówię szybko. Juliet powie pewnie matce, żeby nasłała na mnie gliny. - To nie takie ważne. Jutro odbiorę.

- Nie, nie, zadzwonię do niej. To potrwa sekundę.

Mama Juliet znika w kuchni. To niesamowite, jak szybko i bezgłośnie się porusza, jak zwierzę, które przemyka między jednym a drugim cieniem.

Chcę uciec, kiedy tylko pani Sykes znika w kuchni. Chcę wrócić do domu, wleźć do łóżka i oglądać na komputerze stare filmy. Zrobię sobie dzbanek kawy i jakoś przeczekam do rana. Może jak nie pójdę spać, dzisiejszy dzień będzie musiał zmienić się w jutro. Bezsensownie zastanawiam się, jak długo uda mi się nie zasnąć, zanim mi odwali i zacznę biegać po ulicy w samej bieliźnie, wyobrażając sobie, że oblaży mnie czerwone pająki.

Ale zamiast tego po prostu stoję i czekam. Nic innego nie przychodzi mi do głowy, więc robię kilka kroków w przód i schylam się, żeby przyjrzeć się fotografii na stoliku. Przez chwilę jestem zdezorientowana: to zdjęcie jakiejś nieznannej mi kobiety w wieku dwudziestu pięciu lub trzydziestu lat, obejmującej przystojniaka we flanelowej koszuli. Kolory są nasycone i jasne jak na filmie w technicolorze, a para wygląda idealnie, wręcz jaśniej, oboje mają białe zęby, promienne uśmiechy i brązowe włosy. A potem w dolnym rogu fotografii dostrzegam napis „ShadowCast Images, Inc.” i zdaję sobie sprawę, że to nie żadne prawdziwe zdjęcie rodzinne. To seryjnie produkowane zdjęcie, które sprzedaje się razem z ramką. Świetlista, wibrująca szczęściem reklama wszystkich tych promiennych, szczęśliwych chwil, które można pochwycić na zawsze w ramce ze srebra wysokiej próby z ornamentem w kształcie motyla o wymiarach dwanaście na piętnaście centymetrów. Nikt się nawet nie kłopotał, żeby je wymienić.

A może rodzina Sykesów nie ma żadnych promiennych, szczęśliwych chwil do upamiętnienia?

Odsuwam się szybko od stolika i żałuję, że w ogóle się przyglądałam. Choć to tylko zdjęcie dwójki modeli, to jakoś mi nieswojo, jakbym zobaczyła coś zbyt osobistego, jakbym przypadkowo zauważyła wewnętrzną stronę czyjegoś uda albo włosy w czyimś nosie.

Pani Sykes wciąż nie wraca, więc wchodzę z korytarza do salonu po prawej. Panuje w nim półmrok. Wokół dostrzegam narzuty w szkocką kratę, koronki i suszone kwiaty. Salon wygląda tak, jakby od lat pięćdziesiątych nie zmieniono jego wystroju.

Przy oknie świeci się niewielkie, przymglone światełko i rzuca okrągły cień na czarną szybę, gdzie w miniaturze pojawia się odbicie pokoju.

I twarz.

Krzycząca twarz przyklejona do szyby.

Wydaję okrzyk przerażenia, po czym zdaję sobie sprawę, że to także odbicie. Na stole, tuż przy oknie, stoi maska, odwrócona w stronę okna. Podchodzę do niej i podnoszę ją ze stojaka. To twarz kobiety zrobiona z papieru gazetowego zszytego czerwoną nicią, która tworzy na „skórze” ślady niczym okropne blizny. Od nasady nosa przez całe czoło przebiegają napisy, bowiem niektóre nagłówki są widoczne w całości lub częściowo, na przykład „Piękno leczy” albo „Wielka tragedia”, a w wielu miejscach kawałeczki papieru odklejają się, jakby z twarzy schodziła skóra. W miejscu ust i oczu wycięto otwory i kiedy przykładam maskę do twarzy, okazuje się, że pasuje jak ulał. Odbicie w oknie jest okropne. Wyglądam jak ktoś

chory, jak monstrum z horroru. Odwracam wzrok. Zastanawiam się, czy Juliet tak widzi samą siebie. A może nas. Może wszystkich.

- To zrobiła Juliet.

Podskakuję na dźwięk głosu pani Sykes, która pojawiła się znowu i opiera się o framugę drzwi, patrząc na mnie spod uniesionych brwi.

Ściągam maskę i kładę z powrotem na stojaku.

- Przepraszam, zobaczyłam ją i... Chciałam przymierzyć - dokańczam żałośnie.

Pani Sykes podchodzi i poprawia maskę, upewniając się, czy prosto stoi.

- Kiedy Juliet była młodsza, zawsze rysowała, szkicowała albo coś malowała, albo szyła sobie sukienki. - Pani Sykes wzrusza ramionami i macha ręką. - Ale teraz to już chyba przestało ją obchodzić.

- Rozmawiała pani z Juliet? - pytam nerwowo, oczekując, że zaraz mnie wyrzuci.

Pani Sykes mruga, jakby nie widziała mnie dość ostro.

- Juliet... - powtarza za mną, a potem kręci głową. - Dzwoniłam do niej kilka razy, ale nie odbiera. Zwykle nie wychodzi w weekendy...

Pani Sykes patrzy na mnie bezradnie.

- Na pewno wszystko u niej w porządku - mówię najradośniej, jak tylko potrafię, a każde słowo wbija mi się w brzuch niczym nóż. - Pewnie nie słyszała telefonu.

Nagle jedyne, czego chcę, to wydostać się stąd. Nie mogę ani sekundy dłużej okłamywać pani Sykes. Wygląda tak smutno, kiedy stoi w szlafroku, gotowa do snu, jakby już w pewnym sensie zasnęła. Taka właśnie atmosfera panuje w całym domu, jakby pogrążonym w głębokim śnie - takim, który krępuje, nie chce wypuścić cię ze swoich objęć, wciąga z powrotem pod kołdrę, aż toniesz w nim, choćbyś nie wiem jak się opierała.

Wyobrażam sobie, jak Juliet wkrada się do swojego pokoju w ciemności i ciszy, przez senną atmosferę tak gęstą, że wydaje się ciałem stałym. Słyszę kołysankę skrzypiącej podłogi i cicho syczących kaloryferów. Słyszę ludzi, którzy powoli, bez słowa krążą wokół siebie... A potem...

Pif paf.

Pani Sykes odprowadza mnie do przedsionka w korytarzu.

- Przyjdź jutro - mówi. - Na pewno Juliet już będzie miała wszystko gotowe. Jest bardzo odpowiedzialna. To dobra dziewczyna.

- Jasne, jutro. - Nie lubię nawet wymawiać tego słowa. Szybko macham na pożegnanie i biegnę poprzez mrok do samochodu.

Zrobiło się jeszcze zimniej. Deszcz, w połowie zamrznięty, uderza o dach samochodu, kiedy czekam, żeby silnik się rozgrzał. Chucham w dłonie i cała się trzęsę, szczęśliwa, że wreszcie się tu znalazłam. Gdy tylko wyszłam z domu, kamień spadł mi z serca, jakby wewnątrz panowała inna, cięższa atmosfera i ciśnienie. Pierwsze wrażenie nie myliło mnie: to naprawdę dom pogrążony w desperacji. Widzę w oknie sylwetkę mamy Juliet. Ciekawe, czy czeka na mój odjazd czy może na powrót córki do domu.

Wtedy podejmuję decyzję. Wiem, co zrobię. Pojadę do Kenta i złapię Juliet, i jeśli będę musiała, spoliczkuję ją, naprawdę. Może zrozumie, jak głupi to pomysł. (Dla mnie to na pewno nie jest bułka z masłem). Jeśli będzie trzeba, to ją zwiążę i położę na tylnym siedzeniu samochodu, żeby nie tknęła pistoletu.

Zdaję sobie sprawę, że nigdy nie zrobiłam czegoś naprawdę dobrego dla innej osoby, a przynajmniej od bardzo dawna. Czasem pracuję jako ochotniczka, rozwożąc posiłki dla biednych, ale tylko dlatego, że na uczelni jest to mile widziane. Na stronie internetowej uniwersytetu w Bostonie w formularzu zgłoszeniowym umieszczono osobną rubrykę zatytułowaną „Działalność charytatywna”. Oczywiście jestem miła dla przyjaciół i daję im fantastyczne prezenty na urodziny (kiedyś spędziłam półtora miesiąca, zbierając solniczki w kształcie krowy dla Ally, bo ona uwielbia krowy i sól). Ale nigdy nie robię niczego dobrego ot tak. To będzie mój dobry uczynek.

Nagle świta mi myśl. Przypomina mi się, jak kiedyś na zajęciach analizowaliśmy *Boską komedię* Dantego i Ben Gowan zapytał, czy dręczone dusze lądowały od razu w piekle (Ben Gowan został kiedyś zawieszony na trzy dni, bo namalował obrazek, na którym w stołówce wybucha bomba i wokół latają porywane głowy, więc jak na niego było to zupełnie normalne pytanie), a pani Harbor rozsunęła przed nami kolejną dygresję, twierdząc, że to niemożliwe, ale że niektórzy współcześni chrześcijańscy myśliciele wierzą, że można z czyścica wznieść się do nieba, jeśli odbyło się w pełni pokutę za grzechy. Nigdy specjalnie nie wierzyłam w niebo. Zawsze wydawało mi się to szalonym pomysłem: wszyscy szczęśliwi i pogodzeni, Fred Astaire tańczy w chmurach tango z Einsteinem. Coś w tym stylu.

Ale przecież tak samo nigdy nie spodziewałam się, że będę przeżywała w nieskończoność jeden dzień. Wizja nieba wcale nie wydaje się bardziej szalona niż to, co mi się przytrafiło. Może mam udowodnić, że jestem dobra. Może muszę udowodnić, że zasługuję na to, żeby iść dalej.

Może Juliet Sykes to jedyne, co stoi mi na drodze do wieczności pośród fontann z czekolady i idealnej miłości, i facetów, którzy zawsze dzwonią, jeśli obiecali, że zadzwonią, i lodów bananowych, które pomagają spalić nadmiar kalorii.

Może Juliet to mój bilet, by się wyrwać z pętli czasu.

Karygodnie spóźniona

Nawet nie kłopotzę się, by podjechać pod sam dom Kenta. Nie planuję zostać tu długo i nie chcę, żeby ktoś mnie zablokował. Poza tym mam ogromną ochotę przespacerować się przez las zalany deszczem. Traktuję to jak rodzaj próby, jak kolejną okazję do poświęceń. Z zajęć w szkółce niedzielnej pamiętam niewiele (mama poddała się po wielkiej awanturze, którą zrobiłam w wieku siedmiu lat - zagroziłam, że przejdę na *voodoo*, choć nawet nie wiedziałam, co to jest), ale czuję, że tak to właśnie działa: trzeba coś poświęcić.

Zatrzymuję się na mokrym poboczu autostrady numer 9 i biorę znowu przemokniętą bluzę Izzy. To i tak lepsze niż nic. Owijam ją wokół głowy i wysiadam z auta. Przystaję na chwilę. Droga jest pusta. Czarne pasma poprzecinane słabymi snopami żółtego światła z latarni. Próbuję zlokalizować dokładnie miejsce, w którym auto Lindsay, koziołkując, zjechało z ulicy tamtej pierwszej nocy, ale nie mogę go zna-

leżć. To mogło się zdarzyć wszędzie. Zamykam oczy, usiłując przywołać jakieś wspomnienie życia po wypadku, po kolizji, ale nic nie pojawia się w mojej pamięci. A kiedy otwieram oczy, widzę przed sobą tylko drogę, mokrą od deszczu, gładką, zwyczajną, bez szczególnych znaków. Tak wygląda każda droga pośrodku małego miasta, pośrodku każdego stanu na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych.

Biorę latarkę z bagażnika i wchodzę do lasu.

To spacer dłuższy, niż się spodziewałam. Na ziemi pod cienką warstwą lodu chlupocze błotnista maź, która wsysa moje buty jak ruchome piaski. Po kilku minutach słyszę dobiegający z oddali odgłos muzyki z imprezy, dudnienie pulsujące w ciemności, jakby rytm stanowił integralną część nocy, jakby do niej należał. Dopiero po dziesięciu minutach marszu widzę słabe światła migające między drzewami - dzięki Bogu, bo już myślałam, że błąkam się w kółko - a po kolejnych pięciu las się przerzedza.

Dostrzegam dom niczym wielki tort lodowy ustawiony na trawniku, połyskujący to tu, to tam, kiedy krople deszczu na ganku załamują i rozszczepiają światło. Zmarzłam na kość i teraz bardzo żałuję, że zdecydowałam się pójść piechotą. Na tym polega cały problem z poświęceniem. To boli. Fizycznie.

Kiedy tylko wchodzę do środka, dwie dziewczyny zaczynają chichotać, a całej grupie trzecioklasistów opada szczęka. Nie mam im za złe. Wiem, że wyglądam jak kawałek gówna. Wychodząc z domu, nie zmieniłam nawet spodni - zbyt dużych dresów z weluru, które dostałam po mamie, kiedy jeszcze były modne.

Nie marnuję jednak ani chwili na trzecioklasistów. Już się obawiam, że przyjechałam za późno.

Tara schodzi po schodach, kiedy ja próbuję precyzyjnie się na górę. Chwytam ją za rękę i nachylam się do jej ucha.

- Juliet Sykes! - krzyczę.

- Co!?! - odkrzykuje Tara z uśmiechem.

- Juliet Sykes! Przyszła?

Tara puka się w ucho na znak, że nie słyszy.

- Szukasz Lindsay?

Courtney stoi za Tarą. Nachyla się i opiera podbródek na ramieniu Tary.

- Znalazłyśmy tajemny magazyn. Rum i tak dalej. Tara rozbiła wazę. - Chichocze. - Chcesz trochę?

Kręcę głową. Nigdy nie byłam tak trzeźwa w towarzystwie tak nawalonych ludzi i mam cichą nadzieję, że gdy ja się upijam, to nie jestem tak wkurzająca jak oni. Idę dalej, schodami w górę.

- Lindsay jest tam dalej - krzyczy Tara.

Jeszcze nie zdążyłam odejść zbyt daleko, więc słyszę, jak Courtney piszczy:

- Widziałaś, w co ona jest ubrana?

Biorę głęboki oddech i mówię sobie, że mam to gdzieś. Muszę znaleźć Juliet. Przynajmniej tyle mogę zrobić.

Ale z każdym krokiem tracę nadzieję. W korytarzu na górze kłębi się ogromny tłum. Jeśli do tej pory Juliet nie przyszła na imprezę - a to raczej płonne nadzieje - to mało prawdopodobne, że już wyszła.

A jednak idę naprzód i wreszcie docieram do ostatniego pokoju na górze. Lindsay wystrzela w moim kierunku z prędkością kuli armatniej, kiedy tylko wchodzę do środka - niemal przeskakuje ponad pięcioma osobami. Na sekundę ogarnia mnie radość na jej widok, szczęśliwej, pijanej, mojej najlepszej przyjaciółki, która teraz raczy mnie swoim słynnym, supermocnym uściskiem. Na chwilę zapominam, po co tu przyszedłam.

- Niedobra dziewczyna. - Lindsay bije mnie po rękach, kiedy wreszcie wypuszcza mnie z objęć. - Do szkoły się nie poszło, ale na imprezę tak? Niegrzeczna, niegrzeczna.

- Szukam kogoś - mówię.

Rozglądam się wokół. Juliet nie ma w tym pokoju. Właściwie tego się spodziewałam, jednak miałam nadzieję, że może będzie siedziała na kanapie i gadała z Jamesem Somersem, ale instynktownie rozglądam się, choć przestaję wierzyć, że ją znajdę.

- Rob jest na dole. - Lindsay robi krok w tył i podnosi rękę, jakby mnie kadrowała między kciukiem i palcem wskazującym. - Wyglądasz jak ten bezdomny, który okradł supermarket. Próbujesz uniknąć bzykania czy co?

Nagle czuję narastającą irytację. Czy Lindsay zawsze musi wtrącać swoje trzy grosze?

- Widziałaś Juliet Sykes? - pytam.

Lindsay gapi się na mnie przez ułamek sekundy i wybucha śmiechem.

- Pytasz serio?

Kamień spada mi z serca. Może nigdy tu nie dotarła. Może auto jej się zepsuło albo obleciał ją strach, albo...

- Nazwała mnie suką. - W tym momencie Lindsay rozwala mnie na kawałki. Jednak Juliet już tutaj była. - Uwierzysz? - Lindsay nadal się śmieje. Obejmuje mnie ramieniem i krzyczy. - Elody! Ally! Sammy przyszła! Szuka swojej najlepszej przyjaciółki Juliet!

Elody nawet się nie odwraca, jest zbyt zaabsorbowana Steve'em Doughiem. Ale Ally odwraca się chwiejnie w moim kierunku, uśmiecha się i krzyczy.

- Cześć, złotko! - i podnosi pustą butelkę po wódce. - Jak zobaczysz gdzieś Juliet - woła - to zapytaj ją, co zrobiła z resztą mojego drinka! - Razem z Lindsay uznają to za bardzo śmieszne i Lindsay odkrzykuje:

- Psychotini!

Jednak przyjechałam za późno. Kiedy zdaję sobie z tego sprawę, robi mi się niedobrze i gniew na Lindsay powraca do mnie z całym impetem.

- Moja najlepsza przyjaciółka? - powtarzam. - To zabawne. Myślałam, że to ty się kumplowałaś z Juliet.

- O czym ty mówisz? - Twarz Lindsay kamienieje.

- Przyjaciółki z dzieciństwa. Najlepsze przyjaciółki. Papużki nierozłączki. Życie by jedna za drugą oddała. - Lindsay wygląda tak, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć, ale nie dopuszczam jej do głosu. -

Widziałam zdjęcia. Więc co się stało? Puściłaś przy niej baka? Posmarkałaś się? Odkryła, że słynna Lindsay Edgecombe nie jest wcale taka wspaniała? Co takiego okropnego zrobiła?

Lindsay otwiera usta i zaraz je zamyka.

- To świruska - szepce dziko, ale widzę w jej oczach coś, czego nigdy wcześniej nie widziałam, błysk, którego nie potrafię zidentyfikować.

- Może i tak.

Muszę odnaleźć Juliet Sykes.

Przedzieram się przez tłum, idę na dół, ignorując ludzi, którzy wołają mnie po imieniu, poklepują i szepczą sobie na ucho, że pokazałam się publicznie, wyglądając tak, jakbym zaraz miała położyć się spać - co zresztą jest zgodne z prawdą. Obliczam, że jeśli się pospieszę, złapię Juliet jeszcze przy wyjściu. Musiała zaparkować niedaleko. Pewnie ktoś zastawił jej drogę. Minie dobra godzina, zanim ludzie poprzestawiają samochody (jeśli w ogóle zdoła kogokolwiek przekonać, żeby jej pomógł), a jeszcze więcej czasu zajmie jej wędrówka do domu na piechotę.

Na szczęście w drodze na dół udaje mi się nie wpaść na Roba. Brakuje mi tylko tego, żeby zaczął mnie przesłuchiwać. Tuż obok drzwi wejściowych stoi grupka drugoklasistek. Wyglądają na przerażone i mniej więcej trzeźwe, więc próbuję szczęścia.

- Widziałyście Juliet Sykes?

Gapią się na mnie tępo. Wzdycham i nerwowo przełykam ślinę.

- Blondynka, niebieskie oczy, wysoka. - Nadal patrzę na mnie pusto i zdaję sobie sprawę, że nie bardzo wiem, jak ją opisać. Słowo „frajerka” ciśnie mi się na usta. I pewnie trzy dni temu tak bym właśnie powiedziała. Ale teraz nie mogę go wymówić. - Ładna - mówię, smakując to słowo. Kiedy to nie wywołuje żadnej reakcji, zaciskam pięści. - Cała przemoczona.

Dziewczyny rozjaśniają się, jakby wreszcie coś zajarzyły.

- W łazience - mówi jedna z nich, wskazując na mały uchylek tuż obok kuchni. Przed zamkniętymi drzwiami zebrała się grupka ludzi. Jedna z nich skrzyżowała nogi i raz po raz podskakuje. Ktoś wali w drzwi. Jedna z dziewczyn wskazuje na zegarek i mówi coś, czego nie słyszę, ale wygląda na wkurzoną.

- Siedzi tam już chyba ze dwadzieścia minut - mówi drugoklasistka. Czuję nagły skurcz żołądka i robi mi się niedobrze.

W łazienkach trzyma się pigułki. W łazienkach trzyma się żyłki. Ludzie zamykają się w łazienkach, kiedy chcą zrobić coś złego, uprawiać seks albo się wyrzygać. Albo się zabić.

To nie może się tak stać. Muszę uratować Juliet. Przepycham się do łazienki przez czekający tłum.

- Przesuń się - mówię do Joanne Polerno, a ona natychmiast opuszcza rękę i odsuwa się na bok.

Przykładam ucho do drzwi, nasłuchując dźwięków płaczu albo wymiotowania, albo czegoś jeszcze innego. Nic. Znowu czuję skurcz żołądka. W dodatku za wiele nie słychać, kiedy muzyka tak głośno gra.

Pukam delikatnie i wołam:

- Juliet? Wszystko w porządku?

- Może zasnęła? - mówi Chrissy Walker. Rzucam jej spojrzenie, które, mam nadzieję, zakomunikuje jej, że to komentarz na poziomie przygłupa i nie pomaga w ogóle.

Pukam ponownie, przyciskając twarz do drzwi. Trudno powiedzieć, czy z wnętrza dobiega mnie słabe westchnienie, bo w tej samej chwili muzyka zaczyna wyć jeszcze głośniejsze i zagłusza wszystko inne. Ale wyobrażam sobie Juliet, jak siedzi po drugiej stronie drzwi z przeciętymi nadgarstkami, w kałuży krwi, i powoli traci przytomność...

- Zawołajcie Kenta - mówię, wciągając głęboki oddech.

- Kogo? - pyta Joanne.

- Muszę się wysikać - mówi Chrissy, podskakując.

- Kenta McFullera. Szybko. No już - warczę na Joanne. Wygląda na zdumioną, ale pędem biegnie w stronę korytarza.

Każda sekunda zdaje się wiecznością. Po raz pierwszy rozumiem teorię względności Einsteina, który stwierdził, że czas zgina się i rozciąga jak żelki owocowe.

- Co ona cię w ogóle obchodzi? - skamle Chrissy na tyle głośno, że ją słyszę.

Nie odpowiadam. Tak naprawdę nie znam odpowiedzi. Muszę ocalić Juliet - czuję to. To mój dobry uczynek. Muszę ocalić siebie.

Nagle sama już nie wiem, czy to oznacza, że jestem lepsza czy gorsza od tych, którzy nie robią nic, więc odpycham od siebie tę myśl.

Joanne wraca z Kentem, który wygląda na zmartwionego. Marszczy czoło pod brązowymi włosami bezładnie opadającymi mu na oczy. Nagle czuję ukłucie. Wczoraj staliśmy w ciemnym pokoju jakieś pięć centymetrów od siebie, tak blisko, że czułam niesamowite ciepło jego skóry.

- Sam - mówi Kent i nachyla się, żeby złapać mnie za nadgarstek. Patrzy mi głęboko w oczy. - Wszystko w porządku?

Jestem tak zdumiona nagłym dotknięciem, że leciutko się odchylam, a wtedy Kent puszcza moją dłoń. Nie wiem, dlaczego to sprawia, że w środku cała się spinam.

- W porządku - mówię i zdaję sobie sprawę, jak nedorzecznie wyglądam: w dresach, z włosami w nieładzie. On natomiast wygląda nawet zupełnie do rzeczy. Słodko, niedbale, ale na luzie, w trampkach w szachownicę i luźnych biodrówkach khaki, z podwiniętymi rękawami eleganckiej koszuli, pokazującymi opaleniznę nie wiadomo skąd o tej porze roku. Na pewno nie opalił się w Ridgeview w ciągu ostatnich sześciu miesięcy.

Kent wygląda na zdezorientowanego.

- Joanne mówiła, że mnie potrzebujesz.

- Nie potrzebuję cię. - Brzmi to w moich ustach jakoś zbyt mocno i dziwnie i czuję, że zaraz zacznę się czerwienić jak burak. - To znaczy nie potrzebuję ciebie. Potrzebuję tylko... - Biorę głęboki wdech. Przez chwilę wydaje mi się, że widzę w oczach Kenta błysk i to zbija mnie z tropu. - Martwię się, bo Juliet

Sykes zamknęła się w łazience. - Kiedy tylko wypowiadam te słowa, twarz wykrzywia mi grymas. Idiotycznie to zabrzmiało. Pewnie powie mi, że jestem wariatką. Przecież Kent nie wie tego, co ja.

Iskra w jego oczach gaśnie, twarz mu poważnieje. Mija mnie i próbuje otworzyć drzwi, a potem zatrzymuje się na chwilę i myśli. Nie mówi, że zwariowałam albo wpadłam w paranoję. Mówi:

- Nie ma klucza. Mogę spróbować odblokować zamek. Zawsze możemy go wyłamać, żeby dostać się do środka.

- Idę się wysikać na górę - oznajmia Chrissy, a potem odwraca się na pięcie i odchodzi chwiejnym krokiem.

Kent sięga do tylnej kieszeni i wyciąga z niej garść agrafek.

- Nawet nie pytaj - mówi, kiedy unoszę brwi. Podnoszę ręce i nie drażę tematu. Wystarczy mi, że bierze się do roboty bez zbędnych dyskusji.

Kuca, odkształca agrafkę i wkłada ją do zamka. Nasłuchuje pstryknięcia z uchem przystawionym do drzwi. Wreszcie moja ciekawość okazuje się silniejsza ode mnie.

- Dorabiasz sobie po lekcjach, włamując się do banków?

Kent wykrzywia twarz, próbuje otworzyć drzwi po raz drugi, wkłada agrafkę do kieszeni i wyciąga jedną z kart kredytowych z portfela.

- Bynajmniej. - Wkłada plastik w przestrzeń między drzwiami i framugą i porusza kartą. - Mama chowała przed nami ciastka w spiżarni zamykanej na klucz.

Wstaje i naciska na klamkę. Drzwi otwierają się na dwa centymetry i serce podchodzi mi do gardła. Mam cień nadziei, że zaraz pojawi się twarz Juliet w furii albo że ktoś od wewnątrz znowu zatrzaśnie drzwi. Tak bym zrobiła, gdyby ktoś próbował otworzyć drzwi, a ja bym siedziała w środku. To znaczy gdybym jeszcze była na tyle świadoma - żywa - żeby to zrobić.

Ale drzwi nagle się zatrzymują i ani drgną. Patrzymy na siebie z Kentem. Chyba oboje za bardzo boimy się je otworzyć.

Kent stopą popycha drzwi i pyta:

- Juliet?

Wtedy drzwi otwierają się na oścież - i znowu czas rozciąga się niemożliwie i zdaje się, że ta chwila trwa całą wieczność - a w ciągu tej sekundy, a może tylko jej ułamek, wyobrażam sobie wszystkie możliwe okropności, a potem ciało Juliet zwinięte w kłębek na podłodze.

I nagle drzwi się zatrzymują, widzimy wewnątrz łazienki. Idealnie czyste, zupełnie normalne i zupełnie puste. Światło jest włączone, a na krawędzi umywalki wisi wilgotny ręcznik. Tylko okno wygląda jak coś podejrzanie, otwarte na oścież. Deszcz kapie na podłogę.

- Wyszła przez okno - mówi Kent, dokładnie w chwili, kiedy to samo przychodzi mi na myśl. Nie wiem do końca, jak rozumieć jego ton. Jest trochę smutny, ale pobrzmiewa w nim nuta podziwu.

- Cholera.

To oczywiste. Po takim upokorzeniu chciała wymknąć się niezauważona, żeby nie przyciągnąć niczyjej uwagi. Okno wychodzi na lekko schodzący w dół trawnik i oczywiście na las. Pewnie tam właśnie pobiegła, żeby okrężną drogą wrócić do zaparkowanego auta.

Wybiegam pędem z łazienki. Kent krzyczy:

- Poczekaj!

Ja jednak już jestem w korytarzu i wybiegam przez drzwi na ganek.

Biorę latarkę i bluzę, które zostawiłam na kwietniku, i biegnę dalej przez trawnik. Teraz deszcz już nie pada tak mocno, to raczej opary zamarzającej mgły, które grubymi warstwami osuwają się na ziemię. Taki chłód przeszywa na wskroś. Kiedy biegnę wzdłuż bocznej ściany domu, oświetlam ziemię. Nie jestem mistrzem tropicielem, ale przeczytałam dostatecznie dużo kryminałów, żeby wiedzieć, że trzeba zawsze szukać śladów stóp. Niestety, błoto jest tak paskudnie mokre, że widzę tylko jedną wielką maź. Pod oknem łazienki zostało jednak spore wgłębienie. To pewnie tu zeskoczyła. Od tego miejsca rozpaćkane ślady prowadzą - jak się spodziewałam - prosto do lasu.

Owijam się ciasniej bluzą i ruszam w pościg. Widzę przed sobą tylko kolisty oświetlony obszar o średnicy paru metrów, który porusza się razem ze mną. Nigdy nie bałam się ciemności, ale bezustanne potrzaskiwania i pojękiwania drzew oraz jednostajny rytm deszczu padającego przez gałęzie sprawiają, że las zdaje się żyć. Mamrota coś do siebie jak szalony żebrak na ulicy, popychający wypełniony pustymi torbami wózek ukradziony z supermarketu.

Nie ma sensu szukać śladów Juliet. Nie widać ich zupełnie w rozmokniętej masie gnijących liści, błota i rozkładającej się kory. Ruszam zatem w kierunku, gdzie, jak się spodziewam, biegnie szosa, w nadziei, że dogonię Juliet w drodze do domu. Jestem pewna, że tam właśnie zmierza. Jeśli ktoś tak desperacko chce opuścić imprezę - i bawiących się na niej gości - że wychodzi oknem, to raczej mało prawdopodobne, że za kilka minut wróci jak gdyby nigdy nic i poprosi ludzi, żeby poprzestawiali samochody.

Deszcz znowu zaczyna mocniej padać, zmarznięte gałęzie grzechoczą, jakby kość uderzała o kość. W klatce piersiowej czuję ból z powodu zimna i choć idę najszybciej jak umiem, drętwieją mi palce i z trudem utrzymuję latarkę. Nie mogę się doczekać, kiedy dotrę do samochodu i włączę ogrzewanie na cały regulator. Potem pojedę szukać Juliet. W ostateczności zrobię nalot na jej dom. Byle tylko wydostać się z tego przerażającego lasu.

Idę coraz szybciej, prawie biegnę, żeby się rozgrzać. Co kilka chwil wołam Juliet, ale nie spodziewam się, że usłyszę odpowiedź. Deszcz dudni coraz głośniejsze i bardziej jednostajnie, wielkie krople rozpryskują mi się na karku, a ja wzdycham.

- Juliet! Juliet!

Dudnienie przeradza się w stukot. Wbijają się we mnie sztylety lodowatej wody. Nadal biegnę, z latarką, która mnie prowadzi. Już nie czuję palców u nóg. Nie wiem nawet, czy zmierzam we właściwym kierunku. Może biegam w kółko.

- Juliet!

Zaczynam się bać. Obracam się wkoło, snopem światła z latarki omiatając ciemność. Wokół mnie ciasno tłoczą się drzewa. Dojście do domu Kenta na pewno nie trwało aż tak długo. Moje palce wydają się dwa razy większe, a kiedy się obracam, z dłoni wypada mi latarka. Słysząc trzask, jakby coś pękło. Światło migocze i gaśnie, a ja stoję w ciemności.

- Cholera. Cholera, cholera, cholera. - Klnę na głos, żeby dodać sobie otuchy.

Robię kilka niepewnych kroków w stronę latarki, z wyciągniętymi przed siebie rękami, żeby się z niczym nie zderzyć. Po kilku posuwistych krokach padam na kolana i niszczę moje ulubione spodnie. Czuję, jak wilgną. Rękami szukam w brei, próbując nie myśleć o tym, czego dotykam. Deszcz zalewa mi oczy. Bluza przylgnęła mi do skóry i pachnie teraz jak zmokły pies. Nie mogę powstrzymać drżenia. Dobrymi chęciami jest piekło wybrukowane. A potem dostaje się w tyłek. Czuję, jak w gardle staje mi kamień.

Żeby zupełnie się nie rozkleić, myślę o tym, co powiedziała Lindsay, gdyby utknęła gdzieś ze mną w środku nocy, w środku lasu, który rozciąga się na Bóg wie ile kilometrów, w środku pory monsunowej; gdyby zobaczyła mnie, jak grzebię w ziemi niczym kret na haju, pokryta od stóp do głów błotem.

„Samantho Kingston - powiedziała by z uśmiechem - zawsze w głębi duszy wiedziałam, że lubisz się babrać w brudach”.

Ta myśl rozwesela mnie tylko na krótką chwilę. Lindsay nie ma przy mnie. Lindsay pewnie obściskuje się teraz z Patrickiem w ciepłym i suchym pokoju albo podaje dalej jointa, zastanawiając się głośno w towarzystwie Ally, dlaczego zachowywałam się jak porąbana. Czuję się zupełnie zagubiona, zupełnie żałosna i zupełnie, totalnie samotna. Gardło boli mnie coraz bardziej, jakby z mojego wnętrza próbowało wydostać się jakieś zwierzę, szaleńczo drapiąc pazurami.

I nagle czuję gniew na Juliet. Jestem tak wkurzona, że mogłabym ją uderzyć. Nie rozumiem, jak może być tak samolubna. Niezależnie od wszystkiego - niezależnie od tego, jak źle wszystko wygląda - ma wybór. Nie każdy ma tyle szczęścia.

Nagle dochodzi mnie najpiękniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszałam w ciągu siedemnastu lat mojego życia (i pięciu dni życia po życiu).

Słyszę klakson.

Dźwięk dochodzi z oddali i w tej samej sekundzie niknie. To niski jęk, jakby ktoś jadący z ogromną prędkością przez przypadek oparł się o klakson. Jestem bliżej drogi, niż mi się wydawało.

Podnoszę się z ziemi i najszybciej jak umiem idę w kierunku, z którego dochodził dźwięk, z rękami wyciągniętymi przed sobą jak mumia, odpychając gałęzie i opędzając się od lepkiego dotyku drzew iglastych. Serce wali mi z podniecenia i wysilam słuch, aby dosłyszeć jeszcze jakiś dźwięk, jakikolwiek, byle odnaleźć trop. Po jakiejś minucie słyszę kolejny klakson, tym razem bliżej. Czuję taką ulgę, że chce mi się płakać. Po kolejnej minucie słyszę coraz głośniejsze, a potem coraz cichsze dudnienie basów z głośników przejeżdżającego pędem auta. Po następnej minucie widzę w leśnej gęstwinie lampy błyskające przy drodze. Udało się.

Zbliżam się do świateł, a las się rozrzedza. Widzę trochę lepiej i ruszam pędem przed siebie. Zaczynam gorączkowo wyobrażać sobie całe stosy koców (wezmę wszystkie, które znajdę w domu) i gorącą czekoladę, ciepłe kapcie i prysznic. Tak się zamyślam, że Juliet Sykes zauważam dopiero wtedy, gdy na nią wpadam.

Siedzi skulona, jakieś trzy lub cztery metry od drogi, ramionami obejmuje kolana. Jej biała bluzka tak przemokła, że zrobiła się przezroczysta i widać biustonosz (w paski) i kręgosłup Juliet. Jestem tak zaskoczona tym spotkaniem, że na chwilę zapominam, że w ogóle znalazłam się tu właśnie z jej powodu.

- Co ty tu robisz!?! - pytam głośno, przekrzykując deszcz.

Juliet podnosi głowę i patrzy na mnie. Światło latarni pada na jej twarz. Ma zamglone oczy.

- Co ty tu robisz? - odpowiada pytaniem na pytanie.

- Ja... tak właściwie to szukam ciebie. - Na jej twarzy nie pojawia się nawet cień emocji. Żadnego zdziwienia, szoku, gniewu. Nic. Zbija mnie to z tropu. - Nie zimno ci?

Potrząsa głową nieznacznie i wlepia we mnie te swoje zamglone, zmęczone oczy. Nie tak to sobie wyobrażałam. Myślałam, że na mój widok się ucieszy, że okaże wdzięczność. Albo wpadnie w szal. Że jakoś zareaguje.

- Słuchaj, Juliet... - Ledwo mogę mówić, tak szcękam zębami. - Jest już chyba pierwsza w nocy i jest cholernie zimno. Może chcesz pojechać na chwilę do mnie? I pogadać? Wiem, co się tam stało. - Skinieniem głowy wskazuję w kierunku domu Kenta. - I naprawdę głupio mi z tego powodu.

Chcę tylko, żeby weszła do tego cholernego samochodu, ale to, co powiedziałam, to prawda, głupio mi.

Juliet gapi się na mnie przez długą, bezlitosną sekundę, a deszcz wypełnia przestrzeń między nami. Zaczyna wstawać i już mi się wydaje, że sprawa załatwiona, ale nagle ona się odwraca i robi parę kroków w stronę drogi.

- Wybacz - mówi, ale nie brzmi to przepraszająco. Tylko głucho.

Wyciągam rękę i chwytam ją za nadgarstek. W mojej dłoni wydaje się niezwykle szczupły. Przypomina mi się pisklę znalezione kiedyś niedaleko Gęsiego Wzgórza. Podniosłam je, a ono natychmiast umarło w mojej dłoni, wydając z jękiem ostatnie rozedrgane tchnienie. Juliet nie wrywa się, ale patrzy na moją rękę, jakby to był wąż, który ma zamiar ją ugryźć.

- Słuchaj... - próbuję znowu. - Słuchaj. Wiem, że to zabrzmiało idiotycznie, ale... - Wiatr dmucha w drzewa i uwalnia nową chmurę kropli. - Wydaje mi się, że coś nas łączy, ciebie i mnie. Możemy gdzieś pojechać i o tym pogadać...

- Nigdzie nie jadę - mówi Juliet. Gapi się na drogę i wydaje mi się, że przez jej usta przebiega mały, smutny uśmiech. Ale po chwili znika.

Zbyt długo przebywam na zewnątrz. Mój umysł przestaje pracować. Wszystko traci sens. Przez głowę przelatują mi przedziwne obrazy, układają się w osobliwy, fantastyczny film, który mógłby nosić tytuł *Wszystko, co ciepłe*. Basen pełen parującej, gorącej czekolady. Stos koców sięgający dachu mojego

domu. W głowie krąży mi myśl: Daj sobie spokój. Niech robi, co chce. Jutro i tak wszystko przewinie się do początku.

Ale jakaś część mnie - mój wewnętrzny byk, jak nazwała go mama - upiera się, że ona jest mi to winna. Stoję tu, cała w błocie, przemarzałam na kość, a połowa uczniów naszego liceum myśli, że jestem wariatką, która biega po nocy w piżamie.

- To może pojedziemy do ciebie?

Przecież w końcu będzie musiała tam wrócić. Juliet patrzy na mnie podejrzliwie i przez moment wydaje mi się, że jej spojrzenie przeszywa mnie na wylot.

- Czemu to robisz? - pyta.

Muszę krzyknąć jeszcze głośniej. Z podjazdu w domu Kenta zjeżdżają samochody i przejeżdżają obok nas po mokrej drodze.

- Chcę... chcę ci pomóc!

Juliet kręci głową. To niemal niezauważalny gest.

- Nienawidzisz mnie.

Podchodzi coraz bliżej i bliżej krawędzi drogi, a ja robię się coraz bardziej nerwowa. Obok znowu z rykiem przejeżdża auto, a basy dudnią. Kiedy mija latarnię, światło pada na maskę i widzę sylwetkę kogoś roześmianego. Wydaje mi się, że gdzieś po prawej stronie słyszę, jak ktoś wymawia moje imię, ale nie jestem pewna, szum deszczu jest zbyt głośny.

- Nie nienawidzę cię! Nie znam cię! Ale chcę to zmienić! Zacząć od nowa! - Już prawie wyję. Nie wiem, czy jeszcze mnie słyszy.

Mówi coś, czego nie słyszę. Kolejny samochód przejeżdża i hałasuje jak wyścigówka.

- Co?

Juliet odwraca głowę o pół centymetra i mówi głośniej.

- Zgadza się. Nie znasz mnie.

Kolejne auto. Kiedy nas mija, dobiega z niego śmiech. Ktoś rzuca do lasu butelkę po piwie, która się rozbija. Wtedy słyszę, że ktoś mnie woła, teraz na pewno, ale nie wiem, z którego kierunku. Wiatr wyje i nagle zdaję sobie sprawę, że Juliet stoi ledwo centymetr od drogi, że chwieje się na cienkiej linii, gdzie zaczyna się pobocze, jakby balansowała na linii.

- Może powinnaś odsunąć się trochę od jezdni - mówię, a z tyłu głowy puchnie mi jedna myśl, straszna, chora myśl, rozrastająca się i przybierająca kształt chmury na horyzoncie. Słyszę swoje imię. A potem, nadal z odległości, słyszę gardłowe jęki piosenki *With or Without You* dochodzące z czyjegoś samochodu.

- Sam! Sam! - rozpoznaję głos Kenta.

Słyszę słowa piosenki: „A potem odchodzisz, a potem odchodzisz”.

Juliet staje twarzą do mnie. Uśmiecha się, ale to najsmutniejszy uśmiech, jaki w życiu widziałam,

- Może następnym razem - mówi. - Ale raczej nie sądzę.

- Juliet. - Próbuję coś powiedzieć, ale głos więźnie mi w gardle. Kamienieję ze strachu. Chcę coś powiedzieć, poruszyć się, podejść do niej i chwycić ją za rękę, ale czas upływa tak szybko i w mgnieniu oka myśli eksplodują w mojej głowie, kiedy muzyka z głośników robi się coraz głośniejsza, a srebrny range rover wystrzela nagle z ciemności. Niczym ptak albo anioł - jakby skakała z klifu - Juliet rozkłada ramiona i rzuca się na drogę. Powietrze przeszywa krzyk i przerażający chrobot. Dopiero kiedy ciało Juliet przelatuje przez maskę samochodu Lindsay i ląduje na ziemi ze splątanymi kończynami, twarzą w dół, a range rover skręca prosto do lasu i tam się rozbija, i słychać, jak uderza o drzewo i się rozpada, a długa wstęga dymu i płomienie zaczynają lizać powietrze, dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, że słyszę własny krzyk.

Zanim się obudzę Kent podbiega do mnie.

- Sam - mówi zdyszany, a jego oczy szukają mojej twarzy. - Nic ci się nie stało?

- Lindsay - mówię szeptem. Tylko to przychodzi mi na myśl i tylko to potrafię powiedzieć. - W samochodzie są Lindsay, Elody i Ally.

Kent patrzy w stronę drogi. Czarne słupy dymu unoszą się ponad lasem. Z miejsca, w którym stoimy, widać tylko pokrzywiony zderzak, który wystaje niczym palec z hałdy ziemi.

- Poczekaj tu - mówi Kent.

To cud, ale jego głos brzmi tak spokojnie. Kent wbiega na drogę i otwiera telefon. Słyszę jak podniesionym głosem wydaje instrukcje komuś po drugiej stronie.

- Był wypadek. Ogień. Autostrada numer 9, auto zjechało z Devon Drive. - Klęka przy ciele Juliet. - Co najmniej jedna osoba ranna.

Kilka samochodów hamuje z piskiem opon. Ludzie niepewnie wypełzają z aut, wszyscy nagle trzeźwi, wszyscy rozmawiają szeptem, patrząc na niewielkie, pokurczone ciało leżące na jezdni, na dym i ogień wydobywające się z lasu. Emma McElroy hamuje z piskiem opon i wysiada z samochodu, zasłaniając usta obiema dłońmi, a oczy chcą jej wyskoczyć z orbit. Nie zamyka nawet drzwi w swoim mini i ze środka dochodzi głośna muzyka. W ciemności huczy piosenka *99 Problems* Jay-Z. Brzmi tak zwyczajnie, że aż przerażająco. Ktoś krzyczy:

- Na Boga, Emma, wyłącz to.

Dziewczyna wraca do samochodu i nagle nastaje cisza, w której słychać tylko dźwięk padającego deszczu i czyjś głośny szloch.

Czuję się jak we śnie. Cały czas próbuję się ruszyć, ale nie mogę. Już nawet nie czuję deszczu. Nie czuję własnego ciała.

W mojej głowie bez końca krąży tylko jeden obraz: biały rozbłysk tuż przed tym, jak wjechałyśmy prosto do ust lasu. Lindsay krzyknęła coś, czego nie mogłam zrozumieć.

Nie „szajs” ani „stój”, ani „zjazd”.

Sykes.

A potem z głębi lasu dochodzi długi, przesywający jęk i na drogę wytacza się Lindsay, z otwartymi ustami i łzami ciekącymi po twarzy. Kent idzie obok, podtrzymując Ally, która kuleje i pokasłuje, ale wygląda w porządku.

Lindsay wrzeszczy:

- Pomocy! Pomocy! Tam została Elody! Niech jej ktoś pomoże! Proszę.

Jest w takiej histerii, że jej słowa zlewają się w jedno przeciągłe, zwierzęce wycie. Siada na chodniku i łka z głową w dłoniach. Z oddali słychać skowyt syreny.

Nikt się nie rusza. Wszystko rozgrywa się w krótkich, szybko po sobie następujących sekwencjach - przynajmniej tak mi się wydaje - jakbym oglądała film, a obok błyskała lampa stroboskopowa. W deszczu gromadzi się coraz więcej uczniów. Stoją cicho i nieruchomo jak posągi. Koguty na dachach samochodów policyjnych obracają się, oświetlając scenę na czerwono, na białe, na czerwono, na białe. Postacie w mundurach - karetka - nosze - dwie pary noszy. Ciało Juliet pieczołowicie ułożone, drobne i delikatne, dokładnie jak tamto pisklą, lata temu. Lindsay wymiotuje, kiedy na drugich noszach wynoszą ciało ze zmiążdżonego samochodu. Kent głaszczuje jej plecy. Ally łka z otwartymi ustami, co jest dziwne, bo nie słychać żadnego dźwięku. Kiedy podnoszę oczy ku niebu, zauważam, że deszcz zmienił się w śnieg - grube, białe płatki wirują w ciemności, jakby za sprawą magii. Nie mam pojęcia, jak długo tak stoję. Spoglądam znowu na drogę i ze zdumieniem zauważam, że nie ma już na niej prawie nikogo, tylko kilku gapiów i jeden samochód policyjny oraz Kent, podskakujący dla rozgrzewki i rozmawiający z oficerem policji. Karetka już nie ma. Nie ma Lindsay. Nie ma Ally.

Nagle wyrasta przede mną Kent, choć nie zauważyłam, żeby podchodził. Próbuję powiedzieć: Jak to zrobiłeś?, ale z moich ust nie wydobywa się żaden dźwięk.

- Sam.

Kent mówi coś do mnie i wydaje mi się, że wymówił moje imię więcej niż jeden raz. Czuję uścisk, lecz dopiero po chwili zdaję sobie sprawę z tego, że położył mi dłonie na ramionach. Dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, że nadal mam ramiona i dopiero wtedy nagle wpadam z powrotem do mojego ciała, a wszystko to, co zobaczyłam, uderza we mnie z całym impetem. Nogi uginają się pode mną i padam w przód. Kent łapie mnie i podtrzymuje.

- Co się stało? - szepczę, zupełnie oszołomiona. - Czy Elody...? A Juliet...?

- Ciii - jego usta są tuż przy moim uchu. - Zmarzłaś na kość.

- Muszę jechać do Lindsay.

- Stoisz tu od godziny. Masz dłonie jak z lodu. - Zdejmuje gruby sweter i otula mnie nim. W jego rękach utkwily białe płatki śniegu. Chwyta mnie delikatnie pod łokieć i prowadzi w kierunku swojego domu. - Chodź. Rozgrzejesz się.

Nie mam siły się sprzeciwić. Pozwalam Kentowi zaprowadzić się do jego domu. Jego dłonie nie przestają mnie dotykać i choć ledwo muskają moje plecy, czuję, że bez niego upadłabym.

Wydaje mi się, że dotarliśmy do domu Kenta, choć nie wykonaliśmy najmniejszego ruchu. Jesteśmy w kuchni. Kent podsuwa mi krzesło i sadza mnie na nim. Jego usta się poruszają i mówi kojącym tonem, ale nie rozumiem co. Moje ramiona nagle otula gruby koc, a w palcach rąk i nóg czuję ostry ból, kiedy wraca do nich czucie - jakby ktoś wbijał w nie rozgrzane do czerwoności igły. Nie mogę przestać się trząść. Moje zęby szczękają jak kości do gry grzechoczące w kubku.

W rogu nadal stoją beczki po piwie i wszędzie porozstawiane są w połowie puste kubki z niedopałkami pływającymi w środku, ale muzyka jest wyłączona i dom bez ludzi robi zupełnie inne wrażenie. Mój umysł skupia się na wielu drobnych szczegółach, odbijając się od nich rykoszetem jak piłeczka pingpongowa: haftowana serwetka nad zlewem z napisem „Martha Stewart tu nie mieszka”, zdjęcia przypięte do lodówki, na nich Kent z rodziną gdzieś na plaży, z krewnymi, których nie znam, obok stare widokówki z Paryża, Maroko, San Francisco, rzędy kubków z napisami w stylu: KOFEINA ALBO ŻYCIE i CZAS NA HERBATE, ustawione w szafce ze szklanymi drzwiczkami.

- Dwie pianki waniliowe czy jedna? - pyta Kent.

- Co? - mój głos brzmi chropawo i dziwnie. W jednej chwili wracają do mnie wszystkie zmysły: słyszę syk gotującego się w garnku mleka; widzę wyraźnie twarz Kenta, jest słodki i zatroskany, w jego zmierzwionych brązowych włosach topnieją płatki śniegu; koc wokół moich ramion pachnie lawendą.

- Wrzucę ci kilka - mówi Kent i odwraca się do kuchenki.

Po minucie staje przede mną olbrzymi kubek (na tym widnieje napis DOM JEST TAM, GDZIE CZEKOLADA) wypełniony po brzegi spienioną, gorącą czekoladą - prawdziwą, a nie taką z torebki - w której pływają wielkie waniliowe pianki. Nie wiem, czy poprosiłam o to, czy czyta w moich myślach.

Kent siada przy stole naprzeciw mnie i patrzy, jak upijam łyk. Czekolada jest pyszna, w sam raz słodka, z dodatkiem mnóstwa cynamonu i czegoś jeszcze, czego nie mogę zidentyfikować. Odstawiam kubek na stół, moje dłonie już się tak nie trzęsą.

- Gdzie jest Lindsay? - pytam, kiedy wraca do mnie ta scena: Lindsay przede mną na kolanach, wymiotująca. Musiała postradać zmysły, nigdy nie zrobiłaby czegoś takiego publicznie. - Wszystko z nią w porządku?

Kent kiwa głową. Nie spuszcza ze mnie wzroku.

- Lindsay nic nie grozi. Musieli wziąć ją do szpitala, żeby sprawdzić, czy nie ma wstrząśnienia mózgu, i zrobić inne badania. Ale nic jej nie będzie.

- Ona... Juliet tak szybko wbiegła... - zamykam oczy, wyobrażając sobie białą, rozmytą plamę, a kiedy je otwieram, Kent wygląda tak, jakby ktoś właśnie wrywał mu wnętrzności. - Czy ona... to znaczy Juliet...?

Kent kręci głową tylko raz.

- Nie dało się nic zrobić - mówi tak cicho, że gdybym nie wiedziała, co ma zamiar powiedzieć, nie usłyszałabym jego słów.

- Widziałam ją... - próbuję mówić, ale z trudem wydobywam z siebie słowa. - Mogłam ją złapać. Stała tak blisko.

- To był wypadek - Kent spuszcza wzrok. Nie wiem, czy sam w to naprawdę wierzy.

Chcę zaprzeczyć. Myślę o dziwnym półuśmiechu Juliet, kiedy powiedziała: „Może następnym razem. Ale raczej nie sądzę”. Zamykam oczy, odpędzając od siebie to wspomnienie.

- A co z Ally? Nic się jej nie stało?

- Wszystko dobrze. Wyszła z tego bez najmniejszego draśnięcia.

Głos Kenta nabiera mocy, ale słyhać w nim też błagalną nutę. Dociera do mnie, że próbuje powstrzymać mnie przed mówieniem - nie chce, żebym zadała to pytanie, które ciśnie mi się na usta.

- A Elody? - Mój głos sam zniża się do szeptu. Kent odwraca wzrok. Zaciska mocniej szczęki.

- Siedziała z przodu - wydusza z siebie, jakby każde słowo sprawiało mu ból, a mnie przypomina się Elody, jak nachyla się i skarży jęklonie, że zawsze to ja zajmuję miejsce obok kierowcy. - Cała siła uderzenia skierowana była na siedzenie pasażera.

Ciekawe, czy tak by to wytłumaczyli moim rodzicom w szpitalu? Kolizja, strona pasażera, siła uderzenia.

- Czy ona...? - nie potrafię dokończyć tego pytania.

Kent patrzy na mnie tak, jakby zaraz miał się rozplakać. Nagle przybyło mu lat, jego ciemne i smutne oczy są pełne łez.

- Przykro mi, Sam - mówi cicho.

- Niby co chcesz przez to powiedzieć? - Zaciskam pięści tak mocno, że paznokcie wbijają mi się w dłonie. - Chcesz powiedzieć, że... że ona... - Przerywam, bo nie mogę wypowiedzieć tych słów. Jeśli je wypowiem, to staną się rzeczywistością.

Mam wrażenie, że dla Kenta każde słowo jest ostrzem, które musi wyciągnąć sobie z żołądka.

- To było... umarła na miejscu. Bez bólu.

- Bez bólu? - powtarzam za nim trzęsącym się głosem. - Bez bólu? Skąd wiesz? Nie możesz tego wiedzieć. - Moje gardło zaciska się. - Tak powiedzieli? Powiedzieli „bez bólu”? Jakby odeszła w pokoju? Jakby wszystko było w porządku?

Kent wyciąga rękę, żeby chwycić moją dłoń.

- Sam...

- Nie. - Nagle odsuwam krzesło od stołu i wstaję. Całe moje ciało drży od gniewu. - Nie. Nie mów mi, że wszystko będzie w porządku. Nie mów, że jej nie bolało. Nie wiesz... nie masz pojęcia... Nikt z was nie wie, jak to boli. To boli...

Nawet nie wiem, czy mówię o Elody czy o sobie. Kent wstaje i tuli mnie. Moja głowa tonie nagle w jego ramionach, a ja łkam. Przyciska mnie mocno do siebie i mówi coś niedosłyszalnym szeptem w moje włosy. Zanim zupełnie się rozkleję i poddam się porywającemu mnie prądowi ciemności, przychodzi mi do głowy najdziwniejsza, najgłupsza myśl - że moja głowa idealnie pasuje do ramienia Kenta.

Nagle okazuje się, że nie mogę już dłużej myśleć o Elody i Juliet, i na mój umysł opada ciężka zasłona. Zaczynam płakać. To druga noc pod rząd, kiedy zupełnie rozłożyłam się na łopatki przed Kentem, choć on oczywiście o tym nie wie. Powinnam być wdzięczna, że nie pamięta, jak zeszłej nocy siedzieliśmy razem w zupełnie ciemnym pokoju, a nasze kolana prawie się stykały, tymczasem to właśnie sprawia, że czuję się bardziej samotna. W którymś momencie, kiedy powoli dochodzę do siebie, wyplątuje się z tej przygniatającej mnie zasłony, zdaję sobie sprawę, że Kent trzyma mnie nad ziemią. Moje stopy ledwo muskają podłogę.

Usta Kenta toną w moich włosach i czuję jego oddech tuż obok ucha. Przeszywa mnie prąd, który sprawia, że czuję się fatalnie, jeszcze bardziej zdezorientowana. Odsuwam się od Kenta, żeby między nami pojawił się choć minimalny dystans. Ale on nadal obejmuje mnie ramionami, zaciska je wokół mnie, a ja się nie wyrywam. Kent stoi mocno na nogach i jest taki ciepły.

- Nadal jesteś zmarznięta - mówi. Tylko przez jedną milisekundę dotyka mojego policzka zewnętrzną stroną dłoni, ale kiedy odsuwa rękę i tak czuję na skórze kontur jego dłoni, jakby wypaliła ślad. - Masz przemoczone ubranie.

- Bieliznę - rzucam.

Kent marszczy czoło.

- Co?

- Yyy... bieliznę. To znaczy spodnie, bluzę i bieliznę... wszystko w śniegu. Choć teraz to już raczej woda. Jest mi naprawdę zimno.

Jestem tak wyczerpana, że nawet nie czuję zażenowania. Kent zagryza tylko wargi i kiwa głową.

- Poczekaj tu - mówi. - I wypij do końca. - Skinieniem wskazuje na czekoladę.

Prowadzi mnie z powrotem do krzesła i znika. Cała się trzęsę, ale przynajmniej teraz mogę utrzymać kubek bez rozlewania zawartości na stół. Myślę tylko o podnoszeniu kubka do ust, o smaku kakao, o tykaniu zegara ze wskazówką w kształcie kociego ogona i śniegu zacinającym za oknem. Po kilku minutach Kent wraca z wielką bluzą, wytartymi dresami i złożonymi bokserkami.

- To moje - mówi, a potem robi się czerwony. - To znaczy nie moje. Nie nosiłem ich jeszcze. Mama mi je kupiła... - Gryzie się w język i przełyka ślinę. - To znaczy kupiłem sobie, chyba we wtorek. Jeszcze jest metka.

- Kent? - przerywam mu. On wciąga głęboko powietrze.

- Tak?

- Przepraszam, ale... czy mógłbyś nic nie mówić? - Gestem wskazuję na głowę. - Mój mózg to sieczka.

- Przepraszam - wypuszcza głośno powietrze. - Nie wiem, co robić. Chciałbym... chciałbym móc zrobić więcej.

- Dzięki - mówię.

Wiem, że się stara i zdobywam się na słaby uśmiech. Kent kładzie ubrania na stole, a obok nich duży, puchaty ręcznik.

- Nie wiedziałem, czy... Pomyślałem, że gdyby jeszcze było ci zimno, mogłabyś wziąć prysznic. - Czerwieni się, wymawiając słowo „prysznic”.

Kręcę głową.

- Chcę tylko iść spać.

Zupełnie zapomniałam o śnie. Kiedy wypowiadam te słowa, czuję ogromną ulgę. Wystarczy, że pójdę spać.

A jednak nagle zaczynam czuć, jak wzbiera we mnie pulsujące uczucie niepokoju. A jeśli tym razem dzień nie wróci do początku? Co, jeśli to koniec? Myślę o Elody i czuję, jak czekolada podchodzi mi do gardła.

Kent zauważa chyba mój wyraz twarzy, bo przykuca i nasze oczy są na jednej wysokości.

- Mogę coś dla ciebie zrobić? Coś ci przynieść? Kręcę głową, próbując się znowu nie rozplakać.

- Nic mi nie będzie. To tylko... szok. - Z trudem biorę kolejny łyk. - Chciałabym tylko... móc cofnąć czas, wiesz?

Kent przytakuje milcząco i kładzie dłoń na mojej głowie. Nie odsuwam jej.

- Gdybym tylko mógł to naprawić - mówi.

Z jednej strony to najgłupsza i najoczywistsza rzecz, jaką można powiedzieć. Ale z drugiej strony Kent mówi to w taki sposób, tak szczerze i prosto, jakby była to najprawdziwsza rzecz pod słońcem. Łzy zaczynają kłuć mnie w oczy. Biorę ubrania i ręcznik i idę przez korytarz do tej łazienki, do której się właliśmy, chcąc z niej wyciągnąć Juliet. Wchodzę i zamykam drzwi. Okno nadal jest otwarte i kłęby śniegu wpadają do środka. Zamykam okno. Już samo to sprawia, że czuję się lepiej, jakbym dzięki temu zaczynała proces wymazywania wszystkiego, co stało się tej nocy. Elody nic nie będzie.

W końcu to ja miałam siedzieć na przednim siedzeniu.

Wieszam ręcznik, który Juliet zostawiła na umywalce, i rozbieram się. Cała się trzęsę. Jednak nie mogę sobie odmówić prysznica. Odkręcam wodę, tak gorącą, jak tylko się da, i wchodzę do kabiny. To jeden z tych pryszniców, w których woda płynie z samej góry, jednym, nieprzerwanym strumieniem. Kiedy woda uderza o marmurowe płytki pod moimi stopami, w górę buchają wielkie kłęby pary. Stoję pod prysznicem tak długo, aż moja skóra robi się pomarszczona jak suszona śliwka.

Ubieram się w bluzę Kenta, która jest supermiękką i pachnie proszkiem do prania oraz - nie wiedzieć czemu - świeżo skoszoną trawą. Odrywam metkę od bokserek i wkładam je. Oczywiście są na mnie za duże, ale miłe w dotyku, czyste i świeże. Do tej pory widziałam tylko bokserki Roba, zazwyczaj zwinięte w kłębek na podłodze albo wrzucone pod łóżko, z plamami, których nie miałam nawet ochoty identyfikować. Wreszcie dresy, które zupełnie zasłaniają mi stopy. Kent dał mi też wielkie i ciepłe skarpety. Zwijam moje ubrania i zostawiam przed drzwiami łazienki.

Kiedy wracam do kuchni, widzę, że Kent wciąż stoi tak jak w chwili, kiedy z niej wychodziłam. Przybliżam się i w jego oczach dostrzegam błysk, ale nie wiem do końca, co on oznacza.

- Masz mokre włosy - mówi cicho, tak jakby w rzeczywistości mówił coś zupełnie innego.

Spuszczam wzrok.

- Jednak wzięłam prysznic.

Na kilka chwil zawisa między nami cisza. Potem Kent mówi:

- Jesteś zmęczona. Odwiozę cię do domu.

- Nie. - Wypowiadam to słowo ostrzej, niżbym chciała. Kent wygląda na zaskoczonego. - Nie... to znaczy nie mogę. Nie chcę teraz jechać do domu.

- Twoi rodzice... - Kent urywa.

- Proszę.

Nie wiem, co byłoby gorsze: czy gdyby rodzice już o wszystkim usłyszeli i teraz czekali na mnie, żeby zacząć wypytywać, a rano rozmawiać o szpitalu i jakimś terapeutę, który będzie miał mi pomóc sobie z tym poradzić, czy gdyby jeszcze o niczym nie słyszeli, a ja przyjechałabym do ciemnego domu.

- Mamy tu pokój dla gości - mówi Kent. Jego włosy wysychają i zwijają się w małe loki i fale.

- Tylko nie pokój dla gości - energicznie kręcę głową. - Chcę do prawdziwego pokoju. W którym ktoś mieszka.

Kent patrzy na mnie przez chwilę, a potem mówi:

- Chodź.

Chwyta moją dłoń, a ja pozwalam się prowadzić. Wchodzimy po schodach do korytarza i idziemy ku drzwiom oblepionym naklejkami na zderzak. Mogłam się domyślić, że to jego pokój. Kent szamoce się z klamką.

- Zacina się - wyjaśnia.

Wreszcie udaje mu się otworzyć drzwi. Wdycham głęboko powietrze. Zapach jest dokładnie taki sam jak zeszłej nocy, kiedy byłam tu z Robem, ale wszystko wygląda inaczej. Ciemność wydaje się z jakiegoś powodu bardziej miękka.

- Daj mi sekundę.

Kent ściska moją dłoń i odchodzi. Słyszę szelest zasłon i nagle wzdycham - moim oczom ukazują się trzy olbrzymie okna, rozciągające się od podłogi do sufitu. Zajmują całą ścianę. Kent jeszcze nie włączył światła, ale bynajmniej nie musi. Wielki i fosforyzujący księżyc odbija światło, które pada na oślepiająco biały śnieg i jeszcze bardziej się rozjaśnia. Cały pokój skąpany jest w pięknym, srebrzystym blasku.

- To niesamowite - mówię. Wypuszczam oddech. Nawet nie zauważyłam, że go wstrzymuję.

Kent uśmiecha się przez sekundę. W poświacie księżyca widzę zarys jego twarzy.

- Tu jest pięknie w nocy. Ale nie tak cudownie, jak o wschodzie słońca.

Zaczyna zasuwając zasłony.

- Zostaw! - krzyczę, a potem dodaję: - Proszę. Nagle czuję się zawstydzona.

Pokój Kenta jest ogromny. Pachnie oszałamiającą mieszanką zmiękczającego płynu do prania i skoszonej trawy. To najświeższy zapach na świecie, zapach otwartych okien i czystych prześcieradeł. Zeszłej nocy nie dostrzegłam niczego poza łóżkiem. Teraz widzę, że przy ścianach ustawiono jeden przy drugim regały z książkami. W rogu stoi biurko, a na nim komputer. Na ścianach wiszą zdjęcia w ramkach, na nich dostrzegam rozmazane postacie, ale nie widzę żadnych szczegółów. Kent zauważa, że gapię się na gigantyczny, workowaty puf wciśnięty w inny kąt.

- Mam go od siódmej klasy podstawówki - mówi. Wydaje mi się mimo ciemności, że się czerwieni.

- Też taki miałam - przyznaję się.

Nie tłumaczę, dlaczego go wyrzuciłam. Bo Lindsay powiedziała, że wygląda jak workowaty toból. Nie mogę teraz myśleć o Lindsay ani o Ally. A już na pewno nie o Elody.

Kent odsuwa kołdrę na łóżku i oddala się nieco, odwracając tyłem, żeby nie czuła się skrępowana. Wdrapuję się do łóżka. Mam ciężkie ręce i nogi sztywne tak, że aż boli. Czuję się nieco zażenowana, ale skrajne wyczerpanie mnie otępia. Obojętnieję. Łóżko ma u wezłowia drewnianą deskę i podobną na drugim końcu, więc kiedy tylko się w nim wyciągam, wydaje mi się, jakbym jechała w wielkich saniach. Przechyliłam głowę, żeby móc patrzeć na śnieg powoli szybujący w powietrzu, i zamykam oczy, wyobrażając sobie, że lecę przez las, gdzieś daleko, do jakiegoś dobrego miejsca, do ślicznego, małego, białego domku, w którego oknach palą się świece.

- Dobranoc - szepcze Kent. Zachowywał się tak cicho, że zapomniałam, że jeszcze tu jest.

Otwieram oczy i podpieram się na łokciu.

- Kent?

- Tak?

- Mógłbyś ze mną chwilę posiedzieć?

Kent przytakuje i bez słowa przysuwa krzesło od biurka do łóżka. Podciąga kolana do brody i patrzy na mnie. Światło księżyca wpadające przez okno sprawia, że jego włosy wydają się srebrne.

- Kent?

- Tak?

- Nie wydaje ci się dziwne, że tu z tobą jestem? - Zamykam oczy, kiedy to mówię, żeby nie musieć patrzeć na jego twarz.

- Jestem naczelnym „Chaosu” - odpowiada. - I kiedyś przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni chodziłem w kroksach. Mnie już nic nie zdziwi.

- Zapomniałam o twojej fazie kroksów - mówię. Wreszcie rozgrzewam się pod kołdrą i czuję, jak ogarnia mnie sen, jakbym stała na gorącej plaży, a przyływ obmywał mi stopy. - Kent?

- Tak?

- Czemu jesteś dla mnie taki dobry?

Cisza trwa długo i wydaje mi się, że Kent nigdy nie odpowie. Wyobrażam sobie, że słyszę odgłos śniegu spadającego na ziemię, śniegu zakrywającego ten dzień, wymazującego go do czysta. Za bardzo się

boję, żeby otworzyć oczy. Jestem przerażona, że czar pryśnie, przerażona, że Kent będzie wyglądał na wkurzonego albo urażonego.

- Pamiętasz ten okres w drugiej klasie, zaraz po śmierci mojego dziadka? - pyta wreszcie niskim, cichym głosem. - Rozryczałem się na stołówce, a Phil Howell powiedział, że jestem ciotą. Przez to płakałem jeszcze bardziej, chociaż nawet nie wiedziałem, co to znaczy ciota. - Śmieje się cicho w ciemności.

Zaciskam mocno oczy i pozwalam, by jego głos mnie prowadził. W zeszłym roku ktoś nakrył Phila Howella z półnagim Seanem Treborem na tylnym siedzeniu bmw jego ojca. Zabawne, jak toczy się życie.

- W każdym razie, kiedy powiedziałem, żeby dał mi spokój, rzucił moją tacą i wszędzie rozsypało się jedzenie. Nigdy tego nie zapomnę: na obiad były kotlety z indyka i ziemniaki piure. A ty podeszłaś, zebrałaś ziemniaki z podłogi rękami i rzuciłaś Philowi prosto w twarz. A potem podniosłaś kotleta i roztarłaś go Philowi na koszulce. I powiedziałaś: „Jesteś gorszy niż ten obiad”. - Znowu się śmieje. - W drugiej klasie była to niesamowita obelga. A Phil był tak zdumiony i wyglądał tak idiotycznie, kiedy stał jak wryty, cały upačkany ziemniakami, z kawałkami cebuli na T-shircie, że zacząłem się śmiać i nie mogłem przestać. To był pierwszy raz, kiedy się śmiałem, od chwili gdy dowiedziałem się, że dziadek umarł. - Przerzywa na chwilę. - Pamiętasz, co ci wtedy powiedziałem?

To wspomnienie gdzieś we mnie jest, schowane głęboko, ale powraca jak balonik, który uleciał dawno temu, a teraz go znalazłam. Całą tę scenę widzę nagle jasno i wyraźnie.

- Jesteś moim bohaterem - mówimy jednocześnie.

Nie słyszałam, żeby Kent się poruszył, ale nagle jego głos słyszę z bliska, a on odnajduje moje dłonie i zamyka je w swoich.

- Tego dnia przyrzekłem sobie, że kiedyś będę twoim bohaterem, choćby nie wiem ile czasu miało mi to zająć - szepcze.

Siedzimy tak bardzo długo. Wydaje mi się, że upłynęło wiele godzin i chociaż przez cały czas sen chce mnie zmorzyć, odciągnąć od Kenta, to moje serce łomocze jak skrzydła ćmy, odganiając sny, ciemność i mgłę, które zasnuwają mój umysł. Jeśli zasnę, to to stracę. Stracę ten moment na zawsze.

- Kent? - pytam głosem wydobywającym się z mgły, jakby słowa wędrowały całą wieczność z mojego mózgu do ust.

- Tak?

- Obiecujesz, że zostaniesz tu ze mną?

- Obiecuję - mówi Kent szeptem.

I wtedy - dokładnie w tym momencie, kiedy nie jestem pewna, czy to już sen czy jeszcze jawa, czy może idę w jakiejś dolinie między dwoma światami, gdzie spełniają się wszystkie marzenia - czuję muśnięcie jego ust na moich ustach. Ale jest za późno, już się osuwam w dół, już mnie nie ma, jego też już nie ma, a ta chwila zwija się i niknie, jak kwiat, który zamyka się na noc.

ROZDZIAŁ 6

Tym razem w moim śnie rozbrzmiewa jakiś dźwięk. Kiedy spadam w ciemności, słyszę brzęczącą, dzwoniącą muzykę, jaką słyszy się czasami u lekarza albo w windzie, i uświadamiam sobie, choć nie wiem nawet w jaki sposób, że muzyka sączy się z gabinetu pedagoga szkolnego w naszym liceum.

Kiedy tylko to do mnie dociera, w ciemności wybuchają małe, jasne plamki. Zbliżam się do rozwieszonych w rzędku wszystkich tych wkurzających plakatów z reklamami społecznymi, którymi pani Gardner przyozdobiła ściany, tylko że w moim śnie wszystkie plakaty zostały powiększone stukrotnie i każdy ma wielkość domu. Na jednym pod portretem Einsteina widnieje napis: NIE WIŃ GRAWITACJI ZA UPADEK MORALNY. Na innym plakacie umieszczono cytaty z Thomasa Edisona: GENIUSZ TO 1 PROCENT NATCHNIENIA I 99 PROCENT PRACY BEZ WYTCHNIENIA. Myślę, czyby nie złapać się jednego z plakatów, ale boję się, że mnie nie utrzyma. Przelatuję obok obrazka z kotem w pręgi, który zawisł na gałęzi drzewa i trzyma się jej pazurami. Napis głosi: ZWISA MI TO.

A co najzabawniejsze, kiedy tylko to widzę, świst w uchu cichnie, uczucie przerażenia gdzieś się ulatnia, a ja dostrzegam, że przez cały ten czas wcale nie spadałam. Unosiłam się w przestrzeni.

Dźwięk budzika to najśłodszy odgłos, jaki w życiu słyszałam. Siadam na łóżku i wzbiera we mnie ogromna fala śmiechu. Mam wielką ochotę dotknąć wszystkiego w pokoju - ścian, okna, kolażu, zdjęć zawalających moje biurko, dzinsów rzuconych na podłogę, podręcznika do biologii, a nawet bladego światła sączącego się znad parapetu. Gdybym tylko mogła nabrać go w dłoń i ucałować, zrobiłabym to.

- Ktoś ma dobry nastrój - mówi mama, kiedy schodzę na dół. Izzy siedzi przy stole przed swoim bajgłem z masłem orzechowym, jak zwykle gryzie go dokładnie i powoli.

- Wesolego Dnia Kupidyna - mówi tata. Stoi przy kuchence i przypala mamie jajka na śniadanie.

- Mój ulubiony - mówię i zniecka odgryzam kawałek bajgla Izzy. Izzy piszczy i uderza mnie w dłoń. Daję jej wielkiego całusa w czoło.

- Nie obśliniaj mnie - mówi Izzy.

- Do zobaczenia później, żabko.

- Nie mów do mnie „żabo” - Izzy wystawia język pokryty masłem orzechowym.

- Jak tak robisz, to wyglądasz jak stara, wielka żaba.

- Chcesz śniadanie, Sam? - pyta mama.

*Nigdy nie jem śniadania w domu, ale mama i tak pyta każdego dnia - w każdym razie zawsze, gdy wpadnie na mnie, zanim wyjdę - i w tej chwili zdaję sobie sprawę, jak bardzo kocham małe, rutynowe czynności w moim życiu: to, że mama zawsze pyta; to, że ja zawsze odmawiam, bo w aucie Lindsay czeka na mnie sezamowy bajgiel; to, że zawsze słuchamy *No More Drama*, kiedy podjeżdżamy na parking; to, że w niedzielę mama zawsze gotuje spaghetti z klopsikami; to, że raz w miesiącu tata przejmuje dowodzenie w kuchni i robi swój „gulasz specjalny”, czyli kielbaski z gotowaną fasolką, ogromną ilością keczupu i melasą, i nigdy bym się nie przyznała, że mi to smakuje, chociaż tak naprawdę to jedno z moich ulubio-*

nych dań. Drobiazgi układają się w szczególny wzór mojego życia, sprawiają że jest niepowtarzalne - jak ręcznie tkany dywan, któremu indywidualne piętno nadają drobne skazy w splocie, niewielkie dziurki, uskoki i niedoskonałości, których nie da się podrobić.

Okazuje się, że tyle rzeczy jest pięknych, jeśli bliżej im się przyjrzeć.

- Nie, dziękuję za śniadanie. - Podchodzę do mamy i obejmuję ją. Zaskoczona, aż piszczy. Nie przytulałyśmy się chyba od kilku lat, poza obowiązkowym dwusekundowym uściskiem na urodziny. - Kocham cię.

Kiedy ją puszczam, gapi się na mnie, jakbym właśnie oznajmiła, że rzucam szkołę, żeby rozpocząć karierę w cyrku jako kobieta-guma.

- Co? - pyta tato, wrzucając patelnię do zlewu i wycierając ręce w ściereczkę. - A swojego starego już nie kochasz?

Przewracam oczami. Nienawidzę, jak tato próbuje „mówić jak młodzież”, jak on to nazywa, ale tym razem nie robię o to awantury. Dziś nic mnie nie wyprowadzi z równowagi.

- Pa, tato.

Pozwalam, żeby zamknął mnie w jednym ze swoich niesławnych niedźwiedzich uścisków. Od stóp do głów wypełnia mnie miłość, jakby musowała w środku niczym cola we wstrząśniętej butelce. Wszystko - naczynia w zlewie, bajgiel Izzy, uśmiech mamy - wygląda tak przejrzyście, jakby było zrobione ze szkła albo jakbym widziała to po raz pierwszy w życiu. Olśniewa mnie to i znowu chcę chodzić wkoło i wszystkiego dotykać, upewnić się, że to prawdziwe. Zrobiłabym tak, gdybym tylko miała więcej czasu. Wzięłabym w obie dłonie połówkę grejpfruta leżącą na stole i powąchałabym. Wsunęłabym palce we włosy Izzy.

Ale nie mam czasu. To Dzień Kupidyna, na zewnątrz czeka Lindsay, a ja mam do załatwienia ważne sprawy. Dziś zamierzam uratować dwa życia: Juliet Sykes i swoje.

Niech stanie się światłość

- Biiip, biiip - krzyczy Lindsay z okna samochodu, kiedy ślizgając się, idę niepewnie po oblodzonym chodniku, wciągając do płuc zimne powietrze. Cieszą mnie ukłucia chłodu, cieszy mnie nawet gorzka woń papierosa Lindsay i coraz gęstszych spalin. - Ostra laska! Ile?

- Jeśli już pytasz - mówię, siadając na przednim siedzeniu - to nie stać cię.

Lindsay uśmiecha się od ucha do ucha i wręcza mi kawę, zanim jeszcze po nią sięgnę.

- Szczęśliwego Dnia Kupidyna.

- Szczęśliwego Dnia Kupidyna - mówię i stukamy się styropianowymi kubkami.

Ją też widzę wyraźniej niż kiedykolwiek. Lindsay, dziewczyna o anielskiej twarzy, z brudnymi, skołtunionymi blond włosami, z paznokciami pomalowanymi czarnym lakierem, który w połowie już zszedł, ze sponiewieraną skórzaną torbą Dooney & Bourke, na dnie której zawsze walają się w połowie rozpakowane gumy do żucia oblepione drobinami tytoniu. Lindsay, która nienawidzi się nudzić, która zawsze jest w ruchu, zawsze w biegu. Lindsay, która kiedyś, pijana, zarzucając nam ręce na ramiona, powie-

działała w arboretum: „My kontra cały świat, kochane”, i naprawdę to właśnie miała na myśli. Lindsay złośliwa, zabawna, okrutna, lojalna i moja.

W przypiływie emocji nachylam się i całuję ją w policzek.

- Co jest, bawimy się w lesby? - Lindsay podnosi ramię aż do policzka i ściera w ten sposób ślad po moim błyszczyku. - A może ćwiczysz przed wieczorem?

- Może jedno i drugie - mówię, a ona głośno się śmieje.

Upijam łyk kawy. To niesamowicie gorąca i chyba najlepsza kawa w całym Ridgeview, na całym świecie. Dzięki ci, Panie, za Dunkin' Donuts.

Lindsay papie o tym, ile róż spodziewa się dostać i czy Marcy Posner jak zawsze załamie się i porczy w łazience po piątej lekcji, bo Justin Streamer rzucił ją trzy lata temu w Dzień Kupidyna, w ten sposób skazując ją na wieki na los osoby średnio popularnej. Ja patrzę przez okno na Ridgeview, które przepływa obok niczym zamazany, szary obrazek. Próbuję sobie wyobrazić, jak za kilka miesięcy drzewa wypuszczą cieniutkie gałązki w stronę nieba, a cały krajobraz pokryje się warstewką trawy i kwiatów, niczym delikatną mgiełką. A potem, kilka miesięcy później, całe miasto eksploduje zielenią. Ogromna ilość drzew i trawy sprawi, że Ridgeview będzie wyglądało jak malowidło, na którym jeszcze nie wyschła farba. Wyobrażam sobie, że ten obraz już czeka pod powierzchnią świata i wystarczy zmienić slajdy w projektorze, by nagle nastąpi lato.

Podjeżdżamy po Elody, która idzie chwiejnym krokiem przez trawnik w butach na wysokich obcasach, bez kurtki, z ramionami zaciśniętymi wokół siebie. Kiedy ją widzę, żywą i tryskającą radością, czuję taką ulgę, że zaczynam ryczeć ze śmiechu. Lindsay patrzy na mnie spod uniesionych brwi.

- Zamarznie - mówię, żeby się usprawiedliwić, i biorę głęboki wdech.

Lindsay kręci palcem wokół ucha.

- Ma bzika na punkcie Nesquicka.

- Ktoś powiedział „Nesquick”? - mówi Elody, wsiadając do auta. - Umieram z głodu.

Odwracam się, chcąc na nią popatrzeć. Muszę się powstrzymać, by nie przeleźć na tylne siedzenie i nie wskoczyć na nią. Czuję przemożną chęć dotknięcia jej, upewnienia się, że naprawdę tu siedzi, cała i zdrowa. W pewien sposób jest najodważniejsza i najdelikatniejsza z nas wszystkich. Chciałabym móc jej to powiedzieć.

- Co? - Elody marszczy nos i zdają sobie sprawę, że się na nią gapię. - Coś nie tak? Upaśćkałam się pastą do zębów czy co?

- Nie - mówię i znowu wzbiera we mnie śmiech, jak fala niosąca szczęście i ulgę. Dla mnie ta chwila mogłaby trwać wiecznie. - Ślicznie wyglądasz.

Lindsay chichocze i przygląda się Elody we wstecznym lusterku.

- Masz pod tyłkiem bajgle, ślicznotko.

- Pycha, bajgle spod tyłka. - Elody sięga do torby i wyciąga w połowie zgniecionego bajgla, a potem teatralnym gestem bierze gigantyczny kęs. - Smakuje jak bielizna Victorias Secret.

- Smakuje jak guma od majtek - mówię.

- Smakuje jak twoje krocze - dodaje Lindsay.

- Smakuje jak pierd - mówi Elody, a Lindsay parska kawą na deskę rozdzielczą, ja zaczynam się śmiać i przez całą drogę do szkoły wymyślamy różne smaki bajgli spod tyłka. Przez cały czas myślę, że może to wszystko: moje życie, moje przyjaciółki, jest dziwne, pokopane, niedoskonałe, zepsute i Bóg wie jakie jeszcze, ale i tak uważam, że to najlepsze, co mogło mnie spotkać.

Kiedy podjeżdżamy do parkingu pod szkołą, nagle krzyczę, żeby Lindsay się zatrzymała. Ona hamuje z piskiem opon, a Elody przeklina, bo oblewa się kawą.

- Co do cholery? - Lindsay kładzie rękę na sercu. - Śmiertelnie mnie przestraszyłaś.

- Och... przepraszam. Myślałam, że widzę Roba.

Przed nami Chevrolet Sarah Grundel skręca w Aleję Seniorów, wyprzedzając nas o piętnaście sekund. Miejsce do parkowania to drobiazg, mały szczegół, ale dziś nie zamierzam niczego skopać. Nie będę ryzykować. Jak w tej grze, w którą graliśmy w dzieciństwie: jeśli nadepnąłeś na spojenie w chodniku, to znaczy, że zabijesz własną matkę. Nawet nie wierząc w to, na wszelki wypadek szło się ostrożnie.

- Przepraszam, moja wina.

Lindsay przewraca oczami i naciska pedał gazu.

- Tylko mi nie mów, że zamieniłaś się w psychopatyczną podglądaczkę.

- Daj jej spokój - Elody nachyla się i klepie mnie po ramieniu. - Po prostu denerwuje się dzisiaj wieczorem.

Zagryzam wargi, żeby się nie roześmiać. Gdyby Lindsay i Elody miały choć blade pojęcie, co właśnie chodzi mi po głowie, to pewnie zawiozłyby mnie prosto do psychiatryka. Przez cały ranek, kiedy tylko zamykam oczy, wyobrażam sobie, jak usta Kenta McFullera dotykają moich ust, muskają je niczym skrzydła motyla. Wyobrażam sobie koronę światła okalającą jego loki i dotyk jego dłoni, kiedy mnie podtrzymuje. Opieram czoło o szybę. W odbiciu widzę swój uśmiech, coraz szerszy, gdy Lindsay podjeżdża do Alei Seniorów, przeklinając, bo Sarah Grundel zajęła ostatnie miejsce do parkowania.

Nie idę z Elody i Lindsay prosto do głównego holu. Odłączam się od nich, mamrocząc, że boli mnie głowa, i kieruję się do budynku A, do gabinetu pielęgniarek. To tam przechowywane są róże w Dzień Kupidyna, a ja muszę dokonać kilku poprawek. No dobra, może kłamstwo nie jest wysoko punktowane na Skali Dobrych Uczynków (szczególnie, jeśli okłamuje się najlepszych przyjaciół), ale robię to w słusznej, naprawdę słusznej sprawie.

Gabinet pielęgniarek jest długi i wąski. Zazwyczaj na całej długości ustawione są tu w dwóch rzędach kozetki, ale teraz usunięto je i na ich miejscu stoją składane stoliki. Ciężkie stopy, dzięki którym zazwyczaj panuje tu ciemność jak w sali kinowej, zostały odsunięte i pokój wręcz się rozświetlił. Blask odbija się od metalowych elementów i zygzakiem wędruje szaleńczo po jasnych ścianach. Wszędzie stoją róże - zsuwają się z tac, wypełniają wszystkie kąty, kilka nawet spadło na podłogę i mają podeptane płatki - i

gdyby ktoś nie wiedział, że w tym chaosie jest jakaś organizacyjna metoda, mógłby pomyśleć, że bomba trafiła w kwaciarnię.

Pani Devane, która zazwyczaj kieruje przebiegiem Dnia Kupidyna, nie ma tu, ale przy jednym z wiader stoją trzy Kupidyńki i śmieją się. Podskakują i robią krok w tył, kiedy się pojawiają. Oczywiście czytały liściki. Te małe karteczki z urywkami słów, półkomplementami i nietaktownymi komplementami, złamanymi obietnicami, półzyczeniami i słowami, które prawie wyrażają to, co chcesz powiedzieć, ale nigdy nie zawierają całej historii ani nawet jej połowy. Pokój pełen słów, które są prawdziwe, ale nie do końca. Każdy liścik trzepoce przy łodydze swojej róży jak złamane skrzydło motyla. Żadna z dziewczyn nie ośmiela się do mnie odezwać, kiedy idę wzdłuż leżących kwiatów, oglądając wszystkie liściki i szukając tych na literę S. Wątpię, by ktokolwiek wpychał się do Pokoju Róż, a już na pewno żaden trzecio- lub czwartoklasista. Wreszcie znajduję tacę oznaczoną „St-Ta”. Pięć czy sześć róż dla Tamary Stugen, trzy dla Burta Swortneya, i kolejne pół tuzina dla Andrew Stvorka, który ma najbardziej niefortunne nazwisko, jakie kiedykolwiek słyszałam. A, tego szukam: jedna róża dla Juliet Sykes, z liścikiem delikatnie przywiązanym do łodygi. MOŻE ZA ROK, ALE RACZEJ WĄTPIĘ. „Może następnym razem, ale raczej wątpię”.

- Hm... mogę ci w czymś pomóc?

Jedna z dziewczyn idzie naprzód kilka metrów. Wykręca ręce i wygląda na przerażoną.

Róża Juliet jest chuda i młoda, delikatnie zabarwiona na różowo. Ma zamknięty kielich. Jeszcze nie rozkwitła.

- Potrzebuję róż - odpowiadam. - I to dużo.

Poprawki i retusze

Wychodzę z Pokoju Róż podekscytowana i pełna energii, jakbym właśnie wypila trzy latte w naszej ulubionej kawiarni w centrum handlowym. Zastąpiłam jedną różę Juliet olbrzymim bukietem - wywaliłam czterdzieści dolców na dwa tuziny z liścikiem napisanym drukowanymi literami: OD TWOJEGO TAJEMNICZEGO WIELBICIELA. Chciałabym stać obok niej, kiedy go dostanie. Jestem pewna, że będzie wniebowzięta. Co więcej, jestem pewna, że dzięki temu wszystko się ułoży. Dostanie nawet więcej róż niż Lindsay Edgecombe. Wyobrażam sobie, jak Lindsay wybałuszy oczy, kiedy zobaczy, że przegrała z Juliet Sykes w walce o to, kto zbierze najwięcej Valogramów w tym roku, i na cały głos parskam śmiechem w samym środku lekcji historii. Wszyscy odwracają się i patrzą na mnie, ale mam to gdzieś. Tak się chyba czują ludzie po narkotykach. Płynę od jednego przedmiotu do drugiego, a wszystko wydaje się nowe, świeże i rozświetlone. A rano nie czeka mnie poczucie winy i kac. Ani więzienie.

Kiedy pan Tierney robi niezapowiedzianą kartkówkę, przez dwadzieścia minut rysuję serduszka i baloniki wokół pytań, a gdy podchodzi, żeby zebrać testy, posyłam mu tak promienny uśmiech, że on robi grymas, jakby nie był przyzwyczajony do ludzi, którzy wyglądają na szczęśliwych.

Przez cały poranek czatuję w korytarzu na Kenta. Nawet nie wiem, co mu powiedzieć, kiedy go spotkam. Nie mam mu tak naprawdę nic do powiedzenia. Nie wie przecież, że spędziliśmy razem dwie poprzednie noce i że za każdym razem zbliżyliśmy się tak bardzo, że gdyby jedno z nas wzięło głębszy

oddech, to zaczęlibyśmy się pewnie całować, przynajmniej poprzedniej nocy. Ale czuję ogromną potrzebę znalezienia się obok Kenta, chcę zobaczyć wszystkie jego tiki. Chcę zobaczyć, jak odsłania włosy z oczu, krzywo się uśmiecha, szura swoimi idiotycznymi trampkami w szachownicę i chowa dłonie w mankietach zbyt długich rękawów. Serce podchodzi mi do gardła za każdym razem, kiedy wydaje mi się, że widzę go, jak sunie korytarzem, albo kiedy zauważam jakąś brązową czuprynę. Ale to nie on, wciąż się nie pojawia, moje serce wraca, skąd przyszło, na samo dno żołądka.

Przynajmniej mam pewność, że zobaczę go na matematyce. Po wychowaniu obywatelskim spędzam w łazience trzy minuty - robię się na bóstwo przed lustrem i ignorując drugoklasistki plotkujące wokół mnie, próbuję nie myśleć o tym, że za jakieś dwadzieścia pięć minut stanę twarzą w twarz z panem Daimlerem. Mój żołądek od rana kręci się jak na karuzeli - czekanie na chwilę, gdy Juliet dostanie róże, nadzieja na spotkanie z Kentem, przecucie rozczarowania - i nie jestem pewna, czy wytrzyma czterdzieści pięć minut, obserwując, jak pan Daimler posyła nam swoje uśmieszki, puszcza oko i robi miny. Odpędzam od siebie wspomnienie jego mokrego języka, który wpychał mi do ust.

- Ale dziwka. - Jakaś drugoklasistka wychodzi z kabiny, kręcąc głową.

Przez jedną, paranoiczną sekundę wydaje mi się, że mówi o mnie - że właśnie czytała mi w myślach - ale w tej samej chwili jej przyjaciółka wybucha śmiechem i jedna z nich mówi:

- Wiem. Słyszałam, że uprawiała seks z trzema chłopakami z drużyny koszykówki.

Wtedy zdaję sobie sprawę, że mówią o Annie Cartullo. Drzwi kabiny otwierają się na oścież i dostrzegam wyraźnie napis zrobiony przez Lindsay. AC = GK. A pod spodem: „Wracaj do slumsów”.

- Nie powinnaś wierzyć we wszystko, co usłyszysz - wypalam, a wszystkie trzy dziewczyny nagle milkną i wlepiają we mnie wzrok. - To prawda - ciągnę dalej, bo tak zaangażowana publiczność dodaje mi tylko odwagi. - Wiecie, skąd się bierze większość plotek?

Dziewczyny kręcą głowami. Stoją tak blisko siebie, że ani chybi ich głowy zaraz się zderzą.

- Bo komuś się nudziło.

Rozbrzmiewa dzwonek i drugoklasistki wybiegają pędem z łazienki, jakby pani wypuściła je z klasy. Stoję w łazience i próbuję zmusić moje stopy, by wyszły na korytarz i powędrowały w stronę schodów, a potem na dół i w prawo, na matematykę, ale nie mogę się ruszyć. Nie mogę oderwać wzroku od napisu na drzwiach kabiny, przypominając sobie, jak Ally się śmiała i pokazywała kopie, zrobione przez jakiegoś naśladowcę. AC = GK. Na pewno Lindsay to napisała - cztery obleśne litery, głupie, bez znaczenia - bo taka miała kaprys, albo żeby sprawdzić nowy flamaster i zobaczyć, ile ma tuszu. Chyba już lepiej by było, gdyby naprawdę o to jej chodziło. Byłoby lepiej, gdyby naprawdę nienawidziła Anny. Bo to ma znaczenie. Miało znaczenie.

Nie zważając na to, że oficjalnie już spóźniłam się na matematykę, zwilżam kawałek papieru toaletowego, tylko żeby sprawdzić, i zaczynam pocierać napis na drzwiach. Nie chce zejść. Ale skoro już zaczęłam, nie mogę przestać. Pod umywalką znajduję wysuszoną gąbkę i butelkę płynu do mycia. Przytrzymuję drzwi jedną ręką i napieram na nie drugą, trąc dziko. Po chwili graffiti na drzwiach robi się jaśniejsze, a po

kolejnej prawie nie widać liter. Czuję się tak dobrze po starciu napisu z pierwszych drzwi, że idę dalej i ścieram dwa pozostałe, choć już boli mnie ramię i łapie skurcz. Trochę się pocę w swoim podkoszulku i w duchu przeklinam Lindsay przez cały czas za jej kaprysy i za to, że użyła niezmywalnego flamastra.

Po skończeniu pracy we wszystkich trzech kabinach otwieram drzwi i oglądam ich odbicie w lustrze: puste, czyste, bez żadnych cech szczególnych. Tak powinny wyglądać drzwi do ubikacji. Z jakiegoś powodu rozpiesza mnie duma i szczęście. Wykonuję mały taniec, tupiąc obcasami w posadzkę. Czuję się tak, jakbym cofnęła się w czasie i naprawiła jakiś błąd. Od historii z różami rano do tego momentu czuję się tak żywa, tak zdolna do działania, jak nigdy.

Teraz zupełnie popsulałam sobie makijaż, bo małe kropelki potu pojawiły się na moim czole i u nasady nosa. Spryskuję twarz zimną wodą i osuszam twardym, papierowym ręcznikiem, po czym nakładam jeszcze raz tusz do rzęs i róż na policzki, którego razem z Lindsay używamy z religijnym niemal namaszczaniem. Serce wali mi dziko w piersi, po części z radości, po części z nerwów. Na następnej przerwie jest lunch. A czas lunchu to czas przedstawienia.

- Możesz przestać? - Elody pochyla się w moją stronę i ściska moje palce, którymi bębniłam o blat stołu. - Doprowadza mnie to do szału.

- Mam nadzieję, że nie wpadasz w reksję, Sam.

Lindsay wskazuje na moją kanapkę, którą ledwo co nadgryzłam. „Reksja” to jej słowo oznaczające anoreksję, choć według mnie brzmi ono raczej jak imię dla suczki.

- Tak się kończy zamawianie tajemniczej potrawy mięsnej.

Ally patrzy z niesmakiem na moją kanapkę z wołowiną, którą kupiłam, choć takich rzeczy w naszej szkole się nie robi. Rzeczy, Które Nie Mają Znaczenia, Kiedy Przeżyło Się Ten Sam Dzień Sześć Razy i Umarło Dwa Razy. mięso na obiad, choćby i na zimno. Ku mojemu zdumieniu Lindsay mnie popiera.

- Wszystkie potrawy mięsne w tej stołówce kryją jakieś niespodzianki, Al. Indyk smakuje jak wkładki do butów.

- Okropieństwo - przytakuje Elody.

- Indyk tutaj nigdy mi nie smakował - przyznaje Ally. Patrzymy na siebie i wybuchamy śmiechem.

Śmiech dobrze mi robi i czuję, jak napięcie spływa mi z ramion. Ale i tak moje palce znowu bezwiednie zaczynają bębnić. Omiatam wzrokiem każdą osobę wchodzącą do stołówki, wypatrując na zmianę Kenta - niby co, teraz sobie wymyślił, że nie będzie jadł? - i białych blond włosów Juliet. Na razie nic.

- ... Juliet?

Prawie odpłynęłam, myśląc o Juliet, i gdy usłyszałam jej imię, wydało mi się, że się przesłyszałam albo co gorsza sama powiedziałam je na głos. Ale widzę, że Lindsay patrzy na Ally, a jej usta wykrzywiają się w dziwny uśmiech, i wiem, że pewnie zapytała, czy Juliet dostała naszą różę. Zupełnie zapomniałam, że Ally chodzi z Juliet na biologię i nagle brak mi tchu. Sufit w sali wydaje się wyginać w dół, kiedy czekam na odpowiedź Ally. „O Boże, dziewczyny, zdarzyła się przedziwna rzecz... dostała największy bukiet i nawet... uśmiechnęła się”.

Ally zasłania usta dłonią i wybałusza oczy.

- O Boże, dziewczyny, zupełnie zapomniałam wam powiedzieć...

Czyjeś dłonie zasłaniają mi oczy, a ja jestem tak podekscytowana, że wydaję mały pisk. Dłonie pachną potem i oczywiście balsamem cytrynowym. Lindsay, Ally i Elody wybuchają śmiechem, gdy Rob odsłania mi oczy. Kiedy na niego patrzę, uśmiecha się, ale w jego oczach widzę napięcie i wiem, że nie jest szczęśliwy.

- Unikasz mnie? - pyta i strzela mi z ramiączka od podkoszulka, jakby miał pięć lat.

- Nie do końca - odpowiadam, próbując mówić przyjaznym tonem. - Co masz na myśli?

Gwałtownym ruchem głowy wskazuje na maszynę z napojami.

- Stałem tam przez jakieś piętnaście minut. - Zniża głos, bo najwyraźniej nie jest szczęśliwy, że musi prowadzić tę rozmowę w obecności moich przyjaciółek. - Nawet nie spojrział na mnie i nie podeszłaś.

Już chcę powiedzieć: Ty kazałeś mi na siebie czekać znacznie dłużej. Ale oczywiście on by tego nie zrozumiał. Poza tym, kiedy patrzę, jak szura swoimi sfatygowanymi adidasami, zdaję sobie sprawę, że nie jest aż tak okropny. Tak, jest egoistą, nie jest najbystrzejszy, pije za dużo, flirtuje z innymi dziewczynami, nie ma zielonego pojęcia, jak rozpiąć stanik, nie mówiąc o tym, co zrobić dalej, ale któregoś dnia trochę wydorosłeje i naprawdę uszczęśliwi jakąś dziewczynę.

- Nie ignoruję cię, Rob, tylko... - Dmuchięciem odgarniam włosy z policzka, grając na zwłokę. Jeszcze nigdy z nikim nie zerwałam i przez głowę przelatują mi wszystkie komunały w stylu: „To nie twoja wina, tylko moja” (Nie, to jego wina. I moja); „Lepiej, jeśli będziemy się po prostu przyjaźnić” (Nigdy się nie przyjaźniliśmy tak naprawdę). - Wiesz, ostatnio między nami...

Patrzy na mnie krzywo, jakby czytał napis w obcym języku.

- Dostałaś moją różę, tak? Na piątej lekcji? Czytałaś liścik? I to niby ma coś zmienić.

- Właściwie - mówię, próbując wymazać z głosu ton zniecierpliwienia - nie dostałam twojej róży. Nie poszłam na piątą lekcję.

- Panno Kingston - po drugiej stronie stolika Elody kładzie dłoń na piersi i udaje zaszokowaną. - Bardzo mnie rozczarowałaś. - Chichot.

Posyłam jej lodowate spojrzenie i wracam do Roba.

- Ale nie o to chodzi. Chodzi o to...

- Nie dostałem róży od ciebie - mówi Rob i widzę, że powoli wszystkie elementy układanki zaczynają mu pasować: coś jest nie tak. Kiedy Rob myśli, prawie widać, jak w mózgu przeskakują mu biegi.

Tego ranka dokonałam jeszcze jednej zmiany w Pokoju Róż. Zatrzymałam się przy literze C i dokładnie przeszukałam róże dla Roba. Zostawiłam różę od Gabby Haynes, jego byłej dziewczyny, z liścikiem: „Kiedy się ze mną umówisz, jak obiecałeś, przystojniaku?”, a zabrałam moją, z liścikiem, nad którym łamałam sobie głowę przez dobrych kilka godzin.

Lindsay klepie Roba w ramię, myśląc, że to wszystko żart.

- Cierpliwości, Rob - puszcza do niego oko. - Twoja róża jest w drodze.

- Cierpliwości? - Rob marszczy brwi, jakby to słowo miało paskudny smak. Krzyżuje ręce na piersi i wbija we mnie wzrok. - Już kojarzę. Nie będzie żadnej róży, tak? Zapomniałaś czy co?

Coś w jego głosie sprawia, że do moich przyjaciółek wreszcie dociera. Milkną, patrząc to na mnie, to na Roba.

Inaczej to ujmę: Któregoś dnia on naprawdę uszczęśliwi jakąś czirliderkę, blondynkę o imieniu Becky, z biustem D, która nie będzie miała nic przeciwko temu, że chłopak obejdzie się z nią tak, jakby marynował kawał mięcha.

- Nie zapomniałam... - zaczynam, ale on mi przerywa.

Mówi spokojnie, bardzo cicho, ale w jego głosie słyszę gniew - twardy, zimny i ostry.

- Robisz tyle hałasu o Dzień Kupidyna. A potem nie dotrzymujesz umowy. Typowe.

Mój żołądek kurczy się raz po raz, jakby próbował strawić całą krowę, ale podnoszę głowę i patrzę Robowi prosto w oczy.

- Typowe? Co to ma niby znaczyć?

- Dobrze wiesz. - Rob przeciera dłonią oczy i nagle wygląda bardzo złowrogo. Przypomina mi to trik, który robił mój tata, kiedy przesuwiał dłoń tuż przed sobą i nagle zmieniał wyraz twarzy z radosnego na smutny. - Już kilka razy udało ci się nie dotrzymać obietnicy...

- Alarm, alarm, zmasowany atak psycholi! - krzyczy Lindsay, chyba w nadziei, że rozładuje napięcie.

I udaje jej się, przynajmniej trochę. Wstaję tak szybko, że przewracam krzesło. Rob patrzy na mnie zde gustowany, a potem kopie krzesło koniuszkiem buta - nie mocno, ale dostatecznie silnie, by było to słychać.

- Znajdź mnie później - mówi.

Energicznym krokiem idzie do swojego stolika, ale ja nawet na niego nie patrzę. Patrzę, jak Juliet wpływa, szybuje, unosi się w sali. Jakby już umarła, a my oglądamy tylko, jak do życia wraca jej niedoskonała część.

Niczego nie niesie, nawet jednego kwiatka, tylko pogniecioną, papierową torbę, jak zawsze. Jestem tak mocno, prawdziwie rozczarowana, że prawie czuję jak to smakuje, jakby z tyłu gardła wyrósł mi gorzki guz.

- ... i nagle podszedł jeden z Kupidynów i przysięgam, dał Juliet dwa albo trzy tuziny róż.

Odwracam się gwałtownie.

- Co powiedziałaś?

Ally marszczy brwi, słysząc ton mojego głosu, ale powtarza.

- Dał jej gigantyczny bukiet róż. Nigdy tylu nie widziałam. - Zaczyna chichotać. - Może Psychola ktoś śledzi.

- Nie wiem, co się stało z naszą różą - mówi Lindsay, wydymając usta. - Przecież wyraźnie powiedziałam: Po trzeciej przerwie, na biologii.

- Co Juliet z nimi zrobiła? - wtrącam.

Ally, Elody i Lindsay gapią się na mnie.

- Z czym? - pyta Ally.

- Z różami. Wyrzuciła?

- A co cię to obchodzi? - Lindsay marszczy nos, jakby wokół roznosił się brzydki zapach.

- Nie obchodzi. Ja tylko... - Wszystkie gapią się na mnie tępo. Elody otworzyła usta i widać w nich pogryzioną frytkę. - Myślę, że to miłe, okej? Jeśli ktoś posłał jej wszystkie te róże... Nie wiem. To chyba miłe.

- Pewnie sama je sobie posłała - mówi Elody i znów chichocze. Wreszcie tracę cierpliwość.

- Czemu? Czemu tak mówisz?

Elody robi gwałtowny ruch w tył, jakbym ją uderzyła.

- No bo... to Juliet.

- Dokładnie. To Juliet. I co z tego? Wszyscy mają ją w dupie. Nikt nie zwraca na nią uwagi. - Przy-ciskam obie dłonie do blatu stołu, a w głowie pulsują mi gniew i frustracja. - I. Co. Z. Tego?

Ally marszczy czoło.

- To dlatego, że się wkurzyłaś na Roba?

- Tak - Lindsay krzyżuje ramiona na piersi. - O co wam tak właściwie chodzi? Między wami coś nie gra?

- Nie chodzi o Roba - cedzę słowa przez zaciśnięte zęby. Elody wcina się.

- To był żart, Sam. Wczoraj powiedziałas, że boisz się, że Juliet cię ugryzie, jak podejdziesz za blisko. Mówiłaś, że pewnie ma wściekliznę.

To właśnie mnie załamuje - to, co mówi Elody. A raczej to, że przypomina mi, co powiedziałam: wczoraj, sześć dni temu, w zupełnie innym świecie. Jak to możliwe, myślę sobie, że można tak bardzo się zmienić, a nie móc zmienić niczego wokół siebie? Najgorsze w całej tej sytuacji jest uczucie desperacji. I bezradności. Uświadamiam sobie, że moje pytanie do Elody przez cały czas męczy mnie samą. I co z tego? Skoro jestem martwa, skoro nie mogę niczego zmienić, naprawić, to co z tego?

- Sam ma rację. - Lindsay puszcza do mnie oko i nadal niczego nie rozumie. - Mamy Dzień Kupidyna, tak? Czas miłości i przebaczenia, nawet dla największych psycholi na tym świecie. - Podnosi różę niczym kieliszek z szampanem. - Za Juliet.

Ally i Elody podnoszą róże ze śmiechem.

- Za Juliet - mówią jednocześnie.

- Sam? - Lindsay unosi brwi. - Nie wzniesiesz z nami toastu?

Odwracam się na pięcie i idę na tyły sali dla czwartoklasistów. Lindsay coś krzyczy, a Ally woła:

- Nie wyrzuciła ich, okej?

I tak idę przed siebie, krocząc między stolikami zastawionymi jedzeniem, torbami i różami, przy których siedzą niczego nieświadomi ludzie i rozmawiają sobie w najlepsze. Czuję skurcz w żołądku i

ogromny żal. Wszystko wygląda tak głupio, bez troski i normalnie: marnują czas, bo mają go tak dużo, kolejne minuty mijają, a oni tylko paplają o tym „kto z kim” i „a słyszałaś o”.

Na horyzoncie zbierają się czarne chmury. Wiszą jak zasłona, która za chwilę ma opaść. Rozglądam się po parkingu w poszukiwaniu Juliet, podskakując dla rozgrzewki. Z któregoś auta w Alei Seniorów wyje muzyka i widzę, jak srebrny taurus Kristy Murphy jedzie do wyjścia. Poza tym na parkingu jest zupełnie spokojnie. Juliet wtopiła się w krajobraz z metalu i betonu.

Biorę głęboki wdech i rozkoszuję się ostrym ukłuciem powietrza w gardle. Czuję niemalże ulgę, że Juliet nie ma, bo tak naprawdę nie wiem, co mogłabym jej powiedzieć. W końcu nie wyrzuciła kwiatów. To dobry znak. Stoję tak przez kolejną sekundę, podskakując i myśląc: Dziś wieczorem uwolnię się od tego wszystkiego. Rozmyślam o tym, co jeszcze zrobię w swoim życiu. Pójdę z Izzy na Gęsie Wzgórze, zanim zrobi się za duża na takie wycieczki. Umówię się z Elody sam na sam. Pojadę z Lindsay do Nowego Jorku na mecz Yankees, napcham się hot dogami i wygwizdę wszystkich zawodników.

Pocałuję Kenta. Naprawdę go pocałuję, powoli i długo, gdzieś na zewnątrz - może jak będzie padać śnieg. Może w lesie. Nachyli się nade mną i znowu będzie miał w rzęsach płatki śniegu, odsunie mi włosy z twarzy i położy mi na karku ciepłą dłoń, tak ciepłą, że prawie parzy...

- Hej, Sam - to głos Kenta.

Odwracam się z piskiem, potykając się o własne stopy. Podobnie jak w przypadku Juliet Sykes, tak się pograżałam w fantazjowaniu na temat Kenta, że kiedy naprawdę się pojawił, to czuję się, jakbym go wyśniła albo wymarzyła. Kent ma na sobie starą sztruksową marynarkę z łatami na łokciach i wygląda jak szalony i kochany przez wszystkich nauczyciel literatury. Sztruks wygląda tak miękko, że mam ochotę wyciągnąć rękę i go dotknąć. I nie ma to bynajmniej nic wspólnego z moim dzisiejszym nastawieniem i poczuciem, że każdy przedmiot jest cenny. Kent trzyma dłonie w kieszeniach, a głowę wbił w ramiona, jakby próbował w ten sposób się ogrzać.

- Olałaś dziś matkę?

- Mmm... tak. - Cały dzień czekałam, żeby na niego jakoś wpaść, a teraz mam w głowie pustkę.

- Fatalnie. - Kent uśmiecha się od ucha do ucha, przestępując z nogi na nogę. - Nie dotarło do ciebie kilka róż. - Szybkim ruchem ściąga z ramienia torbę, otwiera ją i wyciąga kremowo-różowy kwiat ze złotym liścikiem. - Kilka z nich posłano z powrotem do biura. Ale... mhm... tę chciałem ci dać osobiście. Trochę się pogięła. Przepraszam.

- Nie pogięła się - mówię szybko. - Jest piękna.

Kent zagryza wargę - to najśłodsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziałam. Chyba się denerwuje. Jego wzrok kilkakrotnie omiata moją twarz, a potem ucieka w innym kierunku. Za każdym razem kiedy spojrzenie Kenta się na mnie zatrzymuje, czuję, jakby świat zniknął, jakbyśmy tylko my stali pośrodku jasnej, zielonej łąki.

- Niczego nie przegapiłaś na matematyce - mówi i już rozpoznaję, że jak zwykle zaczął swoją paplaninę. - To znaczy powtórzyliśmy trochę materiału z zadania domowego ze środy, bo niektórzy świrowa-

li z powodu klasówki w poniedziałek. Ale wszyscy i tak byli nieco podjarani, pewnie z powodu Dnia Kupidyna, a Daimler właściwie jakoś nie miał nic przeciwko...

- Kent?

Mruga i milknie.

- Tak?

- Ty mi to przysłałeś? - Podnoszę różę. - To znaczy... To od ciebie?

Kent uśmiecha się tak szeroko, jakby chciał mi posłać wielki promień.

- Nie powiem - mówi, puszczając do mnie oko.

Nieświadomie zbliżyłam się do niego o kilka kroków, teraz czuję ciepło jego ciała. Ciekawe, co by zrobił, gdybym teraz przyciągnęła go do siebie i musnęła jego usta moimi, tak jak on to zrobił - mam nadzieję, że zrobił - wczorajszej nocy. Ale na samą myśl o tym czuję ścisk żołądka, a moje ciało przeszywa dreszcz i uczucie niepewności.

Wtedy przypominam sobie, co powiedziała nam Ally tego dnia, gdy to wszystko się zaczęło: że kiedy kilka motyli podniesie się do lotu w Tajlandii, to może wywołać burzę w Nowym Jorku. I myślę o tysiącach, milionach działań, pomyłek, szans i zbiegów okoliczności, które doprowadziły mnie aż tutaj, do Kenta, do kremowo-różowej róży, i wydaje mi się to największym cudem na świecie.

- Dziękuję - wypalam i szybko dodaję: - No... za to.

Kent pochyla głowę i wygląda na jednocześnie zadowolonego i zażenowanego.

- Nie ma za co.

- Słyszałam, że... robisz dziś wieczorem imprezę.

Daję sobie mentalnego kopniaka za to, że gadam takie banały. W mojej głowie ta rozmowa przebiegała zupełnie inaczej. W moich marzeniach Kent po prostu pochylał się nade mną i robił to coś ustami, to trzepocące, miękkie coś. Desperacko próbuję niczego nie zepsuć, powrócić do tego, co czułam w nocy - co my czuliśmy, musieliśmy czuć - ale wydaje mi się, że jeśli coś powiem, wszystko zepsuję. Na krótki moment ogarnia mnie tęsknota za wszystkim, co straciłam. Gdzieś w nieskończonym wirze wieczności na zawsze zagubił się ten jeden, drobnutki ułamek sekundy, kiedy nasze usta się zetknęły.

- Tak - jego twarz się rozjaśnia. - Rodzice za miastem, wiadomo. Przyjdiesz?

- Jasne - mówię z takim naciskiem, że Kent wygląda na zdumionego. - To znaczy - kontynuuję normalnym tonem - takiej imprezy nie wolno przegapić, prawda?

- Miejmy nadzieję - Kent mówi powoli, głosem słodkim jak syrop i chciałabym tylko móc zamknąć oczy i go słuchać. - Mam dwie beczki. - Robi palcem pętlę w powietrzu, jakby pokazywał, że będziemy pijani.

- I tak przyjdę. - Znowu daję sobie mentalnego kopniaka, bo co to niby ma znaczyć?

Ale Kent wygląda, jakby wszystko zrozumiał, bo się czerwieni.

- Dzięki - mówi - miałem nadzieję, że przyjdiesz. To znaczy tak mi się zdawało, bo nie opuszczasz żadnej imprezy... to znaczy lubisz imprezować, ale nie wiedziałem, czy nie ma gdzieś innej balangi, a może wolicie w piątek wieczorem robić coś innego z przyjaciółkami...

- Kent?

Zamyka usta w ten rozkoszny sposób.

- Tak?

Oblizuję wargi, bo nie wiem, jak powiedzieć to, co chcę powiedzieć. Zaciskam pięści.

- Muszę... muszę ci coś powiedzieć.

Kent marszczy czoło. Uroczo - dlaczego do tej pory nie zauważyłam, jaki jest uroczy? - ale to niczego mi nie ułatwia. Biorę głęboki wdech.

- To zabrzmiało kompletnie niedorzecznie, ale...

- Tak? - Kent nachyla się jeszcze bliżej, a nasze usta dzieli nie więcej niż dziesięć centymetrów. Jego oddech pachnie miętową landrynką, a mój umysł zaczyna wirować dziko, jakby zamienił się w gigantyczną karuzelę.

- Ja, mhm... ja...

- Sam!

Instynktownie odsuwamy się od siebie na odległość kilku kroków, kiedy Lindsay napiera na drzwi do stołówki ramieniem, na którym wiszą jej i moja torba. Cieszę się, że nam przerwano, bo już miałam wyznać mu, że umarłam kilka dni temu i że się w nim zakochałam. Nie wytłumaczyłabym się ani z jednego, ani z drugiego, a on pewnie by mnie wyśmiał za oba te wyznania (albo zaprowadził prosto do szkolnego psychologa).

Lindsay przyczłapuje, melodramatycznie pokazując, że niesie dwie torby, jakby były zrobione z litej stali.

- Idziemy? - pyta.

- Co?

Przez chwilę Lindsay taksuje wzrokiem Kenta, ale poza tym zachowuje się, jakby go tam w ogóle nie było. Staje dokładnie naprzeciw niego, jakby nie istniał, jakby szkoda jej było na niego czasu, a on odwraca wzrok i udaje, że nie widzi, jak robi mi się niedobrze. Chcę dać mu znać, że ona to nie ja, że on jest wart mojego czasu. Że jest ważniejszy niż cały mój czas.

- Idziemy na lody czy nie? - Lindsay kładzie rękę na brzuchu i robi minę męczennicy. - Przysięgam, że te frytki siadły mi na wątrobie i pomóc mi może tylko jakiś chemiczny smakołyk.

Kent szybko żegna się jednym skinieniem i odchodzi bez słowa. Próbuje się oddalić tak szybko, jak się da. Ponad ramieniem Lindsay wołam:

- Na razie, Kent! Do zobaczenia później!

Zaskoczony odwraca się szybko i posyła mi szeroki uśmiech.

- Na razie, Sam!

Dotyka czoła, salutując jak bohater czarno-białego filmu, i szybko idzie w stronę głównego holu.

Lindsay spogląda za nim przez minutę, a potem patrzy na mnie przymrużonymi oczami.

- Co jest grane? Kent wymusił na tobie uległość?

- Może - mówię, bo mam gdzieś, co myśli o mnie Lindsay. Jeszcze drzę po tym, jak Kent uśmiechał się do mnie i stał tak blisko. Czuję się niezwyciężona i lekka, jakbym była ździebko podchmielona.

Lindsay gapi się na mnie przez kolejną minutę, a potem wzrusza ramionami.

- Najlepszy dowód miłości to rozbić komuś okno cegłą. - Potem bierze mnie pod ramię. - Lody?

I właśnie za to kocham Lindsay Edgcombe mimo miliona jej wad.

Korzeń i kwiat

- No chodź, Sam. - Lindsay wpatruje się w dom Kenta tak chciwie, jakby był zrobiony z czekolady.

- Wyglądasz super.

Po raz pięćdziesiąty sprawdzam makijaż w przednim lusterku. Ostatni raz pociągam usta błyszczakiem i usuwam bryłkę tuszu spomiędzy rzęs. Powtarzam w głowie przemówienie, które sobie przygotowałam: Słuchaj, Kent, może to zabrzmie dziwnie, ale zastanawiałam się, czy może nie miałbyś ochoty się ze mną umówić...

- Nie kumam. - Ally nachyla się z tylnego siedzenia, a jej puchowa kurtka Burberry szeleści. - Jak nie masz zamiaru robić tego z Robem, to czym się tak denerwujesz?

- Nie denerwuję się - odpowiadam. Gdybym jednak nie nałożyła koloryzującego podkładu i różu na policzki, byłabym blada jak wampirzyca.

- Denerwujesz się - mówią jednocześnie Lindsay, Elody i Ally, a potem wybuchają śmiechem.

- Na pewno nie chcesz strzała? - Ally stuka mnie w ramię butelką wódki.

Kręcę głową.

- Na pewno, dzięki.

To dziwne, ale za bardzo się teraz denerwuję, żeby pić. Poza tym to pierwszy dzień mojego nowego życia. Od teraz niczego nie schrzanię. Będę inną osobą, dobrą. Będę kimś, kogo będzie się dobrze wspominać, a nie tylko wspominać. Powtarzam to sobie bez końca i dzięki temu czuję w sobie moc, czuję, że jest coś, na czym mogę polegać, chwycić się tego jak liny ratowniczej.

To mi pomaga zwalczyć strach i niedające mi spokoju poczucie, że o czymś zapomniałam, że coś zaprzepącałam.

Lindsay obejmuje mnie i całuje w policzek. Jej oddech pachnie wódką i miętówkami.

- Nasz samozwańczy kierowca - mówi. - Na pewno oglądałaś telewizję edukacyjną.

- Naprawdę zachowujesz się jak prezenterka z telewizji edukacyjnej - mówi Elody. - Ta, która przestrzega przed skutkami picia.

- A co ty wiesz, laluniu - mówi Lindsay, odwracając się, żeby rzucić w Elody tubką błyszczaku do ust. Elody łapie ją i piszczy triumfalnie, a potem maluje usta.

- No cóż, ja natomiast łatwo się przeziębiam - mówi Ally. - Możemy już wejść? Błagam!

- *Madame?* - Lindsay odwraca się w moją stronę i składa mi zamaszysty ukłon.

- Dobra, do dzieła.

W duchu wciąż powtarzam swoją kwestię: No wiesz, możemy iść do kina albo na kolację, albo...
Wiem, nie gadaliśmy tak naprawdę od dobrych kilku lat...

W domu Kenta panuje hałas, z głośników rozbrzmiewa prawdziwy ryk. Może to dlatego, że jestem trzeźwa, ale wydaje mi się, że wszyscy są ściśnięci, że jest im gorąco i niewygodnie. I po raz pierwszy od bardzo dawna wstydzę się wejść, jakbym czuła na sobie wzrok tych ludzi. Koncentruję się na swoim podstawowym zadaniu: znalezieniu Kenta.

- Ale czad. - Lindsay rusza przed siebie i macha do wszystkich ludzi stłoczonych razem i przesuujących się centymetr po centymetrze, jakby byli związani niewidzialną liną.

Przepychamy się na górę. Goście mają jasne spojrzenia, jak lalki, pewnie od alkoholu, a może i od czegoś innego. Tak naprawdę to przerażające. Chodzę z tymi ludźmi do szkoły od bardzo dawna, znam ich, ale dzisiaj wyglądają inaczej, nieznajomo, a kiedy się do mnie uśmiechają, wszędzie widzę zęby, jak u piranii gotowych, żeby zaraz coś pożreć. Czuję się tak, jakby spadła jakaś zasłona, dzięki czemu widzę, kim ci ludzie są tak naprawdę. Teraz zdają się inni, wyrazistsi i niepoznawalni. Po raz pierwszy od kilku dni przypomina mi się powracający sen, w którym idę w tłumie na imprezie i wszyscy wyglądają znajomo, ale coś nie gra, jakiś jeden szczegół. Zastanawiam się, czy ten sen miał mi pomóc zrozumieć, że to nie inni się zmieniają, tylko ja. Lindsay wbija mi w plecy palec, sygnalizując, żebym szła naprzód, i ten sygnał dodaje mi odwagi. Przepycham się do pierwszego pokoju na górze, jednego z największych, i nagle serce spada mi prosto do żołądka. Kent. Stoi w rogu i rozmawia z Phoebe Rifer. Mój umysł zasnuwa mgła, gęsta, niepotrzebna śnieżna zadymka. Czuję się tak, jakby ktoś wypchał mi usta watą, i żałuję, że nie wypłam przy najmniej jednego szota, tylko po to, żeby nie czuć się taka dziwna, wysoka i niezdarna, jak Alicja w Krainie Czarów, która nie mogła zmieścić się w pokoju.

Odwracam się, żeby powiedzieć coś Lindsay - nie wiem co, ale muszę do kogoś mówić, żeby nie gapić się tępo jak przerośnięte warzywo - ale jej już nie ma. Oczywiście. Poszła szukać Patricka. Zaciskam pięści i zamykam oczy. To oznacza, że w każdej chwili, za trzy, dwie, jedną...

- Sam. - Rob nie obejmuje mnie, a kiedy się odwracam, patrzy na mnie z góry, jakbym była śmierdzącym jajem. To szaleństwo, ale naprawdę zapomniałam, że przyjdzie na imprezę. W ogóle o nim nie myślałam. - Nie sądziłem, że się pokażesz.

- Niby czemu? - Krzyżuję ręce na piersi. Rob niezbyt subtelnie obrzuca spojrzeniem moje cycki.

- Zachowywałaś się dziś jak wariatka. - Proszę bardzo, już bełkocze. - No i? Masz zamiar mnie przeprosić? - Szczerzy zęby, leniwie i obleśnie. - Możemy się zastanowić, jak mi to wynagrodzisz.

Gotuje się we mnie gniew. Rob patrzy na mnie tak, jakby obmacywał mnie wzrokiem od stóp do głów. Nie mogę uwierzyć, że przez tyle wieczorów pozwalałam, żeby obśliniał mnie na kanapie, w piwnicy jego domu. Fantazja, którą pielęgnowałam w sobie całymi latami, obraca się w pył w jednej chwili.

- Naprawdę? - Próbuję powściągnąć gniew, ale z trudem udaje mi się mówić zupełnie normalnym głosem. Na szczęście Rob jest zbyt pijany, żeby to zauważyć. - Podoba mi się. To znaczy chciałabym ci to wynagrodzić.

- Tak? - Twarz Roba rozjaśnia się, a on podchodzi do mnie i kładzie mi ręce na biodrach. W środku cała się trzęsę, ale zmuszam się do tego, żeby nie ruszyć się z miejsca.

- Hmm - przebiegam palcami po jego klatce piersiowej, jednocześnie rzucając okiem na Kenta, który nadal rozmawia z Phoebe. To mnie rozprasza (na Boga, Phoebe ma osobowość flaków z olejem), ale szybko kieruję wzrok na Roba i zmuszam się do flirtu. - Chyba przydałoby nam się trochę czasu sam na sam, co?

- Z pewnością. - Rob chwieje się nieco w jedną stronę. - O czym myślałaś?

Staję na palcach i szepczę mu do ucha.

- Na tym piętrze jest sypialnia. Całe drzwi zalepione naklejkami na zderzak. Idź tam i zaczekaj na mnie. Zaczekaj na mnie nagi. - Odsuwam się od niego, posyłając mu najseksowniejszy uśmiech, na jaki mnie stać. - Obiecuję, że to będą najlepsze przeprosiny, jakie w życiu widziałeś.

Oczy Roba prawie wypadają z orbit.

- Teraz?

- Teraz.

Rob odrywa się ode mnie i robi jeden chwiejny krok w stronę korytarza, ale nagle o czymś sobie przypomina i odwraca się.

- Przyjdiesz tam za moment, tak?

Tym razem nawet nie zmuszam się do uśmiechu.

- Za pięć minut - podnoszę prawą rękę z rozcapierzonymi palcami. - Przyrzekam.

Kiedy odwracam się od Roba, walczę ze sobą, żeby nie wybuchnąć śmiechem, i całe zdenerwowanie z powodu rozmowy z Kentem rozprasza się. Jestem gotowa podejść do Kenta i wsunąć mu język do gardła, jeśli tylko trzeba.

Tylko że Kenta tu nie ma.

- Cholera - mamroczę pod nosem.

- Dama nie używa takiego języka. - Ally podchodzi do mnie od tyłu. Unosi brwi, kiedy pociąga łyk z butelki. - Co z tobą nie tak? Masz atak paniki o nazwie Cokran?

- Coś w tym guście - pocieram czoło. - Widziałaś, uhm, Kenta McFullera?

Ally patrzy na mnie z ukosa.

- Kogo?

- Kenta. McFullera - mówię trochę głośniej, a dwie drugoklasistki odwracają się i wbijają we mnie oczy. Odwzajemniam to spojrzenie tak długo, aż odwracają wzrok.

- Gospodarz musi wypić z każdym. - Ally podnosi butelkę. - A co, już coś rozbiłaś? Niezła impreza, no nie?

- Tak, niezła. - Próbuję nie przewracać oczami. Ally na nic mi się nie przyda, bo już jest wstawiona. Wskazuję gestem tył domu. Lindsay i Elody powinny być gdzieś tam, a Kent pewnie też jest niedaleko. - Wmieszajmy się w tłum.

Ally bierze mnie pod rękę.

- Tak, proszę pani.

Zauważam Amy Weiss - chyba największą plotkarę w całej szkole - jak w drzwiach całuje się z Orenem Talmadge'em.

Wygląda, jakby głodzono ją miesiącami, a on miał usta pełne chrupek. Ciągnę Ally w ich stronę.

- Chcesz wmieszać się w tłum, żeby gadać z Amy Weiss? - Ally syczy mi do ucha. W pierwszej klasie Amy rozpuściła plotę, że Ally pozwoliła Fredowi Dannonowi i dwóm innym chłopakom dotknąć swoich cycków w zamian za to, że będą jej robić zadania z matematyki przez cały miesiąc. Nigdy nie byłam pewna, czy to prawdziwa historia. Ally przysięga, że nie, Fred przysięga, że tak, a Lindsay przypuszcza, że Ally pozwoliła im popatrzeć, ale nie dotykać. W każdym razie od tego czasu Ally i Amy zajadły się nienawidzą.

- Przerwa w meczu - stukam Amy w ramię, a ona odrywa się od ust Orena.

- Hej, Sam. - Jej twarz się rozjaśnia. Rzuca okiem na Ally, potem na mnie, oplatając ręce wokół szyi Orena. Oren wygląda na bardzo zmieszanego, pewnie zastanawia się, gdzie się podziała przywra, którą miał przed chwilą na twarzy.

- Przepraszam. Blokuję przejście?

- Tylko twój tyłek - mówi radośnie Ally. Ściskam jej ramię, a ona skamle. Nie potrzebuję teraz kłótni Amy z Ally.

- Jest o wiele lepsze miejsce - mówię. - Jeśli potrzebujecie z Orenem... no wiesz, więcej prywatności.

- Tak, chcemy prywatności - pieje Oren. Uśmiecham się do niego.

- Otwarta sypialnia. Ta z drzwiami w nalepkach na zderzak. Supermiękkie łóżko. - Unoszę palce do ust i posyłam Amy całusa. - Bawcie się dobrze.

- Co to miało być? - Ally wybucha, gdy tylko Amy odchodzi dostatecznie daleko, żeby nas nie słyszeć. - Od kiedy to takie z was najlepsze przyjaciółki?

- To długa historia. - Czuję się dobrze, jestem silna i mam wszystko pod kontrolą. Sprawy toczą się tak, jak powinny. Dotykam dłonią drzwi do pokoju Kenta, gdy je mijam. Przykro mi, Rob.

Razem z Ally przeciskamy się przez tłum w korytarzu. Rozglądam się w poszukiwaniu Kenta, zaglądam do pokoi po bokach, coraz bardziej sfrustrowana, że nigdzie go nie widzę.

Słysząc czyjś krzyk, a po nim wybuch śmiechu. Na chwilę zamieram i myślę: To niemożliwe, nie dziś w nocy, nie znowu, nie Juliet. Ale wtedy słyszę donośny głos Orena:

- Chłopie, na Boga, wciągnij gacie.

Ally wysuwa na korytarz głowę z pokoju, w którym właśnie stoimy, i patrzy w kierunku pokoju Kenta. Jej oczy robią się wielkie i okrągłe jak u postaci z kreskówki.

- Ymm, Sam? Musisz to zobaczyć.

Wyglądam na korytarz. Rob idzie w kierunku schodów - a przynajmniej próbuje. Niełatwo mu się poruszać, bo (a) otacza go tłum gapiów, (b) stoi niezbyt pewnie na nogach, mając na sobie tylko bokserki, adidasy i skarpetki nie do pary. I oczywiście czapeczkę. Resztą ubrań zasłania krocze i szczeka na ludzi:

- Na co się, do cholery, gapicie?

Współczułabym mu jeszcze, gdyby nie te adidasy. Że niby co, nie chciało mu się ich zdjąć? Za bardzo zaprzął sobie głowę planem ataku na mój biustonosz? Co więcej, kiedy jest już prawie przy schodach, wpada na jakąś drugoklasistkę, ale zamiast ją odepchnąć, obejmuje ją w pijackim uścisku. Nie słyszę, co Rob mówi, ale ona, kiedy wreszcie się od niego uwalnia, chichocze, jakby obmacanie przez półnagiego, spoconego i zalanego w trupa czwartoklasistę było kulminacyjnym punktem dnia pełnego wrażeń.

- No tak - mówię do Ally. - Zdecydowanie zerwaliśmy ze sobą. Oficjalnie.

Ally patrzy na mnie dziwnie.

- Kent.

Serce bije mi szybciej.

- Co?

- To Kent.

Mój mózg pracuje na przyspieszonych obrotach. Ona wie. Przecież to oczywiste, zachowywałam się, jakbym miała na jego punkcie obsesję. Może Lindsay jej opowiedziała, jak wpadła na nas przed stolówką.

- Ja... ta historia z Robem nie ma nic wspólnego...

Ally kręci głową i pokazuje palcem na coś za moimi plecami.

- Kent. Za tobą. Chyba wcześniej go szukałaś.

Kamień spada mi z serca. Ally nie wie. Ale czuję też lekkie rozczarowanie. Nie wie, bo nie ma czego wiedzieć. Nawet on nie wie. Odwracam się błyskawicznie i rozglądam, szukając go wzrokiem.

- Tam - Ally wskazuje na drzwi w głębi korytarza. Z miejsca, gdzie stoimy, widać tylko przestrzeń zaraz za drzwiami pokoju. Sądząc po wielkim biurku, które blokuje prawie połowę wejścia, jest to jakiś magazyn albo gabinet. Ludzie wchodzą tam i wychodzą.

- Chodź - znowu ciągnę za sobą Ally, ale ona się wyrywa.

- Idę poszukać Lindsay. - Najwyraźniej już ją zmęczyła moja misja, niezależnie od tego, co jest jej celem. Kiwam głową, a ona rusza w stronę pokoju na tyłach, dźgając butelką ludzi, którzy wchodzą jej w drogę, jakby byli stadem bydła. Na moje ramię spada czyjaś dłoń. Podskakuje.

Obracam się. To Bridget McGuire i Alex Liment.

- Masz literaturę z panią Harbor, tak? - Bridget nawet nie czeka na odpowiedź i od razu przechodzi do rzeczy. - Nie wiesz przypadkiem, czy oddawała prace domowe na temat *Makbeta*? Alex opuścił lekcję. Musiał iść do lekarza.

Nie poszłam z Lindsay na lody - jakiś wewnętrzny głos przekonał mnie, że powinnam zostać w pobliżu szkoły, blisko centrum wydarzeń - dlatego prawie zapomniałam o Bridget, Annie i Aleksie. A teraz wyraz twarzy Aleksa: mały, krzywy uśmiezek (który wypełzał też na twarz Roba, kiedy tylko udało mu się dostać zwolnienie z lekcji dzięki jakiejś zupełnie niedorzecznej wymówce), sprawia, że mam ochotę uderzyć go w twarz. Myślę o Annie z oczami pomalowanymi na czarno i o jej zaimprovizowanej jadalni na podłodze opuszczonej łazienki. Nawet Bridget nie jest taka zła. Owszem, jest wkurzająca, ale jednocześnie ładna, miła i tak dobra, że pewnie spędza wolny czas, pomagając chorym dzieciom.

Nie mogę na to pozwolić. Nie ujdzie mu to na sucho.

Bridget nadal paple coś o tym, że mama Aleksa ma świra na punkcie zdrowia. Przerywam jej.

- Czujecie chińskie jedzenie?

Bridget marszczy nos, wyraźnie zawiedziona tym, że jej nie słuchałam.

- Chińskie jedzenie?

Teatralnie pociągam nosem, jakbym próbowała coś wywęszyć.

- Tak - patrzę Aleksowi prosto w oczy. - Coś jak wielki talerz wołowiny w pomarańczach.

Uśmiezek schodzi Aleksowi z twarzy, ale tylko wzrusza ramionami i mówi:

- Ja nic nie czuję.

- O Boże - Bridget zasłania usta. - To chyba nie mój oddech? Przecież chińszczyznę jadłam wczoraj wieczorem.

Nadal gapię się na Aleksa.

- Co ci jest? - pytam i nawet nie próbuję ukryć zdenerwowania w moim głosie.

On mruga nerwowo.

- Co?

Bridget jest zdezorientowana i przez chwilę stoimy we trójkę bez słowa. Patrzymy sobie z Alekssem prosto w oczy, a Bridget spogląda to na mnie, to na niego tak szybko, że boję się, żeby zaraz nie skręciła sobie karku.

Potem się uśmiecham.

- No wiesz, co ci dolega? Dlaczego musiałeś iść do lekarza?

Alex wyraźnie się rozluźnia.

- Nic takiego. Mama kazała mi wziąć jakiś durny zastrzyk. A poza tym jakaś ogólna kontrola.

- Mmmhmm. Mam nadzieję, że dokładna. - Rzucam znaczące spojrzenie w stronę jego krocza.

Na szczęście Bridget tego nie widzi, bo wpatruje się w Aleksa, teraz już czerwonego jak burak.

- Ymm, tak. Dość dokładna. - Patrzy na mnie z ukosa, jakby widział mnie po raz pierwszy.

- Sama szukam lekarza - kontynuuję, jak gdyby nigdy nic. Współczuję Bridget, ale uważam, że powinna wiedzieć, co knuje jej chłopak, który nawet nie umie wymyślić porządnej wymówki. - Tak trudno znaleźć dobrego specjalistę. Szczególnie takiego, któremu nie trzeba zapłacić więcej niż za podwójny zestaw obiadowy po \$4,99. To rzadkość.

- O czym ty mówisz? - głos Bridget to prawie pisk. Obraca się gwałtownie w stronę Aleksa. - O czym ona mówi?

W szczęście Aleksa drży mięsień. Widzę wyraźnie, że chciałby mnie zwyzywać od najgorszych, ale wie doskonale, że to tylko pogorszyłoby sytuację, więc zamiast tego stoi i patrzy na mnie jak potępieniec.

Kładę dłoń na ramieniu Bridget.

- Przykro mi Bridget, ale twój chłopak to kawał drania.

- O czym ona mówi?

Głos Bridget podnosi się o kolejną oktawę i kiedy odchodzę, słyszę, jak Alex próbuje ją uspokoić, najprawdopodobniej mydląc jej oczy zmyślonymi na poczekaniu kłamstwami. Powinam się cieszyć z tego, co zrobiłam - on przecież na to zasługuje, a ja po prostu robię porządek - ale cała radość uchodzi ze mnie. Znika poczucie kontroli, a w jego miejscu pojawia się dojmujący niepokój. Przywołuję w głowie wydarzenia całego dnia, jakbym przebiegała wzrokiem po tekście na ekranie komputera, próbując odnaleźć jakąś lukę, coś, czego zapomniałam zrobić lub dopilnować. Może wcześniej powinnam była pojechać do Juliet i sprawdzić, co u niej. Ale przecież nawet nie bardzo wiem, co miałabym jej powiedzieć. Cześć. Chciałam się tylko upewnić, że nie zamierzasz dziś wieczorem rzucić się pod koła samochodu. Byłoby miło. I zostaw tę bombę. Igrasz z moim życiem".

Muzyka gra tak głośno, że trudno odróżnić jedną nutę od drugiej. Wyobrażam sobie, że biorę Kenta za rękę i odciągam go w jakieś ciche i ciemne miejsce. Może do pokoju na dole, do lasu albo jeszcze dalej. A może po prostu wsiądziemy do samochodu i pojedziemy przed siebie.

- Sam! Sam!

Podnoszę wzrok. W pokoju na tyłach domu Lindsay stanęła właśnie na kanapie i macha do mnie ponad falą głów. Obok niej siedzi Ally, a kilka metrów za nimi widzę Elody, która właśnie szepcze coś na ucho Steve'owi Doughowi.

Waham się, bo ogarnia mnie fala bezradności. To niedorzeczne, ta moja rozmowa z Kentem. Brak mi słów, żeby mu powiedzieć, jak bardzo się myliłam co do niego, Roba i wszystkich. Nie potrafię opisać mu, jak się zmieniłam. A może to wszystko i tak kłamstwo. Może niczego nie da się zmienić.

Wlokę się od jednych drzwi do drugich, wszyscy wokół mnie milkną, zamierają, a ich twarze kamienieją. Lindsay robi się niespokojna, uderza bezwiednie ręką o udo. Obok niej Ally otwiera i zamyka usta, jak ryba. W całym ciele czuję wibracje, jakby przepływał przeze mnie prąd.

Korytarzem maszeruje ona. Po tym wszystkim Juliet Sykes wypełnia swoją misję.

W jednej sekundzie cała moja desperacja, bezradność i poczucie, że czegoś zapomniałam albo z czymś się rozminęłam, przeradzają się w gniew. Kiedy Juliet dostrzega Lindsay, zatrzymuje się, otwiera

usta i już ma zamiar rozpocząć przedstawienie pod tytułem „Jesteś suką”. Ale ja nie dopuszczam jej do głosu. Rzucam się w jej kierunku, chwytam ją za rękę i ciągnę przez korytarz. Jest zbyt zaskoczona, żeby się bronić.

Wpycham Juliet do najbliższej łazienki.

- Wynocha - rozkazuję dwóm dziewczynom, które mizdrzą się przed lustrem.

Zatrzasnę drzwi i zamykam na klucz. Kiedy odwracam się, Juliet ma taki wyraz twarzy, jakbym to ja była psychopatką.

- Co ty wyprawiasz?

Chyba nie zrozumiała pytania.

- To impreza - mówi spokojnie, ale z naciskiem. Kiedy nie świruje i nie wyzywa mnie od suk, ma miły, melodyjny głos, jak Elody. - Wolno mi tu przyjść, jak każdemu.

- Nie. - Kręcę głową, przyciskając palce do skroni, by przestały pulsować. - Co naprawdę wyprawiasz? Czemu tu przyszłaś?

Juliet rzuca okiem na klamkę za mną. Przesuwam się tak, żeby klamka wbiła mi się w lędźwie. Jak będzie chciała stąd wyjść, to musi mnie usunąć z drogi.

Najwyraźniej nie lubi grać w ciemno, bo bierze długi, głęboki wdech.

- Przyszłam ci coś powiedzieć. Tobie, Lindsay, Elody i Ally.

- Naprawdę? A niby co?

- Jesteś suką - mówi cicho, ale nie brzmi to jak oskarżenie, a raczej jak coś, z powodu czego jest jej przykro.

Dokładnie w tej samej chwili mówię:

- Jestem suką.

Juliet gapi się na mnie.

- Słuchaj, Juliet - przeczesuję włosy palcami - wiem, że nie zawsze byliśmy dla ciebie miłe. I naprawdę żałuję tego... naprawdę. - Próbuję odgadnąć, co ona myśli, ale wygląda tak, jakby po naciśnięciu jakiegoś guzika nagle na jej oczy spadła zasłona. Juliet stoi przede mną i wbija we mnie oczy bez wyrazu. Mówię dalej swój monolog. - Chodzi o to, że nigdy nie chciałyśmy ci zrobić krzywdy, uwierz mi. Nie sądzę, żebyśmy kiedykolwiek... żebym ja to właśnie miała na myśli. Takie rzeczy się po prostu zdarzają. Ze mnie też wszyscy się naśmiewali. - Kiedy ona tak stoi i patrzy na mnie, zaczynam się denerwować i oblizuję wargi. - Cały czas. I nie sądzę, że to dlatego, że ludzie są złośliwi albo źli, tylko wydaje mi się... wydaje mi się... - Z trudem znajduję słowa. W mojej głowie tłoczą się wspomnienia: ludzie śpiewający, kiedy przechodziłam obok korytarzem, zapach landrynki w oddechu Lindsay w dniu, kiedy wyrzuciłyśmy przez okno tampony Beth, jazda konno przez leśną gęstwinę. - Wydaje mi się, że ludzie po prostu nie myślą. Nic nie wiedzą. My nie wiemy... Ja.

Jestem z siebie dumna, że wreszcie to z siebie wyrzuciłam. Ale Juliet nawet się nie poruszyła, nie uśmiechnęła ani nawet nie wpadła w szal. Jest tak spokojna, jakby wykuto ją w kamieniu. Wreszcie przeżywa ją lekki dreszcz, jak małe trzęsienie ziemi, a oczy skupiają się na mnie.

- Nie zawsze byliście dla mnie miłe? - mówi bez wyrazu, a mój żołądek się zaciska. Nie słuchała ani słowa z tego, co powiedziałam.

- Ja... tak. I żałuję tego. Juliet mruga.

- W siódmej klasie razem z Lindsay ukradłyście mi z szafki ubrania i cały dzień musiałam chodzić w upoconym dresie. A potem przeżywałyście mnie Śmierdziel Sykes.

- Przepraszam... Nie pamiętam tego.

Patrzy na mnie w okropny sposób, jakby jej wzrok mnie przeszywał i koncentrował się na czymś za moimi plecami.

- Oczywiście to się wydarzyło, jeszcze zanim wymyśliłyście, że jestem Psycholem. - Głos Juliet stracił całą swoją melodyjność. Jest zupełnie pozbawiony tonu. Dziewczyna podnosi dłoń i wykonuje gest, jakby przecinała powietrze nożem. Wydaje serię wysokich pisków, od których ciarki chodzą mi po plecach, i przez chwilę myślę, że może naprawdę jest stuknięta. Potem opuszcza ramiona. - Naprawdę śmieszne. Psychol-morderca, *qu'est-ce que c'est*. To się łatwo przyjmie.

- O mnie opowiadano naprawdę głupi kawał. Podśpiewywali, gdy przechodziłam obok. Co jest czerwone jak cegła i rozgrzane jak piec... - Miałam nadzieję, że się zaśmieje albo chociaż poruszy, ale ona wciąż gapi się na mnie z tym tępym wyrazem twarzy, twarzy pustej jak niezapisana kartka papieru.

- Ja nigdy nie śpiewałam - mówi, a potem, jakby jakaś siła kazała jej recytować listę wszystkich naszych przewin, mówi dalej. - Zrobiliście mi zdjęcia, kiedy brałam prysznic.

- To Lindsay - mówię bezwiednie, bo czuję się coraz bardziej skrępowana. Gdyby się wkurzyła, to przynajmniej byłoby coś. Ale ona zdaje się w ogóle mnie nie dostrzegać, jakby odczytywała notatki, które przejrzała wcześniej tysiąc razy.

- A potem rozwiesiłyście zdjęcia w całej szkole. Żeby nauczyciele mogli je zobaczyć.

- Zdjęliśmy je po godzinie. - Gdy wypowiadam te słowa, ogarnia mnie wstyd. Jakby to, że je zdjęliśmy, stanowiło okoliczność łagodzącą.

- Włamałyście się na moje konto mailowe. I opublikowałyście moje... moje prywatne maile.

- To nie my - mówię szybko.

Czuję ulgę, że przynajmniej to nie nasza wina. Do dziś nie wiem, kto włamał się na jej konto i puścił w obieg wymianę maili między nią a kimś o nicku DrogaDoCierpienia8, kogo niewątpliwie poznała w jakimś chatroomie. Tuziny maili z długimi tyradami o tym, jak beznadziejnie jest w szkole i jacy wszyscy są okropni. Haker przekierował maile do prawie wszystkich uczniów, dopisując nowy nagłówek: „Ameryka ma nowych nastoletnich morderców”. Przeszywa mnie dreszcz na myśl o tym, jak łatwo się pomylić co do ludzi, dostrzec tylko ich jedną, małą część i na jej podstawie ocenić całość, pomylić przyczynę ze skutkiem i na odwrót. I choć w ciągu ostatnich sześciu dni odwiedziłam dom Kenta pięć razy,

jestem zupełnie zdezorientowana, zbita z tropu, oślepiąca jasnym światłem w łazience i ogłuszona dźwiękami imprezy dochodzącymi zza drzwi. Pozbawiona wyrazu twarz Juliet to zagadka.

Juliet kontynuuje, jakbym w ogóle się nie odezwała.

- Puściłyście plotkę, że straciłam dziewictwo za paczkę papierosów.

Ally. To Ally. Nie mogę tego powiedzieć. To zresztą nieważne. To my. To my wszystkie. Wszyscy, którzy powtarzali tę historię, szeptali sobie na ucho „dziwka” i pokasływali jak starzy palacze, kiedy Juliet przechodziła obok.

- Ja nawet nie palę - mówi to z uśmiechem, jakby była to najzabawniejsza rzecz pod słońcem. Jakby to wszystko, całe jej życie, było jednym, wielkim kawałem.

- Juliet...

- Moja siostra usłyszała tę plotkę i powiedziała rodzicom. A ja... - Wreszcie przerywa na chwilę, zaciska pięści i wbija je sobie w uda. - A ja przecież z nikim się jeszcze nie całowałam. - Mówi to pełnym złości szeptem, a intensywność tego wyznania, smutek i żal, sprawiają, że gdzieś we mnie wytryska wielkie, czarne źródło gniewu.

- Wiem, dobra? Wiem, że robiłyśmy straszne rzeczy. Wiem, że zachowywałyśmy się poniżej wszelkiej krytyki i źle, i... - Przerywam, słowa więzną mi w gardle. Do oczu napływają mi łzy i uderza we mnie wielka fala furii, która zasłania wszystko poza tą jedną jedyną rzeczą, która dobija mnie do reszty: nie potrafię sprawić, żeby Juliet uwierzyła, że próbuję wszystko naprawić. Oczyma duszy widzę, jak moje i jej życie spływają do rynsztoka. Moje i jej życie, wczepione w siebie. - Chcę tylko powiedzieć, że chcę ci to wynagrodzić. Próbuję przeprosić. Wszystko, wszystko zmieni się na lepsze.

Juliet zaciska usta i patrzy na mnie bez słowa. Ma zupełnie białą twarz i muszę napiąć każdy mięsień w moim ciele, żeby nie chwycić jej za ramiona i nią nie potrząsnąć.

- To znaczy... - Błądzą w ciemności po omacku, chwytam się słów i myśli, które z brzęczeniem przebijają się przez zasłonę gniewu, próbując dotrzeć do Juliet. - Dostałaś dziś róże? Cały bukiet?

Juliet wstrząsa potężny dreszcz. Jej oczy się rozpalają, ale zamiast wdzięczności płonie w nich nienawiść.

- Wiedziałałam. Wiedziałałam, że to od was. - W jej głosie słychać tyle wściekłości i bólu, że cofam się w obawie, że zaraz mnie uderzy. - Co to miało być? Kolejny z waszych genialnych żarcików?

Jej reakcja tak mnie zaskakuje, że kilka sekund zajmuje mi wymyślenie odpowiedzi.

- Co? Nie. To było...

- Biedny, mały Psychol. - Juliet mruży oczy, prawie sycząc na mnie. - Nie ma przyjaciół. Nie dostanie ani jednej róży. Zabawmy się jej kosztem jeszcze jeden raz.

- Nie chciałam się tobą bawić. - Nie mam pojęcia, co się dzieje i czemu wszystko się schrzaniło. - To miał być miły gest.

Nie sądzę, żeby w ogóle mnie słuchała. Podchodzi bliżej.

- I jaki miałyście plan? Jak zamierzałyście rozegrać tę historyjkę o tajemniczym wielbicielu? Chciałyście przekupić jakiegoś kolesia, żeby udawał, że mnie lubi? Zaprosił mnie na randkę? A może nawet poszedł na studniówkę? A potem co? Miał się nie pojawić w noc, kiedy bylibyśmy umówieni? I jeśli mi wtedy odbiło, to byłoby takie niesamowicie śmieszne: gdybym zwariowała, gdybym się rozpląkała albo wpadła w szal na korytarzu. - Odsuwa się. - Przykro mi, że was rozczaruję, ale powtarzacie się. Już to przebrałam. Ósma klasa. Bal na powitanie wiosny. Andrew Roberts.

Jej ciało nagle traci napięcie, jakby to przemówienie ją wyczerpało. Nagle gaśnie ogień w jej oczach, jej twarz traci wyraz, a dłonie się rozluźniają.

- A może nie miałyście planu - mówi, teraz już cicho, prawie słodko. - Może to było zagranie bez sensu. Może tylko chciałyście mi przypomnieć, że jestem sama jak palec, że nie mam przyjaciół ani żadnych tajemniczych adoratorów. Może za rok, ale raczej nie sądzę, tak? - Znowu się do mnie uśmiecha, ale to jeszcze gorsze niż jej gniew.

Teraz jestem już tak oszołomiona i zawiedziona, że z trudem powstrzymuję łzy.

- Przysięgam, Juliet, nie o to chodziło. Ja tylko... myślałam, że zrobię coś dobrego. Że będzie ci miło.

- Że będzie mi miło? - Powtarza moje słowa, jakby nigdy wcześniej ich nie słyszała. Jej oczy przybierają rozmarzony wyraz, jakby patrzyła w dal. Na jej twarzy nie ma śladu po gniewie czy jakichkolwiek emocjach. Wygląda tak spokojnie, łagodnie. Uderza mnie to, jak piękna jest z bliska, z tą nieziemsko bladą cerą i wielkimi oczami koloru nieba o poranku, niczym supermodelka.

- Nie znasz mnie - mówi Juliet najcichszym szeptem. - Nigdy mnie nie znałaś. I niczego nie naprawisz. Mnie się nie da naprawić.

Przypomina mi się, co powiedziałam Kentowi kilka dni temu: Nie sądzę, żeby ktoś mógł mnie wyprostować. Ale teraz wiem, że się myliłam. Każdego można wyprostować. Tak musi być, tylko to ma jakiś sens. Próbuję wymyślić naprędce, w jaki sposób powiedzieć to Juliet, jak ją przekonać, ale ona, bardzo spokojnie, z typowym dla siebie zwiewnym wdziękiem, kładzie mi dłoń na ramieniu i delikatnym, ale pewnym gestem usuwa mnie z drogi, a ja pozwałam jej sięgnąć po klamkę. Łzy cisną mi się do oczu i nadal szukam właściwych słów, a zarazem cały czas wydaje mi się, że jej skóra lśni niczym samo serce płomienia. I niemal widzę, jak Juliet gaśnie, płomień jej życia migocze jak zakłócony obraz w telewizorze.

Zatrzymuje się z ręką na klamce i patrzy prosto przed siebie.

- Wiesz, kiedyś przyjaźniłam się z Lindsay. - Nadal mówi tym okropnym, spokojnym głosem dochodzącym gdzieś z daleka, jakby była oddalona o całe kilometry. - Dawniej wszystko robiłyśmy razem. Nadal mam naszyjnik przyjaźni, który mi dała, z serduszkami pękniętymi na pół. Kiedy się je złoży, układa się napis „Przyjaciółki na zawsze”.

Chcę zapytać, co się stało, dlaczego już się nie przyjaźnią, ale słowa nie chcą przedostać się przez zaciśnięte gardło. Poza tym boję się jej przerwać. Tak długo, jak Juliet ze mną rozmawia, jest bezpieczna.

- To było, zanim jej rodzice się rozwiedli. - Juliet rzuca okiem w moją stronę, ale jej wzrok przesuwają się po mojej twarzy, jakby w ogóle jej nie rejestrował. - Przez cały czas była taka smutna. Czasem u niej nocowałam. Jej rodzice kłócili się tak głośno, że musiałyśmy się ukrywać pod łóżkiem i upychać wszędzie poduszki, żeby zagłuszyć ten hałas. Ona nazywała to „budowaniem fortecy”. Zawsze taka była, wiesz jaka: próbowała walczyć. Ale kiedy wydawało jej się, że śpię, płakała bez końca. I zaczęły jej się śnić koszmary. Naprawdę okropne. Budziła się w środku nocy z krzykiem.

Juliet znowu gapi się na drzwi i uśmiecha lekko. Chciałabym móc wyruszyć w podróż po jej wspomnieniach i zobaczyć to, co ona widzi, naprawić to, co się w nich zepsuło.

- Zaczęła moczyć łóżko. Bo między jej rodzicami się nie układało. Oczywiście czuła się poniżona. Kazała mi przysiąc, że nikomu nie powiem, groziła, że nigdy się do mnie nie odezwie. Czasem budziłyśmy się rano i niektóre poduszki w naszej fortecy były mokre. Udawałam, że niczego nie widzę. Któregoś ranka weszłam do łazienki, żeby umyć zęby, a ona siedziała w wannie, szorując poduszkę taką ilością wybielacza, że powietrze aż kłuło w oczy. Prała ją chyba od pół godziny. Poduszka miała już białe plamy i nadała się tylko do wyrzucenia, a jej palce były pomarszczone i czerwone. Poparzyła je. Ale nawet tego nie zauważyła. Po prostu chciała, żeby poduszka była znowu czysta.

Zamykam oczy i czuję falującą pod stopami podłogę. Przypominam sobie, jak weszłam do łazienki w restauracji meksykańskiej i zobaczyłam Lindsay na kolanach i kawałki jedzenia pływające w ubikacji. I mieszkankę wstydu, gniewu i buntu na jej twarzy.

- Któregoś dnia jej rodzice kłócili się tak strasznie, że uciekłyśmy z domu. Miałyśmy ledwo siedem czy osiem lat, ale poszłyśmy na piechotę do mnie. Był marzec i było zimno. Plan był taki, że Lindsay wprowadzi się do mojego pokoju. Nie chciałam nikomu o tym mówić, tylko sprawić, żeby była bezpieczna, i przynosić jej jedzenie. Chciała głównie żelki i snickersy. Uwielbiała wtedy czekoladę i cukierki. Wszelkie słodczyce.

Bezwiednie wydaję z siebie cichy, zduszony dźwięk. Nie wiem, czy dam radę dalej słuchać. Mam wrażenie, że to właśnie to: tamta łazienka, tamta historia. Że to źródło i ujście wszystkich problemów, ich początek i koniec.

Ale Juliet nie przerywa, mówi dalej dziwnym, powściągliwym tonem, jakbyśmy miały na rozmowę całą wieczność.

- Oczywiście plan się nie powiódł. Weszłyśmy na górę do mojego pokoju, ale zaczęłyśmy się kłócić, która będzie spała na dużym łóżku, a która na małym, wysuwanym spod tamtego. Moja mama nas usłyszała. Była przerażona, że szłyśmy taki kawał na piechotę. Płakała i krzyczała, że ktoś mógł nas porwać albo zabić. Naprawdę zrobiło mi się głupio. - Juliet podnosi ręce i wpatruje się uporczywie w swoje dłonie. - Ale to było nic w porównaniu z tym, w jaki sposób wpadła Lindsay, kiedy moja mama powiedziała jej, że musi wracać do domu. Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś tak głośno krzyczał.

Juliet milczy tak długo, że wydaje mi się, że już skończyła. Jej słowa dźwięczą mi w głowie, objają się o siebie i układają niczym hasła w krzyżówce. „Zawsze taka była, wiesz jaka: próbowała walczyć...

Prała ją chyba od pół godziny... Jej palce były pomarszczone i czerwone". Czuję, że stoję u progu tajemnicy, której chyba nie chcę poznać. Pomieszczenie wydaje się małe i klaustrofobiczne. Czuję ogromny ciężar napierający na moją pierś. Kusi mnie, żeby nagle odepchnąć Juliet, wybiec i wrócić na imprezę, napić się piwa i zapomnieć o niej i o wszystkim. Ale wrosłam w ziemię. Nie mogę się ruszyć. Widzę przed sobą niezmierną ciemność z mojego snu. Nie mogę do niego wrócić.

- To nawet zabawne - mówi Juliet. - Kiedyś robiliśmy z Lindsay wszystko razem. Nawet razem zapisałyśmy się do skautów. To ona wpadła na ten pomysł. Ja nie miałam na to ochoty, na pieczenie ciasteczek, biwaki i wszystkie te głupoty. Na początku piątej klasy pojechaliśmy na wycieczkę pod namioty. Oczywiście spałyśmy razem.

Spoglądam na dłonie Juliet. Trzęsą się leciutko, ale tak szybko, że ledwo to widać, jak skrzydła kolibra. Kątem oka Juliet dostrzega mój wzrok i kładzie dłonie na udach, z gracją, ale zdecydowanie.

- Pamiętasz, jak mnie przezywali w piątej klasie? Jak nazwała mnie Lindsay? Żółta Pielucha? - Kręci głową. - To przezwisko śniło mi się po nocach, słyszałam je tak często. Czasem zapominałam, jak naprawdę się nazywam.

Juliet patrzy na mnie. Jej twarz jaśnieje, promienieje, jest wspaniała.

- A najzabawniejsze, że to nawet nie ja zrobiłam. To Lindsay zsikała się do śpiwora. Rano śmierdziało w całym namiocie. Ale kiedy pani Bridges przyszła i zapytała, co się stało, Lindsay pokazała na mnie palcem i zaczęła krzyczeć: „To ona!”. Nigdy nie zapomnę wyrazu jej twarzy, kiedy wykrzykiwała: „To ona!”. Była przerażona. Jakbym była dzikim psem, który zaraz miał ją ugryźć.

Opadam na drzwi, wdzięczna, że mam się o co oprzeć. To wszystko ma sens. Wszystko idealnie do siebie pasuje: gniew Lindsay i to, że zawsze układa palce w krzyż, jakby chciała odpędzić Juliet Sykes. Lindsay jej nie nienawidzi. Lindsay się jej boi. Boi się Juliet Sykes, strażniczki swego najstarszego, a może i najstraszniejszego sekretu.

Cała ta historia wydaje się teraz absurdalna, zupełnie bezsensowna i chaotyczna. Jedna osoba pnie się w górę, a druga spada na samo dno - bez jakiegokolwiek przyczyny, bez jakiegokolwiek znaczenia. Wystarczy znaleźć się w odpowiednim lub nieodpowiednim miejscu, zależy, z którego punktu widzenia na to popatrzeć. Wystarczy, że któregoś dnia w czasie imprezy wokół basenu zachce ci się dietetycznej pepsi i już dajesz się ponieść. Wystarczy, że nie zaprotestujesz.

- Dlaczego nigdy nic nie powiedziałaś? - pytam, choć przecież znam odpowiedź. Mój głos brzmi chropawo, bo z całych sił powstrzymuję łzy.

Juliet wzrusza ramionami.

- Była moją najlepszą przyjaciółką. Wtedy była taka smutna. - Juliet wydaje dźwięk, który może być cichym śmiechem albo szeptem. - Poza tym - mówi jeszcze ciszej - miałam nadzieję, że jej przejdzie.

- Juliet... - Zaczynam mówić.

Ona tylko wzrusza ramionami, jakby strząsała z nich cały ciężar, brzemień tej rozmowy i całej swojej przeszłości.

- To już nie ma znaczenia - mówi szybko, jak gdyby nigdy nic. Otwiera w mgnieniu oka drzwi i wychodzi.

- Juliet!

Przed drzwiami kłębi się mnóstwo ludzi i kiedy próbuję wyjść, zostaję wepchnięta z powrotem, bo dwie pijane drugoklasistki próbują wdrzeć się do środka, wrzeszcząc na siebie.

- Nie, moja kolej!

- Dopiero co przyszedłaś!

Kilka osób patrzy na mnie spode łba i nagle przez tłum przedziera się Bridget McGuire, z czerwoną twarzą, z makijażem rozmazanym przez łzy. Na mój widok mówi, pochlipując:

- Ty...

Ale nie kończy zdania. Przemyka obok drugoklasistek i zamyka się w łazience.

- Jezu, znowu to samo - ktoś krzyczy.

- Posikam się w spodnie - jęczy jedna z drugoklasistek, krzyżując nogi i podskakując.

Alex Liment stoi tuż obok. Przepycha się do drzwi łazienki i zaczyna w nie walić pięścią, wołając, żeby Bridget wyszła. Stoję, jakbym wrosła w ziemię, przyciśnięta do ściany, osaczona przez ludzi, sparaliżowana tym, że wszystko poszło nie tak. Kiedyś słyszałam, że jak wpada się do zimnej wody, to nie tonie się od razu, że zimno dezorientuje i można pomylić górę z dołem, płynąć i płynąć, i płynąć w złym kierunku, na samo dno, póki się nie utonie. Tak się właśnie czuję, jakby wszystko potoczyło się nie tak, jak miało.

- Niezły z ciebie numer.

Nagle zdaję sobie sprawę, że Alex do mnie mówi przez odsłonięte, zaciśnięte zęby.

- Wiesz, kim jesteś? - Kładzie ręce po obu stronach mojej głowy, w ten sposób mnie unieruchamiając. Widzę krople potu na jego czole, czuję, że jego oddech pachnie marihuaną i piwem. - Samantha Kingston, jesteś suką.

Jego słowa rażą mnie jak piorun i budzą z otępienia. Muszę się skupić. Juliet pobiegła gdzieś do lasu, w to zimno. Pewnie biegnie w kierunku drogi. Jeszcze mogę ją dogonić, pogadać z nią, sprawić, że wszystko zobaczy w innym świetle.

Kładę obie ręce na klatce piersiowej Aleksa i odsuwam go. On chwieje się i robi krok w tył.

- Wierz mi, już to gdzieś słyszałam.

Przepycham się przez korytarz i jestem w połowie schodów, kiedy słyszę, że ktoś mnie woła. Staję nagle, a ludzie za mną wpadają na siebie jak klocki domina i zaczynają mnie przeklinać.

- Jezu, co znowu?

Odwracam się błyskawicznie i widzę Kenta, który przeskakuje przez balustradę i zeskakuje na schody, prawie spadając na Hannę Gordon.

- Przyszedłaś.

Łąduje dwa schody nade mną i dyszy ze zmęczenia. Ma jasne, szczęśliwe oczy. Włosy spadają mu na czoło, w świetle rozwieszonych wszędzie lampek choinkowych połyskują na czekoladowo i karmelowo. Ledwo się powstrzymuję, by nie wyciągnąć ręki i nie odsunąć mu ich za uszy.

- Przecież powiedziałam, że przyjdę.

W brzuchu czuję tępe, bolesne pulsowanie. Przez cały wieczór, przez cały dzień, chciałam stanąć tuż obok niego. A teraz nie mam czasu.

- Słuchaj, Kent...

- To znaczy pewnie widziałem cię tu, kiedy zobaczyłem Lindsay i resztę. Zazwyczaj jeździcie wszędzie całą paczką, prawda? Ale potem szukałem tylko ciebie... - Robi pauzę, czerwieni się. - Nie że- bym jakoś specjalnie cię szukał. Tak tylko rozglądałem się w tłumie, no wiesz, gdy gadałem z ludźmi. Tak powinien robić gospodarz. Gadać z tym i owym. Więc trochę wypatrywałem, czy...

- Kent.

Mój głos brzmi ostro, niemiło. Na sekundę zamykam oczy i wyobrażam sobie, jak bym się czuła, leżąc z nim w zupełnej ciemności.

Wyobrażam sobie, że jego dłonie dotykają moich. Nagle zdaję sobie sprawę, że między nami nic się nie może wydarzyć. Otwieram oczy, a on stoi wciąż przede mną, czeka ze zmarszczonym czołem, taki słodki i normalny. Pewnie świetnie rozwiązuje krzyżówki albo gra na skrzypcach, a może ochotniczo roz- lewa zupę dla bezdomnych. Miły, normalny i uczciwy facet. Ból brzucha narasta, jakby jakieś uwięzione w nim zwierzę kąsało moje wnętrzności. Nigdy nie będę dla niego dość dobra. Choćbym przeżywała ten sam dzień w nieskończoność, nigdy nie będę dość dobra.

- Przepraszam. - Zmuszam się, żeby powiedzieć: - Ja... nie mogę teraz rozmawiać.

- Ale... - Kent chowa dłonie w rękawach i wygląda bardzo niepewnie.

- Przepraszam.

Nieomal mówię: Tak będzie lepiej. Ale zdaję sobie sprawę, że to nie ma sensu. Nie oglądam się za siebie, choć wiem, że on na mnie patrzy.

Na zewnątrz wkładam bluzę i zapinam pod samą szyję. Deszcz spływa po mnie i natychmiast plami legginsy. Przynajmniej dziś mam na sobie buty na płaskim obcasie. Idę wzdłuż podjazdu. Chodnik jest oblodzony, więc muszę wyciągnąć ramiona i opierać się o ustawione wzdłuż podjazdu samochody. Zimno wdziera mi się do płuc i czuję się dziwnie, ale w środku tego wszystkiego przychodzi mi do głowy naj- głupsza, najprostsza myśl: Powinnam częściej uprawiać jogging. I kiedy o tym myślę, prawie się sypię, targana chęcią, by jednocześnie śmiać się i płakać. Ruszam, kiedy tylko przypominam sobie o Juliet przy autostradzie numer 9. Juliet, która obserwuje przejeżdżające samochody i czeka na Lindsay.

Wreszcie odgłosy imprezy milkną i zapada cisza, w której rozbrzmiewa tylko padający deszcz, jak tysiące malutkich odłamków szkła spadających na chodnik, oraz odgłos moich kroków. Jest zupełnie ciemno i muszę zwolnić, opierając się na kolejnych samochodach. Metal pod moimi palcami jest tak zim- ny, że aż parzy.

Kiedy znajduję Czołg, górujący ponad innymi samochodami, po omacku szukam w torbie, w końcu moje palce zaciskają się na breloczku z metalu wysadzanego kryształami górskimi, ułożonymi w napis BAD GIRL. Kluczyki Lindsay. Głośno wypuszczam powietrze. To jedna dobra rzecz. Lindsay nie może opuścić imprezy beze mnie. Jej auto nie wyjedzie dziś na ulicę, choćby nie wiem ile czasu Juliet czekała. Zamykam drzwi i sprawdzam drugi raz.

Sznur samochodów się urywa i posuwam się dalej w żółwym tempie, przeklinając w myślach siebie za to, że nie wzięłam latarki, przeklinając też dzień 12 lutego i Juliet Sykes. Teraz dociera do mnie, że różnie były głupim pomysłem, wręcz obraźliwym. Myślę o Juliet i Lindsay w namiocie, lata temu, kiedy Lindsay podniosła palec, przerażona i upokorzona, i kiedy wszystko się zaczęło. I przez te wszystkie lata Juliet nie zdradziła sekretu Lindsay. „Miałam nadzieję, że jej przejdzie”.

Zarazem im dłużej o tym myślę - deszcz zaczyna padać coraz mocniej - tym bardziej mnie to wkurza. To moje życie - cały ten ogromny, rozprzestrzeniający się burdel, z wszystkimi możliwościami: pierwszymi pocałunkami, ostatnimi pocałunkami, uniwersytetem, mieszkaniem, małżeństwem, kłótniami, przeprosinami i szczęściem - skupione w jednym punkcie, jednej sekundzie, w ułamku sekundy, odcięte jak brzytwą w tym ostatnim momencie przez ostatni czyn Juliet, jej zemstę na nas, na mnie. Im bardziej się oddalam od imprezy, tym usilniej myślę: Nie. To nie może się tak skończyć. Niezależnie od tego, co zrobiliśmy, to nie może się tak skończyć.

Droga dojazdowa urywa się gwałtownie tuż przed autostradą numer 9, lśniąca przede mną jak rzeka, jak płynne srebro, w którym plamami odbija się światło. Nawet nie zauważyłam, że dotąd wstrzymywałam oddech. Teraz wypuszczam powietrze, wdychając, wdzięczna za światło.

Wycieram z oczu krople deszczu i skręcam w lewo, na brzegu lasu szukając wzrokiem Juliet. Mam cichą nadzieję, że rozmowa ze mną poprawiła jej nastrój - może jednak wróciła do domu, może miało to jednak dla niej jakieś znaczenie. Jednocześnie ton jej głosu, niskiego, bezdźwięcznego głosu, powraca do mnie i wiem, że gdziekolwiek była w tej łazience, to na pewno nie ze mną. Zagubiła się gdzieś, utknęła we mgle, może we mgle wspomnień, otoczona wyobrażeniami tego wszystkiego, co mogło wydarzyć się inaczej.

Za mną jakieś auto trąbi głośno, a ja podskakuję. Przy zatoczce do parkowania tracę równowagę i padam na czworaka na lód, a wtedy obok pędem przejeżdża auto, a po nim kolejne, którego silnik robi hałas niczym grzmot podczas nawałnicy. Potem słyszę klakson, fale dźwięku napływające w moją stronę, coraz głośniejsze. Podnoszę głowę i widzę reflektory auta jadącego wprost na mnie. Próbuję się ruszyć, ale nie mogę. Próbuję krzyknąć, ale nie mogę. Zamieram, a reflektory unoszą się przede mną jak dwa księżycy. W ostatniej sekundzie auto skręca odrobinę, przejeżdża tak blisko mnie, że czuję ciepło silnika i spalin, i słyszę jeden wers piosenki z radia. „Takie tu panują prawa, nie dla wszystkich jest zabawa”. A potem auto odjeżdża w noc, nadal trąbiąc. Bas z głośników dudni coraz słabiej, jak bijące gdzieś w oddali serce.

Poraniłam sobie dłonie o ziemię na poboczu. Serce bije mi tak szybko, jakby miało mi wyskoczyć z piersi. Powoli wstaję, roztrzęsiona. Po drugiej stronie drogi przejeżdża kolejne auto, bardzo powoli, a jego koła rozpryskują wodę w obu kierunkach.

A potem jakieś dwadzieścia pięć metrów przede mną widzę, jak z lasu wyłania się ubrana na biało postać, przypominająca długi, blady kwiat. Juliet. Ruszam w jej stronę, teraz powoli, próbując ominąć śliskie, zamarznęte, czarne kałuże. Juliet stoi zupełnie nieruchomo, jakby nawet nie czuła deszczu. W pewnej chwili unosi ramiona, równoległe do ziemi, jakby przygotowywała się do skoku z trampoliny. Jej widok w tej pozycji jest jednocześnie piękny i przerażający. Przypominają mi się czasy, kiedy byłam mała i w Boże Narodzenie i Wielkanoc chodziliśmy do kościoła, a ja zawsze bałam się spojrzeć na ołtarz, nad którym wznosił się Chrystus wiszący na krzyżu.

- Juliet! - krzyczę.

Nie reaguje. Nie wiem, czy mnie nie słyszy czy po prostu ignoruje. Zbliżam się na odległość siedmiu metrów, pięciu. Za mną słyszę niski pomruk. Odwracam się i widzę wielką ciężarówkę mknącą poprzez ciemność. Znowu w głowie pojawia mi się kompletnie przypadkowa myśl: Powinni mu odebrać prawo jazdy, jedzie o wiele za szybko. Kiedy się odwracam, widzę, że Juliet gapi się na drogę, wyprężona, z dłońmi na udach, i coś mi to przypomina, ale dopiero po sekundzie zdaję sobie sprawę co. Mija kolejna sekunda, nim dociera do mnie, co się właściwie dzieje - Juliet wygląda jak pies, który zaraz rzuci się w pogoń za ptakiem - i nagle wszystkie elementy układanki do siebie pasują i gdy tylko Juliet zaczyna się poruszać jak biała, rozmazana plama, ja też się poruszam, biegnę co sił w nogach, zbliżając się do Juliet, która pędzi w poprzek jezdni. Ciężarówka trąbi, a dźwięk klaksonu jest tak potężny, że wprawia w wibrację powietrze. Wpadam na Juliet całym ciężarem ciała i razem koziolkujemy w tył, do lasu. Ona krzyczy, ja krzyczę, a w ramieniu czuję ból. Przewracam się na plecy i widzę nad sobą gęstą sieć czarnych gałęzi. Wyobrażam sobie przez sekundę, że można by skoczyć w nie z samego nieba i się nie zabić.

- Co ty wyprawiasz!?! - wrzeszczy Juliet, a kiedy siadam, jej twarz wreszcie traci kamienny wyraz, wykrzywia ją gniew. - Co ty, do diabła, wyprawiasz?

- Co ja wyprawiam!?! - We mnie też wybucha gniew. - Co ty wyprawiasz!?! Wyskakiwać przed rozjeżdżoną ciężarówkę... Myślałam, że chodzi ci o to, żeby poczekać na Lindsay...

- Lindsay? Lindsay Edgcombe? - Cały gniew opuszcza Juliet, która wygląda na zupełnie zdezorientowaną. Podnosi dłonie do skroni i przyciska je palcami. - O czym ty mówisz?

To zbija mnie z tropu.

- Myślałam... myślałam. No wiesz, że to twoja wielka zemsta... Juliet śmieje się, ale nie ma w tym za grosz radości.

- Zemsta? - Potrząsa głową i znowu wydaje mi się, że na jej twarz opada zasłona. - Przykro mi, Sam. Tym razem zupełnie nie chodzi o ciebie. - Wstaje i nawet nie kłopotczy się, żeby zetrzeć z ubrania wielkie plamy z błota i liście, które przykleiły jej się do ubrania. - A teraz bądź łaskawa zostawić mnie w spokoju.

Kręci mi się w głowie i z trudnością koncentruję na niej uwagę, jakby dzieliło nas nie kilka kroków, ale wiele kilometrów. Deszcz pada coraz mocniej wielkimi, nieregularnymi kroplami. W głowie wirują mi odłamki różnych wyobrażeń: Lindsay dumnie klepiąca maskę swojego Czołgu i mówiąca: „Mogłabym się zderzyć czołowo z osiemnastokołowym tirem i nawet bym nie poczuła”; właściciel Dunkin Donuts krzyżący: „To nie samochód, to ciężarówka!”; przypadkowość rzeczy; to, że wszystko może zmienić się w ciągu sekundy; właściwe miejsce i właściwy czas albo zły czas; potężna ciężarówka, jadąca wprost na nas, jej ogromna metalowa chłodnica jak lśniące zęby, oślepiające światła, onieśmielająca wielkość, widać tylko reflektory, ogrom, czuć siłę. Żadnej planowanej zemsty. Przypadek. Głupi, durny, ślepy los. Część przedziwnego mechanizmu świata, z jego paroksyzmami, zająknieniami, zahamowaniami i przypadkowymi zderzeniami.

- Ale dlaczego...? - Z trudem się podnoszę. - Dlaczego tu przyszłaś? Po co?

Juliet nie patrzy na mnie, tylko wzrusza lekko ramionami.

- Bez powodu. Po prostu chciałam to powiedzieć. Zawsze wcześniej bałam się powiedzieć wam, co o was naprawdę myślę. Ale już się nie boję. Ani ciebie, ani nikogo, ani niczego. Nie boję się nawet...

Urywa, ale wiem, co ma zamiar powiedzieć. Nawet śmierci.

Wiem też jednak, że to, co mówi, nie do końca jest prawdą. Przyszła na imprezę, bo miała w tym swój cel. Wszystko teraz zaczyna się ze sobą łączyć i wyłania się z tego przerażający sens: potrzebowała nas tutaj, tego ostatniego ciosu. Zamykam oczy, bo przypomina mi się obraz mokrej, potykającej się Juliet, popychanej od jednej osoby do drugiej jak piłeczka we flipperze. A dziś wieczorem chyba po prostu potrzebowała opowiedzieć swoją historię - potrzebowała przypomnieć sobie, jak źle działo się w jej życiu. Zastanawiam się, czy tamtego dnia, kiedy spałyśmy wszystkie u Ally - tamtego dnia, kiedy skończyła ze sobą w inny sposób, sama, w piwnicy - potrzebowała więcej czasu, żeby zdobyć się na odwagę. Czy przyszła na imprezę niezauważona, zignorowana i zdała sobie sprawę, że nie ma siły przez to przejść? Czy później siedziała ze wzrokiem wbitym w pistolet leżący na jej kolanach i przywoływała w pamięci twarze ludzi, którzy torturowali ją przez lata?

Nagle w ciemności zawisa wykrzywiona w grymasie twarz Vicky Hallinan. Otwieram szybko oczy. Może tuż przed śmiercią widzi się swoje duchy.

- To nie jest wyjście - mówię słabym głosem. Czuję się tak, jakby deszcz wdarł mi się do głowy i zupełnie rozmiękczył mózg. Nie pamiętam nic z tego, co miałam zamiar jej powiedzieć. Powtarzam trochę głośniej: - To nie jest wyjście.

- Błagam - odpowiada cicho Juliet. - Po prostu chcę być sama.

- A co z twoją rodziną? - pytam, a mój głos brzmi teraz zupełnie histerycznie, bo dociera do mnie, że znowu ją tracę, że tracę kolejną szansę. - A co z twoją siostrą?

Nie odpowiada. Patrzy na drogę, zupełnie spokojnie. Deszcz przemoczył jej koszulę i łopatki sterczą jej z pleców niczym skrzydła pisklaka. Wracam pamięcią do momentu, kiedy mama Ally przyszła do nas i powiedziała: „Juliet Sykes się zastrzeliła”.

Wtedy wydawało mi się takie złe, że spośród wszystkich ludzi to ona skoczyła, zleciała, spadła z nieba. I tak jak wtedy znowu wyobrażam sobie, że nagle rozwinie skrzydła i wzięci do nieba, wymykając się niebezpieczeństwu.

To dziwne, do tej pory na drodze nie było żadnego samochodu, a teraz z obu stron dochodzi ryczenie silników. Głośne. Z wielkich aut.

- Juliet - robię krok w przód i mocno chwytam jej ramię. - Nie mogę ci na to pozwolić.

Ona odwraca się do mnie, patrzy na mnie oczami tak pustymi, że odbiera mi dech. Są jak martwe jeziora pełne wody. Wpatruję się w nią i przypomina mi się maska u niej w salonie: monstualna, zdeformowana, pozszywana z kawałków, z oczami patrzącymi w głąb i na zewnątrz; z jednej i z drugiej strony te oczy widzą pustkę. Robi to na mnie takie wrażenie, że rozluźniam uścisk. W uszach słyszę ryk i ledwo dochodzi do mnie, że nadjeżdżają auta, ale jestem zupełnie zahipnotyzowana. Nie mogę przestać na nią patrzeć.

- Za późno - mówi Juliet.

I dokładnie w tej sekundzie, w której tylko trochę rozluźniam uchwyt, ona wyrывa mi się i rzuca na drogę. Dokładnie w momencie gdy dwie furgonetki zbliżają się do siebie i mają się minąć. A ja widzę tylko lśnienie metalu i coś białego, co wlatuje w powietrze. Na sekundę ogarnia mnie radość, bo wydaje mi się, że Juliet się udało, że leci, a czas zatrzymuje się, gdy ona połyskuje w powietrzu jak piękny ptak. Ale czas nieubłaganie rusza naprzód, powietrze nie może jej utrzymać. Upada na ziemię, a ciemność przeszywa ostry dźwięk i dopiero po chwili zdaję sobie sprawę, że to mój własny krzyk.

Duchy i niebo

Półtorej godziny później parkuję na podjeździe przed domem Lindsay i obie patrzymy, jak deszcz zamienia się w śnieg. Słuchamy, jak świat wokół nas milknie, kiedy tysiące kropel deszczu zamarza w powietrzu i powoli spada na ziemię. Już odwiozłam Elody i Ally. Nie rozmawiałyśmy w drodze do domu. Elody oparła się o siedzenie i udawała, że śpi, ale gdy spojrzałam we wsteczne lusterko, zauważyłam błysk jej oczu. Obserwowała mnie.

- Jezu, ale noc. - Lindsay opiera czoło o okno. - Wariactwo, co nie? Nigdy bym nie pomyślała... To znaczy ona oczywiście była walnięta, ale nigdy bym nie pomyślała, że... - Przeszywa ją dreszcz, spogląda na mnie. - A ty tam byłaś.

Kiedy przyjechała policja i karetki - a za nimi wszyscy ludzie z imprezy u Kenta wypełzli z lasu, milczący, nagle trzeźwi, przyciągnięci przez dźwięk syreny niczym ćmy do płomienia - zastali mnie stojącą na skraju drogi i gapiącą się nadal. Przesłuchiwała mnie nawet oficer policji z wielkim pieprzykiem na samym czubku brody, na którym skupiałam się jak na samotnej gwiazdce na ciemnym niebie, jakby był to jedyny punkt orientacyjny.

„Była pijana?” Nie. „Brała coś innego? Możesz mi powiedzieć, bez obaw”. Nie. Przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

Lindsay oblizuje wargi i przebiera dłońmi na podołku.

- I... nic nie powiedziała? Nie wyjaśniła?

O to samo pytała mnie wcześniej policjantka. To było jej ostatnie, może najważniejsze pytanie.

„Powiedziała ci coś? Sugerowała, jak się czuje, co myśli?” Nie sądzę, by cokolwiek czuła.

A Lindsay odpowiadam:

- Czegoś takiego chyba nie da się wyjaśnić. Ale ona nalega.

- Ale może miała jakieś problemy? W domu? Takiego czegoś nie robi się tak po prostu.

Przypominam sobie zimny, ciemny dom Juliet, cienie z telewizora wędrujące po ścianie i zdjęcie nieznaney pary w srebrnej ramce.

- Nie wiem - odpowiadam. Patrzę na Lindsay, ale ona odwróciła już wzrok. - Pewnie nigdy się nie dowiemy.

Mam tak dojmujące poczucie pustki, że właściwie nie odczuwam już pustki, tylko ulgę. Wyobrażam sobie, że tak by było, gdyby porwała mnie fala. Tak bym się czuła w chwili, kiedy cienka, ciemna krawędź brzegu zanurzyłaby głowę za horyzontem, a ja położyłabym się na plecach i widziała tylko gwiazdy, niebo i obejmującą mnie wodę. A wtedy rozpostarłabym ramiona i pomyślała tylko: Okej.

- Dzięki za podrzucenie. - Lindsay kładzie dłoń na kłamce, ale nie wysiada. - Na pewno sobie poradzisz?

- Nic mi nie będzie.

Obserwuję śnieg poruszany wiatrem wiejącym pod kątem - jak układa się w rozmaite kształty, płynie, zakręca, rozbija się pod naporem silnego prądu powietrza, niczym przyływ, który posrebrza cały świat. Jest pięknie. Myślę tylko o tym, że to jedna z pierwszych rzeczy, których nie zobaczy Juliet.

Lindsay gryzie paznokcie, choć twierdzi, że tego nałogu pozbyła się w trzeciej klasie. Światło przy garażu wyłączyło się automatycznie i teraz jej twarz okrywa mrok.

- Lindsay?

Podskakuje tak, jakbyśmy milczały przez całe godziny, a ją zaszokowało to, że jeszcze siedzę w aucie.

- Co?

- Pamiętasz ten wieczór w Rosalicie? Jak wróciłaś z Nowego Jorku? Jak weszłam do łazienki?

Odwraca się i gapi na mnie bez słowa. Jej oczy są ciemniejsze niż reszta twarzy, jak dwie plamy zupełnej ciemności.

- Naprawdę zdarzyło ci się to wtedy tylko raz? Lindsay waha się przez moment.

- Oczywiście - mówi szeptem. Wiem dobrze, że kłamię.

I teraz już nie mam wątpliwości, że Lindsay wcale nie jest nieustraszona. Jest przerażona. Przerażona, że wszyscy się dowiedzą, że tylko udaje, że ściemnia przez całe życie, że nie ogarnia wszystkiego, tylko ma taki sam bajzel jak inni. Lindsay, która zacznie cię kąsać, jeśli tylko krzywo na nią popatrzysz, jak jeden z tych małych psów bojowych, które szczekają i kłapią zębami w powietrzu, póki nie uwiąże się ich na łańcuchu, żeby zatrzymały się w jednym miejscu.

Miliony pojedynczych płatków wirują, kręcą się i wyglądają niczym przetaczające się białe fale. Ciekawe, czy naprawdę każdy z nich jest inny.

- Juliet mi powiedziała. - Opieram głowę na zagłówku i patrzę z ukosa, żeby wszystko prócz bieli zniknęło. - O wycieczce skautów. W piątej klasie. Kiedy jeszcze się przyjaźniłyście.

Lindsay nic nie mówi, ale czuję, że cała się trzęsie.

- Powiedziała mi, że tak naprawdę to ty. No wiesz co.

- A ty jej uwierzyłaś? - mówi Lindsay szybko, ale robi to automatycznie, pusto, jakby i tak nie wiedziała, że dam się nabrać.

Ignoruję ją.

- Pamiętasz, jak potem wszyscy wołali na nią Żółta Pielucha? - Otwieram oczy i patrzę na nią. - Czemu rozgadałaś, że to ona? No dobra, rozumiem, że w tamtej chwili mogłaś się przestraszyć, byłaś zażenowana. Ale potem...? Czemu wszystkim opowiedziałaś? Czemu to rozniosłaś?

Lindsay trzęsie się coraz bardziej i przez sekundę wydaje mi się, że nie odpowie albo skłamię. Ale nagle zaczyna mówić bardzo spokojnym głosem, w którym pobrzmiwa coś, czego nie rozpoznaję. Może to rozgoryczenie.

- Wydawało mi się, że nie będzie tego ukrywała w nieskończoność. - Mówi takim tonem, jakby ją to nadal zdumiewało po tylu latach. - Myślałam, że wreszcie opowie wszystkim, co się tam naprawdę wydarzyło. Że będzie się bronić. - Jej głos załamuje się i słychać w nim nutę hysterii. - Czemu nigdy się nie broniła? Nawet raz. Tylko... brała to na siebie? Czemu?

Myślę o wszystkich tych latach, kiedy Lindsay kryła w sobie tę tajemnicę, to sekretne ja, które płakało co noc i prało osikane poduszki. Najstraszniejszy ze wszystkich sekretów - przeszłość, o której próbujemy zapomnieć.

Myślę też o tych momentach, kiedy sama milczałam, cierpiąc katusze, ale bojąc się powiedzieć lub zrobić coś nie tak, bojąc się, że wyjdzie ze mnie tamta niezdarna wieśniara i frajerka, która jeździ konno, i pochłonie nową mnie jak wąż, który coś właśnie upolował. Przypominam sobie, że ściągnęłam z półek wszystkie moje trofea i wyrzuciłam puf, nauczyłam się ładnie ubierać, nigdy nie jeść na obiad ciepłych posiłków, a przede wszystkim trzymać się z dala od ludzi, którzy mogliby pociągnąć mnie za sobą z powrotem do tamtego miejsca. Ludzi takich jak Juliet Sykes. Jak Kent.

Lindsay podnosi się i otwiera drzwi. Wyłączam silnik i wysiadam z nią z samochodu, rzucając kluczyki ponad dachem. Ona łapie je jedną ręką. Za nami zapalają się reflektory, a ja się odwracam i podnoszę w górę dłoń w kierunku samochodu, który stoi za nami z włączonym silnikiem. Bezgłośnie mówię: Dwie minuty.

Lindsay kiwa głową w kierunku Kenta, który zaparkował za nami i czeka, żeby odwieźć mnie do domu.

- Na pewno sobie poradzisz? To znaczy dotrzesz do domu i tak dalej?

- Na pewno.

Pomimo wszystkiego, co się dziś w nocy wydarzyło, na samą myśl o tym, że będę mogła siedzieć obok Kenta przez całe dwanaście minut, ogarnia mnie ciepło. Choć wiem, że to nie w porządku, choć wiem gdzieś w głębi duszy, że to się nie uda, że mnie nie uda się już z nikim.

Lindsay otwiera usta i zamyka. Wiem, że chce zapytać o Kenta, ale tego nie robi. Rusza w stronę domu, nagle staje i odwraca się.

- Sam?

- Tak?

- Naprawdę mi przykro. Przykro z powodu... wszystkiego. Chce, żebym jej powiedziała, że wszystko gra. Potrzebuje, żebym to właśnie powiedziała. Ale ja nie mogę. Mówię tylko cicho:

- Lubiłybyśmy cię i tak, Lindz. - Nie dodaję już: Gdybyś przestała tak potwornie udawać. Wiem, że to rozumie. - Kochałybyśmy cię, choćby nie wiem co.

Ona zaciska pięści i wydusza z siebie:

- Dzięki.

Potem odwraca się i idzie do domu. Przez sekundę światło padające na jej twarz sprawia, że jej skóra wygląda na wilgotną, ale nie wiem, czy to łzy czy śnieg.

Kent nachyla się, żeby otworzyć mi drzwi, a ja wsiadam. Odjeżdżamy spod domu Lindsay i skręcamy w milczeniu na główną drogę. Kent jedzie powoli, ostrożnie. Dwa snopy reflektorów przecinają padający śnieg. Kent opiera dłonie lekko na kierownicy.

Chciałabym tyle mu powiedzieć, ale nie mogę wydobyć z siebie głosu. Jestem zmęczona, boli mnie głowa i chcę tylko móc cieszyć się tym, że dzieli nas teraz kilka centymetrów, że w jego aucie pachnie cynamonem, że dla mnie włączył ogrzewanie na cały regulator. Robię się senna i ciężka, choć w środku cała pulsuję i jestem ożywiona i w pełni skupiona na nim, a on siedzi tak blisko.

Kiedy zbliżamy się do mojego domu, Kent zaczyna jechać żółwym tempem i mam nadzieję, że robi to, bo też nie chce, żeby nasza przejażdżka się skończyła. W tej chwili czas powinien się zatrzymać, właśnie teraz. Przestrzeń powinna się otworzyć i zagiąć jak u wejścia do czarnej dziury, żeby czas mógł zawiązać się w pętlę, a my wiecznie jechalibyśmy przez śnieg. Ale choćby nie wiem jak wolno jechał Kent, i tak poruszamy się naprzód.

Wkrótce po lewej stronie widać przekrzywiony szyld z nazwą mojej ulicy, przejeżdżamy obok majaczących w ciemności domów sąsiadów, a potem zbliżamy się do mojego.

- Dzięki za podwiezienie - mówię, odwracając się do niego, kiedy on odwraca się do mnie i pyta:

- Na pewno sobie poradzisz?

Oboje śmiejemy się nerwowo. Kent odgarnia włosy z czoła, a one natychmiast wracają na miejsce. Czuję ukłucie w żołądku.

- Nie ma sprawy - mówi. - Cała przyjemność po mojej stronie.

„Cała przyjemność po mojej stronie”. Tylko Kent mógł powiedzieć coś takiego i nie zabrzmieć jak postać ze starego, obciachowego filmu. Przez sekundę czuję ukłucie w sercu, kiedy myślę o całym tym

czasie, który zmarnowałam, o minutach i godzinach, które przeciekły mi przez palce i zniknęły na zawsze jak śnieg w ciemności.

Siedzimy przez chwilę w milczeniu. Desperacko próbuję coś powiedzieć, cokolwiek, żebym tylko nie musiała wysiadać, ale żadne słowa nie przychodzą mi na myśl, a czas ucieka nieubłaganie.

Wreszcie wypalam.

- Cały ten wieczór był okropny. Poza tym.

- Poza czym?

Wskazuję palcem na niego i na siebie.

- Ty i ja. Cały wieczór był okropny, poza tym. W jego oczach widzę błysk.

- Sam.

Wypowiada moje imię tylko raz, to jakby westchnienie. Nigdy nie sądziłam, że jedna sylaba zdoła sprawić, że całe moje ciało zacznie tańczyć i jaśnieć. Nagle Kent wyciąga obie ręce i bierze moją twarz w dłonie, głaszcze moje brwi, a jego kciuk przez jedną sekundę lekko muska moją dolną wargę - jego skóra smakuje cynamonem - a potem opuszcza ręce i odsuwa się, jakby trochę zażenowany.

- Przepraszam - mamrocze.

- Nie... w porządku. - Całe moje ciało dźwięczy. On pewnie to słyszy. Jednocześnie wydaje mi się, że głowa zaraz odkręci mi się od ramion.

- To jest... Boże, to okropne.

- Co jest takie okropne?

Moje ciało nagle przestaje dźwięczeć, a mój żołądek robi się ciężki. Zaraz powie mi, że mnie nie lubi. Zaraz znowu mi powie, że przejrzał mnie na wylot.

- No, to wszystko, co się dziś stało... To nie był dobry moment. A ty jesteś z Robem.

- Nie jestem z Robem - mówię szybko. - Już nie.

- Nie? - Kent patrzy na mnie tak intensywnie, że w jego zielonych oczach dostrzegam złote pasma, jak szprychy w kole.

Kręcę głową.

- To dobrze. - On nadal patrzy na mnie tak, jakby był pierwszym i ostatnim człowiekiem, który to robi. - Bo... - Urywa. Jego wzrok powoli zsuwa się na moje usta, a przez moje ciało przechodzi nagle taka fala ciepła, że wydaje mi się, że zaraz zemdleję.

- Bo? - próbuję go sprowokować, by mówił dalej, choć sama się dziwię, że w ogóle jeszcze mogę mówić.

- Bo przykro mi, ale nic na to nie poradzę, naprawdę muszę cię teraz pocałować.

Kent kładzie mi dłoń na karku i przyciąga mnie do siebie. Całujemy się. Ma miękkie usta, które wprawiają moje wargi w drżenie. Zamykam oczy i w ciemności pod powiekami rozkwita przepiękny świat, kwiaty wirujące jak płatki śniegu i kolibry bijące skrzydłami w rytm mojego serca. Odpływam, nie ma mnie, wiruję w próżni jak we śnie, ale tym razem to dobre uczucie - jak wzrastanie, jak totalna wolność.

On drugą ręką odgarnia mi włosy z twarzy, a ja czuję odcisk jego palców wszędzie tam, gdzie mnie dotknął, i myślę o gwiazdach spadających z nieba i zostawiających za sobą smugę ognia. W tej właśnie chwili, która może trwać sekundy, minuty lub dni, w chwili, w której on wymawia moje imię wprost w moje usta, a ja oddycham wprost w jego usta, zdaję sobie sprawę, że dopiero teraz zostałam po raz pierwszy w życiu naprawdę pocałowana.

Kent odrywa się ode mnie zbyt wcześnie, choć nadal trzyma moją twarz w dłoniach.

- Cudownie - mówi, próbując złapać oddech. - Przepraszam. Ale to było cudowne.

- Tak - słowo więźnie mi w gardle.

Siedzimy, patrząc na siebie, i po raz pierwszy nie czuję się zaniepokojona czy zmartwiona tym, co on sobie myśli. Jestem po prostu szczęśliwa, że na mnie patrzy, i pełna otuchy, którą daje mi to ciepłe, jasne miejsce.

- Naprawdę cię lubię, Sam - mówi Kent cicho. - Zawsze cię lubiłem.

- Ja cię też lubię. - Nie chcę się martwić o jutro. Nawet o tym nie myślę. Zamykam na chwilę oczy, odsuwając od siebie wszystko poza tą chwilą, jego ciepłymi dłońmi, jego ślicznymi, zielonymi oczami i jego ustami.

- Chodź. - Kent nachyla się do mnie i całuje mnie delikatnie w czoło. - Jesteś zmęczona. Musisz iść spać.

Wysiada z samochodu i przebiega na stronę pasażera, żeby otworzyć mi drzwi. Śnieg już się nie roztopia, teraz okrył wszystko grubą warstwą, zacierając krawędzie rzeczy. Tłumi nasze kroki, kiedy idziemy ścieżką na werandę, gdzie rodzice zostawili włączoną lampę. To jedyne światło w ciemnym domu na ciemnej ulicy, może jedyne światło na świecie. W jego blasku płatki śniegu wyglądają niczym spadające gwiazdy.

- Masz płatki śniegu w rzęsach. - Kent delikatnie przesuwa palcem po moich powiekach, a potem po nasadzie nosa. Mam dreszcze. - I we włosach. - Dotyka mnie drżąca dłoń, czuję koniuszki jego palców i dłoń na karku. Niebo.

- Kent. - Oplatam palce wokół kołnierzyka jego koszuli. Nieważne, jak blisko stoi, i tak stoi za daleko. - Nie boisz się zasnąć? Nie boisz się tego, co może nadejść?

Uśmiecha się, niewyraźnie i smutno. Mogłabym przysiąc, że wie, o czym mówię.

- Czasem boję się tego, co za sobą zostawiam - mówi.

I znowu się całujemy, nasze ciała i usta poruszają się tak harmonijnie, jakbyśmy w ogóle się nie całowali, jakbyśmy zaledwie myśleli o całowaniu, o oddychaniu, a wszystko działo się jak trzeba, naturalnie, bez naszej świadomości, zupełnie na luzie, jakbyśmy w ogóle się nie starali, tylko się poddali, pozwolili sobie na to. I właśnie w tym miejscu i w tym momencie dzieje się coś niemożliwego, nie do pomyślenia: czas jednak staje w miejscu. Czas i przestrzeń wycofują się i wybuchają jak wiecznie rozszerzający się wszechświat. I zostaje tylko ciemność, i my dwoje na granicy wszechświata. Ciemność, oddechy i dotyk.

ROZDZIAŁ 7

Śnię ten sam sen po raz kolejny i wygląda on tak: spadam, koziolkuję w powietrzu, ale tym razem ciemność wokół mnie żyje, pełna obijających się o mnie przedmiotów, i zdaję sobie sprawę, że nie otacza mnie ciemność, tylko że przez cały czas miałam zamknięte oczy. Otwieram je i robi mi się głupio. W tym samym momencie wokół mnie wzbija się w powietrze sto tysięcy motyli, jest ich tyle i mają tak wiele kolorów, że wyglądają jak nieprzezroczysta tęcza, która na chwilę zasłoniła słońce. Ale kiedy wzbijają się coraz wyżej, odsłaniają przepiękny krajobraz - cały zielony, złoty, z polami skąpanymi w słońcu i zaróżowionymi chmurami, które szybują pode mną. Powietrze wokół mnie jest czyste, niebieskie i słodko pachnie, a ja się śmieję, śmieję i śmieję, wirując w powietrzu, bo oczywiście przez cały ten czas wcale nie spadałam.

Latałam.

I kiedy się budzę, jest fantastycznie, jakby spokojne morze wyrzuciło mnie na spokojny brzeg, a sen ze swoim znaczeniem rozbił się o mnie, niczym fala, która teraz odpływa i zostawia mnie z tą jedną rzeczą, którą teraz wiem na pewno. Teraz już wiem.

Nigdy nie chodziło o to, żebym ocalała własne życie.

Przynajmniej nie w tym sensie, o którym myślałam.

Zaś siódmego dnia

Kiedyś oglądałam z Lindsay pewien stary film. Główna postać mówiła, że to smutne, że kiedy ostatni raz uprawia się seks, to nie wiadomo, że to ostatni raz. Nie uważam się za ekspertkę, bo nie zaliczyłam nawet pierwszego razu, ale wyobrażam sobie, że to samo można powiedzieć o wszystkim innym - ostatnim pocałunku, ostatnim uśmiechu, ostatniej filiżance kawy, ostatnim zachodzie słońca, ostatnim skoku ponad automatycznym zraszczaczem trawy, ostatnim lodzie w wafelku, ostatnim razie, kiedy wystawia się język, żeby złapać płatek śniegu. Nigdy nie wiadomo.

Tak naprawdę wydaje mi się jednak, że to dobrze, bo gdybyśmy wiedzieli takie rzeczy, to pewnie nie potrafilibyśmy w pełni dać się ponieść biegowi wydarzeń. Kiedy się wie, to jest trochę tak, jakby ktoś cię poprosił, żebyś zszedł z krawędzi wysokiego klifu: chcesz tylko paść na kolana i ucałować stałą ziemię, wachać ją, mocno się jej trzymać.

Tak chyba wyglądają wszystkie pożegnania - przypominają skok w przepaść. Najtrudniej podjąć decyzję, że się to zrobi. Kiedy już się leci, nie można zrobić niczego innego, jak tylko się temu poddać.

Ostatnie, co mówię rodzicom, to: Na razie. Mówię też: Kocham was. Ale wcześniej. Moje ostatnie słowa to: Na razie.

A właściwie to do taty mówię: Na razie. Do mamy mówię: Na pewno, bo stoi w drzwiach do kuchni z gazetą i włosami w nieładzie, w byle jak narzuconym szlafroku, i pyta: „Na pewno nie chcesz śniadania?”. Tak jak zawsze.

Stojąc w drzwiach wyjściowych, spoglądam za siebie. Za mamą stoi tata - przy kuchence, coś sobie mruczy pod nosem i przypala jajecznicę. Ma na sobie pasiaste spodnie od piżamy, które dostał ode mnie i

Izzy na ostatnie urodziny, a jego włosy sterczą we wszystkich kierunkach, jakby włożył palec do kontaktu. Mama kładzie tacie rękę na plecach, kiedy przeciska się obok niego, a potem siada przy stole kuchennym i potrząsa gazetą. On zsuwa jajka na talerz, stawia go przed nią i mówi:

- *Voilà Madame*. Ekstra chrupkie.

A ona potrząsa głową i mówi coś, czego nie słyszę, ale uśmiecha się, a on nachyla się nad nią i całuje ją jeden raz w czoło. Miło było to zobaczyć. Dobrze, że się obejrzałam.

Izzy odprowadza mnie do drzwi i podaje rękawiczki, uśmiechając się szeroko i pokazując przerwę między przednimi zębami. Kiedy patrzę na siostrę, zaczyna mi się kręcić w głowie, a żołądek ściska mi się jak pięść, więc biorę głęboki oddech i zaczynam w myślach liczyć schody. Przypominam sobie mój sen o lataniu.

Raz, dwa, trzy, skok.

- Zapomniałaś rękawiczek - sepleni, uśmiecha się. Na głowie burza złotych loków.

- Co ja bym bez ciebie zrobiła?

Kucam obok i obejmuję ją mocnym uściskiem, myśląc o całym naszym wspólnym życiu: o jej małych stopkach i skórze na głowie, która pachniała pudrem dla niemowląt; o pierwszym razie, kiedy do mnie podeszła na chwiejnych nóżkach; o pierwszym razie, kiedy jechała na rowerze, upadła i skaleczyła się w kolano, a kiedy zobaczyłam jej krew, to prawie umarłam ze strachu i zaniosłam ją na rękach do domu. To dziwne, ale widzę ją też dużo później, „po drugiej stronie”: Izzy, wysoka i wspaniała, z jedną ręką na kierownicy, śmieje się; Izzy w długiej zielonej sukience i szpilkach kroczy w kierunku limuzyny, która zabierze ją na studniówkę; Izzy obładowana książkami, otoczona tumanem śniegu, pospiesznie idąca w stronę akademika, złoty płomień wśród bieli.

Izzy piszczy i wrywa się.

- Nie mogę oddychać! Zmiażdżysz mnie.

- *Sorry*, żabko.

Sięgam rękami za kark i odpinam łańcuszek z wisiorkiem w kształcie ptaka, który dostałam od babci. Oczy Izzy robią się wielkie i okrągłe.

- Odwróć się - mówię. Nagle Izzy zupełnie milknie i robi, co każę, bez marudzenia. Stoi zupełnie spokojnie, a ja unoszę jej włosy i zawieszam jej na szyi wisiorek. Odwraca się do mnie z poważną twarzą i czeka na opinię.

Lekko pociągam za łańcuszek. Opada jej do połowy piersi i wisi po prawej stronie serca.

- Ładnie w nim wyglądasz.

- Naprawdę mi go dajesz? Na zawsze czy tylko dziś? - Mówi półszepem, jakbyśmy powierzały sobie jakieś tajemnice.

- I tak ty w nim lepiej wyglądasz. - Dotykam koniuszka jej nosa, a ona unosi ramiona i kręci się w koło jak baletnica.

- Dzięki, Sammy! - Oczywiście brzmi to jak „Siami”.

- Bądź grzeczna, Izzy.

Wstaję ze ściśniętym gardłem, cała obolała. Muszę się powstrzymać, żeby nie uklęknąć i jeszcze raz jej nie uściskać.

Izzy kładzie dłonie na ustach, jak mama, udaje obrażoną i zadziera nos.

- Zawsze jestem grzeczna. Najlepsza.

- Najlepsza z najlepszych.

Już się odwróciła i biegnie, ślizgając się w kapciach, z powrotem do kuchni. Krzyczy:

- Patrzcie, co dostałam od Sammy! - Zaciska dłoń na wisiorku.

Łzy napływają mi do oczu i nie widzę jej dokładnie, tylko różową plamę piżamy i złotą czuprynę.

Na zewnątrz zimno wypala mi płuca i gardło boli mnie jeszcze bardziej. Biorę głęboki oddech, wciągając zapach palonego drewna i benzyny. Słońce jest piękne, wisi olbrzymie tuż nad horyzontem, jakby się przeciągało i budziło z drzemki. Wiem, że za tym słabym, zimowym światłem skrywa się obietnica dni trwających do ósmej wieczorem, imprez wokół basenu, zapachu chloru i hamburgerów na grillu; a jeszcze głębiej są drzewa podświetlone na czerwono i pomarańczowo, jak płomienie, i grzane wino z przyprawami, i szron, który topnieje w południe - jedna warstwa życia na drugiej, zawsze coś więcej, coś nowego, intensywniejszego. Chce mi się płakać, ale Lindsay już zaparkowała przed moim domem, macha do mnie i krzyczy: - Co się dzieje!?

Więc idę dalej, noga za nogą, raz, dwa, trzy, i myślę o tym, że muszę dać się ponieść - zapomnieć o drzewach, trawie, niebie i chmurach na horyzoncie, poprzecinanych czerwonymi pręgami. Muszę pozwolić, by wszystko to rozsunęło się jak zasłona. Może za nią odkryję coś spektakularnego.

Cudowne przypadki i zbiegi okoliczności, część pierwsza

- No to mówię do niego: Słuchaj, mam gdzieś, że to głupie, mam gdzieś, że to przypomina wyścigkę wygraną w supermarkecie albo coś w tym guście...

Lindsay trajkocze, opowiada o Patricku, podkreślając najważniejsze momenty uderzeniami dłoni o kierownicę. Znowu ma nad wszystkim pełną kontrolę. Włosy związała w nieco bezładny kucyk, usta pomalowała błyszczkiem, a jej puchowa kurtka pachnie perfumami Burberry Brit Gold. To dziwny widok po wczorajszej nocy, ale cieszę się. Jest okrutna, przerażona, dumna i niepewna siebie, ale to nadal Lindsay Edgcombe - dziewczyna, która w pierwszej klasie liceum ukradła kluczyki do nowiutkiego bmw Mari Tinsley (po tym jak Mari nazwała ją gówniarą i dziwką), choć Mari właśnie została wybrana królową balu maturalnego i wszyscy, nawet ludzie z jej rocznika, bali się jej podskoczyć. Lindsay i tak jest moją najlepszą przyjaciółką i mimo wszystko nadal ją szanuję. I wiem, że choćby nie wiem jak bardzo się myliła - co do miliona rzeczy, ludzi i samej siebie - to kiedyś zda sobie z tego sprawę. Widziałam to zeszłej nocy w jej spojrzeniu, kiedy jej ocieniona twarz wydawała się zupełnie pusta.

Może się łudzę, ale chcę wierzyć, że na jakimś poziomie, a może w innym świecie, wydarzenia wczorajszej nocy mają znaczenie, że nie zniknęły. „Czasem boję się zasnąć z powodu tego, co za sobą zo-

stawiam". Na myśl o tym, co powiedział Kent, czuję ciarki na plecach. Po raz pierwszy w życiu tęsknię za czyims pocałunkiem. Po raz pierwszy w życiu obudziłam się z poczuciem, że straciłam coś ważnego.

- Może świruje, bo za bardzo mu na tobie zależy - Elody przerywa monolog Lindsay. - Nie sądzisz, Sam?

- Aha. - Delektuję się kawą, piję ją bardzo powoli. Idealny poranek, dokładnie taki właśnie bym wybrała: idealna kawa, idealny bajgiel, jadę autem z moim dwiema najlepszymi przyjaciółkami, nie myśląc właściwie o niczym, nie próbując nawet o niczym mówić, paplamy o tym, co zawsze, cieszymy się swoimi głosami. Brakuje tylko Ally.

Nagle nachodzi mnie chęć, żeby pojeździć po Ridgeview trochę dłużej. Po części nie chcę, żeby przejażdżka się skończyła. Po części chcę wszystko obejrzeć po raz ostatni.

- Lindz? Możemy się zatrzymać w Starbucksie? Chcę latte. - Piję kilka wielkich łyków kawy, żeby uprawdopodobnić moją zachciankę.

Lindsay unosi brwi.

- Przecież nienawidzisz Starbucksa.

- No niby tak, ale mam straszną ochotę.

- Mówiłaś, że kawa smakuje tam jak kubel na śmieci osikany przez psa.

Elody łapczywie pije kawę.

- Hej! Niektórzy tu jedzą i piją. - Dramatycznie macha bajgłem.

Lindsay unosi obie ręce.

- To dosłowny cytat.

- Jak znowu się spóźnię na informatykę, to mnie dożywotnio zawieszą - mówi Elody.

- I stracisz szansę na lizanie się z Muffinem jeszcze przed pierwszą lekcją - dodaje Lindsay, tłumiąc śmiech.

- A ty? - Elody rzuca w nią kawałkiem bajgla, a Lindsay piszczy. - To cud, że jeszcze się nie lizalaś z Patrickiem.

- Ej, Lindsay, błagam. - Trzepocę rękami, a potem odwracam się do Elody. - Błagam, ślicznotko.

Lindsay oddycha ciężko i krzyżuje wzrok z Elody we wstecznym lusterku. Włącza migacz. Kłaskam w dłonie, a Elody jęczy.

- Sam będzie dziś robić, co zechce - mówi Lindsay. - W końcu to jej wielki dzień. - Akcentuje słowo „wielki”, a potem wybucha śmiechem.

Elody kontynuuje temat tak, jak trzeba.

- Powiedziałabym, że to wielki dzień dla Roba.

- Miejmy nadzieję. - Lindsay nachyla się do mnie i szturcha mnie łokciem.

- Faj - mówię - zбочzone. Lindsay idzie za ciosem.

- To będzie dłuuuuugi dzień.

- Będzie ostro - dodaje Elody.

Lindsay prycha kawą, a Elody wydaje okrzyk. Obie parszczają śmiechem jak wariatki.

- Bardzo zabawne - mówię, wyglądając przez okno i obserwując domy ustawione jeden za drugim, kiedy wjeżdżamy do miasta. - Bardzo dojrzałe. - Ale uśmiecham się, jestem szczęśliwa i spokojna. Myślę sobie: Nie macie o niczym zielonego pojęcia.

Za Starbucksem w centrum miasta jest mały parking i udaje nam się zająć ostatnie wolne miejsce. Lindsay pędem wjeżdża na nie i nieomal urywa lusterka w autach stojących po obu stronach, ale i tak krzyczy:

- *Gucci*, dziecinko, *gucci!* - bo twierdzi, że to po włosku znaczy „idealnie”.

W głowie cały czas żegnam się z wszystkim, z każdym miejscem, które tak często widywałam, że przestałam je zauważać: malutkim barem na wzgórzu, gdzie podają najlepsze kotlety z kurczaka, sklepem z drobiazgami, gdzie kupowałam nitkę, żeby robić z niej bransoletki przyjaźni, biurem sprzedaży nieruchomości, gabinetem stomatologicznym, małym ogrodem, w którym Steve King włożył mi do ust język w siódmej klasie i tak mnie zaskoczył, że mu go przygryzłam. Nie mogę odpędzić myśli, że życie jest dziwne, myśli o Kencie i Juliet, a nawet Aleksie, Annie, Bridget, panu Shaw i pani Winters, myśli o tym, jak wszystko jest skomplikowane i ze sobą połączone, powiązane niczym olbrzymia, niewidzialna sieć, myśli, że czasem wydaje się, że postępuje się właściwie, a robi się coś strasznego i *vice versa*.

Wchodzimy do Starbucksa i zamawiam latte. Elody kupuje brownie, choć dopiero co skończyła jeść, a Lindsay kładzie sobie na głowie wypchanego misia i bez mrugnięcia okiem zamawia wodę, a barista gapi się na nią jak na wariatkę. Nie mogę się powstrzymać i obejmuję ją, a ona mówi:

- Zachowaj uściski do sypialni, kochanie.

Starsza pani za nami cofa się o krok. Wychodzimy i prawie upuszczam kawę - brązowy Chevrolet Sarah Grundel stoi na parkingu. Sarah bębni palcami w kierownicę i spogląda na zegarek, czekając, żeby zwolniło się jakieś miejsce. Ostatnie zajęłyśmy my.

- To chyba jakieś jaja - mówię głośno. Teraz na pewno się spóźni.

Lindsay zauważa, że się gapię, ale opacznie rozumie to, co właśnie powiedziałam.

- Wiem, gdybym miała takie auto, tobym nim jeździła tylko wokół domu. Już bym wolała chodzić piechotą.

- Nie. Chodzi o to, że...

Kręcę głową, bo zdaję sobie sprawę, że nie mogę tego wyjaśnić. Kiedy przechodzimy obok Sarah, widzę jak przewraca oczami i wzdycha, jakby chciała powiedzieć: „No, nareszcie”. Dociera do mnie ironia tej sytuacji i zaczynam się śmiać.

- Jak twoja latte? - pyta Lindsay, kiedy wracamy do samochodu.

- Jak kubek na śmieci obsikany przez psa - mówię. Wyjeżdżamy z parkingu, trąbiąc krótko do Sarah, a ona strzela focha i przypatruje się nam uważnie, kiedy już zwalniamy dla niej miejsce.

- Co się tak rzuca? - pyta Elody.

- SKP - odpowiada Lindsay. - Syndrom Kompulsywnego Parkowania.

Zaczynam myśleć, że może to wszystko wcale nie jest takie skomplikowane. Przez większą część czasu - przez dziewięćdziesiąt dziewięć procent czasu - po prostu nie wiesz, jak i dlaczego nitki się ze sobą wiążą, i nie ma w tym niczego złego. Robisz coś dobrego, a zdarza się coś złego. Robisz coś złego, a wydarza się coś dobrego. Nic nie robisz, a wszystko wybucha.

A bardzo, bardzo rzadko - z powodu jakiegoś cudu, przypadku i zbiegu okoliczności, bo tak akurat motyle biją skrzydłami, a wszystkie nitki splatają się na jedną minutę - masz szansę, by zrobić to, co właściwe.

Obraz wysiadającej z samochodu Sarah, trzaskającej drzwiami i biegnącej przez parking, niknie we wstecznym lusterku. Przychodzi mi do głowy myśl: Jeśli jest się o włos od wyeliminowania z ważnych zawodów, lepiej robić sobie kawę w domu.

Docieramy do szkoły. Muszę załatwić parę spraw w Pokoju Róż, więc odłączam się od Elody i Lindsay. A potem decyduję się opuścić pierwszą lekcję, bo i tak jestem spóźniona. Błąkam się po korytarzach szkoły i kampusie, rozmyślając o tym, jakie to dziwne, że można spędzić całe życie w jednym miejscu i wcale mu się nie przyjrzeć. Nawet żółte ściany - w korytarzach, które nazywaliśmy rzygowniami - wydają mi się dziś ładne. Smukłe, ogołoczone z liści drzewa rosnące na dziedzińcu już czekają na śnieg.

Przez większą część życia wydawało mi się, że dzień w szkole dłuży się w nieskończoność - może poza kartkówkami i klasówkami, kiedy każda sekunda gonila następną w zawrotnym tempie. Teraz jest właśnie tak. Choćbym nie wiem jak bardzo chciała, żeby wszystko szło powoli, czas wypływa tak szybko jak krew w czasie krwotoku. Ledwo dotarłam do drugiego pytania kartkówki, kiedy pan Tierney rzucił nam najdziksze ze swoich spojrzeń i zakrzyknął:

- Czas się skończył!

Muszę oddać kartkówkę, choć odpowiedziałam tylko na część pytań. Wiem, że to nieistotne, ale dałam z siebie wszystko. Chcę przeżyć ten ostatni dzień, jakby wszystko było normalne. Dzień taki sam jak miliony innych moich dni. Dzień, kiedy oddaję kartkówkę z chemii, martwiąc się, czy pan Tierney naprawdę spełni kiedyś swoją groźbę i zadzwoni na uniwersytet w Bostonie. Ale nie rozmyślałam nad tą kartkówką zbyt długo. Mam już za sobą okres, kiedy czegoś żałowałam.

Na lekcję matematyki przychodzę wcześniej, zupełnie spokojna. Zajmuję swoje miejsce kilka minut przed dzwonkiem i wyciągam podręcznik, kładę go dokładnie na środku ławki. Przyszłam jako pierwsza.

Pan Daimler podchodzi do mojej ławki i opiera się o nią z uśmiechem. Po raz pierwszy zauważam, że jeden z jego kłów jest szczególnie ostry, jak ząb wampira.

- Co się stało, Sam? - Wskazuje na moją ławkę. - Przyszedłeś trzy minuty przed dzwonkiem i na dodatek przygotowana. Postanowiłaś rozpocząć nowy rozdział w swoim życiu?

- Coś w tym stylu - mówię beznamiętnie, kładąc obie dłonie na podręczniku.

- I jak wynik w Dniu Kupidyna? - Pan Daimler wrzuca miętówkę do ust i nachyla się jeszcze bardziej. To obrzydliwe, jakby myślał, że może mnie uwieść świeżym oddechem. - Jakieś wspaniałe, ro-

mantyczne plany na wieczór? Masz kogoś, do kogo będziesz mogła się przytulić? - Patrzy na mnie spod uniesionych brwi.

Tydzień temu chyba zemdlałabym z wrażenia. Teraz jestem zupełnie zimna. Przypominam sobie szorstkość jego twarzy na mojej, ciężar, którym mnie przygniatał, ale nie czuję gniewu ani strachu. Koncentruję się na jego naszyjniku z konopnego sznurka, który jak zawsze wystaje mu spod kołnierzyka koszuli. Po raz pierwszy on wydaje mi się żaloszny. Kto by nosił tę samą rzecz dzień w dzień przez osiem lat? To mniej więcej tak, jakbym nadal uparcie nosiła naszyjniki z landrynek, które uwielbiałam, gdy byłam w piątej klasie.

- Zobaczmy - odpowiadam, lekko się uśmiechając. - A pan? Czy spędzi pan wieczór sam na sam ze sobą? Stolik dla jednej osoby?

Nachyla się jeszcze bardziej, a ja nawet nie drgnę, nakazując sobie, by się nie odchylić.

- A niby czemu coś takiego zakładasz? - Puszczą do mnie oko, bo pewnie mu się zdaje, że tak wygląda właśnie flirt w moim wykonaniu. Jakbym co najmniej miała zamiar zaproponować, że dotrzymam mu towarzystwa.

Uśmiecham się jeszcze szerzej.

- Gdyby miał pan prawdziwą dziewczynę - mówię cicho, ale dobitnie, żeby usłyszał każde moje słowo - nie próbowałby pan poderwać uczennicy liceum.

Pan Daimler robi głęboki wdech i natychmiast odsuwa się, tak szybko, że prawie spada z ławki. Do klasy wchodzi ludzie, gadają i porównują róże, zupełnie nas ignorując. Może myślą, że rozmawiamy o jakimś zadaniu domowym albo ocenie z klasówki. Pan Daimler wbija we mnie wzrok, otwiera i zamyka usta. Ale nie mówi ani słowa.

Rozbrzmiewa dzwonek. Pan Daimler potrząsa ramionami i chwiejnym krokiem odchodzi od mojej ławki, nie spuszczać ze mnie wzroku. Potem obraca się dookoła, zupełnie zdezorientowany. Wreszcie odchrząkuje.

- Proszę o uwagę. - Głos mu się łamie i musi zakaszeć. Kiedy znów zaczyna mówić, brzmi to jak szczekanie psa. - Proszę. Usiąść.

Muszę ugryźć się w dłoń, żeby nie parsknąć śmiechem. Pan Daimler rzuca mi pełne obrzydzenia spojrzenie, przez co jeszcze trudniej mi się opanować. Odwracam wzrok w stronę drzwi.

W tym samym momencie staje w nich Kent McFuller.

Nasze spojrzenia się krzyżują i sala zdaje się składać na pół, a dystans między nami się skraca. Przeszywa mnie błyskawiczne, szybkie uczucie, jakbym przefrunęła nagle do jego jasnozielonych oczu. Czas też zawija się w pętlę i stoimy znowu na werandzie, a jego ciepłe palce głaszczą moją szyję. Delikatne dotknięcie jego ust, jego szept w moim uchu. Nie istnieje nic poza nim.

- Panie McFuller. Byłby pan łaskaw usiąść? - głos pana Daimlera jest zimny.

Kent odwraca się ode mnie i chwila ginie. Mamrocze szybko: „Przepraszam”, a potem idzie prosto na miejsce. Odwracam się, wodząc za nim wzrokiem. Podoba mi się sposób, w jaki z gracją siada, nawet

nie dotykając ławki. Podoba mi się sposób, w jaki wyciąga podręcznik do matematyki, razem ze stosem pomiętych szkiców. Podoba mi się sposób, w jaki bawi się włosami, przeczesując je dłonią do tyłu, i to, że i tak opadają mu na czoło.

- Panno Kingston. Czy może mi pani poświęcić choć sekundę swojego cennego czasu i uwagi?

Kiedy odwracam się w stronę tablicy, pan Daimler patrzy na mnie gniewnie.

- Sekundę chyba mogę - mówię głośno i wszyscy się śmieją. Pan Daimler zaciska usta w cienką, białą linię, ale nie mówi ani słowa więcej.

Otwieram podręcznik, ale nie mogę się skupić. Bębnię palcami w spód blatu ławki, bo rozpiera mnie radość, od kiedy zobaczyłam Kenta. Nie mogę się uspokoić. Chciałbym móc powiedzieć mu, co dokładnie czuję. Chciałbym mu to wyjaśnić, żeby wiedział. Z niepokojem obserwuję zegar. Nie mogę się doczekać nadejścia Kupidynów.

Kent McFuller dostanie dziś jedną różę więcej.

Po lekcji czekam na Kenta w korytarzu, z żołądkiem zaciśniętym jak pięść. Ostrożnie niesie różę, którą mu przysłałam, jakby się bał, że ją złamie. Podnosi wzrok i patrzy poważnie i z namysłem, jego oczy sondują moją twarz.

- Powiesz mi, co to wszystko ma znaczyć? - Nie uśmiecha się, ale w jego głosie słyszę zadziorny ton, a w oczach widzę radość.

Postanawiam się z nim podroczyć, choć kiedy stoję tak blisko niego, z trudem gromadzę myśli.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Kent unosi różę i otwiera liścik, podsuwając mi, żebym go przeczytała, choć oczywiście wiem, co w nim jest.

„Dziś wieczorem. Włącz telefon, zapuść silnik i bądź moim bohaterem”.

- Tajemnicze - mówię, uśmiechając się cały czas. Kent wygląda dziesięć razy bardziej uroczo, kiedy się martwi. - Sekretna wielbicielka.

- Nie taka znowu sekretna. - Jego oczy skanują moją twarz, jakby na niej wypisano rozwiązanie tej zagadki, i muszę odwrócić wzrok, żeby powstrzymać się przed złapaniem go i przyciągnięciem do siebie.

On milknie na chwilę. - Dziś robię imprezę, wiesz?

- Wiem - i pospiesznie dodaję: - słyszałam.

- No i...?

Postanawiam skończyć tę gierkę.

- Słuchaj, chciałam cię prosić, żebyś mnie gdzieś podwiózł. To potrwa najwyżej dwadzieścia minut. Nie prosiłabym, ale to ważne.

On uśmiecha się jedną stroną ust.

- A co za to dostanę?

Nachylam się tak blisko, że moje usta są tylko centymetr od jego idealnie ukształtowanego ucha. Odurza mnie jego zapach - świeżo skoszona trawa i mięta.

- Zdradzę ci sekret.

- Teraz?

- Później.

Odsuwam się. W przeciwnym razie nie powstrzymam się przed pocałowaniem go w szyję. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Nigdy się tak nie zachowywałam przy Robie. Ledwo mogę utrzymać ręce przy sobie, gdy Kent jest w pobliżu. Może kilkukrotne umieranie zaburza gospodarkę hormonalną? Podoba mi się to.

Jego twarz znowu robi się poważna.

- To, co tu napisałaś... - Obraca liścik w dłoniach, otwiera go i zamyka, a jego oczy błyszczą, mienią się tysiącem odcieni złota. - Ten ostatni kawałek... o bohaterze... Skąd...?

Serce zaczyna mi bić z zawrotną prędkością i przez sekundę wydaje mi się, że on już się zorientował, że sobie przypomniał. Zawisa między nami ciężka cisza - wszystko co minione, zapamiętane, zapomniane - a pożądanie kołysze się między nami jak wahadło.

- Skąd co? - ledwo wyduszam z siebie.

Kent wzdycha i kręci głową, posyłając mi słaby uśmiech.

- Już nic. Zapomnij. To głupie.

- Och. - Zdaję sobie sprawę, że wstrzymywałam oddech, i wypuszczam powietrze. Odwracam wzrok, żeby nie zauważył wyrazu rozczarowania na mojej twarzy. - A tak w ogóle, dzięki za różę.

Tylko tę jedną różę zatrzymałam, ze wszystkich, które mi przysłano.

- To moja ulubiona - powiedziałam, kiedy wręczyła mi ją Marian Sykes.

Marian spojrzała na mnie zdumiona, a potem rozejrzała się, jakby wydawało jej się niemożliwe, że do niej mówię. A kiedy zdała sobie sprawę, że to jednak do niej, zaczerwieniła się i uśmiechnęła.

- Dostałaś strasznie dużo - powiedziała nieśmiało.

- Ale nie umiem ich tak pielęgnować, żeby długo kwitły - odparłam. - Żadna ze mnie ogrodniczka.

- Trzeba rozciąć końcówki pod kątem - powiedziała Marian z przejęciem, a potem znowu się zaczerwieniła. - Siostra mnie tego nauczyła. Lubiła kiedyś ogrodnictwo. - Odwróciła wzrok i zagryzła wargę.

- Weź je - powiedziałam.

Gapiała się na mnie przez dłuższą chwilę, podejrzewając jakiś kawał.

- Na zawsze? - zapytała, a mnie od razu przypomniała się Izzy.

- No jasne, ja już i tak mam na sumieniu za dużo morderstw na kwiatach. Weź je do domu. Masz wazon?

Zastanawiała się przez ułamek sekundy, a potem jej usta uniosły się w promiennym uśmiechu, zmieniając wyraz jej twarzy.

- Postawię je w pokoju - powiedziała. Kent unosi jedną brew.

- Skąd wiesz, że to ode mnie?

- Daj spokój - przewracam oczami. - Kto inny zarabia na rysowaniu dziwacznych obrazków?

Kent kładzie dłoń na sercu, udając obrażonego.

- Nie robię tego dla pieniędzy. Tylko z miłości. Poza tym nie są dziwaczne.

- Jak sobie chcesz. W każdym razie dzięki za zupełnie normalny liścik.

- Nie ma za co. - Uśmiecha się od ucha do ucha. Stoimy tak blisko siebie, że czuję ciepło, które z niego emanuje.

- To jak? Będiesz moim rycerzem w lśniącej zbroi czy nie? Kent kłania się lekko.

- Wiesz, że nic nie powstrzyma mnie przed uratowaniem damy w opałach.

- Wiedziałam, że mogę na ciebie liczyć.

Korytarz zupełnie opustoszał. Wszyscy poszli na obiad. Przez chwilę stoimy naprzeciw siebie i uśmiechamy się. Nagle w jego oczach pojawia się coś miękkiego i moje serce wyrывa się z piersi. Muzyka, myślę. On sprawia, że wokół rozbrzmiewa muzyka. A potem mówię sobie: Zaraz mnie pocałuje, pod salą do matematyki w Liceum imienia Thomasa Jeffersona. I prawie mdleję.

Ale Kent mnie nie całuje. Zamiast tego wyciąga rękę i dotyka jeden raz mojego ramienia, leciutko. Odsuwa palce, a ja nadal czuję je na swojej skórze.

- Do zobaczenia wieczorem. - Uśmiecha się niewyraźnie. - Mam nadzieję, że to jakiś niesamowity sekret.

- Oczywiście, obiecuję. - Chciałbym zapamiętać każdy szczegół, każdy gest i każde słowo Kenta. Chcę wyrzeć jego obraz w umyśle. Nie mogę uwierzyć, że tak długo byłam ślepa. Zaczynam się wycofywać, zanim zrobię coś dziko nieodpowiedniego, na przykład wskoczę na niego.

- Sam? - Kent zatrzymuje mnie.

- Tak.

Jego oczy znowu wpatrują się we mnie, jakby czegoś szukały, i teraz już rozumiem, co miał na myśli, kiedy mówił, że przejrzał mnie na wylot. On akurat zwracał na mnie uwagę. Czuję, że teraz też czyta w moich myślach, a to nawet więcej niż żenujące, bo skupiam się głównie na tym, jak idealnie ma wykrojone usta.

Kent zagryza wargi i szura trampkami.

- Dlaczego ja? Dziś wieczorem. Nie rozmawialiśmy przez, no nie wiem, siedem lat...

- Może nadrabiam stracony czas. - Wciąż się wycofuje, trochę podskakując.

- Pytam poważnie. Dlaczego ja?

Wyobrażam sobie, jak Kent trzyma mnie za rękę w ciemności i prowadzi przez pokoje poprzecinane światłem księżyca. Jak jego głos mnie usypia, niesie jak przypływ. Jak czas staje w miejscu, kiedy bierze moją twarz w dłonie i zbliża swoje usta do moich.

- Zaufaj mi - odpowiadam. - To możesz być tylko ty.

Drugie szanse

Valogram do Kenta był tylko jedną z poprawek, których dokonałam w Pokoju Róż tego ranka. Gdy wchodzę do stołówki, widzę, że Rob też dostał przesyłkę. Idę stanąć w kolejce po obiad (na który planuję

zamówić sobie kanapkę z podwójną pieczenią), a on odrywa się od grupki przyjaciół i podbiega do mnie. Jak zawsze tę swoją głupią czapeczkę Yankees nasadził na sam czubek głowy i przekreślił. Wygląda, jakby się urwał z jakiegoś raperskiego wideoklipu z 1992 roku.

- Cześć, kochanie. - Podchodzi, żeby mnie objąć, ale ja od niechcienia robię krok w bok. - Dostałem twoją różę.

- Dzięki. A ja twoją.

Rozgląda się i dostrzega jedną różę przywiązaną do ucha mojej torby. Unosi brwi.

- To ode mnie?

Kręcę głową ze słodkim uśmiechem.

On pociera czoło. Zawsze tak robi, kiedy myśli, jakby najdrobniejsza myśl przyprawiała go automatycznie o ból głowy.

- Co się stało z wszystkimi twoimi różami?

- Schowałam - odpowiadam. W pewnym sensie to prawda. Rob kręci głową i daje za wygraną.

- No więc ten facet, Ken czy Kyle, robi dziś imprezę... - Urywa, a potem stuka się w skroń i posyła mi łobuzerski uśmiech. - Może będzie fajnie, jak tam na chwilę wpadniemy. - Wyciąga rękę i zaciska ją na moim ramieniu, masując je o wiele za mocno. - No wiesz, gra wstępna.

Tylko Rob mógłby wpaść na pomysł, że wlewanie w siebie spienionego piwa prosto z beczki i darcie się do siebie można uznać za grę wstępną, ale postanawiam udawać głupią i grać w jego grę.

- Gra wstępna? - pytam tak niewinnie, jak tylko potrafię.

Jemu oczywiście wydaje się, że z nim flirtuję. Uśmiecha się i odchyła głowę do tyłu, patrząc na mnie przez w półprzymknięte oczy. Kiedyś uważałam, że to niesamowicie słodkie, teraz wydaje mi się, że oglądam niezdarnego piłkarza, który koniecznie chce zatańczyć sambę. Może opanował krok, ale i tak wygląda to żałośnie.

- Wiesz co? - mówi cicho. - Naprawdę spodobał mi się liścik od ciebie.

- Naprawdę? - Próbuję mruzczyć, myśląc o tym, co nabazgrałam mu dziś rano: „Nie musisz już na mnie czekać”.

- No i myślałem, że możemy pojechać na imprezę o dziesiątej, zostać na godzinę-dwie. - Wzrusza ramionami i poprawia czapeczkę. Odfajkował flirt, więc może już wracać do poważnych spraw.

Nagle czuję się zmęczona. Chciałam trochę namieszać Robowi w głowie - nawrzucać mu za to, że w ogóle mnie nie słucha, że nigdy go przy mnie nie ma, że nie dba o nic poza imprezami i lacrosse, że tak idiotycznie wygląda w tej czapeczce Yankees - ale odechciewa mi się tej zabawy.

- Właściwie wszystko mi jedno, co zrobisz, Rob.

Waha się przez moment. Nie takiej odpowiedzi oczekiwał.

- Ale śpisz dziś u mnie, tak?

- Nie sędzę.

Znowu jego ręka pociera czoło.

- Ale powiedziałaś...

- Powiedziałam, że nie musisz już na mnie czekać. No i nie musisz. - Biorę głęboki wdech. Raz, dwa, trzy, skok. - Nie uda nam się to, Rob. Chcę z tobą zerwać.

Rob cofa się. Najpierw jego twarz staje się biała jak ściana, a potem stopniowo od czoła w dół czerwienieje, jakby ktoś nalewał mu do głowy sok porzeczkowy.

- Co powiedziałaś?

- Powiedziałam, że zrywam z tobą. - Nigdy wcześniej czegoś takiego nie robiłam i jestem zdumiona, jak dobrze mi idzie. Tak łatwo dać się ponieść: to jak turlanie się w dół wzgórza. - Po prostu wydaje mi się, że nam się nie uda.

- Ale... ale... - wyrzuca z siebie. Teraz w miejsce dezorientacji na jego twarzy pojawia się gniew. - Nie możesz ze mną zerwać.

Mimowolnie robię krok w tył i krzyżuję ramiona na piersi.

- A niby czemu? - pytam.

Patrzy na mnie, jakbym była najgłupszą osobą pod słońcem.

- Ty - mówi, plując słowami - nie możesz zerwać ze mną.

I wtedy do mnie dociera. Jednak Rob coś pamięta. Pamięta, że w szóstej klasie powiedział, że nie jestem dla niego dość *cool*. Pamięta to i nadal w to wierzy. Wszelkie współczucie, jakie dla niego żywiłam, znika w tym momencie. Kiedy tak stoi czerwony jak burak, z zaciśniętymi pięściami, wydaje mi się po prostu brzydki.

- Mogę - mówię spokojnie. - I właśnie to robię.

- A ja na ciebie czekałem. Czekałem od miesięcy. - Odwraca się i mamrocze pod nosem coś, czego nie słyszę.

- Co?

Rob patrzy na mnie z twarzą wykrzywioną obrzydzeniem i gniewem. To nie może być ten sam człowiek, który jeszcze tydzień temu tulił mnie w ramionach i mówił, że jestem jego osobistym kocem. Wygląda tak, jakby zdjął jedną twarz i pod nią ukazała się druga.

- Powiedziałem, że mogłem przelecieć Gabby Haynes, kiedyś mnie o to poprosiła na przerwie - mówi zimno.

Coś rozpala się w moim żołądku - jakieś niedopalone resztki bólu, a może dumy - ale zaraz gaśnie i czuję tylko spokój. Już mnie tu nie ma, już przefrunęłam nad tym miejscem. I nagle zdaję sobie sprawę, co czuje Juliet, jak musiała się czuć przez dłuższy czas. Myśl o niej przywraca mi siły i zdobywam się na uśmiech.

- Nigdy nie jest za późno na kolejną szansę - mówię słodkim głosem i odchodzę, żeby zjeść ostatni lunch z moimi najlepszymi przyjaciółkami.

Dziesięć minut później, kiedy wreszcie siedzę przy naszym ulubionym stoliku - wcinając gigantyczną kanapkę z pieczenią i majonezem i frytki, tak głodna, jak nigdy - do stołówki wchodzi Juliet. Wi-

dzę, że do przytroczonej do plecaka pustej butelki po wodzie włożyła jedną różę. Rozgląda się, a jej twarz prześwituje spomiędzy kurtyny włosów. Przygląda się badawczo kolejnym stolikom, jakby szukała jakiejś podpowiedzi. Ma jasne, czujne oczy. Zagryza wargę, ale nie wygląda na nieszczęśliwą. Wygląda na żywą. Serce bije mi szybciej: to właśnie coś istotnego.

Kiedy Juliet mijają nasz stolik, dostrzegam między liśćmi jej róży złożony liścik i choć siedzę za daleko, żeby móc go przeczytać, to widzę dokładnie, co na nim napisano, nawet z zamkniętymi oczami. Tylko jedno zdanie.

„Nigdy nie jest za późno”.

- Co się z tobą dziś dzieje? - pyta Lindsay, kiedy idziemy na lody. Już prawie dotarliśmy do kilku sklepów skupionych na szczycie wzgórza niczym grzyby. Horyzont centymetr po centymetrze zasnuwa gruba kołdra ciemnych chmur, obietnica śniegu. Czuję ukłucie w sercu, na myśl, że już nigdy nie zobaczę śniegu.

- O co ci chodzi? - rzucam.

Idziemy ramię w ramię, próbując się rozgrzać. Chciałam, żeby Ally i Elody poszły z nami, ale Elody miała klasówkę z hiszpańskiego, a Ally stwierdziła, że jak jeszcze raz pójdzie na wagary na angielskim, to ją na pewno zawieszają. Nie robiłam o to wielkiego halo.

Dzień jak co dzień.

- Czemu się tak dziwnie zachowujesz?

Próbuję jakoś sformułować odpowiedź, a Lindsay ciągnie:

- Na przykład odpływasz w myślach przy lunchu i tak dalej. - Zagryza wargę. - Dostałam esemesa od Amy Weiss...

- Tak?

- Oczywiście Amy Weiss to wariatka i nie uwierzę w ani jedno jej słowo, szczególnie, kiedy mówi o tobie - Lindsay wtrąca szybko to zastrzeżenie.

- No jasne - mówię ubawiona, bo oczywiście wiem, do czego zmierza.

- Ale... - Lindsay bierze głęboki wdech i mówi pospiesznie: - Twierdzi, że gadała ze Steve'em Waitmanem, który rozmawiał z Robem, a ten powiedział, że z nim zerwałaś. - Lindsay rzuca na mnie okiem i wybucha śmiechem. - Oczywiście odpowiedziałam jej, że bredzi.

Milczę przez chwilę, dobierając w myślach właściwe słowa.

- Nie bredzi. To prawda.

Lindsay zatrzymuje się i wlepia we mnie zdziwione oczy.

- Co?

- Zerwałam z nim w czasie lunchu.

Lindsay kręci głową, jakby chciała wytrzepać słowa z mózgu.

- A, mhm, miałaś w planach podzielenie się tą nic nieznaczącą informacją w którymś momencie? Z najlepszymi przyjaciółkami? Czy może liczyłaś, że w końcu ta plotka i tak do nas dotrze?

Widzę, że Lindsay jest urażona.

- Słuchaj, Lindsay, miałam zamiar wam powiedzieć... Ale ona przyciska dłonie do uszu i nadal kręci głową.

- Nie rozumiem. Co się stało? Przecież mieliście... Sama mi mówiłaś, że chcesz... dziś wieczorem. Wzdycham.

- No i właśnie dlatego nie chciałam ci o tym mówić, Lindz. Wiedziałałam, że narobisz wokół tego hałasu.

- Bo jest o co robić hałas.

Lindsay jest tak zbulwersowana, że w ogóle nie zwraca uwagi na to, co dzieje się w Kuchni Hunan. Wbiła we mnie gniewny wzrok, jakbym zaraz miała zrobić się niebieską albo zapłonąć, jakby już nigdy nie miała zamiaru mi zaufać.

Zdaję sobie sprawę, że właśnie tak będzie się czuć, kiedy zrobię to, co zamierzam, ale nic na to nie poradzę. Odwracam się do niej i kładę jej dłonie na ramionach.

- Poczekaj tu chwilę, dobra?

Ona mruga.

- Dokąd idziesz?

- Muszę wpaść do Kuchni Hunan. - Cała się spinam, gotowa na jej atak szału. - Mam coś dla Anny Cartullo.

Jestem gotowa na to, że zaraz zaczniesz krzyczeć albo odwróci się na pięcie i sobie pójdzie, albo zaczniesz we mnie rzucać żelkami. Tymczasem jej twarz traci nagle jakikolwiek wyraz, jakby ktoś odłączył jej dopływ prądu. Trochę się martwię, że może doznała szoku, ale tej okazji nie mogę przegapić.

- Dwie minuty - mówię. - Obiecuję.

Wchodzę do Kuchni Hunan, zanim Lindsay - i jej foch - powrócą *online*. Rozbrzmiewa dźwięk dzwonka. Alex podnosi wzrok i przez sekundę ma zmartwiony wyraz twarzy, ale po chwili jego usta układają się w fałszywy uśmiech.

- Co jest, Sam? - mówi, przeciągając samogłoski. Co za idiota.

Ignoruję go i zwracam się do Anny. Zwiesiła głowę i przesuwa jedzenie z jednej strony talerza na drugą. Na pewno to bezpieczniejsze niż jedzenie.

- Hej. - Z jakiegoś powodu się denerwuję. W jej spokoju jest coś niepokojącego, może to z powodu sposobu, w jaki podnosi oczy i wpatruje się we mnie. Przypomina mi Juliet. - Przyszłam, żeby ci coś dać.

- Dać mi coś? - pyta.

Unosi górną wargę w wyrazie sceptycyzmu i już nie przypomina tak bardzo Juliet. Pewnie ma mnie za wariatkę. Wedle jej wiedzy, nigdy nie zamieniłyśmy nawet dwóch słów i mogę sobie tylko wyobrazić, co ona spodziewa się ode mnie dostać.

Alex patrzy to na mnie, to na nią, tak samo zdezorientowany jak Anna. Czuję na sobie wzrok Lindsay, która obserwuje całą sytuację przez zatłuszczone okno, i prawdę mówiąc uczucie, że obserwują mnie

trzy osoby, którym wydaje się, że mi odwaliło, trochę mnie deprymuje. Sięgam do torby, choć trzęsą mi się ręce.

- Słuchaj, wiem że to dziwne i nie umiem tego wyjaśnić, ale...

Wyciągam wielką książkę ze szkicami M.C. Eschera i kładę na stoliku tuż obok talerza z kurczakiem w sezamie. A może z wołowiną w pomarańczach. A może z gotowanym kotem. Wszystko jedno.

Anna zamiera, gapiąc się na książkę, jakby zaraz miała ją ugryźć.

- Wydawało mi się, że lubisz Eschera - mówię szybko, odsuwając się od stolika. Teraz, kiedy już wykonałam najgorszą część, czuję się tysiąc razy lepiej. - W środku jest ponad dwieście jego rysunków. Możesz je nawet powiesić na ścianie, jeśli znajdziesz miejsce.

W twarzy Anny coś tężeje. Wciąż gapi się na książkę na stoliku, dłonie trzyma na udach. Widzę, jak mocno zaciska pięści.

Już mam się odwrócić i popędzić do wyjścia, kiedy ona podnosi na mnie wzrok. Nasze oczy się spotykają. Anna nic nie mówi, ale jej usta się rozluźniają. To jeszcze nie uśmiech, ale prawie. Uznaję, że w ten sposób mówi mi „dziękuję”.

Słyszę tylko, jak Alex pyta:

- Co jest grane?

Wychodzę, a drzwi znowu dzwonią przeraźliwie, zamykając się za mną. Lindsay stoi tam, gdzie ją zostawiłam, z oczami pozbawionymi wyrazu. Wiem, że obserwowała mnie przez szybę.

- Teraz przynajmniej mam pewność, że ci odbiło - mówi.

- Powtarzam, że nie wiem, o czym mówisz. - Mam to już za sobą i czuję radość. - Chodź. Strasznie chce mi się lodów.

Lindsay ani drgnie.

- Odwaliło ci. Kółko ci się urwało. Zwoje mózgowie ci się rozprostowały. Od kiedy to dajesz Annie Cartullo prezenty?

- Słuchaj, nie dałam jej przecież bransoletki przyjaźni.

- Od kiedy w ogóle rozmawiasz z Anną Cartullo? Wzdycham. Lindsay tym razem nie da za wygraną.

- Rozmawiałam z nią pierwszy raz kilka dni temu. - Lindsay nadal gapi się na mnie tak, jakby cały świat topniał na jej oczach. Znam to uczucie. - Jest naprawdę fajna. To znaczy polubiłabyś ją, gdyby...

Lindsay wydaje wysoki pisk i zakrywa uszy dłońmi, jakby słuchanie moich słów było dla niej torturą. Piszczycy, a ja wzdycham i spoglądam na zegarek, żeby dać jej sygnał, że czekam na koniec tego przedstawienia.

Wreszcie Lindsay się uspokaja, pisk przemienia się w gardłowe gulgotanie. Patrzy na mnie z ukosa. Nie mogę powstrzymać śmiechu. Wygląda jak totalna świruska.

- Skończyłaś? - pytam.

- Wróciłaś? - Odrywa jedną dłoń od ucha, jakby sprawdzała coś.

- Kto wrócił?

- Samantha Emily Kingston. Moja najlepsza przyjaciółka. Moja heteroseksualna partnerka życiowa.

- Nachyla się do mnie i stuka mnie w czoło zaciśniętą pięścią. - Zamiast podszywającego się pod nią dziwnego mumina, który rzucił chłopaka i lubi Annę Cartullo.

Przewracam oczami.

- Nie wiesz o mnie wszystkiego.

- Jak się okazuje, nic o tobie nie wiem.

Lindsay krzyżuje ręce na piersi. Chwytam za rękaw jej kurtki, a ona z ociąganiem posuwa się naprzód. Widzę, że się zmartwiła. Obejmuję ją ramieniem i ściskam. Jest dużo niższa ode mnie i muszę dęptać małymi krokami, żeby jej nie wyprzedzić, więc pozwalam, by to ona narzuciła tempo.

- Wiesz, jaki smak lodów lubię najbardziej?

Lindsay wzdycha ciężko.

- Podwójna czekolada - mówi obrażonym tonem, ale mnie od siebie nie odpycha, a to dobry znak. - Z kruszonymi ciasteczkami orzechowymi i płatkami owsianymi w karmelu.

- I wiem, że wiesz także, jakiej wielkości kubek wybiorę.

Stoimy przed drzwiami cukierni i już czuję pyszny, słodki i zupełnie chemiczny zapach czekających na nas lodów. Przypomina woń chleba pieczonego w Subwayu. Wiadomo, że nie tak wymyśliła to natura czy Bóg, ale i tak jest w tym coś uzależniającego.

Lindsay obserwuje mnie kątem oka, kiedy wypuszczam ją z objęcia. Ma tak grobowy wyraz twarzy, że aż zabawny, i muszę zdusić kolejny wybuch śmiechu.

- Uważaj na siebie, panno Maxi Kubek - mówi, odrzucając włosy. - Te sztuczne pyszności pójdą ci prosto w biodra.

Ale jej usta już wygięły się w uśmiech i wiem, że mi przebaczyła.

Historia przyjaźni

Gdybym miała wybrać trzy najważniejsze rzeczy, które uwielbiam w moich przyjaciółkach, wybrałabym:

ALLY

1. Przez całą drugą klasę liceum kolekcjonowała miniaturowe porcelanowe krowy i czytała o nich jakieś tajemnicze historie w internecie, po tym jak prawdziwa krowa owinęła język wokół jej nadgarstka, kiedy Ally była na wakacjach w Vermont.

2. Gotuje bez przepisów i jestem pewna, że kiedyś będzie prowadziła w telewizji własny program kulinarny. Obiecała, że nas do niego zaprosi.

3. Kiedy ziewa, to wystawia cały język jak kot.

ELODY

1. Ma najczystszy głos o najpiękniejszej barwie, jaką można sobie wyobrazić - jak syrop klonowy, którym polano ciepłe naleśniki - a nigdy się nie popisuje i śpiewa tylko pod prysznicem.

2. Kiedyś przez cały rok szkolny codziennie miała na sobie przynajmniej jedną zieloną rzecz.

3. Kiedy się śmieje, parska, a to z kolei rozśmiesza mnie.

LINDSAY

1. Zawsze tańczy, nawet gdy nikt inny nie tańczy, nawet kiedy nie gra muzyka: w stołówce, w łazience, w barze, w centrum handlowym.

2. Przez tydzień, dzień w dzień, obrzucała papierem toaletowym dom Todda Hortona po tym, jak rozgadał wszystkim, że Elody nie umie się całować.

3. Pewnego razu, kiedy szliśmy przez park, nagle puściła się pędem. Przebijając rękami i nogami, mknęła przez trawę w dzinsach i kozakach. Puściłam się w pogoń za nią, ale nie mogłam jej dogonić, póki obie nie stanęłyśmy, zgięte wzdłuż, zdyszane, na lodowatym powietrzu, a moje płuca miały zaraz wybuchnąć. Zaśmiałam się i powiedziałam: Wygrałaś, Lindsay. Rzuciła mi przez ramię najdziwniejsze spojrzenie, nie złowrogie, ale jakby pełne zdziwienia, że w ogóle za nią stoję. Potem wyprostowała się i powiedziała: „Ale ja się z tobą nie ścigałam”.

Chyba teraz to rozumiem.

Myślę o tym wszystkim, kiedy jesteśmy w domu Ally. Wydaje mi się, że nie dość wyraźnie im to powiedziałam. A może nigdy im tego nie mówiłam? Wydaje mi się, że za dużo czasu spędziłyśmy, nabijając się z siebie albo paplając o niczym, albo o nieznaczących sprawach, albo narzekając na świat, który powinien być inny - lepszy, ciekawszy, sympatyczniejszy i dojrzalszy. Ale teraz trudno znaleźć słowa, żeby to wyrazić, więc śmieję się razem z dziewczynami, gdy Lindsay i Elody tańczą w kuchni, a Ally desperacko próbuje zrobić coś do zjedzenia z dwudniowego pesto i paczki starych krakersów. Lindsay obejmuje mnie, potem Ally, a gdy obok niej staje Elody, mówi:

- Drogie suki, kocham was na zabój.

- Grupowy uścisk! - krzyczy Elody.

Wtulam się w nie i je wyściskuję. W końcu Elody wrywa się ze śmiechem, mówiąc:

- Jak zacznę śmiać się jeszcze bardziej, to się porzygam.

Sekret

- Nie kumam - mówi Lindsay, wydymając wargi. Siedzi na przednim siedzeniu. Jesteśmy w połowie podjazdu do domu Kenta, gdzie kończy się sznur samochodów. - Niby jak mamy wrócić do domu?

Wzdycham i po raz tysięczny tłumaczę:

- Znajdę kogoś, kto nas podrzuci, okej?

- Czemu po prostu nie wejdiesz razem z nami? - również po raz tysięczny jęczy Ally z tylnego siedzenia. - Po prostu zostaw tu to cholerne auto.

- I mam pozwolić ci prowadzić, Królowo Gorzelni? - Odwracam się i wymownie patrzę na butelkę wódki, którą trzyma. Ona odczytuje to jako zachętę, żeby wziąć kolejny łyk.

- Ja nas odwiozę - nalega Lindsay. - Widziałas mnie kiedyś pijaną?

- To nie ma znaczenia - przewracam oczami. - Nawet na trzeźwo nie umiesz prowadzić.

Elody parska śmiechem, a Lindsay grozi jej palcem.

- Uważaj, albo od jutra chodzisz do szkoły piechotą.

- Chodźcie, impreza nam ucieknie. - Ally przeczesuje palcami włosy i wyciąga szyję, żeby przejść się we wstecznym lusterku.

- Potrzebuję góra piętnastu minut - mówię. - Wrócę, zanim zdążycie w ogóle dopchać się do beczki.

- Na pewno wrócisz? - Lindsay patrzy na mnie podejrzliwie, ale otwiera drzwi.

- Nie martw się - mówię. - Ustawiłam wcześniej transport.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego nie możesz po prostu odwieźć nas potem do domu - narzeka Lindsay, nadal niezadowolona z obrotu spraw, ale wysiada, a za nią Ally i Elody. Już mi się nie chce wyjaśniać. Już wyjaśniałam w nieskończoność, że być może urwę się wcześniej z imprezy. Wiem, że wszystkie sądzą, że próbuję uniknąć Roba ze strachu, żeby przed nim nie ześwirować, a ja nie wyprowadzam ich z błędu.

Miałam zamiar odstawić auto pod dom Lindsay, ale kiedy wyjeżdżam na autostradę numer 9, niemal bezwiednie kieruję się w stronę swojego domu. Jestem zupełnie spokojna. I pusta, jakby cała ciemność zza okien nagle wsączyła się we mnie i wszystko zakryła. To nie jest nieprzyjemne uczucie. Czuję się tak, jakbym przez chwilę wierzgała w basenie, aż wreszcie znalazła idealną równowagę i unosiła się na plecach, nawet o tym nie myśląc.

W moim domu wygaszono prawie wszystkie światła. Izzy poszła spać już kilka godzin temu. W piwnicy tli się słabe, niebieskie światło. Pewnie tata ogląda telewizję. Na górze oświetlony kwadrat - okno łazienki. Za żaluzjami widać przesuwającą się postać i wyobrażam sobie, jak mama wklepuje w twarz krem Clinique, zezując bez szkieł kontaktowych, widzę rozdarty rękaw trzepocący niczym skrzydło ptaka. Jak zawsze zostawili dla mnie światło na werandzie, żebym nie musiała grzebać w torbie, szukając kluczy. Pewnie snują teraz plany na jutro, zastanawiając się, co zrobić na śniadanie i czy budzić mnie przed dwunastą. Na krótką chwilę ogarnia mnie tęsknota za wszystkim, co tracę - co już straciłam, kilka dni temu, kiedy w ułamku sekundy samochód wpadł w poślizg, a moje życie wypadło z utartych kolein - i opieram głowę na kierownicy, czekając, by to uczucie przeminęło. I przemija. Ból odplywa. Mięśnie się rozluźniają i jeszcze raz dostrzegam porządek wszelkich rzeczy.

Kiedy wracam do domu Lindsay, przypomina mi się coś, czego nauczyłam się wiele lat temu na biologii: nawet ptaki, które odłączyły się od stada, instynktownie migrują. Wiedzą, dokąd lecieć, choć nikt nigdy nie pokazał im drogi. Wszyscy uważali, że to takie niesamowite, ale teraz nie wydaje mi się to dziwne. Tak się właśnie teraz czuję: jakbym szybowała w powietrzu, sama, ale jakimś cudem i tak wiem, co robić.

Kilka kilometrów przed zjazdem do domu Lindsay wyciągam telefon i wystukuję numer Kenta. Może myśli, że wcześniej żartowałam. Może nie odbierze, bo nie rozpozna numeru, a może będzie zajęty, próbując powstrzymać ludzi przed rzyganiem na orientalne dywany jego rodziców, i nie usłyszy dzwonka. Liczę, ile razy odzywa się dzwonek, i robię się coraz bardziej nerwowa. Raz, dwa, trzy.

Po czwartym dzwonku słyszę jakiś hałas. A potem głos Kenta, ciepły i pełen otuchy.

- Firma Rączy Herosi. Ratunek dla dam w opałach, uwięzionych księżniczek i niezmotoryzowanych dziewcząt. Działamy od 1684 roku. W czym mogę pomóc?

- Skąd wiedziałaś, że to ja?

Muzyka robi się coraz głośniejsza i słyszę czyjeś głosy. Słyszę też, jak Kent zasłania telefon i krzyczy:

- Wynocha!

Drzwi się zamykają, a hałas w tle znowu jest stłumiony.

- A niby kto mógłby to być? - W jego głosie słyszę sarkazm. - Wszyscy inni są tutaj. - Coś poprawia i lepiej go słyszeć. Pewnie mówi prosto do słuchawki. Na samą myśl o jego ustach rozpraszam się. - Co słyszeć?

- Mam nadzieję, że nikt nie zablokował ci samochodu. Bo desperacko potrzebuję podwiezienia.

Podczas jazdy prawie nie rozmawiamy. On nie pyta mnie, po co stałam pod domem Lindsay i dlaczego poprosiłam właśnie jego o podwiezienie. Jestem mu za to wdzięczna i zupełnie wystarcza mi, że siedzę w milczeniu obok niego, patrząc, jak pada deszcz, a gałęzie drzew głaszczą ciemne niebo. Kiedy skręcamy na drogę dojazdową do jego domu, która w tej chwili jest już wypełniona samochodami, próbuję jakoś określić deszcz tańczący w światłach reflektorów. To nie jest zwykły blask.

Kent parkuje, ale nie wyłącza silnika.

- Nie myśl sobie, że zapomniałem o sekrecie, który masz mi zdradzić. - Obraca się w moją stronę. - Nie wywiniesz się tak łatwo.

- Ani mi się śni.

Odpinam pas i przysuwam się bliżej do niego, nadal kątem oka obserwując deszcz. Wyglądałby jak wirujący kurz, gdyby tylko kurz składał się z cząsteczek białego światła.

Kent składa dłonie na udach i patrzy na mnie wyczekująco. Jego usta wykrzywiły się w uśmiech.

- Chętnie posłucham.

Sięgam do stacyjki i przekręcam kluczyk, wyłączając światła. W ciemności odgłos deszczu wydaje się dużo głośniejszy i spowija nas całkowicie.

- Hej - mówi Kent delikatnie. Jego głos sprawia, że moje serce bije szybciej, a ciało wydaje się lekkie. - Teraz cię nie widzę.

Jego twarz i ciało skrywa cień. Widzę tylko kontur jego ciała i oczywiście czuję ciepło skóry. Nachyliłam się, opierając podbródek na szorstkim sztruksie jego marynarki, znajduję jego ucho i przez przypadek uderzam w nie ustami. On wciąga gwałtownie powietrze, a całe jego ciało się wypręża. Moje ciało się topi. Nasze serca biją w tym samym rytmie.

- Powiem ci w sekrecie - szepczę mu prosto do ucha - że nikt nie całuje tak dobrze jak ty.

Kent odsuwa się nieco, żeby lepiej mi się przyjrzeć, ale nasze usta nadal dzieli tylko kilka centymetrów. W ciemności nie widzę, jaką ma minę, ale wyczuwam, że jego oczy ponownie sondują moją twarz.

- Ale myśmy nigdy się nie całowali - szepcze do mnie. Deszcz wciąż pada, brzmi jak tłuczone szkło. - Przynajmniej nie od trzeciej klasy podstawówki.

Uśmiecham się, ale nie wiem, czy on to widzi.

- No to lepiej zacznijmy od razu, bo nie mamy wiele czasu.

Kent waha się ułamek sekundy. Potem nachyla się i przyciska swoje usta do moich, a cały świat nagle gaśnie: księżyc, deszcz, niebo i ulice. Jesteśmy tylko my w ciemności, żywi, żywi, żywi.

Nie wiem, jak długo się całowaliśmy. Wydaje mi się, że całymi godzinami, ale z jakiegoś powodu, kiedy on się wreszcie ode mnie odsuwa, trzymając moją twarz w dłoniach, zegar świecący przytłumionym światłem na desce rozdzielczej pokazuje, że upłynęło ledwo kilka minut.

- Bosko - mówi Kent. Czuję, że jego klatka piersiowa szybko unosi się i opada. Obojgu nam brakuje tchu. - Czym sobie na to zasłużyłem? Za co to?

Z wysiłkiem odrywam się od niego, w ciemności znajduję klamkę i otwieram drzwi. Zimne powietrze i deszcz ze świstem wdzierają się do środka i trochę mnie otrzeźwiają. Wciągam głęboko powietrze.

- Za podwiezienie i za wszystko inne.

Nawet w ciemności widzę, że jego oczy błyszczą jak u kota. Zmuszam się, żeby odwrócić wzrok.

- Naprawdę uratowałeś mi dzisiaj życie - to mój mały żart. Wyskakuję z auta i pędzę do domu Kenta, na ostatnią imprezę w życiu.

- Jesteś! - piszczy Lindsay, którą znajduję w pokoju na tyłach domu. Jak zawsze muzyka jest za głośna, temperatura za wysoka, a dymu za dużo. I jeszcze ściana ludzi, perfum i dźwięków. - Byłam pewna, że się wymigasz.

- Wiedziałam, że wpadniesz - mówi Ally, wyciągając ręce i ściskając moją dłoń. Obniża głos, co przy tej głośności oznacza, że krzyczy nieco ciszej. - Widziałas Roba?

- Chyba mnie unika - odpowiadam. To zresztą prawda, dzięki Bogu.

Lindsay odwraca się, wołając Elody.

- Patrz, kto zaszczycił nas swoją obecnością!

Elody badawczo przygląda się naszym twarzom, a wreszcie przypomina sobie, że nie było mnie na imprezie od początku. Lindsay obraca się, obejmując mnie ramieniem.

- Teraz oficjalnie impreza się rozpoczęła. Ally, daj Sam strzała.

- Nie, dzięki - odsuwam butelkę, którą Ally mi podaje. Otwieram telefon, jest jedenasta trzydzieści.

- Właściwie to... mhm, chyba muszę na chwilę zejść na dół. A może wyjść na zewnątrz. Strasznie tu gorąco.

Lindsay i Ally wymieniają spojrzenia.

- Właśnie stamtąd przyszedł - mówi Lindsay. - Dopiero co wszedł. Jakies pięć sekund temu.

- Szukałam was, bo chciałam z wami chwilę pogadać. - Wiem, że to brzmi żałośnie, ale wiem też, że nie potrafię tego wyjaśnić.

Lindsay staje z założonymi rękami.

- Aha, nie ma mowy. Coś z tobą jest nie tak i zaraz nam powiesz co.

- Cały dzień się dziwnie zachowywałaś - wtóruje jej Ally.

- Lindsay kazała ci to powiedzieć? - pytam.

- Kto się dziwnie zachowywał? - Elody podchodzi do nas.

- Podobno ja - mówię.

- O, tak - przytakuje Elody. - Przedziwnie.

- Lindsay nie kazała mi niczego mówić. - Ally wypina pierś i robi obrażoną minę. - To oczywiste.

- Jesteśmy twoimi najlepszymi przyjaciółkami - mówi Lindsay. - Znamy cię.

Przyciskam skronie palcami, próbując zablokować dudniącą muzykę, i zamykam oczy. Kiedy je otwieram, Elody, Ally i Lindsay patrzą na mnie podejrzliwie.

- Wszystko ze mną w porządku, okej? - Desperacko próbuję uniknąć dłuższej rozmowy albo, co gorsza, kłótni. - Zaufajcie mi. To był dziwny tydzień. - Delikatnie mówiąc.

- Martwimy się o ciebie, Sam - mówi Lindsay. - Zachowujesz się jak nie ty.

- Może to dobrze - odpowiadam, a kiedy patrzą na mnie tępo, wzdycham i obejmuję je wszystkie w grupowym uścisku.

Elody piszczy i chichocze.

- Będziemy się publicznie obściskować? - Lindsay i Ally też się rozluźniają.

- Zapewniam, że wszystko w porządku - powtarzam nie do końca zgodnie z prawdą, ale to chyba najlepsze, co mogę powiedzieć. - Najlepsze przyjaciółki na zawsze, tak?

- I żadnych tajemnic - Lindsay wbija we mnie wzrok.

- I żadnego wciskania kitu - obwieszcza Elody, niezbyt zgodnie z naszym rytuałem, ale niech jej będzie. Miała powiedzieć: „I żadnych kłamstw”, ale pewnie to niczego nie zmienia.

- Na zawsze - mówi Ally. - Póki śmierć nas nie rozdzieli. Ostatnią kwestię wypowiadam ja.

- I jeszcze dłużej.

- I jeszcze dłużej - wszystkie trzy powtarzają jak echo.

- Dobra, koniec z tym cikliwym pierdusianiem - Lindsay mówi innym tonem. - Jeśli chodzi o mnie, to przyszedłam tu, żeby się spać.

- Myślałam, że się nie upijasz - przypomina jej Ally.

- To metafora.

Ally i Lindsay zaczynają się gonić, Ally ucieka z butelką wódki („Jeśli się nie upijasz, to po co masz pić alkohol i go marnować”), a Elody wraca do Muffina. Przynajmniej już nie zwracają na mnie uwagi.

- Do zobaczenia później - mówię głośno do nich wszystkich, a Elody rzuca mi spojrzenie przez ramię, ale równie dobrze może patrzeć na kogoś innego. Lindsay macha do mnie, a Ally w ogóle mnie nie słyszy. Przypomina mi to trochę moment dziś rano, gdy po raz ostatni wychodziłam z domu, i myślę o tym, że nie sposób zrozumieć ostatecznego wymiaru niektórych rzeczy, słów i chwil. Kiedy się odwracam, wi-

dzę jak przez mgłę - ku mojemu zdumieniu płacząc. Łzy napłynęły mi do oczu bez żadnego ostrzeżenia. Mrugam raz po raz, by świat odzyskał kontury, ścieram krople płynące po policzku. Sprawdzam telefon. Jest za piętnaście dwunasta.

Staję na dole, tuż przy drzwiach, i czekam na Juliet. Czuję się tak, jakbym próbowała ustać na nogach pod naporem ogromnej, morskiej fali. Wokół mnie tłoczą się ludzie, ale prawie nikt nie zwraca na mnie uwagi. Może wysyłam w ich kierunku jakąś dziwną wibrację, a może widzą, że myślami jestem gdzie indziej. A może - i robię się smutna, kiedy tylko przychodzi mi to na myśl - wyczuwają, że tak naprawdę już mnie nie ma. Odpycham od siebie tę myśl.

Wreszcie widzę, jak Juliet przemyka przez drzwi wejściowe, ze spuszczoną głową, niedbale otulona białym swetrem. Natychmiast przyskakuję do niej i kładę jej dłoń na ramieniu. Robi zaskoczoną minę i wlepia we mnie zdziwione oczy, bo chociaż pewnie wyobrażała sobie, że dziś wieczorem stanie ze mną twarzą w twarz, nie spodziewała się, że to ja ją znajdę, a nie ona mnie.

- Cześć - mówię. - Mogę z tobą chwilę pogadać? Juliet otwiera usta, zamyka i znowu otwiera.

- Właściwie, to... muszę gdzieś być.

- Nie musisz. - Jednym ruchem odciągam ją od tłumu kłębiącego się przy wejściu i prowadzę do małej niszy w korytarzu. Tu łatwiej się usłyszymy, choć jest tak ciasno, że stoimy, niemal stykając się ciałami. - Przecież i tak mnie szukałaś. Szukałaś nas, prawda?

- Skąd...? - Urywa. Bierze głęboki oddech i kręci głową. - Nie przyszedłam tu, żeby się z tobą zobaczyć.

- Wiem. - Wlepiam w nią wzrok, próbując sprowokować, żeby na mnie spojrzała. Chcę jej powiedzieć, że do mnie dotarło, że rozumiem, ale ona przygląda się kafelkom na podłodze. - Wiem, że chodzi o ważniejszą sprawę.

- Nic nie wiesz - przerywa mi natychmiast.

- Wiem, co planowałaś zrobić dziś wieczorem - mówię bardzo cicho.

Juliet podnosi wzrok. Na jedną sekundę nasze spojrzenia się krzyżują i w jej oczach widzę jakiś błysk, strach i coś jeszcze. Może nadzieję? Ale Juliet szybko spuszcza z powrotem głowę.

- Nie możesz wiedzieć - odpowiada. - Nikt nie wie.

- Wiem, że chcesz mi coś powiedzieć - mówię. - Wiem, że chcesz coś powiedzieć nam wszystkim: mnie, Lindsay, Elody i Ally.

Juliet znowu na mnie patrzy, ale tym razem wytrzymuje moje spojrzenie, otwiera szeroko oczy. Gapimy się na siebie. Teraz już wiem, co mówi mi wyraz jej twarzy. Oprócz strachu widzę w niej zdumienie.

- Jesteś suką - szepcze tak cicho, że nawet nie mam pewności, czy faktycznie słyszę te słowa, czy tylko wyciągam je z pamięci i wyobrażam sobie, że naprawdę je wypowiedziała. Juliet mówi to tak, jakby recytowała kwestię ze starej sztuki teatralnej albo z jakiegoś porzuconego w szufladzie scenariusza, którego nie potrafi mimo wszystko zapomnieć.

Kiwam głową.

- Wiem - mówię. - Wiem, że jestem. Że byłam, że wszystkie byłyśmy. I przykro mi.

Juliet robi szybki krok w tył, ale nie ma gdzie się ruszyć i wpada na ścianę. Opiera się o nią, przyciskając dłonie do tynku. Oddycha ciężko, jakbym była jakimś dzikim zwierzęciem, które w każdej chwili może ją zaatakować. Szybko kręci głową. Nawet nie wiem, czy zdaje sobie z tego sprawę.

- Juliet. - Wyciągam do niej rękę, ale ona opiera się jeszcze mocniej o ścianę, więc opuszczam ramię. - Mówię poważnie. Próbuję cię przeprosić.

- Muszę już iść.

Wygląda tak, jakby z trudem odrywała się od ściany, jakby nie była pewna, czy ustanie o własnych siłach. Próbuje precyzyjnie się obok mnie, ale ja zachodzę jej drogę i znowu stajemy twarzą w twarz.

- Przepraszam.

- Już to mówiłaś. - Teraz Juliet się wkurza. Cieszę się, to dobry znak.

- Nie, chodzi mi o to... - Biorę głęboki oddech i chcę skłonić ją, żeby zrozumiała. Tak to ma właśnie wyglądać. - Muszę iść z tobą.

- Proszę. Zostaw mnie w spokoju.

- Właśnie próbuję ci powiedzieć, że nie mogę.

Kiedy stoimy naprzeciw siebie, zauważam, że jesteśmy prawie tego samego wzrostu. Wyglądamy jak swoje lustrzane odbicia, a ja myślę o tym, jak niewiele brakuje, żebyśmy zamieniły się rolami. To ona mogłaby blokować mi przejście, to ja mogłabym próbować precyzyjnie się obok niej, aby ruszyć w ciemność.

- Nie możesz... - zaczyna, ale nie kończy, i nie wiem, co chce powiedzieć. W tym samym momencie ktoś krzyczy:

- Sam! - Głos dobiega ze schodów.

Dostrzegam Kenta, a Juliet przemyka obok mnie.

- Juliet!

Odwracam się, ale nie dość szybko. Już połknął ją tłum, a dziura, przez którą zdołała przedrzeć się do drzwi, zamknęła się tak szybko, jak się otworzyła, jakby ciała były klockami w grze Tetris. Wbiegam wprost w kłębowisko ciał, rąk i wielkich, skórzanych toreb.

- Sam!

Nie teraz, Kent. Przedzieram się do drzwi, ale co kilka kroków muszę się cofnąć, bo niezmordowany tłum napiera w stronę kuchni z kubkami, które domagają się napełnienia. Kiedy jestem prawie pod drzwiami, przerzedza się i udaje mi się wyjść. Jednak dokładnie w tej chwili czuję na karku ciepłą dłoń. Kent obraca mnie i stajemy twarzą w twarz. Mimo że muszę dogonić Juliet i mimo że stoimy pośród miliona ludzi, myślę o tym, jak fajnie byłoby móc z nim teraz zatańczyć. Zatańczyć tak naprawdę, a nie ocierać się o siebie, jak to się zawsze robi na balu maturalnym. Zatańczyć tak, jak tańczono kiedyś - ja oparłabym dłonie na jego ramionach, a on objąłby mnie w tali.

- Szukałem cię. - Brak mu tchu, a jego włosy są w większym nieładzie niż zazwyczaj. - Czemu ode mnie uciekłaś?

Wygląda na tak zdezorientowanego i zatroskanego, że serce chce mi się wyrwać z piersi.

- Naprawdę nie mam w tej chwili czasu, żeby ci to wyjaśnić - mówię tak delikatnie, jak tylko potrafię. - Złapię cię później, okej? - Tak będzie najłatwiej. To jedyny sposób.

- Nie - mówi Kent z takim naciskiem, że zbija mnie to z tropu.

- Słucham?

- Powiedziałem: Nie. - Staje naprzeciw mnie, zagradzając mi drogę do wyjścia. - Muszę z tobą porozmawiać. Teraz.

- Nie mogę... - Zaczynam, ale on mi przerywa.

- Nie możesz znowu mi uciec. - Wyciąga rękę i kładzie mi delikatnie dłoń na ramieniu. Jego dotyk sprawia, że przeszywa mnie strumień ciepła i energii. - Rozumiesz? Nie możesz dalej tak postępować.

Patrzy na mnie w taki sposób, że uginają się pode mną nogi. Czuję, że zaraz łzy napłyną mi do oczu.

- Nigdy nie chciałam cię skrzywdzić - mówię łamiącym się głosem.

On puszcza moje ramię i przeczesuje dłonią włosy. Wygląda, jakby chciał krzyknąć.

- Przez lata w ogóle mnie nie zauważasz, potem przysyłasz mi ten słodki liścik, ja cię podwożę, a ty mnie całujesz...

- To ty pocałowałaś mnie. Kent nawet nie przerywa.

- ... i rozkładasz mnie na łopatki, rozwalasz mi cały świat, a potem znowu mnie ignorujesz.

- Rozkładam cię na łopatki!?! - wykrzykuję, nie mogąc się powstrzymać.

Kent patrzy na mnie spokojnie.

- Zupełnie.

- Słuchaj, Kent - spoglądam w dół, na moje dłonie, które aż świerzbią, żeby je wyciągnąć i go dotknąć, wygładzić mu włosy i założyć je za uszy - wszystko, co stało się w samochodzie, było szczere. Mój pocałunek był szczery, naprawdę.

- Myślałem, że to ja cię pocałowałem. - Kent mówi beznamiętnym głosem i nie wiem, czy sobie żartuje czy nie.

- No tak, ale ja chciałam odwzajemnić pocałunek. - Próbuję przełknąć kamień, który utkwiał mi w gardle. - Tylko tyle mogę ci teraz powiedzieć. To było szczere. Nigdy w życiu nie byłam wobec nikogo tak szczerą.

Dobrze, że patrzę na swoje buty, bo dokładnie w tej chwili łzy wypływają mi z oczu i spływają po policzkach. Szybko je ścieram grzbietem dłoni, udając, że przecieram oczy.

- A co miało znaczyć to, co powiedziałaś w aucie? - Kent nie mówi tego z gniewem, ale boję się popatrzeć na niego. Jego głos robi się teraz łagodniejszy. - Powiedziałaś, że nie masz za wiele czasu. Co miałaś na myśli?

Teraz, kiedy już łzy przedarły się na zewnątrz, nie dam rady ich zatrzymać. Stoję ze spuszczoną głową. Jedna łza spada mi na but, pozostawiając ślad w kształcie gwiazdy.

- W tej chwili coś się dzieje... Naprawdę nie mogę tego wyjaśnić.

On bierze mnie dwoma palcami pod brodę i unosi moją twarz. Patrzy mi w oczy. Chwieję się na uginających się nogach. Kent obejmuje mnie i kładzie mi dłoń na plecach, żeby mnie podtrzymać.

- Co się dzieje, Sam? - Kciukiem wyciera łzę z mojego policzka i patrzy mi badawczo prosto w oczy. Robi to tak, że wydaje mi się, że wywraca mnie na drugą stronę i zagląda w moje serce. - Masz jakieś kłopoty?

Kręcę głową. Nie mogę wydobyć z siebie słowa, a on kontynuuje:

- Możesz mi powiedzieć. Wszystko. Możesz mi zaufać.

Przez chwilę kusi mnie, żeby tu zostać, wtulić się w niego, żeby całować go tak długo, aż będę czuła, jakbym przez niego oddychała. Ale potem przypominam sobie o Juliet w lesie. Widzę dwa snopy światła przecinające ciemność, oślepiające, i słyszę niski ryk jak szum odległego oceanu lub dźwięk silnika budzonego do życia. Ryk i światło wypełniają moją głowę i wypychają wszystko inne - strach, żal i smutek - a ja znowu mogę się skupić.

- Nie mam kłopotów. Nie chodzi o mnie. Muszę... muszę komuś pomóc. - Lekko wysuwam się z objęć Kenta, odrywam jego dłoń od mojego nadgarstka. - Naprawdę nie mogę tego wyjaśnić. Musisz mi zaufać.

Nachylam się i całuję go po raz ostatni - to tylko cmoknięcie, nasze usta ledwo się dotykają, ale to wystarczy, żebym znowu poczuła, jak wzlatuję w powietrze, że nabieram siły i ta siła przeze mnie płynie. Odsuwam się, oczekując dalszego ciągu sprzeczki, ale zamiast tego Kent patrzy na mnie przez dłuższą chwilę, a potem odwraca się i rusza w stronę schodów, i ginie w tłumie. W żołądku znowu czuję kamień i przez ułamek sekundy tak strasznie tęsknię za Kentem, że czuję, jakby moja klatka piersiowa zupełnie się zapadła. Myślę o mroku, światłach, huk, Juliet. Kilka ostatnich kroków ku drzwiom i wychodzę w chłód, gdzie deszcz wciąż pada niczym okruchy księżycowego blasku lub stalowe opiłki.

Cudowne przypadki i zbiegi okoliczności, część druga

- Juliet! Juliet!

Wiem, że wybiegła dużo wcześniej i na pewno mnie nie słyszy, ale czuję się lepiej, wołając jej imię. Ciemność wokół mnie nie wydaje się tak bliska i ciężka.

Oczywiście zapomniałam latarki. Zaczynam gonitwę, szurając nogami po oblodzonej drodze, żalując, że nie włożyłam adidasów zamiast moich ulubionych oliwkowych, skórzanych botków na koturnie od Dolce Vita. Ale właśnie dla takich butów mogłabym umrzeć - czy raczej w nich umrzeć.

Światła domu znikają pośród czubków drzew i nagle wydaje mi się, że ktoś woła mnie po imieniu. Przez sekundę mam wrażenie, że tylko to sobie wyobrażam albo że wiatr szumi w gałęziach. Zatrzymuję się z wahaniem, a potem słyszę znowu:

- Sam! - Głos podobny do głosu Kenta. - Sam! Gdzie jesteś!?

Tak, to Kent.

Staję jak wryta. Kiedy odszedł ode mnie na imprezie, byłam pewna, że to koniec. Nie przypuszczałam, że pójdzie za mną. Zastanawiam się, czy się nie odwrócić i nie pójść w jego stronę. Ale nie ma czasu. Poza tym powiedziałam wszystko, co chciałam. Stoję tak na mroźnym powietrzu, które parzy mi płuca, a krople deszczu spadają mi za kołnierz i płyną po karku. Zamykam oczy i przypominam sobie, jak siedziałam obok Kenta w suchym samochodzie otoczonym ze wszystkich stron ścianami wody i było mi tak ciepło. Przypominam sobie pocałunek i uczucie unoszenia się, jakby w każdej chwili mogła zmyć nas fala. Słyszę, jak Kent woła mnie ponownie. Wydaje mi się, że jest bliżej, i wyobrażam sobie, że bierze moją twarz w dłonie, szeptem mówiąc: „Sam”.

Ktoś krzyczy. Otwieram oczy, a serce wali mi w piersi, bo myślę o Juliet. Wtedy słyszę kilka osób wołających coś do siebie - dalekie, spokojne, wymieszane odgłosy. Dałabym głowę, że wśród nich brzmi głos Lindsay. Ale to niedorzeczne. To wyobraźnia płata mi figla, a ja marnuję czas.

Podążam dalej w stronę drogi. Zbliżam się do autostrady i dociera do mnie ryk samochodów i syk kół na asfalcie, a oba te dźwięki brzmią jak fale bijące o brzeg.

Odnajduję Juliet, jest przemoczona do suchej nitki, a ubranie przyłgnęło do jej ciała. Ma zwieszane bezwładnie ręce, zdaje się w ogóle nie czuć deszczu i zimna.

- Juliet!

Słyszysz mnie. Gwałtownie odwraca głowę, jakby ktoś zawezwał ją na ziemię z innego świata. Biegnę w jej kierunku, bo tuż za mną rozbrzmiewa niski warkot nadjeżdżającej ciężarówki - która jedzie o wiele za szybko. Juliet robi szybki krok w tył, kiedy rozkładam ramiona, żeby zachować równowagę i nie przewrócić się na lodzie. Jej twarz nabiera życia, gdy mnie widzi, malują się na niej gniew, strach i coś jeszcze. Zaskoczenie.

Odgłos silnika robi się coraz głośniejszy, to już jednostajny warkot, a kierowca naciska na klakson. Hałas jest potężny: otacza nas, dmie w nas, wypełnia powietrze dźwiękiem. Ale Juliet ani drgnie. Stoi wpatrzona we mnie, trochę kręcąc głową, jakbyśmy były przyjaciółkami, które nie widziały się od wieków i teraz wpadły na siebie na lotnisku gdzieś w Europie. „Nie spodziewałam się ciebie tu spotkać... Zabawne, jak życie się plecie”. „Świat jest taki mały”.

Przemierzam ostatnie dzielące nas metry, kiedy ciężarówka przejeżdża obok, nadal trąbiąc. Chwytam Juliet za ramiona, a ona robi kilka chybotliwych kroków w tył, do lasu. Z rozpędu prawie ją przewracam. Klakson niknie powoli w oddali, a tylne światła giną w ciemności.

- Dzięki Bogu - mówię, dysząc ciężko. Trzęsą mi się ręce.

- Co ty wyprawiasz? - krzyczy Juliet, jakby do samej siebie, próbując wydostać się z mojego uścisku. - Czemu mnie śledzisz?

- Myślałam, że chcesz... - Skinieniem głowy wskazuję drogę i nagle czuję potrzebę, by ją objąć. Jest żywa, namacalna i prawdziwa w moich rękach. - Myślałam, że nie zdążę na czas.

Ona przestaje się wrywać i patrzy na mnie przez dłuższą chwilę. Droga nic nie jedzie, ona milczy, a ja wyraźnie słyszę:

- Samantha Emily Kingston!

Wołanie dobiega z lasu, z lewej strony i tylko jedna osoba na świecie nazywa mnie moim pełnym imieniem. Lindsay Edgecombe.

- Co się dzieje? - Teraz Juliet wygląda na naprawdę przestraszona. Jestem tak zdezorientowana, że rozluźniam uścisk i ona uwalnia ramię z mojej dłoni. - Czemu mnie śledziłaś? Czemu nie chcesz dać mi spokoju?

- Juliet. - Unoszę ręce w geście pokoju. - Chcę tylko z tobą porozmawiać.

- Nie mam ci nic do powiedzenia.

Juliet odwraca się ode mnie i idzie z powrotem w stronę drogi. Idę za nią i nagle ogarnia mnie zupełny spokój. Cały świat wokół nabiera wyrazistości i ostrych konturów. Za każdym razem kiedy słyszę moje imię rozbrzmiewające echem w lesie, coraz bliżej i bliżej, myślę: Przykro mi. Ale tak musi być. Tak się to powinno potoczyć.

Tak się to miało potoczyć już dawno temu.

- Nie musisz tego robić, Juliet - mówię do niej cicho. - Wiesz, że to nie jest właściwa droga.

- Nie wiesz, co muszę zrobić - odpowiada mi dzikim szeptem. - Nie wiesz. Nigdy nie zrozumiesz.

Juliet uporczywie wpatruje się w drogę. Łopatki sterczą jej pod przemoczonym podkoszulkiem i znowu wydaje mi się, że to para skrzydeł, które właśnie rozkłada i wlatuje na nich wolna od niebezpieczeństwa.

- Sam! Sam! Sam!

Głosy słychać coraz bliżej i poziome snopy światła przecinają gęstwinę leśną. Słyszę też kroki i trzask gałęzi łamanych pod stopami. To dziwne, do tej pory na drodze nie było żadnego auta, ale teraz z obu stron dochodzi ryczenie silników. Zamykam oczy i myślę o lataniu.

- Chcę ci pomóc - mówię do Juliet, choć wiem, że nie uda mi się jej tego wyjaśnić, nie w ten sposób.

- Nie rozumiesz? - Odwraca się w moją stronę i ku memu zdumieniu dostrzegam, że płacze. - Nikt mnie nie wyprostuje, nie rozumiesz?

Przypominam sobie, jak stałam na schodach z Kentem i powiedziałam mu dokładnie to samo. Myślę o jego prześlicznych jasnozielonych oczach i o tym, że powiedział: „Nie trzeba cię prostować”. O ciepłe jego dłoni i miękkich ustach. Przypomina mi się też maska Juliet i myślę, że może wszyscy czujemy się pozszywani z kawałków na okrętkę i wcale nie tacy idealni.

Nie boję się.

Jak zza ściany słyszę ryk silnika i głosy i widzę twarze, białe i przerażone, jak wylaniają się z ciemności, ale nie mogę przestać gapić się na płaczącą Juliet, wciąż tak piękną.

- Za późno - mówi.

- Nigdy nie jest za późno - odpowiadam jej.

W tym samym ułamku sekundy Juliet rzuca się na drogę, ale patrzy w tył, zdumiona, i widzę w jej oczach, że wreszcie zrozumiała. Rzucam się za nią. Uderzam ją w plecy, a ona pada w przód i koziółkuje, dokładnie w chwili, kiedy dwie furgonetki zbliżają się do siebie i już mają się minąć. Słyszę dziki, wysoki jęk i ktoś - a może więcej niż jedna osoba - wykrzykuje moje imię. Czuję ciepło w całym ciele i mam wrażenie, jakby uniosła mnie wielka ręka, a potem mną rzuciła. Ziemia wiruje, grunt usuwa mi się spod nóg, a potem mrok, niczym czarna mgła, pochłania krawędzie ziemi, zamieniając wszystko w sen.

Płynące obrazy pojawiają się i znikają. Jasnozielone oczy i pole ogrzanej słońcem trawy. Usta mówiące śpiewnie: „Sam, Sam, Sam”, jakby to były słowa piosenki. Trzy twarze wykwitające jak kwiaty na jednej łodydze. Odpływające ode mnie imiona. Jedno tylko słowo: „Kocham”. Czerwone i białe rozbłyski. Gałęzie drzew oświetlone jak łukowate sklepienie katedry.

A nade mną biała i piękna twarz, z oczami jak księżycy. „Ocaliłaś mnie”. Dłoń na moim policzku, chłodna i sucha. „Dlaczego mnie ocaliłaś?” Słowa nabrzmiewające wraz z przyplływem: Nie. To ty mnie ocaliłaś. Oczy koloru nieba o poranku. Korona białych włosów, tak jasnych, białych, wręcz oślepiających, że mogłabym przysiąc, że to aureola.

EPILOG

Podobno tuż przed śmiercią całe życie staje człowiekowi przed oczami.

W moim przypadku było inaczej.

Widzę tylko moje największe przeboje. To, co chcę zapamiętać, i to, za co chcę, by mnie pamiętano. Wycieczkę na Cape Cod, kiedy razem z Izzy wymknęłyśmy się o północy do zatoki i próbowałyśmy łapać kraby, używając jako przynęty resztek mięsa z hamburgerów, a księżyc był tak wielki i okrągły, że zdawało się, że można na nim usiąść. Kiedy Ally próbowała upiec suflet i weszła do kuchni w kucharskiej czapce zrobionej z papieru toaletowego, a Elody tak się śmiała, że posikała się trochę w majtki i zaprzysięgła nas, że mamy dochować tajemnicy. Lindsay, która rzuca się nam w ramiona i mówi: „Kocham was na całe życie”, a my jak echo powtarzamy: „I jeszcze dłużej”. Jak leżę na tarasie w gorące sierpniowe popołudnie, a w powietrzu unosi się tak intensywny zapach trawy i kwitnących kwiatów, że ma się wrażenie, że się je smakuje. Kiedy pewnego razu w Boże Narodzenie padał śnieg i tato porąbał na kawałki stary stolik pod telewizor na opał, i mama zrobiła cydr z jabłek, a my próbowałyśmy nauczyć się na pamięć słów kolędy Cicha noc, lecz i tak skończyło się na tym, że śpiewałyśmy nasze ulubione przeboje.

I pocałunek z Kentem, bo wtedy zdałam sobie sprawę, że czas się nie liczy. Zrozumiałam, że niektóre chwile trwają całą wieczność. A nawet jak się skończą, to i tak trwają. Nawet kiedy umrzesz i cię pogrzebią, one nadal trwają, podążają w przód i cofają się, w nieskończoność. Są wszystkim i wszędzie, jednocześnie.

To one mają znaczenie.

Nie boję się, jeśli was to ciekawi. Chwila śmierci jest pełna dźwięków, ciepła i światła. Wypełnia mnie tyle światła, ono mnie wręcz rozsadza - wystrzela ze mnie snop światła i wznosi się, wyżej, wyżej i jeszcze wyżej, i gdyby śpiewanie było uczuciem, to właśnie tym, tym światłem, tym uniesieniem, jak śmiech...

Reszty dowiedziecie się sami.